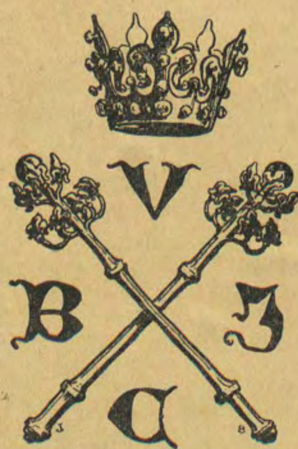



641

ZBIOR
RYTMOW
DUCHOWNYCH PANEGIRYCZNYCH
MORALNYCH y SWIATOWYCH
W. JMći Pani
ELZBIETY
z *KOWALSKICH*
DRUZBACKIEY
SKARBNIKOWEY *Zydaczewſkiey*
Zebrány y do druku podany
PRZEZ
J. Z. R. K. O. W. &c.





W WARSZAWIE
W Drukarni J. K. Mći y Rzeczypoſpol: *Collegij Scholarum Piarum.*
MDCCLII.

CNYM HEROINOM POLSK

JASNIE OSWIECONEY XIEZNIE JEY

JZABELLI z MORSZTYNOW CZARTORYIS

KASZTELLANOWEY WILENSKIEY &c.

JASNIE OSWIECONEY XIĘZNIE JEYMOSCI

KONSTANCYI z XIĄŻĘCEGO DOMU CZARTORYI-

SKICH PONIATOWSKIEY

KASZTELLANOWEY KRAKOWSKIEY &c.

JASNIE OSWIECONEY XIĘZNIE JEYMOSCI

MARYI ZOFIEY z SIENIAWSKICH XIĘZNIE

CZARTORYISKIEY.

WOJEWODZINIE, GENERAŁOWEY ZIEM

RUSKICH, GENERAŁOWEY PODOLSKIEY &c.

y JASNIE OSWIECONEY XIĘZNIE JEYMOSCI

ELEONORZE z DOMU GRAFFOW WALSTEYNOW

XIĘŻNIE CZARTORYISKIEY.

KANCLERZYNEY W. W. X. Litewſkiego &c.

ARCY-GODNEMU DAM POLSKICH ZBIOROWI

Dedykuie ten Zbior

Nayuniżenſzy ich Sługa

J. Z. R. K.



Kiedy ten Zbior Rytmow od Muzy Polskiey wypracowany, á staraniem moim wyprasowany, ná publiczny wybierał się widok, upatrywałem, w ktorebym, ten Skarb SKARBNIKOWEY mogł naylepiey złożyć ręce; Ale nie mogłem, lepiey iako w ręce WASZE, JASNIE OSWIECONE XIĘZNE ten lokować ták drogi depozyt.

Słuszniе tedy ten Skarb zkładam w Ręce Twoie POLSKA CYBELE JASNIE OSWIECONA MOSCIA XIĘZNO KASZTELLANOWO WILENSKA. Heroinie Polskiey ISABELLI, Sappho Polska ELZBIETA należy. Podskarbiego Wielkiego Wielkiey Cory Skarbnikowa Protekcyi szuka, Ozdobie y zászczytowi MORSZTYNOWSKIEY Familij, z ktorey po dawnych Kochanowskich, niedawnemi czasy, kilka Arcy-wybranych miała Polska Rytmopisow, Archi-Poetria nászego wieku, álboś do gustu przypadnie.

Słu-

Słuſznie ten Skarb zkładam w Ręce Twoie PO-
MINERWO JASNIE OSWIECONA MO-
SCIA XIĘZNO PANI KRAKOWSKA. Naypierwſza od
powziętego tego nowego Tytułu, przez Aſcens ſpráwiedliwie
godny y godnie ſpráwiedliwy JASNIE OSWIECONEGO
PANA KRAKOWSKIEGO Arcy-godnego MĘZA
TWEGO, á OYCZYZNY OYCA, z Woiewodztwa Ma-
zowieckiego, dedykacya, Náypierwſzey w rangu Senatorek Pol-
ſkich Damie, náleży ſię ſłuſznie, Zbioru Skárbnikowey, Náypier-
wſzey Pòétryi, y Rytmopiſki á boday y Rytmopiſow żyiących
celuiącey, płći ozdobę, kraiu Sarmackiemu záſzczyt przyno-
ſzącey Damy. Jubilerce rozumow, Promotorce náuk z imie-
nia ſamego ſtáteczney, w Polſzcze Oyczyſtych Appretiatorce
Talentow, ſłuſznie ſię należy z piąciu (ktore w piąciu Tomach
wychodzą) Rytmow, żyiących Wierſzopiſzow lub náſzego wie-
ku zeſzłych, Zbiorow, ten pierwſzy Talent, na chlubę Polſki
y pompę narodu Pòétycznym talentem utalentowaney Skarbniko-
wey. Jáko Jubilerka rozumow wyprobowawſzy tę drogo cen-
ną w Koronie *náſzey Perłę, nad Erythreyſkie y Piſkaryiſkie*
perły koſztownieyſzą aprobacyą ſwoią oſądziſz. Iáko Apreciа-
torka Talentow, walor właściwy Lukubracyom Polſkiey Mu-
zy przyznaſz. Jako Promotorka náuk y Polſka Mecenaſka,
pod ſwoią Protekcyą przygarnieſz, y záſłoniſz od nátarczywych
nieprzyiaznych Zoilow impetycyi.

Słuſznie ten Skarb zkładam w Ręce Twoie POLSKA
DIANNO JASNIE OSWIECONA MOSCIA XIĘ-
ZNO WOIEWODZINO RUSKA. Hippokrena z Druzba-
ku garnie ſię do Twoiey Macierzyńſkiey z XIĄZĄT LU-

BOMIR-



OPISANIE
ZYCIA
SWIĘTEGO DAWIDA
KROLA
IZRAELSKIEGO



NIe ieſt rzecz moïa Krolow opiſowáć życie
Ile iáwno grzeſzących, żáłuiących ſkrycie;
Alec to w zwyczay weſzło, w ludzi bez reſpektu,
Páńſki grzech wytknąć, ſwego niewiedząc defektu
Pozwol mi BOZE Tego co Zbáwienia przyda
Opiſać życie Twoiego Sługi DAWIDA.
Wſzákżeś pozwolił Cudu w publiczney Ulicy
Do Baláma nie[illegible] przemowić Oślicy.

Ciebie záś oto proßę KROLU y PROROKU
Gdy ſię Wierß moy doſtánie iawnemu widoku,
Odpuść ieźli to wydam, żeś grzeßył iák Człowiek,
Aleś powſtał iák Anioł przez łzy twoich powiek.
Dla tego chęć mnie moiá do pracy przymußa,
Zeby ſię iák w Zwierciedle przeglądała Dußa.
Ktorakolwiek w podobnych Tobie grzechach brodzi
Niech tąż drogą Pokuty z tobą w Niebo wchodzi.

DAWID Mąż według Serca Boſkiego názwány,
W Bethleem Urodzony, y tám wychowány,
Z tegoż ſamego Roku zkąd JEZUS záwitał,
Juda z Dawidem wnet ſię w Pokrewność przypytał.
Ten Oyca miał Jeſſego, ſiedmiu ſtárſzych Bráci,
Sam oſmy, zá tych wſzyſtkich Rodzicowi płáci.
Pokorą, poſłuſzeńſtwem, miłością, uczczeniem,
Bogday BOG záwſze mieſzkał z tákim Pokoleniem,
Nieſzpeci to bynaymniey zacnego Dzieciuchá
Wolą Oycowſką pełniąc, ſłuży zá Páſtuchá.
Zlecone Trzody Owiec iáko oka w głowie
Strzeże, pilnuie, nie da Beſtyom w obłowie.
Nieie dnę noc niedośpi, á przecię niemruczy,
W Dzień głod y upał ſłońcá młodemu dokuczy.
Nieczuie dobre Dziecię niewczás przeciwieńſtwo,
Gdzie chodzi od Rodzicow o Błogoſłáwieńſtwo:

Alećpokaże Gnotá ſwey własności ſkutki,
Kiedy z Páſterzá Krola, uczyni w czás krutki.
O Drogá posłuſzeńſtwá, y pokory Perło
Frymarczyſz zá Owczárſki kiy Krolewſkie Berło.
Doyrzał BOG z wyſokości czułego Dozorce,
Chce mu oddáć zá Laſkę Rycerſkie Proporce.
Mowiąc, odtąd Owcami iuż niebędzieſz więcy,
Rządził, boś godzien ludzmi kilkąkroć tyſięcy.
Obrzydł mi iuż grzech Saulow, do Proroká rzecze,
Idź Sámuelu niech ſię pomſta nieodwlecze (ronę.
Wyrzuć z Páńſtwá,odbierz Rząd,zdeym z głowy Ko-
Temu co mieć niegodzien ſkronie námáſzczone.
Potym idź do Jeſſego, mięſzka w Bethleemie,
Znáczny ieſt z ośmiu Synow rozrodzone plemie.
Z tych iednego obierzeſz, powieſz:Pan roſkazał
Abym cię ná Kroleſtwo oſadził, námázał.
Usłuchał Prorok głoſu, brzmiącego w Obłokách,
Bieży, iákby go trącał oſtrogą po bokách.
Niechce bydź náśládowcą leniwego ſługi,
Co milę uiechawſzy leży dzień y drugi.
Wchodzi w Dom Jzaego wolą Boſką wnoſi,
O Synow, żeby mu ich wſzyſtkich ſtáwił proſi.
Nátychmiaſt náyſtárſzego uyrzy Eliabe
Kſztałtny, piękny y mężny, ále Cnoty ſłabe.
Uwiedziony Sámuel Urodą Młodziáná,
Pyta ſię poſtáremu iák oſtrożny, Páná;

Czy tento coś go ſobie upodobał z wielu
Ma bydź Wodzem twych ludzi Krolem Izráelu.
Słyſzy odpowiedź náto: ázáliż Proroku
Podobáć ſię powinno co miłego oku (ſądzie
Niepátrz ná Twarz, bo w twoim powierzchownym
Niewieſz, o wnętrzney ſkázie, záráźliwym trądzie.
Ia ſerce upatruię czyſte przy proſtocie,
Niepyſzne w pomyślności, cierpliwe w kłopocie.
Czy znałżeś rowną miłość przeciw mnie iák w Jobie
Chwali mnie choć Robáctwo z Ciáła ropę ſkrobie.
Znowu Prorok przywoła Synow Jzáego
Stańcie tu niech was widzę, aż do oſtátniego.
A obaczywſzy, ſiedmiu, iák z Regeſtru czyta,
Oſmego niedoſtaie, gdzież ieſt, Oyca pyta.
Rzecze Stárzec: mam ieſzcze iednego przy Trzodzie,
Naymłodſzy, bo dopiero Mech ma ná iágodzie.
Ten dzień y noc páſący pilnie moie Owce
Wſzyſtká iego zabáwa Pola y Mánowce.
5 Każ go co prędzey wezwáć, niech ſpokoyny będę
Mowi Sámuel: gdyż ieść zá twoy Stoł nieſiędę
Poki Dawid nieprzyidzie, poki nieoglądam
Oſtátnie Dziecię twoie co go poznáć żądam
Spieſzy rączo Młodzieniec, poczuł wyrok Boży
Twarz bárdziey podobnieyſza do rozkwitłey Roży.
Weyrzenie pilne wdzięku, oczy iák Jutrzenka,
Czy ſię czemu ráduie, czy ſię czego lęka.

Ucieszył Pan Proroká mowiąc: wstań weź Oley
Tego námaż minąwszy stárszych Bráci koley.
Odtąd Duch moy sprawámi Iego będzie rządził,
Ná Tronie siedząc wielu Pokolęnia sądził.
Iuż DAWID policzony między Krolow Pánow
Wraca się do Oycowskich Owiec y Báranow
Nieściele Axamitow, niewdziewa purpury.
Choć Godny z Urodzenia, Paniątko z natury.
Pokorną drogą chodzi dzieciuch uniżony
Lubo same w Dom iego cisną się Korony.
Niestoi o Tytuły, Honor prożne blaski,
Milsze Oyczyste Dobro y Pásterskie Laski.
Przytym BOGA wychwala sercem, ust śpiewániem
Ręczną robotą, wdzięcznym ná Arfie przygrániem,
Zá co prácowitemu śludze, Pan tym płaci
Ze go co raz mądrością y Męstwem bogáci.
Dáie mu serce wielkie moc nád ludzką siłę
Postępki Boskim oczom, potym wszystkim miłe.
Bestyom tylko strászne, bo Lwy y Niedzwiedzie
Broniąc Owiec zábija, rozdziera iák śledzie.
Nic się z tego niechlubi, áni sobie przyzna,
Owszem Páná w swym Psalmie, zá Obrońcę wyzna.
Mowiąc, tyś iest ucieczká, Tyś moiá pomocy
Duch moy wielbić Twe Jmię będzie w wdzień y
w nocy.

Gdy opuſzcza BOG Saulá, á Szatan przyſtąpi.
Dręczy go, y ſpoſobow tyráńſtwá nieſkąpi.
Słudzy rádzą poſzukáć, w kráiu Muzykanta
Ażeby uſpokoił Piekielnego Fránta.
Ozwie ſię ieden z owych, znam ia nadobnego
Młodziána w Bethleemie, Syná Izaego.
Ten gtániem ſwym ná Arfie, ſerce rozweſela,
Mąż do boiu, moc iego ná Lwy ſię ośmiela.
Nádewſzyſtko że BOG z nim, bo gdzie ſtopy ſtáwi,
Wſzędzie mu dopomagá, wſzędzie błogoſłáwi.
Zyczę poślcy po niego, proś niech cię náwiedzi
Uznaſz iák zágra, że Duch zły, cicho poſiedzi.
Ktoż by w Domu mieć niechciał tákowey Muzyki
Co diabłu ſwoim dzwiękiem pomyliłá ſzyki.
Inſze teraz do uciech ſtroią inſtrumentá,
Bies weſoły gdy Páná y ſkrzypká openta.
Co prędzey Krol wyſyła, choćby Egipt ſtrzęśli
Byle ználeść DAWIDA, kazáć mu wziąć Gęśli.
Z ktorą, niechay przybywa niech ſię nic niebáwi,
Bo mi Szátan dokucza, y zá Gárdło dawi.
Stawa poſeł, ználazł Dom, kędy Jeſſe mieſzkał,
Proſi go day mi Syná, żebym nieomieſzkał.
Poſpieſzyć z nim do Saula, ktorego Czárt duſi.
Niedażli dobrowolnie, iecháć zemną muſi.

Strwożony Ociec rzecze y iuż w leciech ſtáry,
Poczekay aż Synowi dam dla Królá dáry
Czym mnie BOG w Goſpodárſtwie moim opatruie
Báránká y Koziołká Saulowi daruie.
Ledwie Gość nogę wſtáwił zá Krolewſkie progi,
Mile przyięty, witáy moy DAWIDZIE drogi,
Przypadłeś mi do ſercá mowi Saul, boś Mężem
Cnotliwym, mieyże Zwierzchność nád moim Orężem.
Kiedy mnie Duch nieczyſty zácznie trapić ſilno,
Bierz Arfę y przygraway, każ mu odeyść pilno.
Jákoż ilekroć Saula nágába, morduie,
Tyle, gràniem młodziána związán, odſtępuie.
Niechce Saulowi DAWID ſłużyć, z tey przyczyny,
Ze długą woynę záczął toczyć z Filiſtyny.
Ow Dworzánin Krolewſki w Dom Oycá wraca ſię
Y znowu Páſtuch z niego, znowu trzodę páſie.
O! czáſy Chwały godne, o! ſzczęśliwy wieku,
W ktorym pychá mieſzkánia niemiáła w Człowieku!
Dziś Oyciec wyprawuie, Liſie, wilcze, futro,
Syn układł ſię Kuśmierzem, wſtał Szláchcicem jutro.
Dla tego też BOG támte ſzczęśliwił narody
Niepánowáły zbytki, Ambicya, mody.
Szczerość proſta, w rzetelnym z Przyiaciołmi życiu,
Suknia według Intraty, ku Ciáłá pokryciu.

Niechce drugi raz Jeſſe Syná w ſłużbę dawáć
Przed Krolem piętą wiercić, ná Arfie przygráwáć.
Widząc że BOG grzech Saulá karze oczywiście
Mogło by ſię przy Pánu, doſtáć y Arfiście.
Jákoż często widziemy, włáſnemi oczymá,
Gdy złego Páná diabeł, w ſwych pázurách trzyma,
Słudzy tuż ná tę wędę, zá nim ſpieſzno dążą,
A ták Páńſkie y ſwoie, Sumnienia záwiążą.
Ze ſamo tylko piekło te rozerwie węzły,
W Ktorych z Duſzą y zCiáłem dni młode uwięzły
Ach ſtráto! ách wolności niepowetowána
Pan dla ſług ginie márnie, á ſłudzy dla Pána.
Więc bogoboyny Ociec, y w Cnotach przezorny
Inſzy ſpoſob dla Syná, znayduie wyborny.
Donábycia Fortuny, Sławy z podczciwością
Wyśle go y upomni, wrodzoną miłością.
Ażeby ſtárſzych Bráci, ktorzy ſą ná woynie
Náwiedził, y pozdrowił, od Oycá przyſtoynie.
Oraz ſpytał, ieżeli ku ſwoiey potrzebie
Maią ſuknie, pieniądze, y obfitość w Chlebie.
Wyſzedł DAWID poſłuſzny z Domu między ſzyki
Woyſk Saulowych, aż ſłyſzy Trąb wielu okrzyki.
Spyta ſię Bráci: coż to zá trwogá w Obozie?
Czy was iuż Filiſtyni wiodą ná powrozie.

Odpowie ieden : iużci' nie máiąc otuchy
Wygráney, wpáść w niewolne muſiemy Łáńcuchy.
Kiedy nikt niepotráfi, wyzwáć Goliata,
Pewna záś śmierć nieminie, lub wolności ſtrátá.
Już to bliſko czterdzieſtu dni, te cierpiem trwogi,
Ktoremi Jzráela Olbrzym trapi ſrogi,
A tu żaden niezáyrzy tey Beſtyi w oczy,
Głos Lwi, uſzy przeraża, łeb odſtraſza ſmoczy.
Zápłakał w ſercu DAWID, ſłyſząc powieść ſmutną,
Zdięty żalem nád háńbą, á złością wierutną,
Srogiego Goliata, co BOGA urąga,
Pychą iuż práwie Niebá ſamego dośiąga.
Zmocniony Duchem Páńſkim odważny młodzieniec,
Ufa, że mu w zwycięſtwie nád Laurowy wieniec
Więcey Prorok obiecał, y od wieku wroży,
Że z iego Pokolenia wynidzie Syn Boży.
Záczym ogłaſza ſwoię przed ludem ochotę,
Wyzwáć ná plác publiczny, Olbrzymá niecnotę.
Aby uznał moc BOGA, ktory dęby kruſzy,
Wraz z Gáłęźmi kiedy chce ná popioł uſuſzy.
Donieſiono Krolowi, o ſercu odważnym,
Młodego Káwálerá, każe go poważnym.
Swym Imieniem przywołáć, y wnet pozna z Twa- (rzy
DAWIDA, z ktorym ſzczęście wielkie czyny dárzy.
Więc rzecze Saul, czy ty chceſz bić ſię z Goliatem,

Szkoda cię, z ták okrutnym woynę zácząć Kátem.
Ná to młodzian z pokorą odpowie Krolowi:
Tobie służyć chcę, potym twoiemu ludowi.
BOG ten ktory Niedźwiedzia, Lwa, dał moiey sile,
Gdym z nich zá wzięte Owce, czynił krotofile,
Rozdzieraiąc pászczęki, dusiłem za gardła,
Przezco zemstá nád ich się tyráństwem wywárłá.
Tenże BOG, teraz może w to potráfić snadnie,
Ze głowá Filistynow, z rąk moich upádnie.
Zelżywość Izráela, on snádnie wywruci,
Pysznego Pogánina pod swe stopy rzuci
Słuchał Saul z podziwieniem, DAWIDOWEY mowy,
Pełnymi łagodności odpowie mu słowy:
Idź, niech z Tobą BOG będzie, w ták potzebney sprawie,
Niech cię swoią pomocą utwierdza łáskáwie.
Ale chcę byś się moim uzbroił kirysem,
Kiedy záczniesz potyczkę, z draycą chytrym lisem.
Lecz DAWID niezwyczayny do Zołnierskiey zbroi,
Postąpić obciążony, y ná krok się boi;
Tylko kiy,wziąwszy, ktory codzień w ręku nosił,
Potym o pięć kámykow okrągłych, gdy prosił,
Schował ie do kobiałki, á porwawszy Proce,
Z tym wyszedł mowiąc, wnet tu Olbrzyma ukroce.

Uyrzy Filiſtyn w polu młodego Rycerzá,
By był iego przeciwnik naymniey niedowierza.
Owſzem wzgárdził DAWIDEM, tę máiąc otuchę,
Ze go w pálcách zágniotę, iák ieſienną muchę.
A ták zbliży ſię kniemu, Goliat zuchwáły,
Rzekąc: coż zemną czynić myśliſz chłopcze máły.
Ażálim pies, że mnie chceſz kijem czy kámieniem
Zábijáć, Ia cię zniſzczę z cáłym Pokoleniem.
Wzaiem młodzian przyſtąpił, idąc śpieſznym krokiem
Spoyzrży w Twarz dziwoląga, niezmrużonym okiem
Ty to śmieſz Pogáninie z ſwemi Filiſtyny
Bluźnić BOGA y niſzczyć Izráelſkie Syny!
Ty ná mnie idzieſz z Tárczą, mieczem, y oſzczepem,
Ia ná ciebie z kámieniem y drewniánym cepem.
Wiele ufam w tey zbroi, przy pomocy Bożey.
Tá w punkcie twego Trupá ná ziemi położy.
Głowę ci hárdą zdeymie, záś beſtye, kruki.
Ieść ciała Filiſtynow będą dla nauki
Potomnym wiekom, áby nikt niewalczył z Bogiem,
Co Niebem, ziemią, morzem, piekłem, rządzi ſro-
giem.
W tym Olbrzym iak furya piekielna przyſkoczy,
DAWID go prędzey, ubiegł iuż z nim bitwę toczy.
Kędy chciał, ták z ſwey procy pomyślnie wymierzył
Bo wſamo czoło kámień, poczwárę uderzył.

Upadł ná twarz Goliat, pod nogi młodziana,
W włáſney ſię krwi zánurzył, wielka we łbie rána.
Więkſza rádość zwycięzcy ſerce rozweſela,
Gdy ná plácu położył ścierw nieprzyiaciela.
Jeſzcze niedoſyć ná tym, że Olbrzym zábity,
Ze háńbą wieczną zoſtał, z ſwym woyſkiem okryty.
Lecz mu właſnym DAWIDA mieczem ścięta głowá,
Dla czego Filiſtynow uciekłá połowá.
Drugich lud Izráelſki, zábijał, káleczył,
Czym S. ul, ſchorzáłe ſerce orzeźwił, uleczył. (mierze
Przyznáiąc DAWIDOWI, że z BOGIEM przy-
Mieć muſi, kiedy tryumf w káżdey ſpráwie bierze,
O woyno ſpráwiedliwa gdzież teraz zoſtawaſz,
Podobno ſię z Chrześcian dziſieyſzych naygrawaſz.
Ktorzy áni zá BOGA, ni cáłość Oyczyzny,
Ni zá wiárę, woiuiąc otrzymuią blizny.
Szczegulnie dla Monárchow, chciwości, łákomſtwa
Rzucamy, Zony, Domy, y właſne potomſtwa.
Kiedy ieden drugiemu przez moc bierze Páńſtwá,
Nas máią zá Inſtrument zbytkow y tyráńſtwa.
Zá co Krolowie woyſká obietnicą tuczą,
Tym czáſem ich Rábunkow, ſwywoli náuczą.
Nim Páńſka obietnicá ſwoy odbierze ſkutek,
Woyczyznie lament, ucisk, płácz, codzienny ſmutek
Jeźli

Jeźli chcą wyprobowáć Káwálerſkie ſercá:
Doznáią że co żołnierz, to Tchorz, to wydziercá.
  Cudze tylko komory, ſtodoły, ſzpichlerze,
  Z wroblámi náwiedzáią, odważni Rycerze.
Coż z tąd BOG ma zá Honor, co zá pomoc wiárá?
Piekłu chybá ná korzyść, ſtánie tá ofiárá.
  Obrzydła Niebu, wierze, bezbożna dániná,
  Gdy Chrześcian náſtąpił ná Chrześciániná.
Z tąd Turczyn, Tátar, tey ſię przypátruią woynie,
My ſami ſiebie bijem, On ſiedzi ſpokoynie.
  Snádniey nas obárczonych pokona do reſzty,
  A w niewoli w żelázne poobuwa meſzty.
Inſzym ſpoſobem DAWID walczył z Filiſtynem,
Znáć że był kocháiącym ſwey Oyczyzny Synem.
  Kochał BOGA y Wiárę, kochał z Cnotą męſtwo,
  Dał mu też BOG cudowne nád innych zwycięſtwo.
Nie w nádzieię nádgrody, ktorą mu Saul czynił,
Nie żeby Páńſtwo podbił, fortuny przyczynił.
  Nie dla pychy Pogáńſkie zdobywał Tabory,
  Bo pełen był Cnot wſzelkich, naywięcey pokory.
Widząc lud poſpolity Rod Zydowſki cáły,
Męſtwo DAWIDA, ſłuſzne przyznáwa mu Chwały.
  Pełno w Mieyſkich ulicách radości, weſela,
  Mowiąc, BOG nam tákiego dał wybáwiciela.
Jonatas Syn Krolewſki nád ſwe włáſne Bráty;

Przy-

Przyrzekł kocháć DAWIDA, wszystkie co miał száty
Oddał mu, oraz zbroie, srebro, złoto kusze,
Przydawszy że cię kocham, iák siebie, iák dusze.
Nádto wieczne przymierze czyni z nim przyiáźni,
Zadna nas rzecz nie zmierzi, nieskłoci, niezdrażni.
Kochay mnie wzaiem y ty, Cnotliwy DAWIDZIE,
Poty poki śmierć po nas náznaczona przydzie.
Alec iák szczęscie zwykło, dziwaczyć z Człowiekiem,
Z krotkiemi dni umowę czyni, á nie z wiekiem
Bo wie że niestáteczne, myśl prożna nádyma,
Potym zwiodszy, nikomu słowá niedotrzyma.
Nic to nieustrászyło odważnego Mężá,
Chociaż czárt nań gotuie zasadzki, Oręża. (wemu,
Gdy sam przez się nie mogąc szkodzić, poczci.
Odda go w moc Saulowi nád siebie gorszemu.
Ktorego pyszne serce, iák mocna trucizná
Przeięła, wraz z zazdrością że cała Oyczyzná
Z godnemi głosy woła, DAWID nas wybáwił
Od złości Filistyńskiey, y pokoy nam spráwił.
Náwet Niewiásty chodząc, á nád Męszczyzn więcy,
Krzycząc, Saul zábił tysiąć, á dziesięć tysięcy
DAWID, Boże wywyż go, y rozmnoż obficie,
Day mu skarby, day zdrowie, długoletnie życie.
Odtąd Krol záczął szukáć chytrego sposobu,
Jákby zgłádzić DAWIDA, wprowádzić do grobu.

Boiąc ſię Iego mocy, y iego rozumu,
By zá Krola nie obran, od zgodnego tłumu:
Dał mu ſzarząRotmiſtrzá, a gdzie ſię náwinął
Podiazd nieprzyiacielſki, żeby prędzey zginął,
Tam go ſwym Ordynánſem, náraża złośliwie,
Iednak wſzędzie zwyciężył, powrocił ſzczęśliwie.
Zkąd coraz więkſza ſława y miłość u Dworu
Roſła ku DAWIDOWI, w Saulu záś uporu
Tym więcey ſię znayduie, ná ſwoim poſtáwić,
Niewinnego umorzyć, ſławy z życiem zbáwić.
Tylko że nád kim Boſka Opátrzna opieká,
Niech go tyſiąc ſtalowych mieczow, w Polu czeka,
Zaden mu niezáſzkodzi, żaden ſię nie imie,
Kto zá wiárę woiuie, zá Wſzechmocne Imię.
Poſzepnął bies domowy Saulowi do ucha,
Widząc że rády iego rad we wſzyſtkim ſłucha.
O Rado wieczney zdrady, iak częſto ſię zdradza,
Ze Pan w piekle nárzeka ná Konſyliarzá.
Częſto ſług dobrych zdraycy, ſwoią rádą głupią,
Przed Krolmi ze czci, zdrowia, z fortuny obłupią.
Zá nic tácy ſumnienie, właſną duſzę ważą,
Co bliźniego iák lipę obedrą, obnáżą,
Záſiągnął Saul ſpoſobu od chytrego węża,
Każe przed ſię przywołać walecznego Męża.
Iedwábnemi ſłowámi po ſercu go głaſzcze,
Ze cię za ſwego Syná przybiorę,przywłaſzczę. Od-

Oddam ci Corkę moię w Małżeństwo, Michole,
Dam złotá, Miástá, Zamki, dam z włościámi Role.
Tylko mi Filistyńskich głow sto przynieś w dáry,
Uznasz, iákiey nábędziesz u mnie z łáską wiáry.
Ná te słowá pokorną DAWID głowę zniży,
A do nog się Krolewskich upadszy, przybliży.
Mowiąc, coż to mnie Pánie dochodzą zá słuchy,
By Krolewny bráć miáły zá Męże Pástuchy.
Wiesz żem niedawno Owce pásł, u mego Oyca,
Nie tákiego twey Corce potrzeba mołoycá
Ja twym sługą nie Zięciem, ledwiem godzien zostáć,
Taką przybráć ná siebie, chcę na zawsze postáć,
Ale kiedyś roskazał, o sto głow się stáráć,
Poydę, byś mnie z lenistwá nieumyślił káráć.
BOGA wezmę ná pomoc, ten iest moią tarczą,
Ktorey mocy piekielne w siłách niewystárczą.
Wyszedł żołnierz posłuszny, niezbywa ochoty,
Uderzyć ná Obozy, ná liczne namioty.
Niedługo zábáwiwszy, nie sto ále dwieście,
Głow ściętych niosąc, pełno o tym nowin w Mieście.
Niecieszą te tryumfy nic Saulowych myśli,
Bo insze ułożenie w hárdym sercu kryśli.
Wolałby Filistyná máiąc ź znim umowę,
Widzieć, áby mu przyniosł DAWIDOWĄ głowę,
Gryzł się Saul tym zwycięstwem, iák záiádła Jędzá,
Zadna mu nád tę więcey niedoięłá nędza. Nie

Nie śpi, nie ie, nie pije, co moment ſię dąſa,
Ledwie właſnego Ciáłá nie ſzárpie, nie kąſa.
Myśląc, Corkem obiecał, pod trudnym tráktátem,
Sam byłem do DAWIDA dziewoſląbem, ſwátem.
Chciałem zgubić przez ſto głow, młodego wyroſtka
Aż mu fortunnie pádła, nád moy umyſł Koſtka.
Szpetnie Krolom dánego niedotrzymáć ſłowá,
Tu mi Páńſtwá w Poſagu ma odpáść połowa.
Lecz oddam com raz przyrzekł, ná co ſię ſam ſuſzę?
Snádniey DAWIDA zgłádzę, przy Zonie uduſzę.
Złe zaboyſtwo, zła zazdrość, zła pychá ſzkárádna,
Przecięż z nich ták niedoymie, do żywego żadna
Boleść, iáko niewdzięczność, kiedy nią Pan drugi
Wypłaca, dobrym ſługom zá ſzczere uſługi.
O Boże zaż nie lepiey, twey ſię trzymáć ſłużby,
Daieſz wſzyſtko bez zdrády, bez wymowki; ktożby
U Pána doczeſnego wyſłużył zbáwienie,
Zycie, rozum, fortunę, zdrowie, dobre Mięnie.
Tobie chociaſz zły ſługá, naywięcey záwini,
Cnot umnieyſzy á grzechow tyſiącem przyczyni,
Niewtrącaſz go ná przepaść, że ci ſię zádłużył,
Boś iák nád złym Száfarzem, miłoſierdzia użył.
DAWID nic nieprzewinił, tylko że był śmiáły,
Wſzyſtkie cnoty w nim ſwoie pomieſzkánie miáły.
Męſtwo, pokorá, czyſtość, poſłuſzeńſtwo ſkromne,
Przynioſły mu pochwały, ná wieki potomne.

Y zá to Saul nań wędy iák ná rybkę ſzuka,
Dzień y noc ſerce mu ſię, z właſney złośći puka,
Ze DAWID dotąd żyie, że ſię w oczách ſnuie,
Ze nád nieprzyiacioły zwycięſtwem panuie.
Nie z affektu lecz wſtydu, dáney obietnicy,
Rzecze Krol, ślubuy záraz ſwey oblubienicy,
Moiey Corce, twey żonie, y ty Michol wzaiem.
Przyſięgay DAWIDOWI, Zydowſkim zwyczáiem.
Jeſzcze ſię nieſkończyły ná Páłacu gody
Weſelne, iuż z łożnicy ucieka Pan młody,
Przeſtrzeżony od ſwoiey kocháney Micholi,
Ze ieſt życia niepewien, dla Oycowſkiey woli.
Ktory żeby go prędzey ná ſidłoułowił,
Z ſwemi ſię faworyty ſekretnie námowił:
Aby gdy z żoną będzie záſypiał ſpokoynie,
Zábić go w łożku, kiedy niemogł zginąć w woynie.
Słyſzy Michol że wárty przy drzwiach oſadzone,
Nie wie iáką Mężowi dáć w zgubie obronę.
Roſtropnie ſobie pocznie, nim zaboycow wpuśći,
Tym czáſem Mężá oknem ná powrozie ſpuśći.
Widzi DAWID niewinny, w iákie wpadł nieſzczęśćie,
Co mu Corki Krolewſkiey ptzynioſło zámęśćie;
Ze mu tym dana była zdrádliwym ſpoſobem
By ſię prędzey z nią rozſtał, á powitał z grobem.
Ucieka, nie wie przed kim, nic złego nie zbroił,
Ale żeby Saulowe ſerce uſpokoił,

Kryie się po iáſkiniách, myśląc: ázali mię
Krol, uznawſzy niewinność, záś do łáſki przyimie.
Otoż tobie DAWIDZIE, Máryaſz z Krolewną,
Z ktorą wziąłeś w Poſagu kłopot, y śmierć pewną;
Gdybyś wiedział ná iáką przyidzieſz poniewierkę,
Wziąłbyś ſobie zá żonę ubogą Paſterkę.
Bo z tą życie pewnieyſze, chociaſz przy uboſtwie,
Niźli w Páńſkich Páłacach, licznych ludzi mnoſtwie,
Beśpieczniey byś ſię wyſpał ná proſtym drelichu,
Z pod Kotary złociſtey uſtępuieſz lichu.
Jonátás będąc práwy przyiaciel DAWIDA,
Łzy przed Oycem wylewa y te ſłowa przyda:
Coż ci Krolu ten Człowiek ták złego wyrządził,
Ześ go śmierci bydź godnym u ſiebie oſądził?
Zápomniałeś podobno o Jego zaſługách,
Robilibyśmy wſzyſcy gdyby nie on, w pługách
Pod járzmem Filiſtyńſkim, iák pod Faraonem,
Bogday żaden niedożył bydź pod tákim Tronem.
Niedawnoś go w ſwą zbroię, przybierał do boju,
Niedawnoś mu dał Corkę, oſadził w pokoju;
Zkąd ták nagła powſtáła złosci zawieruchá;
Chceſz go z Zięciá uczynić Owczarzá, Páſtuchá.
Co o nas mowić będą, o Krolu! o Pánie!
Gdy ſię iákie bezpráwie, nád DAWIDEM ſtánie?

Wſzyſcy wiedzą żeś przyrzekł bydź mu wdzięczen
w ſkutku,
Zá miaſt tego, dni gorzkie opłákuie w ſmutku.
Potym kiedy potrzebá wielka nas przyciśnie,
Nie ieden Rycerz śmiáły, od twey ſłużby pryśnie.
A ták Páńſtwo y woyſko, przez złą rádę ſtráciſz,
Kiedy wiernym, podczciwym ſługom, śmiercią
płáciſz.
Przyiął Saul od Jonaty reflexye cudne,
Ale do wykonania złemu náder trudne.
Prędzeyby Lwa, Tygryſsa dzikiego ugłaſkał,
Ják ſerca záwziętego złości ſię ſkáráſkał.
Zdobył ſłow ná odpowiedź, Saul mowiąc do Syná:
Nie twoiá rzecz pytáć mnie, iákowa przyczyná
Niechęci moiey, ktorą mam do twego Szwagrá,
Niech przyidzie, niech tu ſtánie y ná Arfie zágra.
Pocieſzony Jonátás, że Krola przebłagał.
Co na nim czás nie máły, z trudnością wymagał.
Więcey nád ſkarby ważąc, dobro przyiaciela,
Pełen rádości, pełen wnętrznego weſela.
Wybiega w ciemne puſzcze, y ſkáły okropne,
W ktorych DAWIDA zámkną rządy nieroſtropne,
Ják Jelenia ſzczwánego ſtrách smierći niewczeſney
Wpędza ná gor wierzchołki, do obrony leśney.

Woła

Woła Jonátas głośno, y co tchu mieć może, (że
Wychodź DAWIDZIE! gdzieś ieſt? nieboy ſię niebo-
Zaſadzki, áni zdrády, wſzak wieſz że iak Bráta
Przyrzekł ci, aż do śmierci kocháć twoy Jonáta.
Poznáł DAWID po głoſie ſwego opiekuná;
Coś mi dobrego nieſie łáſkáwa fortuna.
Wynidę z tey jáſkinie. á ná Boſką wolą
Oddam życie, y dalſzych mych obrotow dolą.
Zbiegną ſię obay rázem y ſerdecznie ściſną,
Łzy im wzaiemnie z oczu, żal, miłość, wyciſną.
Długo iák dwie kolumny cioſane z kamieniá
Stoiąc ná przeciw ſiebie chowáią milczenia.
Przecież Jonátas dłużey, niemogąc wytrzymáć,
Rzecze: nieprzyſzedłem cię DAWIDZIE poymáć.
Ale proſić żebyś mi ufał, iák ſam ſobie, (bie,
Wſzákżeś mnie przyiacielem doznał w káżdey pro-
Boże mnie broń, żebym cię kiedy zwiodł, lub zdrádził,
Niechby mi ſęp łákomy o ſerce záwádził.
Jeżeli nie z ſzczegulney miłości tá podroż
Moiá do Ciebie, záczym precz boiáźni odłoż.
Przyſzedłem miłość twoię wyprowádzić z pleśni,
Zapomniy złości Saula, y niech ci ſię nie śni
Więcey o tym, coś cierpiał DAWIDZIE niewinny,
Uznał Krol błąd ſwoy, y iuż ieſt, dla Ciebie inny.

Rozkazał mi cię ſzukáć, upewnić z przyſięgą,
Ze ſię trapi ucieczką, y twoią włoczęgą.
Składáiąc ná impety, ktore ludźmi włádną,
Potym ná zauſznikow, co im rozum krádną.
Jam też: rzecze Jonátás, ile mogł prácowáł,
Bym cię w zdrowiu, á Oycá od grzechu záchował.
Spráwiłem wſzyſtko dobrze, wyrobiłem tyle,
Ze cię wraz zemną przyimie, iák dwochSynow mile.
O iák ciężko w złym rázie przyiaciela doſtáć,
Zwłaſzczá, kogo nie łáſka záczn ie Krolow chłoſtáć.
Byle Pan krzywo ſpoyrzał, álić wſzyſcy zyzem
Pátrzą, y wnet z komora rzecz uczynią fryzem.
Niechay ſię tylko nogá, z ſłużących powinie,
Nikt go nie zna, y owſzem zdáleka ominie.
Ani pytay, żeby ſię ktory podiął z cnoty,
Przywrocić ſerce Páńſkie, z łáſką dla ſieroty.
Ráczey gdyby Pan kazał, żywcem przed ſię ſtáwić
Tułaczá, żeby ſię mogł z obwinienia ſpráwić.
Ten, coby go po láſách,ukrytego tropił,
W ſuchey ſtudni z Jozefem, zarzucił, zátopił.
Przeſtał DAWID ná ſwego przyiacielá rádzie,
W ktorym ufność wroconey łáſki Krola kłádzie.
Jdzie śmiáło z Jonátą, y przed Saulem klęknie,
Twarz weſołą pokaże, naymniey ſię nie zlęknie,

Choć

Choć mu dzikość groziłá z weyzrzenia, z złey miny,
Że w krotce szukáć będzie do niego przyczyny.
Jakoż zgadł, bo niedługo trwáło to przymierze,
DAWID Arfę, Saul włocznią ostrą w rękę bierze.
Y ná to żeś to Krolu gráć sobie roskazał,
Ażebyś krwią niewinną Páńskie ręce zmázał?
Porzuć y Ty Muzykę DAWIDZIE kochány,
Poki ci śmierć nie zágra, przybiwszy do ściány.
Uciekay kędy możesz od złego Człowieka!
Już cię w Jego Gránicách pewna zguba czeka.
Nie day się więcey łudzić, fałszywym przymierzem,
Bo w nim záwsze śmierć nosić będziesz zá kołnierzem.
Widzi DAWID że więcey nie ma czego czekáć,
Tylko z życiem od Saulá, z daleká uciekać.
Żal mu żony, żal Brátá, żal że iáko zboycá
Kryć się musi przed złością Tyrana, nie Oyca.
W tym Jonata DAWIDA, DAWID záś Jonáty
Szuka w puszczy, nayciężey tey żáłuiąc stráty,
Że się rozstáć potrzebá, iáko Duszy z Ciáłem,
Jużby wolał bydź pchnięty w serce puinałem.
Ale ich długo nie chce martwić wyrok Boży,
Ktory chociaż zasmuci, ciężar ná kárk włoży,
Jednák nigdy nád siłę swoiego stworzenia
Niedopuszcza ze szkodą Duszy utrapienia.

Wlot ſprzyſięgłych przyiacioł ſprowádził do laſu,
Pozwolił do rozmowy beśpiecznego czáſu.
Coż zá pociechá kiedy, ten tego zbyt kocha,
Jeden nád drugim płácze, iák Niewiáſtá ſzlochá
Potym ſię ſpolnie wziąwſzy z oburącz zá ſzyię,
Ten temu iáko z czterech zrżodeł, z łez twárz myie.
O naymilſzy DAWIDZIE, o Jonáto drogi!
Zá coż naſz związek pſuie, rozrywa Saul ſrogi?
Czy BOG ná nas dochodzi zá grzech ſwoiey káry?
Czy Krolá Bałwochwálſkie omámiły czáry,
Gdy ciebie znienáwidział, mnie ſłowámi krzeſze,
Ledwie ná głowie kołow ſiekierą nie cieſze.
Więc żebym ogniá więcey pod Oycem nie palił,
Y żebym twoie życie utrzymał, ocálił,
Zyczęć iák twoy przyiaciel, iák Brát, iák twoy bliźni
Myśl o ſobie, y z rąk ſię Saulowych wyśliźni.
Nie-przychodź mu na oczy, bo ia nieporadzę
Złemu, owſzem wraz z ſobą ciebie z świátá zgładzę.
BOG o Tobie niech rádzi, niech ſam tobą rządzi,
Przyidzie czás kiedy Saulá, z wyſtępkow oſądzi,
A teraz idź w pokoju DAWIDZIE ſtrapiony,
Czy w cudze, czy w Oyczyſte, ukryieſz ſię ſtrony.
Pámiętay że Jonátas, żyć niechce ináczy,
Poki cię ná Saulowym Tronie nie obaczy.

Błąka ſię DAWID w Puſzczách w ſkáłách czás niemáły,
Nie iedząc przy zgryzocie, osłabiał zgłodniáły;
Ledwie nogi zá ſobą, chociaż młody wlecze,
Weſtchnie z żalem do Nieba, ſam do ſiebie rzecze:
O mizerne ludzkiego ſzczęścia ſtánowiſko,
Z tobą świát czyni ſobie iák z piłką igrzyſko;
Raz ſię o mur uderzy, y znowu uchwyci,
Ze tyle rázy ubił z śmiechem ſię záſzczyci.
Jam niedawno Olbrzymá z nog zwálił iák Słoniá.
Jam niedbał choć mnie ſetna ścigáła Pogonia.
Z kąd ſię wzięłá ná ten czas, śmiáłości pobudká,
Dziś by mnie Olbrzym zwalił gdyby mi dał ſzczutka
Jam głowy Filiſtynow, iák ná rożen ptaki
Brał oſzczepem, te były męſtwá mego znáki,
Dziś choćby ládá paſtuch, wybiegłſzy z zakrzaká,
Zniosł by głowę DAWIDA iák pod ſiecią ptaká.
Nie ieden ſię zádziwił, nád tym przedſięwzięciem
Krolewſkim, kiedy mnie ſwym zápowiedział Zięciem,
Sadzał zá Stoł, tráktował, to mięſem, to ryby,
Dziś mnie wyſłał do láſa ná ſurowe grzyby.
Dla czego niechay ſię nikt w gorę nie wynoſi,
Gdy go ſzczęście wyſoko zá Stoł ſiedzieć proſi.
Bo áni zwieſz, iák ſobie uprządſzy prywatę,
Każeć powſtáć od Stołu á iść ná ſałatę.
Niezbył tym rozmyślániem DAWID áppetytu,
Dni kilká nic nieiedząc upátruie świtu,

Zeby głodny żołądek, czymkolwiek pośilił, (lił.
Wybiegł z Puſzczy ku Miáſtu, wſtyd ná ſtronę ſchy-
W Dom Ahimelcha wpadłſzy, rzecze do Kápłána:
Pośil mnie bom zgłodniáły dla miłości Páná
Tego, co świát ſzeroki y co ná nim ſtworzył,
Wſzyſtko karmi, nikogo głodem nie umorzył.
Odpowie Kápłán: mamcis powiącáne Chleby,
Ale tobie ieść śię ich niegodzi, áżeby
Bog mnie niekarał, bo ten nam ieſt pozwolony
Sámym Kápłánom, wam záś wcále zábroniony,
Nieprzeſtał DAWID żebráć od Kápłána Chleba,
Wſzák wieſz że Práwo łamie gwałtowna potrzebá.
Uznay ſam, czy rzecz ſłuſzna, y czy przyzwoita,
Zeby o śmierć przypráwił Kápłán lub Lewita.
Pobożny Ahimelech, chociaż z ſobą trwoży,
Chce nákarmić łáknących, y wnet z śiebie złoży
Boiaźń, bo inſtynkt Boſki kazał mu ſkrupuły
Schowáć, dla tych co maią z pieniędzmi ſzkátuły.
Jednák dla poświęconych Chlebow uczciwości,
Wprzod niźli ie ieść záczną wypytał śię gości,
Jak dawno wſtrzemięźliwość od żon záchowáli,
Jnáczey, práwobyśmy Zakonne złamáli.
Nie ſkłámał DAWID mowiąc, od kilku tygodni
Zony nieznam, o Chlebie raczey myslą głodni,
Gdyby komu iáko mnie z głodu lice zbládły,
Pewnieby go ámory do żony odpádły. Dał

Dał Kápłan wiárę ſłowom DAWIDA, ná známie
Tego, wziąwſzy Chleb w ręce rozdáiąc go łamie,
Pożywaycież ten pokarm, ktory was poſili
Ná ciele, y ná duſzy y w káżdey złey chwili.
Coż rzeczeż Kátoliku, czyć nie zádrzy ſkurá,
Kiedy w ſtárym Zakonie Chleb tylko figurá
Przyſzłych Táiemnic, tákie ma uſzánowánie,
Od Kápłánow przeſtrogi, o czyſtość pytánie.
Teraz Ciáło Chrystusa, z Duſzą, ze Krwią żywe
Pożywamy pod Chlebá przymiotem prawdziwe.
Y niechayby ten ná dno piekielne zámierzył,
Ktoby ináczey trzymał, mocno w to niewierzył.
Ale áh ſtráſzno myślić, ſtráſzno piſać piorem! (rem.
Ják ſię z Ciáłem iák z krwáwym obchodziem likwo-
Czyſta krew, czyſte Ciáło, z czyſtey Pánny wzięte,
Od nas nieczyſtych częſto zuchwale przyięte
Woła Kápłan, przeſtrzegá, *nieprzyſtępuy! wára!*
Od żony do Ołtarzá, gdzie ſtráſzna ofiara
Mnieyſza to, gdzie záchodzą Małżeńſkie káreſſy,
Gorſza bráć Ciáło Páńſkie, wſtawſzy od Metreſſy.
Z przypadku *Oza*, ręką, Arki ſię dotyka,
Umárł záraz, zá śmiáłość śmierć nagłą połyka.
Ty co Ciáło CHRYSTUSA piáſtuieſz, nie Arkę,
Miárkuy ſię, ieźliś czyſty, byś nieprzebrał miarkę:
Gniew Saulow ná DAWIDA, y záwziętość ſzpetna
Szerzy ſię, ognie rzuca, iák ſzkodliwa Etná,

Ktora z ſwoiey Otchłánie, ſiarczyſtym wymiotem
Záraża, záſypuie, Miáſtá rowna z błotem.
Z okázyi iákiego Dworſkiego plotkarzá.
Sroga złość gorę bierze, y Krolá podżarza.
Znáć ta była w ſzálbierſkim ięzyku pociecha;
Oſkárżyć zpobożności, z cnot Ahimelecha.
Ze DAWIDA w ſwym Domu przytulił, odżywił,
Zá to ſię Saul okrutny ná Kápłána ſkrzywił.
Zwoławſzy ſług przykaże pod życia utrátą,
Táką Ahimelecha tráktowáć zápłátą:
Aby nie tylko Jego z żoną, z dziećmi, z Domem,
Zgubić, ſpalić, zábiiáć, iák Piorunu gromem,
Ale y tych Kápłánow, co w Mieście znaydziecie,
Co do iednego z ludźmi, z bydłem zábijecie.
Wielkiey ſię rzeczy ważył, przyimowáć pod ſtrzechę
Mego nieprzyiaciela, ſiła to ná Klechę
Z Krolem woynę záczynáć, żbiega kármić chleby
Swięconemi, nád Práwo, bez żadney potrzeby.
Słucháć ſłudzy niechcieli ſzalonego Páná,
Wiedząc co zá grzech, rękę podnieść ná Kápłána,
Ktorego Stan godnością BOG dla ſwey ofiáry
Wynioſł, kto go zábija wieczney godzien káry.
Ale ten ſam oprawca, co plotek nárobił,
Podiął ſię tey roboty, by Kápłány pobił.

Doego Imieniem, myśląc gdy zá iednę nogę
Mam wiſieć, czemuż wiſieć zá drugą niemogę.
Názbierawſzy hultáiow ſwoiego rzemiosła,
Ten do drągá, ow ſzuka koſturá, ow wiosła.
Wpádną do Miáſta *Nobe*, drabſkie Regimenty,
Zabijaią Kápłány, biorą drogie ſprzenty.
Ośmiudzieſiąt y pięciu położyli trupem,
Oprocz żon, dzieci, ſami uciekaią z łupem.
Bezbożną zdobycz wiozą, prowádzą ſzárpácze,
Wſzyſtek Rod Izráelá ná to pátrząc płácze,
Alboż y u nas tákie niebyły przykłady,
Gdy Biſkup grzechy gánił, áż zaboyſtwo, zwády!
Okropno czytáć, że zła u Chrześcian ſpráwa,
Bolesław u Ołtarzá, zábił Stániſławá.
BOG też tey krwie rozlaney, do tych czas dochodzi,
Sukceſſorom záboycow, márnie ſię powodzi.
Już podobno dzieſiąte Pokolenie miia
Iák im w niwczym fortuná nieſłuży, nie ſprzyia.
Stráchem DAWID przeięty nád táką ruiną
Miaſt, ludzi, y dobytkow, czego on przyczyną.
Nárzeka że Kápłáńſkie ná ulicách ciáła
Złość Saulowá, iák ſnopki w polu porzucáła.
Sam nie wie gdzie uciekáć, do kogo ſię ſchronić?
Káżdy mu weyścia w ſwoy Dom, ſłuſznie będzie bronić.

Więc kiedy go záwzięty Teść z ſercá oddziela,
Szukáć muſi przyiáźni u nieprzyiaciela.
Wpada w poł obumárły do *Achia*, ktory
Krolem był Filiſtyńſkim; dopieroż go mory
Przechodzą, że poznány, że go Krol przywitał
DAWIDEM, y po coś tu przyſzedł, z márſem ſpytał.
Oſtátni ſpoſob ználazł, ſzalonym ſię czyni,
Zácznie po ziemi rzucać, twarz, brodę uślini.
O mizerny DAWIDZIE! coż cię ieſzcze czeka?
Mądrym będąc ſzáleieſz, dla iednego człeka.
Nie człeka mowię? ále gorſzego nád czárta,
Co w nim táka pánuie zawziętość upárta.
Bogday taki w wnętrznościach ſwey Mátki ſkámieniał,
Niżby naturę ludzką w diabelſką zámieniał.
Udała ſię zmyślona poniewolnie ſztuká,
Achias oddźwiernego ſłowámi poſuka,
Znáć żeś y ty oſzálał, kiedyś ſzalonego
Smiał wpuścić do Pokoju Krola Páná twego.
Choć to z háńbą DAWIDA wzgardzonego było,
Że go kilku Haydukow z Zamku prowádziło.
Wolał przecię ze zdrowiem umykáć w ſwey bidzie,
Uciekayże gdzie oczy wiodą cię DAWIDZIE.
Gdzież iuż prze bog uciekáć, gdy mnie wſzędy znaydzie
Utrapienie, niech DAWID zá Ocean zaydzie.

Y tam

Y tam zá nieſzczęśliwym kłopot z nędzą płyną,
Dwáy moi Towárzyſze rázem zemną zginą.
Już ci mi widzę że Lwy mieſzkáć trzebá w Puſzczy,
Kiedy Saula bies coraz podbudzi, poduſzczy.
Jákoż prędzey Lwią dzikość mogę ułagodzić,
Niźli złemu potrafię uſłużyć, dogodzić,
Záczym DAWID z zwierzęty zoſtáć w leſie woli,
Zámyka ſię w jáſkini, názwáney Odoli;
Tam go ſkáła otwàrta w ſwę głębokość ſkryła;
Więkſzą ludzkość nád Saulá, nád nim oświadczyła.
Y tákże iuż, Przeyrzenie, DAWID z płaczem rzecze
Oſądziło, że mnie śmierć żywego w grob wlecze?
Y ieſzcze duſzá w ciele mizernym ſię pląta,
Kiedy z świáta isć muſzę do ciemnego kąta.
Ięczy DAWID iák Gołąb dziki więc w Puſtyni,
Gdy go Strzelec od pary ſmutnym Wdowcem czyni,
Rozwiodł Saul miłą párę, ſam z rádości ſkacze,
Ze DAWID w ſkále, á záś *Michol* w Zamku płácze,
Pámięta BOG o mrowce, o głodnym kruczęciu,
Obmyślił dla nich żywność, záraz przy poczęciu.
Jákże ma zápominác, y nieweyzrzeć okiem
Ná tego, co y Krolem będzie y Prorokiem.
Pokazał drogę proſtą Pan, gdzie DAWID dyſzał,
Ociec, Mátka, Rod Iego, z nátchnienia uſłyſzał,

Dokąd

Dokąd zbiegł nieſzczęśliwy, uſzedł przed niewolą,
Biegną wſzyſcy, wnet ciáſną nápełnią *Odolą*.
Tam ználażſzy DAWIDA, iawną máią probę,
Ják ſnádno pięknym kłopot, odbiera ozdobę.
Ow Młodzian co go Rożą rozkwitłą názwáno,
Uwiądł iák liść ná drzewie lub ná łące ſiáno.
Rodzice w zrok żałoſny ná Syna obrocą,
Dla czegoż ták mizernie dni ſię twoie krocą?
Zyie BOG Jzráelſki, świát ſtworzył przeſtrony,
W Inſzym kráiu poſzukay, ná życie obrony.
Jak dla nas, ták dla ſiebie, y twoich pokrewnych
Wynidż ztąd, ſłuchay prożby, uczyń dla łez rzewnych,
Poki Saul złego ſercá, ku nam nie náprawi,
Albo go BOG ſamego życia niepozbáwi.
Nie ſami tylko krewni, oddáią wizyty
DAWIDOWI, choć w ſkále głębokiey ukryty.
Ale iáko ná odpuſt, gdzie ziáwienie nowe,
Káżdy ma wolą bieżeć, ma nogi gotowe.
Jedni ſwoie uboſtwo przed DAWIDEM głoſzą,
Drudzy w rożnych uciſkách, o porádę proſzą.
Trzeci zdrowia intereſs, zálecáią pilnie;
Wſzyſcy, że ſkutek wezmą, wierzą nieomylnie.
W krotce ludzi czteryſtá obległo jáſkinią,
DAWIDA Pánem ſwoim, y Wodzem uczynią.

Wołaiąc

Wołaiąc, że z nas każdy niechay z głodu mdleie,
Byleśmy cię widzieli, trosk nászych nádzieie.
Zal się rozstáć z pokoyną DAWIDOWI Pusczą,
Tu niewie czym pożywić, kilkaśetną tłusczą
Tylkoć to sam Messyasz, iest Autorem cudu,
Pięcią Chleby nákarmić, pięć tysięcy ludu.
Ktoż to o mnie zwiástował, gdzie dni moie trawię,
Ze w jaskini *Odoli* z zwierzęty się báwię?
Z czyich ust pierwsza wyszłá o mym stanie bayka?
Czy mnie ktora pieskliwa ogłosiła czayka;
Alboż się to przed Saulem, ten sekret ukryie,
Ze do mnie co dzień chodzą liczne Processye?
Nie záśpią gruszek, iák więc mawiáią w popiele,
Kogo wzięli w opiekę swą nieprzyiaciele.
A ták Krol ná krew moię niewinną záżárty,
Tysiączne porozstawia záśadzki y wárty,
Aby y mnie y tych, co tu są, wygubili,
Nie zwierzęcą lecz ludzką krwią knieie zbroczyli.
Niechże się dzieie co chce, DAWID reżolutny,
Ufaiąc w BOGU wesoł, rzuca humor smutny,
Wychodzi z swą pártyą, z Pusczy pod obronę
Krolá, ktory Moabską piástował Koronę.
Z nátury dobrey skłonnym będąc, wiele może
U BOGA, y u ludzi w krotce go wspomoże

Protekcyą Krolewſką lubo Pan poſępny,
Stáwi mu ſię łáſkáwy, miły y przyſtępny.
Tu DAWID do nog Krola, rowno z zięmią padnie:
Ten záraz iáko z kárty, proźbę Jego zgádnie.
Niepłácz rzecze, wiem twoie od Saula uciſki,
Uczynię czego żądaſz, choć moy ſąſiad bliſki.
Dość że niewinnie cierpiſz, zoſtáń w moim Páńſtwie:
Z Rodzicámi, z krewnemi, aż ſię Saul w tyrańſtwie:
Swym poſtrzeże, á chceſzli, oſiądź tu z rodziną,
Zadną cię do mey śmierci nie ruſzę dániną.
Dziękuie DAWID zOycem, z Mátką,z Krewnych rzeſzą:
Krolowi, że ich przyiął, iuż ſię wſpolnie cieſzą,
Ze z pod władzy Saulowey, wyſzli ná ſwobodę.
Jeden drugiemu ſwoię powiáda przygodę.
Czeka myśląc, co BOG z nim czynić zechce dali,
Tym czaſem go co moment, co godziná chwali,
Ma też zá co, bo gdy był w oſtáteczney toni,
Dziwna Opátrzność wſzędzie, DAWIDA obroni.
Niechce Pan, by ſię ſługá Prożnowániem báwił,
Proroka *Gad* Imieniem, w poſelſtwo wyprawił:
Niebędzieſz brał w tym kráju Dawidzie puścizny,
Powracay ná mieſzkánie do ſwoiey Oyczyzny.
Wieſzże do czego młodych prożnowánie wiedzie?
Lgną iak muchy ná lepie, álbo w ſłodkim miedzie.

Potym gdy chcą podlecieć, kiedy ie ſtrách ſpłoſzy,
Obciążone ſkrzydełka, uwiązły w roſkoſzy.
Podź zemną, nietraw czáſu, gotuy ſię do woyny,
Filiſtyn znowu wtárgnął, walczy nieſpokoyny,
Y iuż z ſwym woyſkiem obległ, y dokazał tyle,
Wziął ſzturmem Miáſto ſławne, názwáne *Ceile*,
Trwoży ſobą lud Boſki, trwoży ſię Saul w Duchu,
Gdy mu oſtátnia klęſka, zádzwoniła w uchu.
Niemáſz ktoby ſię wybił, ktoby krwie nieſzczędził,
Niemáſz DAWIDA, bom go z Króleſtwá wypędził.
Mowi Prorok powtornie, zoſtaw Oycá z Mátką,
Niechciey niepoſłuſzeńſtwa bydź oſzpecon łátką.
Ktore ci BOG ſam przyznał, żeś go zawſze ſłuchał,
Nieraz ieſzcze ná zimną wodę będzieſz dmuchał.
Y teraz nie dla Saulá, ále dla rozkazu
Páńſkiego, uczyń, á podź z tąd zemną do razu.
Nátychmiaſt DAWID żegna, Rodzicow y Krola,
Jść muſzę gdzie mi Boſka roſkàzuie wola.
Tylko co młodzián w ſwoy kray, z Prorokiem záwitał,
Wſzyſtek lud Jzráelſki, ſwym go Pánem witał.
Woyſko rotámi biegło, witay náſz Hetmánie,
Nic nam ſię przeciwnego, przy tobie nieſtanie.
Aże DAWID cokolwiek záczynał, czy kończył,
Z Boſką záwſze poradą ſwoie zdánie łączył.

Więc mowi: Tyś moy Boże końcem, tyś początkiem,
Rządź że moią osnową, opiekuy się wątkiem.
Bierze serce do boju, żołnierz niezawodny,
Nie piecuch, niewygląda czy czás wietrzny, chłodny,
Czy gorącem, czy słotą grożą łyskáwice,
Odkrył głowę, z rąk zrzucił miętkie rękáwice.
Imieniem BOGA iák zwykł, zbroi się y teraz,
Przy tym zbił Goliata, plac otrzymał nieraz
Y iákby miał wygraną w nádchodzącey bitwie,
Ták wierzy Prorokowi, ták wierzy modlitwie.
Tey co ią codzień wzbudzał y w sercu y w ustách,
Czy był ná Dworze Saula, czy się krył po chrustách.
Wielki BOZE ktoż twoie Táiemnice zgádnie,
Czemu dotąd włos z głowy DAWIDA niespádnie?
Poszedł z woyskiem ochotnym Wodz nieustrászony,
Filistyni uciekli, porzuciwszy Plony.
Ják tylko dosłyszeli, że się DAWID ziáwił,
Káżdy z życiem uchodził, á wszystko zostáwił.
Gonią uciekáiących śmiáłe pułkow kupy,
Scielą im most obszerny Filistyńskie trupy.
Po nich depcą piechotni y konni z zdobyczą,
Ranni głowy podnoszą, o dobicie krzyczą.
Skończyli woynę w polu, idą do *Celie*
Fortece, tám nie długą zábáwiwszy chwilę,

Bo z Zámkowey Kommendant wyglądáiąc wieże
DAWIDA między woyſkiem, znácznego poſtrzeże.
Y iákoby ſztyletem w pośrzod ſerce pchnięty,
Trwoży ſobą, choć w mocney Fortecy zámknięty,
Jednák wie, że mocnieyſzy Bog Dawidow wſzędzie,
Więc go y w tym y káżdym zámknięciu dobędzie.
Złoży broń bez odwłoki ſwego gárnizonu,
Sam ſię bierze do proźby, niſkiego ukłonu.
Niewinny mnie Zwycięzco, wieſz iák práwo uczy.
Przełożonych, Fortecy dopilnowáć kluczy.
Teraz nie tylko zámek, klucz, bierz y otwieray
Gdzie chceſz, tu iák w Dziedzictwie żyi, y tu umieray.
Ja ci ná twego BOGA przyſięgnę z tą kwotą
Ludzi, że co roſkażeſz, wypełnię z ochotą.
Oſiadł DAWID w *Ceili*, lecz fortuná młynek
Znowu wſpák obrociła, niedługi ſpoczynek
Pozwoliwſzy po woynie, wnet w ciężką DAWIDA
Záprzęże woynę, gdy go w ręce Saula wyda.
Bo ten iako z natury niewdzięczen nikomu
Znieść pokoju niemogąc w ſerca ſwego domu?
Oſobliwie z DAWIDEM, włáſny wilk z Jágnięciem
Obchodzić ſię przyuczył, nie iák Ociec z Zięciem.
Ten nowemi tryumfy Páńſtwo oſwobodził
Ten lud BOZY zwątlony, ná nowe odrodził,

Ten woyſko Filiſtyńſkie znioſł, trupem o mile
Polá záſłał, ten Miáſto odebrał *Ceile*
Nic to nieporuſzyło záiádłego człeka,
Znowu Saul záczął ſzáleć, znowu z złości wścieka.
Jm więcey lud DAWIDA z wygráney wynoſi,
Tym mocniey Saula diabeł rzuca y komoſi.
Niemądry umyſł w głowie nieſpokoyny przędzie,
Brnie po uſzy, w oſtátnim ulgnął proſtak błędzie.
Widząc iáwnie że w mocney Bog Dawidá ſtraży
Trzyma, więc głupi impet ná BOGA odważy.
Roſkaże oblec Miáſto, ale prożno zmierza,
Bo Pan przeſtrzegł ſwoiego w Fortecy żołnierzá.
Przez iednego Kápłána, żeby nic niebáwił,
Wyſzedł z Miáſtá, á w Puſzczy *Zyzyfie* ſię ſtáwił.
Uczynił y to DAWID, nieopiera kroku,
Záraz idzie nieprzecząc Boſkiemu wyroku.
Czy Pan każe w Páłacu ſiedzieć, czy w puſtyni,
Wſzyſtko mu miło przyiąć, wſzyſtko z chęcią czyni.
Ktoż z nas dziś ták cierpliwy, kto tak BOGA ſłucha,
Komor uſiadł ná czele, á na noſie mucha.
Alić záraz ſtruć muchę, lub w naczyniu ſzklánem
Topić ią, komora záś wykurzywſzy ſiánem.
Spokoynie záſypiamy, niechcąc mieć nád ſobą
Zadnego Pána, żeby nas niedoſzedł probą.

Czy go w ſzczęsciu kochamy tylko, czy w złym rázie,
Wyda ſię iſkrá w ſtáli, y ná twárdym głazie.
Niechay nas BOG pręcikiem trąci, iák złe dzieci,
Nie iſkrę, ále pożár, niecierpliwość wznieci. (nie,
Zkąd bluźnierſtwa wychodzą, iák z piekła Otchła-
Ześ iuż o mnie zápomniał, o Boże! o Pánie!
Zoſtáwił nam BOG iáwne w Dawidzie zwierciádło,
Ják znieść, gdyby co ná nas ciężkiego upádło.
Kocháliśmy go, gdyśmy Dobrodzieyſtwá bráli.
Kochaymy, kiedy ná nas ſkáły, gory wáli.
Przyſzedł DAWID ná mieyſce, dotąd niewiádome,
Już mi tu pogrzeb ſpráwią, Lwy, Tygry, łákome.
Niech ciáło przenoſiny ma do Lwiego brzuchá,
Bylem nieśmiertelnego oddał Pánu Duchá.
Oſiadł w ſkále okropney w *Zyzyf y Maonie*,
Nieſchodzi mu ná wodzie, bo w łzách pływa, tonie,
Wody nádto przy głodzie, bo ſię gwałtem ſączy,
Chlebá niezna, á ſtrumień w uſtá bieży rączy.
Już ci ſię cáły DAWID w zdroy wodny rozpłynął,
Radby záſnął w Jáſkini, radby w głodzie zginął.
Ale poczekay ieſzcze, Boſkie w tym ſekretá,
Czemu nieumrzeſz, nie tu śmierci twoiey metá
Maſz poſiłek ná ſłábość, maſz do oczu chuſtkę,
Saul ciągnie, chce náwiedzić tę gdzie mieſzkaſz puſtkę.

Trzy tyſiące żołnierzy wiedzie w kálwákácie,
Sobie ná korzyść pewną, á Tobie ku ſtrácie.
Zá tą przeſtrogą wnętrzną, czuie ránę żywą.
Jákby go cierniem ukłoł, poparzył pokrzywą.
Zale do żalow coraz przybywáią nowe,
Gdzież ſię iuż DAWID ſchroni, gdzie podzieie gło- (wę?
Zátáráſuy mnie Boże! by tu nikt nieprzyſzedł.
Y iam też do nikogo z tey Puſzczy niewyſzedł.
Albo mnie w popioł obroć, lub w letką perzynę,
Albo mnie w ciáſną zátrąć ſkáły rozpádlinę,
Jeſzcze DAWID chciał dłużſze rozpościerać żale,
Aż krzyk, háłás uſłyſzy w ſwoiey głuchey ſkále.
Wie iuż, że to ná niego rozſtáwiáią ſieci,
Ják pierzchliwy Jelonek trwogę w ſercu wźnieci.
Mowiąc, czy podobnaż to od ták wielkiey pſiárnie,
Uchronić ſię ze zdrowiem, y niezginąć márnie?
Kiedy knieie ſplondruią dowodne Ogáry,
Pewnie mnie wyparuią z podziemney pieczáry.
Tu iuż oſtátni termin miał DAWID zákończyć
Troſk ſwoich, tu ſię z życiem, tu z świátem rozłączyć,
Tu co moment wygląda mieczá álbo włocznie,
Tu śmierć ſtoiącą w oczách obaczy widocznie.
Drzy iák rybá ná rożnie poſypána ſolą,
Boleſna rzecz zupełnie iść zá Boſką wolą.

Ale też ách iák miła, duszy pożyteczna;
Gdy krotką gorycz świátá słodzi słodycz wieczna.
A skoro iuż DAWIDA iák leśnego grzybá
Wziąć mogą, gdzie go skálna wydawáła szybá.
Nád inne głębsza, więc go iák w mieyscu záiąca
Bráć mogła, złość Saulowa, y chciwość gorąca.
Przerwał BOG umysł Saula, iáko paięczynę,
W punkcie wyiázdu z Puszczy obmyślił przyczynę,
Bo Poseł co tchu w koniu przybieżał do lasu
Mowiąc, nietraw tu Krolu polowániem czásu,
Filistyni z potęgą wtargnęli w gránice,
Páństwo cáłe z twym woyskiem wywrocą ná nice,
Ty się báwisz łowámi, w kráiu goście nowi,
Nieprzyiaciel ostátki z Krolestwa wyłowi.
Dwoiáko się Saul gryzie, z wstydu ogniem płonie,
Ze DAWIDA nieználazł w *Zyzyf* y *Maonie*;
Ze niedokazał tego, ná co myśli kásał,
Y niezábił, ná kogo páłasz swoy przypásał.
Przymusiła potrzeba Krola do wizyty,
Wszedł w loch z przypadku, kędy Dawid był ukryty,
Niemiłe náwiedziny y w tey mierze sprawił,
Nic dobrego po sobie w Puszczy niezostáwił.
Ci co byli z DAWIDEM z *Ceilli* żołdacy,
Poználi Saula w kącie wyborni Junacy.
Dádzą znáć Pánu swemu o tym w dziurze sęku,
Bijże go teraz, kiedy masz Krolá w swych ręku.

Uznał ſam DAWID Saula, á niebudząc lichá
Skrada ſię coraz bliżey przyſtąpiwſzy z cichá.
Rog płaſzczá oſtrym mieczem oderznął dla znáku,
Że Saul był w mátni, że wpadł iák rybá do ſaku.
Ledwie co ná tę śmiáłość z prędkości pozwolił,
Záraz żáłowáć pocżął, wnet głowę mozolił.
Mowiąc do ſwych żołnierzy: głupi zemnie ciołek,
Gdym śmiał ſzáty Krolewſkiey urzynáć podołek.
Niedayże Boże! więcey bym był ták zuchwáły,
Nieday, żeby ſię moie ręce buntowáły
Ná twego Pomázáńca, ná Oyca, ná Páná,
Tobie tylko ſamemu władza nád nim dána.
Poki ſam nieukrociſz Saula złości, zbrodni,
Słudzy lżyć Krola ſwego nigdy nie ſą godni.
Więc y Ia odtąd będę oſtrożny w impecie, (cie.
Niech mnie iák chce nieſzczęście przyciſka y gnie-
Zmiękczył Serca Rycerſkie, przywiodł ie do ſkruchy,
Ják Krolow czcić náuczył, iák tłumić rozruchy.
Nie tylko nie zábiiáć, lecz pálcem nietrącić,
Ani przed piiącemi wody niezámącić.
Wychodzi Saul z jáſkini, DAWID woła zá niem:
Stoy Krolu Pánie, á w tym zziębnie ſkorá ná niem.
Słyſząc głos, że mu bliſko ktoś ſtoi zá uchem,
Czeka rychło w łeb weźmie zboieckim obuchem
Obeyrzy ſię w poł martwy, DAWID zás powtorzył:
Widziſz Krolu, máiąc cię, przeciem nieumorzył;
W pa-

Wpadłeś ſam w ręce moie, Sługáć dobrze życzy,
Choć ſam Bog Saula do mnie wprowádził ná ſmyczy.
Ty mnie ſzukaſz ze trzema tyſięcy Piechoty,
Dość by ná mnie trzech ludzi błędnego lichoty.
Jam cię nigdy nieſzukał, ſameś w ſámołowkę
Wpadł, mogłbym cię uduſić iáko nocną ſowkę.
Uznay Krolu moc BOGA, poznay pychę ſwoię,
Nieufay w liczbę woyſka, ni w wymyślną zbroię.
Wſzechmocność gdy by ná cię przepuściła mola,
Zgryzłby ták máły robak y Saula y Krola.
Pámiętayże, za pychę czárt ſtrącony z Nieba,
Więcey tám niepowroci, wierzyć temu trzebá.
Kogo BOG raz oſądził godnym potępienia,
Zámknie drzwi miłoſierdzia kłotką do zbáwienia.
Pychá náſzych Rodzicow ſtruła Ráyſkim Fruktem,
Wſzyſtkich nas wypráwiłá w piekło proſtym ſluktem.
Ják tylko z uſt ſzátáńſkich obietnice wzięli,
Ze Bogámi ziemſkiemi ná wieki bydź mieli.
Dla tego znáć ſię pychá prymu dopomina,
W ſiedmiu śmiertelnych grzechách oná prym záczyna.
Kiedy w grzechách Rey wodzi ná ſwą rángę baczna,
Toć y w piekle bydź muſi, y pierwſza y znáczna.
Czegoż ſię Saulu pyſzniſz, rownyś wſzyſtkim w Rodzie,
Od Adamá, od Ewy, idzieſz ze mną w płodzie.
Chyba z tąd w ambicyi, chceſz czynić rożnice,
Zem ia paſł Owce, á tyś páſł głupie oślice

Mnie niechay ten záchowa co czcić Krolow każe,
Niech ſię miecz moy y ręka krwią twoią niemáże.
Płaſzczám urznął ná dowod, żem mogł tymOrężem
Saula zábić, bym niebył Corki iegoMężem.
Com ci winien, że wiek moy podobien do kwiáta.
Smierci miotaſz pod koſſę,iść mi każeſz z świáta.
Bráć mi życie chceſz gwałtem, day mieyſce przy-
czynie,
Czyś mi go dał? czy możeſz dáć biedney ptáſzynie?
BOG ſam Práwo ma do mnie, kázáć żyć, umieráć,
Ten do drzwi tych oboyga potráfi otwieráć.
Jam poddanym, tyś Pánem, prożne robiſz fochy,
Bo tákie będą z chłopka iáko z Krola prochy.
Rozſądzi mnie ſam z tobą Sędzia Sprawiedliwy,
Ktory zna mnie, zna ciebie, ieźlim ci w czym krzywy
Zdaymy ſię obáy w ſpráwę, pod rozſądek Pána,
Uznaſz, że twoia będzie ná głowę przegrána.
Teraz rzecz moiá o to tegoż Páná proſić,
Zeby mi dał cierpliwie twe narowy znoſić.
Y żeby mnie z Rąk twoich iák ſwoy lud wybáwił,
Z niewoli Fáráoná ná wolności ſtawił.
Słuchał Saul niebez ſtráchu Exorty wyborney,
Wpadł w doł wilczy, uda ſię do miny pokorney,
(Wiedząc co w jámie czeka zuchwáłego śmiáłka,
Stryczek ná ſzyię, álbo ſękowáta pałka.)
Y mowi: Tyś to DAWID Syn moy ulubiony,

Com cię z domu Rodzicow wygnał y od żony,
Wszystkoś mi dobrze czynił, jam ci złością płácił,
Łáska twoia żeś mnie tu śmiercią niezátrácił.
Lepszyś ty niżeli ia, BOG niech ci nádgrodzi,
A iák gwiazdy na Niebie, twe Plemię rozrodzi.
Wiem że Krolem po śmierci moiey iesteś pewnym.
To mowiąc, zálał się Saul chytry płáczem rzewnym,
Przysiąż mi ná to, proszę Dawidzie, gdy siędziesz,
Ná Tronie Jzráelskim, że się mścić nie będziesz.
Ná moim Pokolęniu, y w niepámięć rzucisz
To, czym teraz z mey złości ciáło, duszę smucisz.
Nigdy dobroć DAWIDA nieczyniła sprzeczki,
Z ktoreykolwiek Saul záczął wino toczyć Beczki.
Czy słodkie, czyli kwáśne, czyste álbo mętne,
Spełniáło záwsze Kielich posłuszeństwo chętne.
Bo ledwie Saul co wyrzekł, przysiąż mi DAWIDZIE,
Ten zaraz z Jzáakiem ná spalenie idzie.
Tylko że Abrám Syna, dla Boskiey miłości
Wiedzie ná stos, á Saul záś Dawidá z swey złości.
Niepytał, czyś wart moiey przysięgi Tyránie,
Zá to, żeś mnie do ciemney wyprawił otchłánie!
Zá to żeś włocznią porwał chcąc przebić Dawida,
Prędzey się zemstá moia niż przysięga przyda.
Ale iako rad słucham Zwierzchności, ták Tobie
Saulu przysięgam, że nic zdrożnego niezrobię,

Dzie-

Dzieciom, Wnukom y dálſzey Linij krwie twoiey,
Ufay ſłowom, day wiárę rzetelności moiey.
Tu trudną DAWID groblą uſypał do Nieba,
Ktorą ſzedł, toć y nam iść z nim tąż ſamą trzebá.
Przepełniony ſtaw z brzegow, rwą ią byſtre fale
Odbiją te impety DAWIDOWE żale.
Azaż niemogł tylekroć złość zá złość oddawáć
Saulowi, mogł mu nieraz ſolą w oczách ſtawáć.
Lecz u DAWIDA bárziey ſerce miłościwe
Popłaca, ániżeli gniewu pełne, mściwe:
Boiąc ſię że gdy y on w czym Bogu záſkurzy,
Y gniew Jego ná ſiebie przez wyſtępki wzburzy.
Mogł beśpiecznie záwołáć, odpuść Boże winy,
Wſzákżem y ia odpuścił do gniewu przyczyny.
Nam záś ſłowko niech przykre przeleci przez uſzy,
Záraz ſię mozg zápali, ſzum, wicher, poruſzy.
Potym dwá przypáſawſzy oboſieczne miecze,
Myśl mściwa, język wolny, ktory bliźnich ſiecze.
Odwracamy twarz, oczy, od niemiłych ſobie,
Czyś pewien, że BOG tegoż nieuczyni tobie.
Kiedy w czáſie oſtátnim śmierć wiek twoy ukroci,
Stworca od ciebie oczy gniewliwe odwroci.
Ach człowiecze! czy niewieſz, żeś báńka nádęta,
Ktorą więc z mydłá robią, ná ſłomce chłopięta!

Nadmieſz ſię z ſłabey piány, punkt cię w nią prze-
mieni,
Y ſłuſznie, bośmy wſzyſcy z niczego ſtworzeni.
Rozum Dawidow poznał máiąc práktyk tyle,
Jákiemi łzámi płáczą w *Nilu* krokodyle.
Zná Saula, że ſię nieraz ná DAWIDA upił,
Zeby głowy doſtawſzy, mozg ſnádniey wyłupił.
WiádomyHypokryty ſłow płynących mlekiem.
Wie że kážde choć miętkie, w ſercu oſtrym ćwiekiem
Stáie ſię, gdy z nieſzczerych uſt káreſs wypłynie,
Prędzey Styrnik ná cichey wodzie z życiem ginie.
Już więcey niedowierza doſiadać w tym leſie,
Myśli dokąd ſwoy kłopot ná koniec przenieſie.
Czwarty raz przenoſiny po iednym weſelu
Sprawuie DAWID, idąc ná puſzczą Kármelu.
Tám z ſześciuſet żołnierzy wiernych przemieſzkiwał,
W ſkromności ich trzymáiąc Synámi názywał.
Ucząc woienney pracy, prożnowániá bronił.
By káždy iáko murem Oyczyznę záſłonił.
Szkodę uchoway Boże żeby ktory zrobił,
Sam by go po Oycowſku nápomniawſzy pobił.
Nieczyń tego bliźniemu, co tobie niemiło,
To ſłowo przykázániem dla Rycerſtwá było.
Lecz kiedy niedoſtátek w żołnierſkim żołądku,
Nieſtáie mu do woyny choć śmiáłemu, wątku.

Więc czuiąc w przemorzonych brzuchách że głod
łechce,
Przychodzą do Dawida: Pánie ieść nam śię chce.
Wiedział DAWID o iednym w bliskości Bogaczu,
Kilkádziesiąt jarzm wołow dostátnim Oráczu.
W mnostwo bydła rożnego, *Nabalu* zámożnym,
Azaż żywność obmyśli z ludzkości podrożnym.
Teraz też wełnę ostrzygł z wielkiey Trzody Owiec,
Rzecze słudze: idź śpieszno, y odemnie powiedz:
Ze DAWID twoy znáiomy pozdrawia cię milę,
Sam z woyskiem iest od ciebie o pułtory mile.
Prosi żebyś gò iáką opátrzył żywnością,
Pámiętnyć záwsze będzie wypłácić wdzięcznością.
Byle mu BOG pozwolił zdrowia, z Saulem zgody,
Sowiteć obiecuie uczynić nádgrody.
Stánął Poseł z rozkazem Páńskim u *Nabala*,
Zdumiał się że w Dom tráfił tákiego brutala.
Ktory nietylko przyiął komplement DAWIDOW
(Posła zfukał) tył skrobiąc, iák zwyczay u żydow.
Jáki mi Pan, twoy Dawid, znam ia tákich frántow,
Zebrał kupę hultayską, y chce prowiantow.
Dam mu chleba ná kiju, iák psu szkodliwemu,
Co zdrády, bunty robi, przeciw Pánu swemu.
Nie było dłużey czego posłáńcowi czekáć,
Wyszedł z Domu *Nabala* záczą wszy nárzekáć.

Sąm w ſobie mowiący átoż przyiaciel w potrzebie,
Bogdayś nieznał DAWIDA, ani Dawid Ciebie.
Wrocił ſługa, powiada o ſwoim przyięciu,
Uroſłaby cholera w máłym niemowlęciu.
Dopieroż w mądrym, godnym, cnotliwym człowieku,
W poczciwym Charakterze w doſkonałym wieku.
Sarknął Dawid weſtchnąwſzy, z ſerdecznym lamentem,
Jak by mu w świeżey ranie ſzperał inſtrumentem.
Tyle wnętrznych poſtrzałow cierpiąc z Bożey woli,
Zaden raz nad ten więcey DAWIDA nieboli.
Skoczy z gniewem iakby go ządłem pchnęła oſa,
O Boże moy, iuż ci mi lada |ſzyc do noſa
Sięga, y w kaſzę pluie, ná koniec potrzebą
Sciśnionego, kokoſze nogami zagrzebą.
Już ſię też wycieńczyła cierpliwości ſtrona,
Nad kres dłużey niemoże bydź mocą ciągniona.
Saul metr moiey Muzyki, Jam ſtroná y Lutnia,
Mam ieſzcze bydź ciągniony od iednego trutnia.
Nie żal mi grać Krolowi, y cierpieć od niego,
Grać przed Panem nic dla mnie nie ieſt nieznośnego.
Nabalowi naſtroię Dudy w ſwoim czaſie,
Kiedy kwinta zerwáná, zagram mu ná baſie.
Zwołał DAWID żołnierzy, bydź każe gotowym
Do Marſzu, mowiąc: ruſzon ieſtem gniewem nowym,
Hardość *Nabala* poſła moiego zelżyła,
Mnię zdraycą, buntownikiem Krolewſkim zrobiła.

Trzeba

Trzeba mu rogow przytrzeć, by niebodł, niebrykał,
Y żeby kłodką gębę otwartą zamykał.
Zgubię go z całym Domem, z ludźmi, z dobytkami,
Wywrocę, iak więc mowią, do gory nogami.
Jakby Dawid w ul dmuchnął, tak się roy wysypał
Ochotnego Rycerstwá, każdyby rad skrzypał
Drzwiami, byle roskazał Wodz ich ukochany,
Gotowi chłod, głod cierpieć, śmierć, więzienie, rany.
Lecz iako BOG DAWIDA swą mocą zasłaniał,
Tak mu krwie bliźnich Jego rozlewać zabraniał.
Skuteczną łaską wstrzymáł rękę miecz y serce
Sługi swego, niechcąc mieć z DAWIDA morderce.
Bo skoro Abigail z daleka postrzegła
Woysko w granicy swoiey, z Chlebami wybiegła.
Rożney przytym żywności nałożywszy w kosze,
Klęknęła przed Dawidem, wysłuchay mię prosze
Dobry y mądry Panie, głupstwo mego męża,
Niewarto by nań żołnierz dobywał Oręża.
Co po mieczu ná tego, co niemá rozumu,
Poznać głupiego snádno, z wielomostwá, z szumu.
Jam o twych sługach w moim niewiedziała Domu,
Nieprzyszłoby do tego hałasu, pogromu,
Z chęciąbym prowianty dała dla żołnierzy,
Niech że się iuż gniew w Tobie łaskawym uśmierzy.
Nie ná to cię DAWIDZIE BOG dotąd zachował
Od rąk Saulowych, żebyś z głupiemi woiowáł.

Ná więkſzą rzecz obrociſz miecz y twoie ſiły,
By Kościoła y wiary z Oyczyzną broniły.
O iakbyś potym tego załował po ſzkodzie,
Ześ krew rozlał, złość wywarł, ná twoim národzie.
A niéby z tąd naymnieyſza ſławá nieurosła,
Ześ zgubił dom *Nabala* z relacyi poſła.
Wiem iak ochłodnieſz z gniewu, wſpomniſz moie ſłowá,
Od grzechu mnie odwiodła proſta Białogłowá.
Luboć częſto znoſiemy te w przymowkach ſtusy,
Biała Płeć zwykła czynić Męſzczyznom pokusy.
Słuchał DAWID przemowy, roſtropney Niewiaſty,
Uznał że kłos pſzenicy znáczny miedzy chwaſty.
Więc każde ſłowo ziarnem w gruncie ſerca ſiadło,
Bo też ná dobrą rolę nie ná płonną padło.
Odmienił gniew Lwi w dobroć cichego Baranka,
Wypadła appetycznym żołnierzom z uſt grzanka,
Co ſię każdy z nich zabić *Nabala* gotował,
Aż DAWID żonie Jego zacoś podziękował.
Ciekawość miedzy woyſkiem urosła z tey miary,
Ze Pan ich zwolniał w dobroć z nátężoney kary.
Y za miaſt zátracenia Męźá, dzieci, żony,
Jakieś ſtroi Offerty y niſkie ukłony.
Ale żeby ſzemranie w ludziach uſpokoił,
Zeby ſię Bazyliſzek z myśli niewyroił,
A nieſądził rozmowę w dwoch czyſtych Oſobach,
Uwolnić ie chce z błędu przy dobrych ſpoſobach.

Mowiąc: niech wám niebędzie w podziwieniu żadná
Inſza myśl, że niewiaſta wyſzła do mnie ładná,
Oprocz tey, że iak piękná, tak mądra, cnotliwa,
Ná wſzyſtkich Jey pochwałach odemnie niezbywa.
Tá moię popędliwość umiała obarczyć
Proźbami rozumnemi, gdzie niemogł wyſtarczyć
Mąż głupi, robiąc głową iak bez ſerca dzwonem,
Oná godná bydź głową, a Mąż iey ogonem.
Mnię od grzechu odwiodła, Męża śmierci z garła
Odięła, obudwoch nás roſtropnością wſparła.
Nabalby prędko zginął z okazyi pychy,
Moię złość wiek potomny wydałby ná ſztychy.
Odciągnął DAWID z woyſkiem pod Gorę Karmelu,
Pożegnáł Abigail z podziwieniem wielu;
Ze iedney Białogłowy kilka ſłow zmiękczyły
Y wodza, y Rycerſtwá wybranego ſiły.
Słuſznie piſmo roſtropną Abigail zowie,
Niech takie żony wſzyſcy miewáią Mężowie.
Co defekt przyiaciela z miłości ochroni,
Dom, fortunę, rozumnym ſpoſobem obroni.
Y pewnie tak cnotliwą, mądrą máiąc żonę,
Nad złotą Mąż ſzacować winien ią Koronę.
Słuchać rady życzliwey, Mężom niezawádzi,
Gdy go z krzywey ná proſtą drogę náprowádzi.
Te zaś nágany godne, co Mężow mniey wáżą,
Ich rozum tłumiąc, á ſwoy ná widok pokażą.

Mąż poczciwy, żoná go názwie wiarołamcem,
Szpetnie, gdzie Mąż ſamicą, zoná buynym ſamcem.
Wdarſzy ſię w rządy Męża, w intraty pieniężne,
Mowi: wſzak ſerca náſze y ręce przyſiężne.
W Domu hałas, iak gdy ſię z Jaiem troſzcze kura,
Mąż z prożnym workiem zoſtał iak bez ſzpiku rura.
Naypiękniey żonom Mężow ſłuchać iako głowy,
Gdy chcą radzić, niech radzą, dyſkretnemi ſłowy.
Goſpodarſtwá pilnuią, ile ich ſtan zdoła,
Do Męża ſkarb należy, z ſzpichlerzem ſtodoła.
Trudno prawá przeſkoczyć nadanego w Raiu,
Ze coś więcey przydano męſkiemu Rodzaiu.
Jawnie nas nauczyło zakazane Drzewo,
Szanuy żony Adamie, bądź poſłuſzná Ewo.
Nie tu koniec Saulowey z ſzaleńſtwem wścieklizny,
Wſzyſtek pała, niemoże wyrzucić trucizny.
Co mu ciało y zmyſły tak przeięła żywo,
Jak ſiarką podpalone z krzeſiwá łuczywo.
O nic więcey ſtarania w myślach nie zakłada,
Tylko pytać z pilnością, gdzie DAWID przeſiada.
Zły człowiek, opoiony śmiertelną Cykutą,
Nudzi ſobą, iak w piekle, máiąc Duſzę ſtrutą.
DAWID w oczach Goliat, Dawid w głowie wrogiem,
DAWID w ſercu Saulowym tkwi, kolącym głogiem.
DAWID Saula w paſztecie y ſmácznym roſole,
Nawet w miękkiey poduſzce gniecie, bodzie, kole.

Prze-

Przekonáne ſumnienie twardego grzeſznika,
Przez mury, przez żelazne zamknięcia dotyka.
Tańce, bale, Muzyki krotką ſłodycz rodzą,
Smierć, wieczność, dway tyrani wſzędzie zá nim chodzą.

W pośrzod uciech naywiękſzych Krola Baltazara,
W ręce piſzącey z ściany założoná miara.
Zycia y weſołości Monarchy, gdy czyta,
Jutro ſię Baltazarże śmierć z Tobą przywita.
Nieżal BOGU przeſtrzegać grzeſznika takiego,
Ktory złość opuściwſzy, powraca do niego.
Jako Syn marnotrawny, gardząc ſmákiem młota,
Szuka w Boſkiey miłośći ſtraconego złota.
Ale Saul iak wieprz w błocie ſmrodliwym ſię wala,
Ná żadne nápomnienie Boſkie niepozwálá.
Owſzem rzecz dobrą bierze zá pokuſę zwodną,
Y przyięcia do ſerca nie ſądzi bydź godną.
Raczey drogę obiera wſzyſtkich deſperatow,
Co BOGA ſkwitowali z zbawienia traktatow.
W iednym u nich ſzacunku iak Niebo tak piekło,
Ach! bezbożne ſumnienie BOGA ſię wyrzekło.
Nie trudno o Szafierkow u Pańſkiego Dworu,
Krętemi ścieſzki chodzą, niepatrzaią toru.
Rozbiegną ſię po puſzczach, każdy węchem ſzuka,
Znaydzie Jamnik ſkrytego pod ziemią Borſuka.

Plaſtr to ná ſerce Saula, wezbranego wrzodu,
Balſam ſzaloney głowie dodaiący chłodu.
Ze dobrego Języka doſtał, co wymacał,
Gdzie ſię Dawid znáydował,gdzie bieg ſwoy obracał.
Co prędzey znowu woyſka trzy tyſiące zbierze,
Już też teraz moiego zdraycę wezmę ſzczerze.
Com do tych czas przez ſzpary patrzał, znoſząc chły-
ſtka,
Wywrże ſię nad nim moia kara, zemſta wſzyſtka.
Spieſzy Krol wybranego woyſka wziąwſzy czoło,
Obtoczył Puſzczą Karmel, iak parkanem w koło.
Gárść ludzi Dawidowych, iedną ſztuką ſiatki
Okrytych, braćby możná y oſádzać w klatki.
Uſtanowił ſwoy Oboz, rozpoſtarł namioty,
Wytrzymáć Saul obiecał wichry, burze, grzmoty,
Prędzey ſię twoia ſuknia Krolu ná dżdżu ſtąpi,
Niżeli BOG DAWIDA opuści, odſtąpi,
Nagłym ciągnieniem żołnierz, niewczaſem przeięty
Spi, dopadſzy Sałaſzu, iak Baran zarznięty.
Nie pytay- czy ſtraż gęſta Paná ſwego ſtrzeże,
Dobrze że kto w Namiocie Krola niezarzeże.
Ktory o ſwoię czuyność zakładał ſię targiem
Z rożnemi, ſam naypierwey zamroczon letargiem.
Przegrał zakład, ſam ſobie ſłowá nie dotrzymáł,
Bo ſiedząc w krześle. a iuż ſnem zmorzony drzymał.

Wſzedł,

Wſzedł DAWID śmiele w Namiot, z Abizaim ſługą
Swoim, ſtał nád Krolewſkim łożkiem chwilę długą.
Wſzyſcy śpią, żaden nie da do ocknienia znáku,
Czy im kto dał Opium, czy dał náieść máku.
Chrapi Saul, iak w náylepſzą śmiały zá Szyldwachem,
Rozumie że śmierć ſámę odſtraſzy tym ſtrachem.
Miecz wiſzący nád głową w ſamym końcu włoſa,
Tak go ſzabla ściąć może, iako krzywá koſa.
Wpadł Dawid w głębią myśli, nád człowieczą nędzą,
O co ſię Monarchowie kłocą, troſzczą, zrzędzą.
Kiedy ſen, co tylko śmierć ćieniem figuruie,
Rozum, ſiły, Majeſtat Krolom odeymuie.
Coż dopiero gdy w ſwoim śmierć przyſzedſzy czaſie,
Duſzę, zmyſły w boleſney zácznie tłoczyć praſie.
O iak ſilno przyciſka, nic ná to nie pomni,
Ze Potentat, czym przed tym był, o tym zapomni.
Pamiętay Ty Ceſarzu, Ty Krolu, Ty Xiąże,
Ze was wſzyſtkich czas, kiedyś w ieden ſnopek zwiąże.
Pomieſza ſię z Pſzenicą kąkol, wyka, dzwoniec,
Wſzyſtkich nas co żyiemy, ieden czeka koniec.
Chciał dłużey medytować DAWID, lecz mu rai
Niebawić ſię myślami żołnierz Abizai.
Złość go nád cierpliwością wzięła, kiedy rzecze:
Pokiż ſię twoia pomſta nád Saułem odwlecze?
Jezli ſám niemaſz ſerca, łeb mu mieczem zgolić,
Mnie tylko chciey rozkazać, y ſzczerze pozwolić.

Obáczyſz, że raz tylko Jego włocznią właſną
Dam w pierſi, á wſzyſtkie w nim ſiły wiecznie zaſną.
Skromnie ná to odpowie DAWID żołnierzowi:
Niech Krolowie z życzenia od nás będą zdrowi.
Ktokolwiek kiedy rękę ná ſwych Panow podniosł,
Zawſze kárę doczeſną, albo wieczną odniosł.
Tylec pozwolę, żebyś oſzczep y koſz z wodą
Wziął, dlá świadectwá, w iakie błędy Saula wiodą.
Nadzieie w ſtraż żołnierzy, w ktore mocniey wierzy
Nizli w BOGA, á z tąd ſię pycha iego ſzerzy.
Ktorą DAWID wſzedł drogą w Oboz śpiącey warty,
Tenże ſam má do wyiścia gościeniec otwarty.
Nikt nie poczuł, dopieroż nie obaczył tego,
Co mogł część woyſka zabić y Krola ſámego.
Opodal od Namiotow págorek obiera
DAWID, do rozmowienia wezwawſzy Abnera;
Ten komendę Hetmáńſką nád woyſkiem oſpałym
Miał, znáć że ſam był śpiochem, żołnierzem nietrwá-
łym.
A takaż to oſtrożność w twym woiennym trybie,
Ze was śpiących kto zechce okradnie, przydybie.
Mnieyſza o was, lecz ktoby ſtánął w głowach łoża
Krolewſkiego, zarznołby pooſtrzywſzy noża.
Jak Hetmán godzien śmierci ſądzony kiyſrechtem,
Gdy nie umie Hetmánić, lepiey mu bydź knechtem.

Oſpałych zaś y gnuśnych obrocić żołnierzow
W ſtangretow y Foryſiow, reſztę w Maſztalerzow.
Kędyż oſzczep Krolewſki ? gdzie koſz co ſtał w głowách
Pańſkich, z wodą ? to mowił w pełnych gniewu ſłowach
Dawid: powiedz Abnerze, czegoś godzien z ſtrażą,
Ktorzy z tobą wraz życie Krolow lekce ważą.
Przetarł Saul oczy ze ſnu, ſzmyr ſłyſzy w Obozie,
Kręci ſię, iakby kto dał zieść piſkorza kozie.
Do włocznie chce poſkoczyć, w tey náywiękſza wiara,
Aleć ni włoczni niemaſz, ni z wodą puhara.
Poznáł głos mowiącego z daleka DAWIDA,
Wie że mu ſię pokora wilcza, w zły czas przydá.
Bo tą nieraz w Dawidzie miłoſierdzie wzbudził,
Jak zwyczay hipokrytow, tak go y Saul łudził.
Wyſzedł z Namiotu rzekſzy: tyś to Synu luby,
Moy Dáwidzie, iuż odtąd zaniecham twey zguby
Szukać, y ty nieſzukay moiey, przepuść winom,
Nie nowiná złym Oycom, złość odpuſzczać Synom.
Tu ſię Dawid ná nowy żal w ſercu zdobędzie,
Zełzami rzecze: Krolu, pokiż tego będzie.
Miedzy mną, miedzy tobą, iednánia, to woyny,
Nietrwáły umyſł w Panach defekt nieprzyſtoyny.
Jeźli BOG twoię ná mnie przepuścił Oſobę,
Chcąc mieć z mey cierpliwości doſkonáłą probę.
Niech mu wieczná cześć będzie z mey lichey Ofiáry.
Ze mnie ſzczodrze bogaci zbawiennemi dary.

Jeżeli zaś złość ludzka ná mnie cię podbudza,
Miłość BOGA bliźniego w tym ſercu wyſtudza,
A co raz więkſzy niecą ogień, coraz nowy,
Niech zniſzczeią iako dym, ty zawſze bądź zdrowy.
Przeklęci ſą przed BOGIEM, ci co mnie wygnáli
Z Dziedzictwá Oycow moich, przed tobą udali,
Zem twoy zdrayca, twoy zmiennik, że cię z Tronu ſpycham,
A ia błędny w puſtyniach ięczę, płaczę, wzdycham.
Podobno chcą, ażebym wpadſzy w roſpacz grubą,
Chwycił ſię Bałwochwálſtwa, z wiary moiey zgubą,
I ub obcym Bogom ſłużył, pokłony oddawał
W ich oczach, odſzczepieńcem obrzydłym zoſtawał.
Szukaſz mnię Saulu iak pchły, álbo kuropatwy
Po gorach, po Puſtyniach, wſzák to ſpoſob łatwy.
Te oboie ſtworzenia w punkcie zgnieść, zagubić;
Ale Krolom czy pięknie tym zwycięſtwem chlubić.
Już cię BOG kilka razy ſromotnie zawſtydził
Przeſtrogą, żebyś z pychą zawziętość obrzydził.
Do tych czas tobie zemną pozwala igraſzki,
Máiąc Krolow z ich woyſkiem u ſiebie za fraſzki.
Znowu Saul łzy wyciſka, iak więc praczka z chuſty.
Kiedy źle, w ten czas myśli porzucić rozpuſty.
Poty żal, poki łezka mokra z oczu kapie,
Gdy oſchnie, puści cugle wyuzdaney ſzkapie.

Nowym przymierzem Dawid od Krola związany,
Kiedy go prosząc rzecze: o Synu kochany!
Powtornie y potrzecie, odpuść głupstwá grzechy,
Niedaymy nieprzyiaznym z nas więcey pociechy.
Wroć się w Dom moy bespiecznie, żyi z żoną iak drudzy,
Czcić cię wraz ze mną będą poddani y słudzy.
Nic ci złego nie myślę, ni chytrym uczynkiem
Nie zdradzę, owszem nádam drogim upominkiem
Zato, żeś zdrowie moie w całośći zachowáł,
BOG będzie twoie cnoty ná regestr rachowáł.
Ktorych razem zapłatę gdy weźmiesz stokrotną,
Nie pamiętay coś cierpiał, ni ná złość przewrotną.
Zwyczay to był Dawidow, náycięższe ucisku
Znieść cierpliwie, niechętnym oddać pokłon niski.
Szczegulnie zá to tylko dziękuie Saulowi,
Ze go w iedwábną siatkę, nie w konopną łowi.
Stoiąc zdaleka rzecze: álbo ty Abnerze,
Albo kto z sług Krolewskich, niech oszczep odbierze.
Y Puhar co stał z wodą powleczony złotem,
Ty się náucz, iak Krolow szanować na potem.
Oddawszy włocznią z kubkiem, odszedł Dawid w gory,
Saul też do Domu wrocił ná sumnieniu chory;
Bo mu żadna w pożytek nieszła medycyná,
Złe myśli, złe uczynki, gotowá przyczyná
Do gorączki, á potym máligná przystąpi,
W ktorey rozum splątany człowieka odstąpi,

Po málignie gangrená, tu oſtatni ſtopień
Choroby, gdy piekielny płomień biie o pień.
O Duſzo nieſzczęśliwa, zapaloná iadem!
Coż ci krople krwie Pańſkiey tak drogim nákładem
Pomogą? gdy od plaſtrow chłodzących uciekaſz,
Gangreny piekłem tchnącey zatwardziała czekaſz,
Coż BOG winien, że zginieſz człowiecze z ſwey woli?
Więcey go twoia zguba, niźli ciebie boli!
Do tegoś Stworcę przywiodł, że iawnie nárzeka,
Zal mi żem ſtworzył ſobie podobnego człeka.
Azaliż iedná kropla Krwie Chryſtusa w trunku
Nam daná, zá grzech Rayſki w ſzczodrym baſarunku,
Swiat okupić niemogła? nie tu hoyność kończy
Miłość Boſka, tyſiączne krople z Syná ſończy.
Już nie krople, bo całe potoki wylewá
Stoiąc u ſłupa, z nas ſię wdzięczności ſpodziewá,
Ze krwáwe z pod kamienia pryſkaiąc fontany,
Nam z oczu łzy wytoczą, kiedy JEZUS Rany.
Nie krytykuy mnie proſzę ktoś ieſt rozeznány,
Ze tu ſtary wraz z nowym Zakon pomieſzany
W mym wierſzu, Katoliczką ieſtem nie żydowką,
Zle żyiących chcę moią oświecić przymowką.
Jle w dzień śmierci tego, co teſtament nowy,
W wieczerniku ſtanowił, wyraźnemi ſłowy.
Nie żyłam kiedy ſtary Zakon brał początek.
Ja w nowy wierzę, gdy to piſzę w Wielki piątek.

Wracam ſię do DAWIDA z nim idę w podrożą,
Cnoty mi Jego wielkie o zbawieniu wrożą.
Byle ich náſladowáć przy wierze z przeſtrogą
Praw Boſkich, tąż wniść mogę co Dawid wſzedł drogą.
Rozſzedſzy ſię wraz z Saulem każdy w ſwoię ſtronę,
Daią pole do myśli w ſwych głowach przeſtrone.
Saul chce wſzelkim ſpoſobem ná ſwoim poſtawić,
Dawid zaś raz ná zawſze niepokoiu zbawić.
Sam nie wie, gdzie ſię udáć z ſześciąſet żołnierzy?
Saulowym ſłowom płonnym iuż więcey nie wierzy.
Już to weſzło w powſzechność, rzecz potwierdza ſamá,
Ze Krol prawdy nieznaiąc, bez ſkrupułu kłamá.
Wziął przed ſię znowu drogę do tego Achiia
Krola Filiſtynczykow, áczey że mi ſprzyia
Szczęście, że znaydę z ſłużbą mieyſce náznáczone,
Gdzie Ja y woyſko moie będzie oſadzone.
Ktoryżby Pan odmowił tak potrzebney rzeczy,
Ná ktorey zdrowie, cáłość Páńſtwá ubeſpieczy
Sławny Dawid z Imięnia ſławny z Cnoty ſiły
Wſzyſtkieby go Kroleſtwá mieć w ſłużbie życzyły.
Skoro uyrzał Achias od Dawida poſła,
Zaraz w nim niezwyczayná weſołość uroſła.
Niedoſłuchał z iakowym przyſłany proiektem,
Uprzedził go łaſkawą miną, wſparł reſpektem
Mowiąc: pewnie Saul twego dręczy Pryncypała,
Już ſię też znać złość zbytnia nád brzegi wylała,

Ktorey

Ktorey cierpliwą tamą Dawid bronił prądu.
Impet znieść trudno, dobrze że uchodziſz z lądu.
Było ſię dawniey poſtrzedz zrozumiawſzy wadę
W Krolewſkim Geniuſzu, że tylko ná zdradę,
Wabił ſłodkiemi Cukry, w ukrytey truciznie,
Kiedy mu był potrzebny Dawid y w Oyczyznie.
Zły to Pan, ktory w ten czas ſługę kareſsuie,
Gdy w złym razie pomocy z niego potrzebuie.
Czyli to má ná wodzie, czyli ginąć w woynie,
Ná ſługę woła: ratuy nádgrodzę ci hoynie.
Jakże ſię tylko mokry ná brzegu oſuſzy,
Jnſzy go wiatr podwieie, inſzy duch nápuſzy,
Nieradby tego widział, co go wywlokł z wody,
Zeby mu obiecaney nieziścił nadgrody.
Słudzy też zrozumiawſzy po Pańſkim humorze,
Niedługo bawić myślą przy niewdzięcznym Dworze.
Choćby Pan w drugim ſzwanku wody w gębę nábrał,
Pomoc niechcą, choćby ſię w bitwie we krwi babrał.
Kończy mowę tey ſprawy Achias przed ſługą
Dáwidowym, idź rzecze: niech ſię twoy Pan długą
Zwłoką niemártwi, powiedz ſzczerze mu odemnie,
Ma protektora dziſiay, má y Paná zemnie.
Naznaczam Miaſto piękne *Syceleg* názwane,
Gdzie On y woyſko iego będzie lokowáne,
Niedbam że Sauła żywo w bok ukole ciernie,
Byle mi Dawid ſłużył aż do śmierci wiernie.

Z dobrą

Z dobrą nowiną nieżal do Pana pospieszyć.
Czym go można w kłopocie rozerwać, pocieszyć.
Tak też Poseł z korzyścią do Dawida kwápił,
Aż się potu iak wody płynącego nápił.
DAWID zaś wysłanego z pragnieniem wyzierał
Ciekawy, czy to sprawił, czego się napierał.
Sługa wesoł że Panu wszystko dobrze zyskał,
Pan też słudze nádgrodził, ieszcze go uścisnął.
Ruszył się zaraz DAWID ku Miastu z partyą
Swoią, w pięknym porządku wprowadza Gwardyą.
Miło patrzać ná młodych dorodnych woiakow,
Ze śmieli, że ochotni, poznać z twarzy znákow.
Cztery miesiące mieszkał w Mieście *Sycelegu*,
Zadnego w gnuśnym spaniu nie trawił noclegu.
Sam co noc skrycie wybiegł z wybranym podiazdem
Chcąc Pogan wykorzenić, iako wroble z gniazdem.
Napadał mieszkaiących po wsiach y po gurach,
Wielkie trzody, dostatki czuiąc w hardych gburach.
Zabrawszy Plon uchodzi, żádnemu niesprzyia,
Bo wszystkich z żonmi, z dziećmi, z czeladzią zabiia.
Dla tego żeby ktory patrzący z pod szopy,
Niezmiarkował gdzie poszły nieznáiome stopy,
Wyśledziwszy z tąd rozruch powstałby po Mieście
Potym do uszu Krola doniesione wreście.
Trwáło to niedziel kilka, że DAWID ukradkiem
Niszczył, zabiiał Pogan, zawsze nocnym spadkiem,

Bydła, fanty, pieniądze, tam gdzie mieſzkał, zwoził,
Ktoby ſekret wyiawił, śmiercią mu pogroził.
Kontent w ſobie Achias ſłyſząc o zdobyczy
Częſtey, że Saula DAWID rozgniewany ćwiczy.
Kray żydowſki puſtoſzy, moy prędko zbogaci,
Do wiary, do Oyczyzny, cale ſerce ſtraci.
Wrocić ſię tam nie może po tak wielkiey ſzkodzie,
Ktorą prawie codziennie czyni w ſwym Narodzie.
Mam nádzieię że będąc Saulowi choć złemu
Wiernym, á czemuż y mnie nie má bydź dobremu.
Myliſz ſię Filiſtynie, tanio wiarę ważyſz,
Pamiętay że ſię w krotce ná tey Szali ſparzyſz.
Kto drogi towar z podłym za rowno ſzacuie,
Prędko ſtraci ná mycie, prędzey zbankretuie.
Niemyśl, by DAWID Jmię przyiął Apoſtaty,
Dlá nie łaſki Krolewſkiey, dla fortuny ſtraty.
Owſzem ſzuka ſpoſobow wytracić z Owczarnie
Parſzywe kozły, co z nich ſmrod przykry ogarnie.
Nie zawadzi tam zażyć z gorliwości zdrady,
Gdzie w dobrey wierze czynią odſtępcy zawády;
Zarażaiąc iak parchem przewrotną náuką,
Niech też giną wſzelakim ſpoſobem y ſztuką.
Ale w moiey Oyczyznie ach, iako to trudno!
Choć ią BOG uſzczęśliwił y plenno y ludno.
Niemáſz iednák nikogo cnoty Heroiczney,
Narazić ſię za wiarę niełaſce publiczney.

Raczey żydom obmierzłym, wyklętym od BOGA,
Pewná z nás Katolikow obraná załoga.
My ich pieściem, oni zas zabiiaią, truią.
Zdrady,zdzierſtwa,bluźnierſtwa, przeciw nam formuią
Gdyby dziſiay żył Dawid, gdyby ná świat wrocił,
Wſzyſtkę by ſiłę z woyſkiem ná żydow obrocił.
Takby ſię niemi brzydził, iak ich przed tym bronił,
Tłukłby iak Filiſtynow, naymniey nie ochronił.
Dopiero gdyby poznáł ſekt rożnych rodzaie,
Ktore chwałłem przyſiadły prawowiernych kraie.
Kopał by ſkryte miny, podſadzał petardy,
Zeby z dymem wyrzucił z Oyczyzny baſztardy.
Jakoż ſię w ſamey rzeczy tak DAWID ſprawowáł,
Siedząc pod cudzym Krolem ſpoſobow probowáł.
Jakoby nieprzyiacioł ſwey wiary wyplenił,
Kilka mil w nocne czaſy biegać ſię nie lenił.
W tym Saul woynę zaczyná z Achiaſem znowu,
Obadway powracaią do ſwego nárowu.
Saula interes pychy pobudza do kłotnie,
Achia chciwość, że mu część Kroleſtwá utnie.
Kazał Krol Filiſtynom bydź ná pogotowiu
Do bitwy, żeby żaden niefolgowáł zdrowiu.
Raczey ſiły oſtatnie łożył dla pokoiu,
Sam chodził miedzy woyſkiem w obozowym ſtroiu.
Nie minął ten Ordynans DAWIDA, by ruſzył
Z ſwym ludem, ſerce w Saulu do końca uſuſzył.

Gdy go uyrzy na ſtronie Filiſtyńſkiey rzeſzy
Saul, umrze, á DAWID ſię z wygraney ucieſzy.
Taką myśl w ſwoiey głowie Achias uprzędzie,
Alić kilku Miniſtrow z tą radą przybędzie
Mowiąc: co Krolu czyniſz? kto cię ubeſpiecza?
Czyś nie dał Dawidowi ſam ná ſiebie miecza?
Niepamiętaſz iak twoich pod *Ceilą* płoſzył
Po laſach, po iaſkiniach, kilkaſet rozproſzył.
Kilkadzieſiąt tyſięcy ná placu położył,
Ziewaiących dobiiał, by ktory nie ożył.
Niewola to oſtatnia DAWIDA przywiodła,
Gdy go zawziętość Saula z Oyczyzny wybodła.
Do ciebie ſię ucieká, protekcyi żąda,
Zyczliwym przecie okiem ná ſwoy Rod pogląda.
Bądź pewien Krolu, że iak przyidzie do potrzeby,
DAWID nas zdradzi, bać ſię náleży, ázeby
Wzamieſzaniu nam ſzykow niepomieſzał chytrze,
Tył wziąwſzy z ſwym Rycerſtwem żywo ná nas przy-
Podziękuy mu zá ſłużbę, udaruy bogato, (trze.
Będzie twych łaſk pamiętny, będzieć wdzięczen za to,
Lepiey dobrym ſpoſobem zbyć godnego Męża,
Niźli noſić pod pachą ukrytego węża.
Weſzła ta rada w głowę Achiaſa ſnádnie,
Pozbywaiąc DAWIDA, y kſztałtnie y ładnie,
Polityką nárabia, przyznáie mu wiele,
Tylko że mi tak życzą moi przyiaciele.

Zebym tobie nie ufał, sam sobą nie rządzę,
Chociasz inaczey o twey poczciwości sądzę.
Czynić iednak zádosyć muszę tym, co radzą,
Bo mnię codzień turbuią, pokoiu nie dadzą.
Jakby serce Dawida kordyalnym proszkiem
Posilił, że nie długo był pogańskim Bożkiem.
Wesoły w duchu, że tak sztuka się udała,
Wilk syt, owca do domu powrociła cała.
Pokorne dzięki czyni Krolowi, iże mu
Pozwolił mieysca w Państwie swoim stroskanemu:
Gdzie mogł życie ochronić przed złością Saulową,
Do łez przywiodł Achia żałośliwą mową.
Nie tym Sercem co BOGU Krolowi dziękuie,
Ze nim tak dobrotliwie rządzi, dysponuie.
W sam czas, kędyby musiał bić Jzraelity,
Abszyt bierze od Krolá z dobrey służby kwity.
Dziękuie BOGU nie raz, lecz tysiąckroć razy,
Zá uchowánie od tak szpetney grzechu skazy.
Powstania ná swoy Narod, na Krolá, ná Ziomki,
Z kądby wieczná urosła niechęć z ich potomki.
Wraca do *Sycelegu* chcąc się wyprowádzić
Ztamtąd, á daley myślić, y o sobie radzić,
Gdzie żony, dzieci, woysko, dobytki podzieie?
W iednym tylko pokłada Stworcy swym nadzieie.
Ale iak DAWIDOWI cierpieć przyzwoitá,
Tak go nowe nieszczęście w *Sycelegu* wita.

Widzi mury upadłe wywroconą Bramę,
Nic nie zaſtał płacz tylko; nárzekania ſame.
Kurżą ſię ieſzcze dymy ná pogorzeliſku,
Ludzi garść pozoſtałych w ſerdecznym uciſkú;
Ręce łamią, włoſy rwą, żoná w ogień leci,
Ze Męża utraciła, fortunę y dzieci.
Mąż także ſtraty żony z dziatkami żałuie,
Jak ſłowik nad zepſutym gniazdkiem lamentuie.
Co ſpoyrzy ná to mieyſce, gdzie byſa pociecha,
W dom'u Jego żałoſne w głoſie noci Echa.
Owo zgoła okropny widok był w tym Mieście,
Krew umarła w Męſzczyznie, dopieroż w Niewieście.
Okopciałe z Gipſowych domow widząc głownie,
Krewnych, Sąſiad, Przyiacioł, żałuie nie rownie.
Płacze DAWID z drugiemi nád cięſzką ruiną,
Niewie dotąd iaką ieſt zburzone przyczyną.
Ledwie że ſię dopytał w wymuſzonym ſłowie
Od ſługi, że nápadli Amálecytowie
Ná nieſpodzianych ludzi, w pierwſzey ſpania dobie,
Co chcieli, to czynili pozwalaiąc ſobie.
Ogniem, mieczem, rabunkiem z wytwornymi zbytki
Brali Męże z żonámi, z dziećmi, y z dobytki.
Naypierwey ſię, gdzie mieſzka DAWID, wypytali,
Zywe, nie żywe, plony z kreteſem pobrali.
Twoie żony y dzieci y twoiey piechoty,
Jako bydło przed ſobą pędzili niecnoty.

Oſtry bodziec przez ręce DAWIDOWE przeſzył,
Myśli, czymby ták mocno przeciw BOGU zgrzeſzył?
Ze ſię przy nim niewinnym doſtało po ſkurze,
W ſmutney w Niebo poglądał y płakał poſturze.
Zal mu ſwoich, żal cudzych, żal pięknego Miaſta,
W tym mu miłość ochoty dodała ſkrzydlaſta;
Gonić lotem Opryſzkow, własność ukochaną
Odebrać, tych uſkromić śmiertelną náganą.
Weźmie Boga ná pomoc ſwym dawnym zwyczaiem,
Jakoś ſię mną opiekał,y moim rodzaiem
Wielki Boże, dopomoż teraz mi w oſtatni
Dzień zguby, nieprzyiacioł choć biczykiem zatni,
Jak ſkoro DAWID ſwego Paná ſię poradził,
Kilkaſet ſwych żołnierzy rozbiegłych zgromádził:
Mocną wiarę z nadzieią wyſłał w przedniey ſtraży,
Miłość razem z nim poſzła, bo ią wiele waży.
Poſzedł w pogoń z życzliwym ſobie ochotnikiem,
Smiały żołnierz, gdy z śmiałym idzie woiownikiem.
Wiele Hetman dokaże, choć Rycerſtwá trocha,
Gdy go każdy z oſobná, iako Oyca kocha.
Nie trzeba ich zachęcać, ni ſerca dodawać,
Każdy do krwie oſtatniey chce przy wodzu ſtawać.
Nic nie czuiąc że Rosy nocne, mokre, chłodne,
Dni gorące bez wody y bez chleba głodne.
Czwartego dnia wieczorem ſtanął DAWID bliſko
Amálecytow, kędy mieli ſtanowiſko,

Gęſty laſek przy niſkiey krzewinie záſłonił,
Gdzie ſię z ludzmi beſpiecznie w gęſtwinie uchronił.
A iak zwykł zboyca, złodziey ludzką pracą trwonić.
To, co go nie koſztuie, nie umie ochronić;
Zrze, piie, luſztykuie, poki go nieſchwycą,
Kontent Łotr, że przyſmáki iadł przed ſzubienicą.
W tey porze nápadł DAWID ná Amálecyty,
Herſzt ich śpi ná beſpieczne, iako woł zabity.
Jaki Pan, taki y kram, Pan iak bydle żyie,
Niedziw, że ſię służący obrocą w beſtyie.
Niech każdy żyie iak chce, zá ſiebie odpowi,
Dość, że iak trzeba było ſzczęście DAWIDOWI
Służyło, bo kiedy ſię rachunkiem dzielili,
Przy lidkupie z rozumem wraz zmyſły tracili.
Zaczął DAWID robotę, miał warſztat gotowy,
Sciná iak ná zagonách kapuściane głowy.
Wraz żołnierze mſzcząc ſię ſwych zábranych grabie-
Rąbią, kolą niespiących y tego co leży. (ży,
Gwałt powſtał po obozie, lecz nierychło wołać,
Niegotowi gotowym nie mogą wydołać. (rządach,
Krotko mowiąc, zbił zboycow przy Wſzechmocnych
Kilkudzieſiąt ich tylko uſzło ná Wielbłądach.
Dopiero ſię co żywo do zdobyczy rzuci,
Każdemu BOG ſtraconą rzecz, ſtokrotnie wruci.
Więcey daleko Dawid zyſkał, niźli ſtracił,
Pan ſłudze z prowizyą zaſługi wypłacił.

Bo znáł, że ſerce Jego nie tam przykowane,
Gdzie ſkarby dobr doczeſnych były zachowane.
W BOGU wſzelkie doſtatki máiąc, złotem gardzi,
Przy BOGU ſerce ſkłada, gdyż go kocha bardzi.
Po czym znáć, kiedy w ſwoy kray poſyła zdobyczy
Rodzicom, krewnym y tym, co im dobrze życzy.
Połową większą z nimi chętnie ſię rozdziela,
Mowiąc, bierzcie, á Chwalcie BOGA Jzraela.
Ktory tak wielkie cuda we mnie mizeraku
Czyni, iak dlá Moyżeſza w goreiącym krzaku.
Jść mi kazał bez trwogi ná Amálecyty,
Chwalę go, chwal go zemną Jzraelu y ty.
W tym wieść doſzła Dawida że Filiſtyn pobił
Woyſko Saulowe, że ſzkod w Kroleſtwie nárobił.
Sam Krol bardzo zraniony bez życia nádziei,
Lud Boży ieſt w oſtatniey nieſzczęścia kolei.
Niedoſyć, że Saul ranny, że woyſko znieſione,
Ze Miaſta, wśie oſiadłe z gruntu wypalone.
To náycięższa, że Synow trzech Saulowych padło
Ná placu, tu też ſerce żołnierſtwu upadło.
Przebog! záwoła DAWID, czy z niemi nierazem
Zábity moy Jonátas, przeklętym żelazem!
Ach nie day tego Boże, raczey mię weź z świáta
Wprzod, niżby ukochany miał zginąć Jonáta.
Ledwie tych ſłow domáwia, poſeł drugi wpadnie,
Wnet Dawid z Jego miny niepomyślność zgadnie.

Ze nic dobrego w ſwoich nieprzynioſł nowinách,
Tylko o śmierci Saula, o iego trzech Synach.
Dał wolny głos Poſłowi, ſłucha go cierpliwie,
Z iakim trunkiem przyſłany ku prezerwátywie,
Czyli ku bliżſzey śmierci, przynioſł w kubku trunek,
Ktoryby uſpokoił DAWIDOW fraſunek.
Zácznie mowić ow Młodzian, co torbę názbierał,
Nowin, iak ſię Saul męczył, iak ciężko umierał,
Jak go dobił ſwym mieczem, iak go o to proſił,
Ze mu ten grzech odpuśći, przyſięgi zanoſił.
Widząc że Krol nie żyie od wſzech opuſzczony,
Jám też śmiele poſiągnął do Jego Korony.
Zdiąłem łańcuch ſpoiony złotemi ogniwy,
Co nim ramię przepaſał Saul, kiedy był żywy.
Oto maſz y Koronę y łańcuch DAWIDZIE,
Wiem że tá godność wkrotce ná twą głowę wnidzie,
Niźli mnie kto uprzedzi, niech Ja pierwſzy będę
W reſpekcie y pamięci twey mieyſce zaſiędę.
Oſzukał ſię podchlebnik ná ſwoim towárze,
Zamiaſt podziękowánia, aż go DAWID karze.
Y ſłowem y uczynkiem, gdy mu z gniewem rzecze:
Azaż ſłudzy ná Panow noſić máią miecze.
A tobie co do Głowy Krolewſkiey młodziku!
Niedawnoś ná drewnianym znáć ieździł koniku.
Kiedy niewieſz co to Krol, było ſię wprzod ſpytać
Bakałarza, czyć wolno broń ná Krola chwytać?

 Boſki

Boſki to Námazaniec! każdy śmierci godzien,
Ktory nań Rękę wźnieſie, odſądzony zbrodzień
Od wiary, poczciwości, y tyś w tym Regeſtrze,
Siedź z drugiemi zaboycy ná gardło w ſekweſtrze,
Otoż wſkorał nowiniarz, tanio przedał mydło,
Lepiey było paść w polu nierogate bydło.
Rozumiał że podchlebſtwem, y tym co nakłamał,
Przyſłuży ſię, aż on Bik, kwantytatem złamał.
Bo Saul pełen ran będąc z śmiercią woynę toczył.
Gdy mu czas ſiłę odiął oczy mgłą zamroczył.
Nieczekaiąc do końca miecz wziąwſzy po cichu,
Uprzedził śmierć, bo zginął z właſney ręki ſztychu
Ktoż opowie uſtami, kto piorem opiſze
Zal DAWIDOW, kto ſerce Jego pokołyſze
Rozkwilone, iak máłey dzieciny pierś ſącey,
Głoſem żałoſnym rzewno y długo płaczącey.
Szaty podarł ná ſobie, twarz do krwie podrapał,
Od raná do wieczora płakał, wzdychał, ſapał.
Zadnego pocieſzenia nie przyiął w tym ſmutku,
Łzy gorzkie piołunową zaprawą miał w ſkutku.
Widzi Rycerſtwo że Pan płacze iak Bobr wodny,
Saul kropli łez DAWIDA nigdy niebył godny;
Za coż go tak żałuie, ták ięczy, tak zrzędzi?
Nas y ſiebie cały dzień poſzcząc głodem wędzi.
Jeſzcze nie wiedzieć poki będzie tey żałoby,
Nie zgadniem, ktorey z czterech żałuie Oſoby?

Nie Saula pewnie, bo ten niegodzien wſpomnienia,
Raczey pociechy że zdechł, godzien złorzeczenia.
Tak między ſobą radzi Starſzyzná Woyſkowa,
Ale inſza nad ich ſąd, dobroć DAWIDOWA.
Gdy Saula iako Krola, iak Oyca lituie,
Ze wſzelkich go ku ſobie niechęci kwituie.
Lament publiczny zaczął, czyli pieśń pogrzebną,
Włożywſzy kir ná ſuknią, głowę płachtą zgrzebną
Okrył, trząłł ſię od płaczu, w puł ſłowá połykał
Ze łzami, żal do gruntu ſerce mu przenikał.
Kiedy rzecze: Ach Saulu! tegom ſię ſpodziewáł?
Niźlić czas pieśń fatalną przed woyną zaśpiewał?
Ze ci traktat pokoiu ſprawi śmierci Goniec,
Y ten popędliwośći twoiey będzie koniec.
O gdybyś pokoy wieczny miał Saulu kochany?
Nieżalby ginąć w Woynie od żadaney rany!
Nieżalby umrzeć, byle miłoſierdzia Bramá
Wpuściła cię ná łono Oyca Abrahamá.
Ale twoy bezrozumny, złośliwy uczynek,
Wymázał z Xięgi życia ſzczęśliwy ſpoczynek.
W czarny regeſtr zápiſał, wiecznym karceratem,
Sługą będzieſz Lucypra oſtatnim, nie Bratem.
O! prawo raz przegrane w Boſkim Trybunále!
Ktoż tym Sądom krytykę przypiſze zuchwale?
Niech każdy w ſiebie ſzczerze weyrzy, wnet oſądzi,
Ze miłoſierdzie nád nim, á nie rygor rządzi.

K2 Zgi-

Zginąłeś Saulu wiecznie ná Ciele y Duſzy!
Niech ten przykład Monarchow potomnych poruſzy;
Ze to nic, choćby ſobie świat cały podbili,
Jeżeli nad świat drożſzą Duſzę utracili.
Wam y mnie, rzecze Dawid niech będzie zwierciadłem
Co z złych uczynkow Saula poznáłem y zgadłem:
Jakie życie, taka śmierć, ſą to prawdy trwáłe,
Kto ná piekło zarabiał, kto ná wieczną chwáłę.
Zakończył DAWID żale po Saulowey ſtracie,
Zaczął ná nowe płakać po ſwoim Jonácie;
Z ktorym ſkleioná miłość podziwieniá wiele
Czyniła, iak dwie Duſzy w iednym żyią ciele.
Dopieroż Serca, co ie BOG poddał pod władzą
Duſzy, nic nieſzczerego nie knuią, nie radzą.
Bo dwie Duſze, dwá Serca zgodne, ſzczere były
Sympatyczną też miłość w ſobie założyły.
Ktożby nie płakał? ktoby twárdośćią nátury
Chciał bydź, iedno co zimne, co mártwe mármury?
Chyba ten, co krwie kropli, ni iſkierki ciepła
W ſobie niemá, miłość w nim dla przyiacioł ſkrzepła.
Ja przyiaźń Jonátową nád Proby złotnicze,
Nad drogich kruſzczow metal, nayprawdziwſzą liczę.
Bo czy mnię Saul w żelazo, czy w ołow odmienił.
Jonátas proby złotey w miłośći nie zmienił.
Jam był ſługą Krolewſkim, Jonátas był Synem, (nem.
Znał mnię między godnieyſzych Dworzan ſetnym gmi-
Minął

Minął wſzyſtkich, á do mnie w oſtatnim ſzeregu
Stoiącego, pokwapił, wydał miłość z biegu.
Nic więcey nie przyczynił iawnego affektu,
Gdy mi Saul Sioſtrę Jego dał z zaſług reſpektu. (ſzym
W tey cenie byłem Szwagrem, co przed tym Koniu-
W tey, kiedym ſtał przed Krolem w ubiorze paſtuſzym.
O Jonáto! iakże cię zapomnieć ná wieki!
Poki żyię, nie oſchną z łez moie powieki.
Co godziná, co kwandrans wybiią Zegary,
Excytarz mnie Serdeczny wzbudzi do Ofiáry.
Zá duſzę twoię dobrą, BOGA będę błagał,
Zebrakow ile możność Jałmużną wſpomágał.
Ty Jonáto coś mi był w życiu przyiacielem,
Bądź po śmierci, gdy ſtanieſz przed ſwym Zbawicie-
Podobał ſię Boſkiemu Sercu DAWID y tu (lem.
Z ſzczerego żalu ſtraty nád ſkarb depozytu.
W Jonácie bliźnim ſwoim, iakby hoynie płacił
Łzami, Jałmużną, gdyby miłość Boſką ſtracił.
Więc go BOG woła, każąc oſieść mu ná Tronie
Saulowym, wnet Koroną zdobi Jego ſkronie.
W Rękę berło oddaie, znak Krolewſkiey władzy,
Pod ktorą będą możni, bogaci y nádzy.
Aby roſtropnie káżdym ſtanem wolno rządził,
Wyſtępki ſprawiedliwie bez podchlebſtwá ſądził.
Aby dobrze ſłużącym wdzięcznośćią wypłacał,
Z zdzierſtwá ubogich Poddan, ſkarbow nie zbogacał.
Trudno-

Trudnośći żadney DAWID w obraniu nie zażył
Ná Tron, bo go Rycerſki Stan nad zdrowie ważył.
Poſpolſtwo głoſy zgodne pod Niebo wynoſzą,
O Dawida, by ich był Krolem, wrzeſzcząc proſzą.
Wprowadzony od woyſka ná Zamek przeſtrony,
Co żywo, proſi, nákłoń głowy do Korony.
Zyi bez końca Dáwidzie, panuy nám przychylnie,
Biy ſię za Wiarę, potym za Oyczyznę śilnie.
Oſiadł DAWID ná Tronie po Saulu nikczemnym,
Oycem raczey niż Krolem ſtawia ſię przyiemnym.
Każdemu, kto mu prozby w Supplikach podaie,
Cierpliwy w wyſłuchaniu nie sfuka, nie złaie.
Pierwſze rządy od Boſkiey Chwáły zacząć radzi,
Sam ſobie, w tym Nataná Proroka ſprowádzi
Mowiąc, do niego: ſłuchay ſługo Boży; tu Ci
Powiem, co mię w mych myślach nieſpokoynych kłu-
Ze ſkrzynia Teſtamentu żyiącego BOGA, (ci.
Tak wielka Relikwia, tak koſztowná, droga,
Takowey uczciwośći niemá, iakiey warta,
Bramá wſzyſtkim gdzie ſtoi, ná oścież otwarta.
Wprowádzę ią do Zamku moiego, Syonu,
Uſtąpię Jey z radością wraz z Kroleſtwem Tronu.
Przyſtoyniey tym Swiętościom bydź ná Maieſtacie,
Jam ſię z młodu przyuczył mieſzkać w proſtey chacie.
Pochwalił Natan Swięte DAWIDA zamyſły,
Pochwalił, iże z Bogiem wchodzi w związek ściſły.
Rzekąc:

Rzekąc: Krolu, ktożby był tak zły, tak bezbożny,
Zeby twoy niepochwálił uczynek pobożny.
Natychmiaſt Dawid ſkrzynię bierze z Przykazaniem,
Jdzie przed nią, tyſiączne tłumy idą za niem.
Na iaką tylko pompę, uczciwość, okrzyki,
Mogł ſię zdobyć, brzmiał Zamek od trąb y muzyki.
Jakoż wraz z ſkrzynią, weſzło w Dom Dawidow Boſtwo,
Wſzyſtkiego po doſtatku, w ſkarbie złota mnoſtwo.
Wſzyſtko pomyślnie idzie, wiara nam ogłaſza: (ſza
Gdzie Bog mieſzka,ſamo ſię ſzczęście w ten dom wpra-
Ktokolwiek woynę zaczął, kto Krola zaczepił,
BOG mu ſzyki połamał, wzrok byſtry zaślepił.
Widział trakt, ktorędy wſzedł, lecz nim nie powroci,
W ſwoy kray, bo woyſko ſtracił, Tabory porzucił.
A kiedy ſię każdemu powinęła noga,
Zaroſła oſtrym oſtem dla złych ludzi droga
W Granice DAWIDOWE, głog z cierniem opaſał
Scieſzki, ktoremi ſię wkraść nieprzyiaciel kaſał.
Pokoy złotą wolnością kwitnął w Jzraelu,
Cieſząc narod, gdy wſzyſtek opływał w weſelu:
Ze pod ſzczęśliwym Krolem, co Go dáły Nieba,
Każdy ieść z beſpieczeńſtwem może ſztukę Chleba.
Co do intrat náleży z podatkow, z poborow,
Z rożnych Prowincyi wiozą cięſzkie wozy worow
Napełnionych pieniądzmi, z chęcią żydzi daią
Daniny, bo ſię dobrze pod ſwym Panem máią.
Uznáł DAWID, iak mu BOG iawnie błogoſławił,

W tym powtornie Proroka woła, chcąc ſię zwierzyć,
Dokąd ſwoie zamyſły má wolą zamierzyć.
Mowiąc: czy wieſzże, iakie Pan moy Cuda czyni
W mym Páńſtwie? za uczciwość com dał Swiętey ſkrzyni.
Sam niewiem, z kąd bogactwá rzekami w ſkarb płyną,
Zbiory moie w poſtronnych świata kraiach ſłyną.
Umyśliłem dlá Arki zbudować mieſzkanie,
Bylem doczekał ſkończyć, proś BOGA Natanie.
Bym y Ja, y Ty, okiem widział Bazylikę,
Ktora cudem piękności nápełni Kronikę.
Bo ci ſię przyznáć muſzę w mym ſkrupule nowym,
Skrzynia mieſzka w namiocie, Ja w Zamku Cedrowym
Czy to rzecz przyzwoita, czy godziwie braná,
Słudze mieſzkać w Pałacu, w námiot wygnać Paná?
Od niego mám to wſzyſtko co mam, co mieć mogę,
Pan mocną po granicach rozſtawił załogę.
Pan traktat zupełnego pokoiu okryślił,
Pan obfitość Kroleſtwu nád miarę obmyślił,
Przetoż ſię Serca mego ochotą ośmielę
Przed nim, y z nim połową ſkarbow mych podzielę.
On mi ie dał, Ja mu też, ile ſił wydoła,
Dam, ná wybudowánie drogiego Kościoła.
O iak wielu w tym wieku bogatych zawſtydzi
Ten zbytek, co go w Zamkach náſze oko widzi!
Nieſłychać, by DAWIDA kto w tym naśladował,
Wſpaniały Kościoł ku czci Boſkiey wybudował.

Ale niechby nikt nowych Fabryk nie zaczynał,
Tylko dawne wſpomágał, w całości utrzymáł;
Co Panow ſtarożytnych ſzczodrobliwa ręka
Zrobiła, odnowá zaś náleży do Wnęka.
Lecz teraz Pałacowe mury, Miaſta zdobią,
Koło ktorych lat kilka Rzemieślnicy robią:
W ſkończonych, lśną ſię ściany bogato obite
Z Materyi Chińſkich, Perſkich, prawie złotolite.
Pokoy, gdzie łożko Pańſkie má bydź poſtawione,
Poznać, iak dla ołtarza mieyſce wyznáczone.
Namiot Paryſkim haftem rozpoſtarty w głowach,
Niby nad Cyboryum, reſztę utnę w ſłowach.
Swiatła doſtatkiem w Luſtrach, ná ſtolikach, Biorach,
W ogniu apartamenta dolne, y po gorach,
Ledwie Pałac nie ſpłonie od Duchow gorących,
Gdy kilkaſet zapalą świec ſamych iarzących.
Stołow kilka zaſtawią cięſzkiemi ſrebrami,
Ledwie niemi w kominach niepalą iak drwámi;
Ba iuż przyſzło do tego, że wilk ſrebrny ſtoi
W kominie, nie ognia ſię, lecz złodzieia boi.
Teraz was wſzyſtkich pytam, co intraty mácie:
Czemuż o Boſkich Domách náymniey pamiętacie?
Wſzak to tylko od niego trzymácie arędą!
Ktoż wie, czy dzieci waſze tym ſię cieſzyć będą?
Smutnemi nám oczymá poglądać náleży,
Gdzie ſtał Pańſki przybytek, tam dziś rzeka bieży!

Wieleż widzim Kościołow, bez okien, bez dachu!
Kapłan czyniąc ofiarę, nábierze ſię ſtrachu!
W innych ściany, iak ſieci rybacze, dziurawe,
Proſpekt ná wſzelkie ſtrony wſtąpiwſzy ná ławę.
Mſzy ſłuchaiąc, z gory deſzcz zá kołnierz ſię leie,
A wiatr, ktoręd ytylko chce, tam dmucha, wieie.
Ołtarze, iak żebracy z ſzat odarci ſtoią,
Czekaiąc miłoſierdzia, azaż ie uſtroią
Choć w ſtarzyznę! co z Pańſkiey wyſzła Garderoby,
Doſyć to dla ſtarego Ołtarza ozdoby.
Z bagazyi lub raſy, Namiotek okrywá
Łożeczko Chryſtusowe; gdzie żywy ſpoczywá;
Dość w ſzczupłym Domku mieſzka, niemoże wyproſić
U nikogo, by lepſze mogł pokrycie noſić.
Lampa iedna przed BOGIEM tylko co ſię błyſzczy,
Knot ná dnie wyſmáżony wrzeſzczy, potym piſzczy;
Jakby mowił: ieżeliś Katolik prawdziwy,
Zmiłuy ſię! przyley łoiu, gdy niechceſz oliwy,
Jeźli poydziem do ſreber, azaż nieſromotá?
W oſtatnim mieyſcu ſrebro y gruba pozłotá.
Czy ná to żeś dał Boże ludziom drogie kruſzce,
Ażebyś ſam w cynowey był zamknięty puſzce?
Do was też Pioro moie Kapłani obracam,
Wybaczcie, że wam pulsow choć zdrowym námacam.
Luboć to nie rzecz moia Duchowieńſtwo leczyć,
Lecz wam dobrze życzącey nie będziecie przeczyć.

Gdy w ſamę ſłuſzność każdy, kto ſię w tym poczuwá
Weyrzy, iak was fortuná po ſtopniach poſuwá.
Za przybyciem godnośći, przybywá intraty,
Czemu cierpicie ſtare ſwych Kościołow graty?
Nie wſzyſtko to ná ręce patrzać Kollatorow,
Z ktorych łaſk nábywácie ſpoſobow do zbiorow.
Czyńcie Prawom zadoſyć, ná co przyſięgacie,
Ze ná trzy częśći dzielić ſwe dochody mácie.
Dzielićieć wy, to prawdá, ná ſto, á nie na trzy
Cząſtek, ále BOG ná nie krzywym okiem patrzy!
Widząc koſzt, ná poboczne przez diabła Kaplice
Wyſtawione, Kościoł też goły dla dzwonice!
Szor iedwabny ná koniach, Fiokow dość przy uſzach!
Háyducy w ſrebrach brzęczą w doſtatnich kontuſzach!
Lokaiow za Karetą po obudwoch ſtronach
Stoiących, wſzyſcy w złotych, to ſrebrnych galonach!
Stoły ſuto zaſtawne w czaſie Karnáwału,
Na co dobra Kościelne ięczą niepomału!
Poddańſtwá uciśnione, Bachusa nieznawſzy
Tańcować muſzą z płaczem, ſukni zakaſawſzy.
Ubogiego niewidać przy kuchni Prałata,
Talerza nie poliże mizerny Brat łata!
Lepiey karmić po pſiarniach pſow rożne rodzaie,
Zebrákowi dać krąmkę márkotno ſię zdaie.
Z dzieſięcin, czy za Meſzne, zebrane pieniądze
Precz poſzły, bo do grania kart prowádzą żądze.

Czy to Xiędza Proboſzcza, czyli Kanonika,
Z oſtatniego chapanka wyniſzczy groſzyka.
Kapela gra, ſpytać ſię: u kogo ? u Xiędza;
W Kościele biedá ſkrzeczy y oſtatnia nędza.
Kiermaſz to dziś, Xiądz Pleban traktuie rzęſiſto!
Ty z wroblami zaśpieway Nieſzpor Organiſto.
Więcey w tey máteryi żal piſać niekaże,
Bo to wſzyſtko oſtatni ſąd iawnie pokaże.
Każdy z ſwego Szafarſtwá dać muſi rachunek
BOG będzie wiedział, co mu powierzył w ſzafunek,
Ja wracam do DAWIDA, z Prorokiem Natanem,
Wiedząc, że dobra ſprawá z iednoſtaynym Panem!
Co zamysli, to ſkutkiem wypełni bez zwłoki,
Jle do Boſkiey Chwáły, śpieſzne czyni kroki.
Już ſwoię Prorokowi wolą opowiedział,
Mieyſce pokazał, kędy Kościoł będzie ſiedział.
Teraz tylko w pragnieniu utopiony cały,
Zeby oczy Dom Boży prędko oglądały.
Odſzedł Natán od Krola w Duchu pocieſzony,
Widzi że od ſamego Boga Pan nátchniony.
Do zbudowánia Jemu ku chwale przybytku,
Bez zdzierſtwá ſwych poddanych, bez złego nábytku.
Alić ledwie ſpać zaczął Prorok, oney nocy,
Jakieś go niezwyczayne przymuſzaią mocy
Do tężſzego zaśnienia, á w tym ſłyſzy wiele
Słow Boſkich, wſtań Nátanie! mow z Dawidem śmiele

To,

To, co ci rozkazuię, nim śię z nim powitasz,
Pierwey mu, coś usłyszał, z Regestru wyczytasz.
Niech w niczym woli moiey, iako zwykł nieprzeczy,
W głębokie sądow moich nie zagląda rzeczy!
Stanął Nátan przed Krolem w zatrwożoney cerze,
DAWID w teyże, kiedy go ná osobność bierze
Człowiek Swiętego Ducha, Poseł niekłamliwy,
Jakiś mi Mandat przyniosł, zły albo szczęśliwy?
Rzecze Prorok: posłuchay dziwney Taiemnicy
DAWIDZIE, czemu robić około Swiątnicy
Nie możesz, coś założył fundament w swey głowie,
Przestań myślić, bądź w Pańskim uspokoion słowie.
Dla tego, żeś krwią ludzką ręce zmázał nieraz,
Oczyszczone z tey wody bydź nie mogą teraz:
Niechce BOG, by mu Krole Kośćioły stawiali,
Ci co w krwi bliźnich swoich, miecz z ręką máczali.
Ale Pan wolą twoię ochotną przyimuie,
Za ktorą ci Potomka zesłać obiecuie.
Co mu sam Oycem będzie, on mu Synem wzaiem,
Krew twoia pomiesza się z Wszechmocnym Rodzaiem
Ten będzie wiecznie trwáłym w swoim panowaniu,
Krolestwo niepodległe wraz z nim, ku ustaniu,
Ten cały Narod ludzki wesela nabawi,
Kiedy się ná świat po to, by go zbawił, stawi,
Syn zaś twoy, ktorego Bog w mądrośći pomnoży.
Swiątnicę mu zbuduie, grunt ná nię záłoży.
Spokoy-

Spokoynym zwány będzie, bo woyná uſtąpi
Z Granic Jego, gdy Krolem po tobie náſtąpi.
Słyſzy Krol z Uſt Prorockich te ſłowá niepłonne,
Serce też miał z nátury do pokory ſkłonne.
Padnie ná twarz poſzedſzy do Antykamery,
Łzami z oczu po ziemi odlewá litery,
Mowiąc: o Boże wielki, o Krolu nád Krolmi!
Doday mi ſłow chwalić cię, á ſerca pozwol mi
Takiego, iakiebyś chciał mieć Tobie przyiemne,
Bo z moich ſił, bez twoiey pomocy, nikczemne.
Pozwol mi proſzę, takie uczynić Ci dzięki,
Jle mám dobrodzieyſtwá z twey opatrzney ręki.
Pozwol, niech wſzyſtek ſpłonę z kochania ku Tobie,
Niech mnie nikt nie przechodzi na wdzięczności pro-
Azaliś mi dał mało, gdyś mnię wziął do bydła, (bie.
Kiedyś mię z Saulowego nie raz wyrwał ſidła!
Gdyś mi dał tyle zwycięſtw, boś ſam o mnie radził,
Wreście z Paſtuchy Krolem ná Maieſtat wſadził,
Jam Podnożek Nog Twoich, źdźbło y podła ſłomka,
Ty mi dać obiecuieſz wiecznego Potomka.
O Panie! nie dlá mnie to czyń, lecz dla Imienia
Twego, żeby cię znáły wſzyſtkie pokolenia!
A poki mi w tym życiu lat zámierzyſz Boże,
Tyſiącznym po mnie wiekom to w Teſtament włożę,
Że zá ucztę tey ſkrzyni, coś w niey Prawo złożył,
Domeś moy ſławą wieczną uczcił y rozmnożył.

Już

Już DAWID uſpokoił zamyſły chwálebne,
Zdaie Kościoł ná Syna, ſam iednak potrzebne
Materyały zaczął ſprowádzać powoli!
Choć dopiero Syn z Bożey obiecany woli.
Wiara go mocna wſpiera, ufność bez omyłki,
Ze kiedy młodość minie, przyidą życia ſchyłki.
W ten czas mu BOG, Jedyná ſtarośći podpora,
Ná pociechę lat zeſzłych, przyśle Sukceſſora.
Wyſyła w obce kraie po rożne Metale,
Spiże, moſiądze, miedzie, y ktorych omále
W Páńſtwách Dáwida, lubo bogatych y ludnych,
Do ználezienia przecie ná potrzebę trudnych.
Co zaś w Dziedzictwie Jego ziemia wydać mogła,
Tym kruſzcem z ſwych wnętrzności Fabrykę wſpomogła.
Złota, ſrebra, ołowiu, Bronzu, twardey ſtali,
Cyny, Magneſsu, żelaz w Domu nákopali.
Drzewa, ogromnych Cedrow z wielką pracą ścięte,
Jedne w tramach przywożą, z drugich deſzczki rznięte;
Jnne w ſztuki Rzemieślnik oſtrą piłą przetrze,
Zapach ledwie nie wſzyſtko nápełnił powietrze.
Procz zaś tych ſkarbow, ktore ziemia z ſiebie dała,
Szczodrość Dawida ieſzcze nátym nieprzeſtała.
Bo cokolwiek przez tyle woien doſtał w łupach,
To wſzyſtko chciał powieſzać ná Kościelnych ſłupach.
W tym czaſie wiele Kroleſtw y Páńſtw zawoiowáł,
Filiſtyn mu iak właſny Poddany hołdowáł.

Krol

Krol Sobbe, Jdumea, Damászek z Syryą
Podbici, pod władzą się DAWIDOWĄ kryią.
Uśkromił nápuszone pychą Amonity,
Karki schylił pod Jarzmo, z wolności dał kwity.
Za złość, co Posłom Jego wyrządzili wprzody,
Kazał iak Błaznom, zá to, golić po puł brody.
Suknie poobrzynáno dlá zupełney kary,
Zadnemu Amonicie Krawiec nie brał miary.
Tylko tak rznął, áżeby wolą spełnił Paná,
Byle szata z pod pasa wyszła zá kolaná.
A chociasz ich tak modno DAWID wyczerkiesił,
Przecie się w Amonitach zemsty ogień wskrzesił.
Bo iak węże pobite łby w gorę podnoszą,
Tak y ci nie o pokoy, lecz o woynę proszą.
Rozgniewány powtornym Krol ná woynę znákiem,
Grozi Rebellizantom szubienicą, hakiem.
Każe w Woysku obwołać swoy Ordynans mściwy,
Zeby żaden Amończyk z rąk nie uszedł żywy.
A kiedy iuż w DAWIDZIE chęć do bitwy słaba,
Wysłał z woyskiem Hetmána Jmieniem Joaba;
Zalecił mu stołeczne Miasto dobyć Rabat,
Niepytaiąc, czy wolno szturm przypuszczać w Szabat.
Tuś podobno Monárcho przywiązan do łożka
Barziey, niż do utarczki, bo miękka poduszka
Trzymá cię, co ią zły duch z prożnowánia uszył,
Zebyś się z niey dlá wiary, dlá BOGA nie ruszył,

Tak

Tak ieſt, gdyż Piſmo Swięte wytyka cię palcem,
Ze z wielkiego żołnierza ſtałeś ſię niedbalcem.
Gdzieś powinien był ſwoią Oſobą woiować,
Zacząłeś przy wygodach Domowych prożnować.
Podobnoś názbyt ufał w Boſkich łaſk gromádę,
Gdy znácznego leniſtwá pokazuieſz wádę.
Zapomniałeś, że ſię tym żaden Pan nie cieſzy,
Kiedy ſługa w nádzieię łaſki Jego grzeſzy.
Jeźliś DAWIDZIE łaſką Pańſką znárowiony,
Y iak Dziecie ná Łonie Matki wypieſzczony;
Tym większey przyłoż pracy, byś mu ſię podobał,
Nie żebyś Dobroć Jego zuchwále przeſkrobał.
Ogłuchł DAWID ná Boſkie w tey mierze przeſtrogi,
Zſzedł z gościńca prawego, w lewą udał nogi. (parow,
Zaciekł ſię w prożnych myślach; grzech go wtrąca w
Ze niedał ſtraży, ná ſwey ułomności nárow.
Otoż ow Krol rozumny, Swięty, BOGU miły,
Do iakiey mu odmiany zbytki poſłużyły.
To Serce, ktore było wraz z BOGIEM złączone,
Teraz przez miłość właſną ſiebie, oddalone.
Poki DAWID paſł Owce, poki był Arfiſtą,
Poki koſtur miał w ręku y pił wodę czyſtą;
Poki ſię krył przed Saulem, poki chleba proſił,
Poki żywność ná grzbiecie Braci w Oboz noſił;
Poty też kochał BOGA, poty dobrze ſłużył,
Poty go ſłuchał, poty w niwczym nie zádłużył.

Poty we dnie y w nocy chwalił Páná z chęci,
Poty go miał w ſwych, uſtach w ſercu y pamięci.
Jakże ſię tylko DAWID Korony dochrapał,
Jak złote Berło w rękę zamiaſt kiia złapał;
Jak potraw ſmácznych y iak mocnych trunkow zażył,
Tak ſię ná wiele złego przeciw Panu ważył.
Dobrzeż to BOG Opatrzny radzi o człowieku,
Kiedy nań utrapienia zſyła w całym wieku.
To co nám przykro znoſić, co nas w ſedno tyka,
W ten czas ſię Pan z ſwą łaſką náybliżey przymyka.
Niedoſtatek, nieſławá, ſieroctwo, choroba,
Czyni nás w cierpliwości podobnych do Joba.
Ale nas też náuczy, Modlitwy, ſkromności,
Większey, niżli w roſkoſzy, ku BOGU miłości.
Jakże mámy wſzyſtkiego doſtatkiem po dziorki,
Zamkniem okno przed BOGIEM do Serca komorki.
Chcąc żeby nás nie widział, ani okiem rzucił
Ná złe ſprawy, byleby w niwczym nie zaſmucił.
W tym błędzie idąc Dawid, brnie co raz, to głębi,
Ogniſtą miłość przeciw Panu, chłodzi, ziębi.
Z prożnowania złe myśli idą ná ſpoczynek
Do Krola, ciągną z ſobą wolą y uczynek.
Bo kiedy po obiednim ſpaniu wſtał z poſcieli,
Pierwſzym weyrzeniem z okna ſerce uweſeli.
Widząc że piękná Damá, piękná nogi myie,
Nie wie że Krol ná Sali, przeto ſię nie ſkryie.

Byſtry wzrok poſłał wſzędzie, wſzyſtko mu przypadło
Do guſtu, urodziwe y miłe widziadło.
Tylko o to gra chodzi, wiedzieć czy to z Miaſta,
Czy ze wſi, czy z Pałacu, tak ładná Niewiaſta,
Tu ſię DAWID daleko od Boga odſunął,
Czart mu w bezwſtydne oczy, ſzpetną flegmą plunął.
Ze przeyrzeć nie potrafi, lubo ſłońce świeci,
Ciemnością go obtoczył, w grube nagnał ſieci.
Już niecierpliwy woła ktorego z ſług ražnych,
Każe mu bydź ſłuchaczem rc ſkazow wyraźnych;
A ukazawſzy z Sali Panią przy ſadzawce,
Jdź do niey, rzecze, poki ſiedzi ná tey ławce.
Spytay, kto ieſt ? y iakim Imięniem ſię zowie ?
Potym zważ rozum, piękność y kſztałt w Białogłowie.
Bom Ja widział zdalcka, ty obaczyſz zbliſka,
Czy wcale urodziwá, wyſoka, czy niſka ?
Prędko Poſeł powrocił z pomyślną powieścią,
Niemogł ſię dość wychwálić rozmową Niewieścią.
Jak mądra, iak poważna, iak piękna, iak ſkromná,
Jak w żadnym członku nie ieſt krzywá, ni ułomná ?
Zoná ieſt Uryaſza, Betſabe Jey Jmie,
Między wielą Płci białey, oná pierwſza w prymie;
Zacná z Męża y z ſiebie wdzięczná y dorodna,
Nie tylko Uryaſza, ále Krola godná.
Tego też właſnie trzeba było DAWIDOWI,
Jak żyr zdaleka poczuć głodnemu Orłowi.

Choć go ieſzcze nie zażył, leci ná ścierw śmiałek
Zwietrzywſzy że tam znaydzie do ſmáku kawałek.
Rzecz ta ukartowáná, Betſabe ſprowádzić,
Nieprzeſtał bies do ſkutku chwalić, ſzeptać, radzić.
Ze teraz czas potemu, y że dobra naſza,
Wziąć Betſabe, gdy niemaſz w Domu Uryaſza.
Jakoż Krol poſłał po nię, ſtawić przed ſię kazał,
Prędko chuć niegodziwym Cudzołoſtwem zmázał.
Czy wolno ci Dawidzie, przeciw prawu grzeſzyć ?
Cudzą właſność wziąć gwałtem, ſwe żądze nią cieſzyć.
Stało ſię zadość Ciału, á Duſza co pocznie ?
Gdy ſię DAWID zaprzedał nie na iedno rocznie
Więzienie, ale na to, co w ſobie zamyka
Długą wieczność, y mieyſce dla cudzołożnika.
Niewiedziałeś Dawidzie co to grzech śmiertelny,
Ze ci wydrze niewinność, wyłupi ſkarb dzielny.
Ze za krotkie momenta obmierzłey uciechy,
Piekielnego Wulkaná wznoſić muſiſz miechy.
Ale y ty Betſabe, godnaś kary ſłuſzney,
Ześ ſię myła w proſpekcie ſamołowki duſzney !
Gdyby ſkromność podzciwych żon w tobie mieſzkała,
Daleybyś od perſpektyw Pańſkich unikała.
Strzeżcie ſię odtąd kąpać w ſadzawkach Mężatki,
Czym wiełom Mężczyzn ná grzech daiecie zadatki.
Wam wſzyſtkim co ſię w rzekach pluſzczecie nie w
(Wannie,

Szpetnie

Szpetnie z tym, czy Mężatce, czy Wdowie, czy Pan-
Nieznáłaby potwarzy cnotliwá Zuzanná, (nie.
Gdyby nie ogrodowá myła ią Fontanná.
Zachęciła swym zimnym pryſkaniem ná ciało,
Aż z tych chłodow, dwoch Starcow w málignie zòſta-
Są teraz Starcy, ktorzy od głowy Sędziwi, (ło.
Ale od nog iak młodzi, tak zdrowi, tak żywi;
Widząc piękne ſtworzenie z zadrzewá wyglądá,
Zaś bliżey przyſtąpiwſzy czegoś więcey żąda.
Jeſt DAWIDOW nie máło co oczami paſą
Cudze żony, y ich ſię delektuią kraſą.
Nogi máłey, rąk białych, ſtanu upatruią,
Członki rozbiorą, żyłki anátomizuią
Po wypełnionym grzechu, piſmo czyni wzmiankę,
Ze DAWID wyſłał z Zamku Betſabe kochankę
Do Mężowego Domu, z zaczętym przypłodkiem.
Myśląc że ſię Uryaſz ucieſzy odrodkiem.
Jakoż wprędce Betſabe, wſkazała do Krola,
W iakie ią podeyrzanie wdała iego wola.
Mąż od kilku mieſięcy nie widział ſię zemną,
Jam bez niego zapewne zoſtała brzemienną.
Wſzak Krol wie co zá prawo w Zakonie włożone,
Ná nierządną, maiącą Męża, płochą żonę.
Taż y mnie kara czeka w wielką hańbę wſadzi,
Jeżli Pan ſwoią władzą temu nie poradzi.

Skoro

Skoro ta wieść wleciała do uſzu Dawida,
Co prędzey ſwoy Ordynans Joabowi wyda:
Zeby mu Uryaſza przyſſał bez odwłoki,
Niech ſię lekko wybierze, zoſtawi tłomoki.
Przybiegł zaraz poſłuſzny Uryaſz przed Zamek
Krolewſki, Pan ku niemu wychodzi ná Ganek.
Miłym go obłapienicm iak nigdy, przywitał,
O woyſku y o woynie, co za ſukces, pytał.
Ten też ile od ſtarſzych y od młodych wiedział,
Wſzyſtko Krolowi mądrze, roſtropnie powiedział.
Czeka, co mu Majeſtat má rozkázać ieſzcze,
Nikt nie wie, chyba by to zgadły Duchy wieſzcze.
Rzecze do Uryaſza DAWID: idź do Domu;
Wypoczniy ſobie z drogi, potrawy máło mu
Pomogą, kto ſię ſtrudził, wczas náylepſzym bywá,
Poſiłkiem, gdy podrożny ná łożu ſpoczywá.
Wyſzedł Uryaſz zá dźwi Pańſkiego pokoiu,
W podrożnym, tak iak przyſzedł, położył ſię ſtroiu.
Między drugiemi, ktorzy záwſze Paná ſtrzegli,
Ná ławach czy ná ziemi pokotem polegli,
Bo Uryaſz lubo miał Zonę, Dom przyſtoyny,
Przyuczon był z młodości do pracy, do woyny;
Nie bardzo dbał o łożko, o pierzyny, puchy, (chy.
Niechciał bydź wpiſan w regeſtr miedzy niewieściu-
Obudził ſię Krol rano, poſtrzegł Uryaſza.
Za drzwiami; więc go zaraz do ſiebie zapraſza.

Wypy-

Wypytuie z uśmiechem, czy ſpał dobrze z drogi,
Czy w domu ukurzone prochem obmył nogi?
Odpowie żołnierz ná to: miłościwy Panie,
Czy niegodzienbym zoſtać u Ciebie w náganie,
Gdy Arka Boſka w polu, Hetmán z ludzi wielą
W Namiotach, Ja mam w domú ſiedzieć pod kądzielą
Niedaj mi Boże tego; bydź ſpiochem, leniwcem,
Wolałbym żeby ziemia połknęła mnie żywcem
Wprzod, niżeli zaniecham za wiarę woiować,
Poki ſił ſtanie, poty nie myślę prożnować.
Owſzem mam taki umyſł, nie poſtać za progiem
Domu mego, świadczę ſię Tobą y mym Bogiem.
Poki Arka w Namiocie, Joab z Jzraelem
W Obozie, poty z Domem, z żoną ſię rozdzielem.
Uſłyſzał Krol z Uſt Swiętych cnotę heroiczną,
Ze Uryaſz Dom właſny z Betſabeą śliczną
Opuſzcza, dla przyſługi BOGA y Oyczyzny,
Gotow ginąć w młodości niepragnąc ſiwizny.
Tkwiał ten dyſkurs w Dawidzie, iak tarń zá paznogciem,
Długie chowá milczenie, głowę podparł łokciem.
Znał ſię dobrze ná cnotach, bo bywáł cnotliwym,
Y żołnierzem ná woynę nigdy nieleniwym.
Chwáli ſkromność; młodego roztrząſnął przymioty,
Cicho ſobie przypomniał troſk ſwoich obroty.
A gdy to przyſzło ná myśl, aż ſię zarumienił,
Ze Uryaſz w Dawida, Dawid w Saula zmienił.

Tu

Tu ſęk twárdy ná Krole, tu zawiły kłębek,
Jak ſumnieniu y Prawu dać razem pogębek.
Jedno zwierzchu katuie, drugie woła zdołu,
Niepożąday bliźniego żony, ani wołu.
Paſuie ſię Krol mocniey niżeli z Olbrzymem,
Wolałby mieć utarczkę nową z Filiſtymem. (a)
Trzech wnętrznych adwerſarzow cięſzko mu potopić,
Ni ſprzedać, ni święconą wodą, można ſkropić.
Boiazń BOGA to pierwſzy młot, do ſerca kuie,
Drugi Prawo Zakonne, Panu pokazuie;
Trzeci nayciężſzy, miłość, co gorſza nad Tygra,
Teráz obaczem z tych trzech, ktora ſtroná wygra.
Już wiemy że BOG przegrał ſprawę, u Dawida,
Wiemy że Prawo pogrzebł, iak więc mowią żydá.
Miłość zwycięſtwo wzięła, ná Tronie oſiadła,
Głowę w Koronę wciſka, żeby Jey nieſpadła.
Miłość przeklęta, ktora z tak dobrego Pená,
W krotce uczynić zechce zaboycę Tyraná.
Miłość cnotę czyſtości ſkaziła w DAWIDZIE,
Do czegoż ci ſplątany grzechem Krolu przyidzie?
Miłość tak wielkie ſerce w prożność uwikłała,
Miłość iedney Niewiaſty Monárchę związała.
Taćto wſzyſtkich wyſtępkow uczoná miſtrzyni.
Potentatow z ſił zwala, żebrakami czyni.

(a) Goliathem.

Ta to miłość co od nog niewolnikow pęta,
Przecie u wſzyſtkich miła, y u Panow wzięta!
Czyż máło dokazały Betſabei nogi,
Gdy oſtre do nog Krola przypięły oſtrogi.
Przebog co czyniſz Krolu? gdzież twe ſerce mężne?
Wymięniałeś go z grzechow, za mdłe niedołężne!
Niebałeś ſię Niedzwiedzia, Lwá, áni Olbrzymá,
Teraz cię cudza żoná ná włoſie utrzyma.
Nieſtraſzneć były woyſka, nieprzeyrzanych ſzykow,
Boś ſławy upatrywáł, nie nog, nie trzewikow.
Skoroś ſię wſzyſtek w młodey utopił żydowce,
Nie poradziłbyś pono ſzczypiącey cię mrowce.
Bynaymniey te natchnienia DAWIDA nieruſzą,
Serca odwroconego od BOGA nieſkruſzą.
Jeżli go ſkrupuł wnętrzny w humorze zaſmucił,
Co prędzey tę zawádę od ſiebie odrzucił,
A że grzech nie zwykł nigdy poiedynkiem chodzić,
Zawſze chce Aſsyſtencyi. kupy z ſobą wodzić.
W tym ſobie obiecuie pożyteczne żniwá,
Gdy za iednym ciągną ſię łáncuchem ogniwa.
Tak DAWID nie dopełnił w Cudzołoſtwie miary,
Przybrał ſię w okrucieńſtwa ſzpetnego maſzkary.
Nie dość to, cudzą żonę do Pałacu zwabić,
Trzeba Jey ieſzcze Męża niewinnego zabić.
Zaczął Krol piſać kartę, ledwie ręką władnie,
Nieraz mu pioro drżące od palcow odpadnie,

Choć lekkie, ále cięſzką Sentencyą piſze
Na krew niewinną, niedziw że ſię zakołyſze.
Kryśli przecie y każe Joabowi zaraz,
Oddawcę liſtu, w taki zaprowádzić taras.
Z kądby więcey niewyſzedł, álbo w ſzturmie zginął,
A więcey ſię Krolewſkim oczom nie náwinął.
W tym woła Uryaſza, pieczęci przyłoży
Ná piſmo, y ſam mu go DAWID w ręce włoży.
Jdź rzecze, do Hetmána, odday wiernie kartę,
Ze z moim Ordynanſem idzieſz, przeſtrzeż wartę.
Wyprawiony Uryaſz z okrutnym Dekretem,
Cieſząc ſię, że uczczony Krolewſkim Sekretem.
Z więkſzą byś Uryaſzu ſzedł w tę drogę ſkruchą,
Byś wiedział, że śmierć ſwoię nieſieſz za pazuchą.
O przeklęta fakcyo! o tyrańſka zdrado!
Wyſłałaś z Uryaſzem głownych grzechow ſtado!
Poſłuſznego Poſłańca, nie ieſt ſztuka zdradzić,
Ná proſtey drodze możná ſidła nań zaſadzić.
Jedną drogą Uryaſz z Jzaakiem idą,
Niewiedząc że ná mieyſce Ofiar ſwoich przyidą.
Obudwom śmierć gościniec ſmutnym ściele kirem,
Jzak idzie z drewkami, Uryaſz z Papierem.
Skoro Joab odebrał z rąk niewinnych liſty,
Czyta, widzi charakter Krola oczywiſty.
Zal mu zgubić człowieka, niewiadom przyczyny,
Znać prywatnie u Paná zaſłużył ná winy.

Rzecze do Uryaſza Hetmán, bądź gotowy
Jutro ná podiazd, teraz idź pod Námiot zdrowy.
Gdzie ci każę tam poydzieſz, godzinę w ktorąby
Powſtałeś, nie náznaczam, bo cię zbudzą trąby.
Czuły żołnierz w Obozię, śpi iak myſz ná bębnie,
Boiąc ſię zaſpać tylko mży, ná roſie ziębnie.
Co raz głowy podnoſi, ſwych Kolegow pyta:
Czy iuż zorza powſtała, czy rychło zaświta!
Zá ogłoſem trąb, kotłow, Uryaſz ſię ſtawi
Przed Joaba, ktory go kwadranſu nie bawi;
Ale tam ſtanąć każe, gdzie od Moabity,
Bez ſukkurſu Uryaſz był ſnádno zabity.
Co ſię ſtało, iuż Krol wie, bo czekał ciekawie
Wiadomości, o zgubie y morderſkiey ſprawie.
Jakoby z czym naylepſzym dał znać ſwey metreſie,
Ze Jey o śmierci Męża wieść weſołą nieſie.
Płacze niewczas Betſabe, ſtraconego Mężá,
Przeklíná miłość Pańſką, żal ią uciemięża.
Robak toczy ſumnienie! ná wierność przyſięgła,
Tey nieoſtrożność oczu Krolewſkich doſięgła,
Już nieżyie Uryaſz, wydany ná iatki,
Bierze DAWID po zmarłym obciążone ſpadki.
Bierz Krolu pokić wolno, cieſz ſię podarunkiem.
Wydartym, oddaſz z czaſem cudze z baſarunkiem
O amory bezecne! o własności cudza!
Jak was ſzatan ſubtelnym ſpoſobem ułudza!

Nic to kochać Mężatkę, nic to że ciężarná,
Nic Męża zabić kazać, wſzyſtko to rzecz marná.
Pewnie marná u Panow, zwaná bagatelą,
Gdy żonę z Mężem ślubem związaną rozdzielą,
Potym ſobie przyſięgną bez świadkow, Plebaná,
Modny Maryaſz, diabeł pozwolił dla Paná.
Tey mody zarwał Dawid, máiący dwie żony,
Sle po trzecią do łożka, czyli do Korony.
Gdzież ſię *Michol* podziele? Abigail wruci?
O iak ich ſprowadzona Betſabe zaſmuci?
DAWID Pan ſwoiey woli, Dawid co chce robi,
Co to ſzkodzi, że żonę trzecią przyſpoſobi?
Jle że go przymuſza gwałtowná przyczyná,
Bo mu w prędce Betſabe urodziła Syná.
Radość wielka w Pałacu, że ſię Syn urodził,
Chociaſz od lewey Ręki DAWIDA pochodził.
Jedná to krew w linij, tylko ta ochyda,
Ze przed ślubem urodzon z Betſabe, z Dawida.
Przybył Natan do Zamku ná walną publikę
Obrzezania Synaczka, nie ná piiatykę.
Nie po to, żeby przyniosł w prezencie ſzkatułę
Synowi, ále Oycu wytarł kapitułę.
Tylko że Mądry Prorok, dyſkretny ná grzechy,
Niechce w zły humor wpędzać Krolewſkiey uciechy.
Dla tego żeby złością złości nieprzydawać,
Sądząc że lepiey z grzeſznym łagodnie przeſtawać.

Więc

Więc zacznie z Krolem mowić Natan, dość zdaleka,
Osądź mi proszę Panie takowego człeka.
Ktory bogatym będąc, wziął gwałtem Owieczkę
Jedyną ubogiemu, iak włąsną Coreczkę,
Wychowáną ná łonie, wykarmioną chlebem
Ze stołu swego, teraz oświadcza się Niebem
W krzywdzie swoiey, czy słuszná żeby bogacz śmiele,
Karmił gościa wydartą, máiąc swoich wiele.
Rozgniewány Krol rzecze: nie trzeba w Bawełnę
Uwiiać, taki excess karanie zupełne
Mieć powinien ná życiu, kto cudze wydziera
A ile ubogiemu, niech śmiercią umiera.
Ozwie się ná to Prorok: weyrzyiieno w siebie
DAWIDZIE, czy niesłuży ta sprawá do Ciebie.
Czy nie tyś to ow Bogacz wziął *Uryaszowi*
Ubogiemu Owieczkę swemu żołnierzowi.
Nie przyszedłem do Ciebie z baykami, ni z żarty.
BOG mnię przysłał, żebym ci wyczytał iak z karty
Tak wielkie Dobrodzieystwá, ktorych sam nie zliczysz,
Czemuż mu zá nie dobrze ná wieki nie życzysz ?
Wieleż razy BOG Ręką swoią cię zasłaniał
Przed Saulem ? wiele razy od śmierci ochraniał ?
Długie bym musiał czytać tych łask katalogi;
Lecz się boię, by słowa nie padły w odłogi.
Ale żebym cię Krolu nie daremnie trwożył,
Chcę byś ná iedney Szali Łaski Boskie złożył,
Zdro-

Zdrowie, śiły, zwycięstwá, zbiory y splendece,
Dworzan mnostwo, roskoszy, wszelkie kontentece.
Włoż ná drugą *Betsabe*, coć w sercu ośiadła,
Włoż głowę *Uryasza*, co mu z karku spadła;
Doswiadczysz, ktora ná doł, ktora poydzie w gorę?
Dopiero w tenczas poznász swych grzechow strukturę.
Teraz wiedz, że BOG ieszcze niechcąc twoiey straty,
Mnię do Ciebie wyprawił z takiemi mándaty:
Dla poprawy występkow dlá wstydu w nierządzie,
Miecz w twym Domu ná długie Dziedzictwo ośiądzie.
Zdrętwiał DAWID ze strachu, drzy, febra go trzepie!
Zná to, że ulgnął, iako ptaszyná ná lepie.
Coż za sposob pozbyć się choroby z niewolą,
Tę poddać Doktorowi, tę w ptasznika wolą.
Dobył łez Krol ztroskany z serdecznego zrzodła,
Gdy go mowá Prorocka ná wylot przebodła.
Zgrzeszyłem, rzecze, *Panie, ach zgrzeszyłem Tobie!*
Ktoz tę winę z wiecznego karania wyskrobie?
Ach zgrzeszyłem! tyśiąckroć żałuię żem zgrzeszył!
Zem Ciebie BOGA gniewał, á Szatanam cieszył!
Obroć mnie Panie w popioł, zetrzey mnie ná Massę!
Byleś mnie nie poddawał pod wieczności prassę.
Ach ciężkoż moiey Duszy przywaloney grzechem
Postąpić, y do Ciebie Boże iść z pośpiechem!
Jeśli śię miłośierdzie Twoie nie użali,
Zginę! ieśli śmiertelney bryły z niey nie zwáli.

Ach

Ach zgrzeſzyłam! o iak mnie zboyca ogołocił
Ze wſzelkich ozdob, tylko własną nagość wrocił.
Z ktorą wſtyd przyiść przed Pańſkie y czyſte Oblicze,
Cnoty mnie porzuciły, ſame grzechy licze.
Miłoſierny BOG chociaſz rozgniewány, słuchał
Przeproſin Dawidowych, wnet ſię udobruchał.
Przepuścił przez Proroka wieczney kary ſmutek,
Lecz w doczeſney wypełnić chce ſwey woli ſkutek.
Dlá tego, że tak wieląm DAWID dał zgorſzenia,
Nieprzyiaciołom Boſkim do złego rzeczenia
Jmięniowi wielkiemu, Wſzechmocney Jſtocie,
Niech za to pokutuie w ſmutku, w czoła pocie.
Ze ma upodobanie w pierworodnym Synu,
Z *Betsabei* zrodzonym, iuż go śmierć z terminu
Nie ſpuści, umrzeć muſi, kocięta za płotem
Bywáią, ktore pierwſzym rodzą ſię pomiotem.
Niech nie idzie uporem, niech ſię uſpokoi,
Zawczaſu, żal po Synu ſtraconym ukoi.
Niechay Poſtow, Modlitew o to nie zaczyná,
Wſzak wie, iaka w Dziecięciu pokuty przyczyná.
Upokorzył ſię y w tym DAWID ſwemu BOGU,
Lubo poczuł ość w Sercu kolącego głogu.
Wiele ten czyni, ktory, choćby nie rád, muſi,
Tak DAWID poniewolnie żal w ſobie uduſi.
Ale nie tu przeſkoczył Krol zadaną metę
Za grzech ſwoy, że dał Syná śmierci ná waletę.

Cięż-

Cięższą mu plagą grożą y teraz y potem,
Ze z Domu miecz niewyidzie z ustawnym kłopotem.
Nadstawił DAWID grzbietu ná tęgie prasczęta,
Niech Pan biie poki chce, á niech nie pámięta!
Często do siebie mawiał, szepcąc tę przymowkę.
Cierp Dawidzie,boś godzien,zá owę to krowkę:
O iak nám cięszko znosić bicze, dyscypliny,
Gdy nas BOG Sprawiedliwy za słuszne przyczyny
Chłoszcze doczesną plagą, á z wieczney kwituie,
Znowu po ukaraniu do łaski przyimuie.
Jakoż po wytrzymániu prawie mąk Czyscowych,
Przypuszcza Pan DAWIDA do faworow nowych.
Nadgradza mu Synáczkiem z teyże *Betsabei*,
Z Obietnicą mądrości y wielkich nádziei.
O iakże się Krol zniżał, iak przed BOGIEM płaszczył?
Gdy go znowu pogłaskał,do siebie przywłaszczył!
Dość Pismo Swięte pochwał ogłosiło dzwonem,
Jakim był Syn DAWIDOW, zwany *Salomonem*?
Drugą pociechą Pan BOG cieszy swego sługę,
Dobyciem Miasto *Rabat*, gdy długą zeglugę
Joab zaczął, iakoby ná morzu bezdennym,
Lud znużony niewczasem y nocnym y dziennym.
Widząc że sam nie może poradzić Fortecy,
Wie że Krolow Osoba mocnieysze má plecy;
Jdzie sam *Ioab* wezwać pomocy od Paná,
Dobądź ty Krolu, kiedy cięszko ná Hetmáná.

Długo widzieć nie dadzą potym ſię promienie
Rozpuściwſzy, każde ſię ucieſzy ſtworzenie.
Tak woyſko ſkoro uyrzy, że Krol na koń ſiędzie,
Każdemu ſerca więcey do woyny przybędzie.
Narazić mu ſię miło, nie ná raz, nie ná trzy,
Kiedy oko Monarchy ná żołnierzow patrzy.
W kilka dni tryumfuie nad wziętą *Rabbatą*,
Wielkie ſkarby wynálazł z máłą ludzi ſtratą.
Powrocił w Wieńcu z Lauru do Jerozolimy,
Pełen świat Jego zwycięſtw, w bezmierne eſtymy.
Co náydroższego zdobył, co pięknym oſądził,
To wſzyſtko ná przybytek przyſzły rozporządził.
Jak pſzczoła pracowita, ná nowo ſiedliny
W ul nowy znoſi kwiaty, ná miod, ná woſzczyny.
Nie dowierza BOG więcey krewkości ułomney
DAWIDA, y náturze do zgrzeſzenia ſkłonney.
Trzymá go w dzień w munſztuku, w nocy w uzdziennicy,
By nie brykał, ieſzcze mu przyda włośiennicy.
Gdy ſzczęście w alternátę poydzie z kłopotami,
Mocniey ſię BOGA chwyciem obomá rękami.
Niech że nas ſama roſkoſz w zbytku ubeſpiecza,
Tyle ſprawi, iakby dał ſzalonemu miecza.
Tak DAWID przeplatáne ſzczęścia kołowroty
Kręcić muſiał, na iakie Los przypadł obroty.
Raz pomyślne odbierał fortun powodzenia,
Drugi raz ſzło oporem wſzyſtko, iak z kamienia.

Po dobrym więc Jarmarku złe bywaią targi,
Po ciepłych dniach, nastaią zimná, wichry, szargi,
Po tryumfach przegraná, po weselach smutki,
Teć są życia ludzkiego w całym wieku skutki.
Bo ledwie DAWID w Domu z drogi twarz omyie,
Dochodzą go po pięknych, szpetne historye.
Pod *Rabbatą* cieszył się zwycięstwem, Proroctwem,
Tu zasmucon nowiną, szpetnym kazirodztwem.
Zkąd poszło;że z rożnych żon, miał Krol wiele dzieci,
Zmieszały się z Perłami motłochy y śmieci,
Dobre iabłko zrodziła szczepioná Jabłonka,
Z Leśney zaś cierpka, kwaśná, chropowata płonka.
Znáć że *Amon* Syn pierwszy zrodzon z dzikiey gruszki,
Nim DAWID Krolem został, gdzieś dopadł kopciuszki.
Spłodził takiego gbura y prostego Dziaka,
Ktory miał obyczáie grube parobczaka.
Maiąc Siostrę *Tamarę* ále z inszey Matki,
Obraz to był piękności y kształtny y gładki.
Musiał Dawid ná ten czas bydź w dobrym humorze
Gdy się *Tamar* poczęła iuż ná Jego Dworze.
Długo oczy obracał *Amon* za *Tamarą*.
Jak słonecznik za słońcem, ale żadną miarą
Nie mogł ználeść sposobu z tym się Jey ogłosić,
Ze ią chce do Pokoiu swoiego zaprosić.
Wyschł *Amant* iak szczepa, chociasz nierad pościł,
Dobrowolne suchoty z swey woli urościł.

Gdy go nie ieden ſpyta, *czemuś Krolewiczu*
Zniſzczał, wychudł, ſpaſzował, ná pięknym Obliczu.
Przyznał ſię Konfidentom, że, *miłość ku Sioſtrze*
Iak z pokuſami ſwoie płomienie rozpoſtrze
Czuię ią w żyłach, kościach, czuię w Ciele, w Duſzy,
Kogoż taka choroba mocná nie uſuſży.
Sen ſnem nazwać nie mogę, bom zawſze w Hektyce,
Krew burząca wyſadza rubiny na lice.
Lepieyby mi z tym było żebym zaraz zamarł,
Zebym zginął, niżeli częſto widział Tamar.
Szatan mu też dał radę uczynić ſię chorem,
Zeby Sioſtra ieść Bratu przynioſła wieczorem.
Jakoż tey ſztuki zażył, chytrze ſię obrocił,
Krotko mowiąc, że czyſtą Pannę zeſromocił.
Patrzył DAWID ná ten grzech przez palce, przez ſzpary,
Niedał *Amnowi* takiey, iak zaſłużył kary.
Kochaiąc go zbytecznie że Syn pierworodny
Ale zły, niepodciwy, katowſkich rąk godny.
Absalon Brat rodzony *Tamar* z Matki, z Oyca,
Myśli iakby *Amona* nápędzić do koyca
Za wyrządzony afront niewinney Panience,
Ułożył, obciąć nogi, á połamać ręce.
Całe dwie lecie ten żal tkwiał u *Absalona*,
Niemogł ſtrawić że Sioſtra w honorze ſkrzywdzoná.
Ze DAWID tak bezecny wyſtępek nie zganił,
Ten ſztylet uſtawiczny Bratnie Serce ranił.

Y iuż dłużey nie mogąc táić w worze ſzydła,
Chce żeby zemſtę wzięła niecnota obrzydła.
Y kiedy Oyciec Syná zá gwałt nie ukarał,
Będęż ia ſię za wziętą ſławę, zemścić ſtarał.
Sprawił Bankiet *Absalon*, proſił wſzyſtkich Braci,
Trzymá ſekret, że *Amon* tey uczty przypłaci.
Ktoremu zdrowia życząc częſtemi Kielichy
W zanádrzu miał do życia krotkiego wytrychy.
Bo ſkoro ſobie *Amon* podpił po obiedzie, (dzie;
Smierć mu proſtym gościńcem w bok z oſzczepem wie-
Zoſtał trupem ná mieyſcu, zapomniał o ſkruſze,
Wytoczył krew za wino, á za *Tamar* Duſzę.
Zrobiwſzy tę robotkę, *Absalon* ſię chroni,
Krew Braterſka wſzędzie go doſięga, dogoni.
Porzucił Dom Oycowſki, ſtrach przez niego pika,
Szuka ſłużby żołnierſkiey u Geſsureyczyka.
Tu BOG cięſzkim táranem DAWIDA uderzył,
Poznał, że mu *Uryasz* w ſtrych miarą odmierzył
Za zabicie niewinne, za ſprzątnienie z świata,
Ma też Synow zaboycow, gdy Brat zabił Brata.
Ale Krol iako mądry poſtrzegł, że ſam winien,
Czemu Syná nie ſkarał, iako był powinien,
Za grzech ćieleſny, zá złość, co Sieſtrze wyrządził,
Sam ſię bydź winnym Dawid przed Panem oſądził.
Mácie przykład Oycowie iak to Syná pieścić,
W ktorych ſię wiele zbrodni łatwo może zmieścić.

Czy to on pierworodny, młodſzy, czyli średni,
Dać mu kiedy zaſłużył ſto plag zá ſuchedni.
Częſto grzechy Synowſkie ná Oycow wołaią,
Ze zá nie niekarani w Piekle nárzekaią,
Częſto Ociec za Syná ſwey ſkory nádſtawi,
Gdy młodzik ná Amorach, piiańſtwie czas trawi.
By był Krol krotko trzymał obudwoch ſwych Synow,
Nieprzyſzłoby im było do takich terminow.
Ze też pociechę z pieſzczot maią Matki z Oycy,
Ze z iednych Cieleśnicy, á z drugich zaboycy.
Studził krupy *Absalon* po za cudze węgły,
Nie śmie nátrzyć ku Domu, by go niedośięgły
Oycowſkie ręce, zá mord zabitego Brata,
Błąkał śię iak Kruk nocny przez całe trzy lata.
Szuka rożnych ſpoſobow iak ſerce uchwycić
DAWIDA, iak podchlebić, iako w dzień przyświecić
Mowiąc wſzyſtkim, że tyle fortun w życiu liczę
Bym Oyca kochanego oglądał Oblicze.
Zmiękczyły Krola prędko cukrowe łakotki,
Odpuſzcza grzech Synowi, alić mu w czas krotki
Przyść przed ſiebie roſkazał z Senátorow gronem,
Zbył wſzyſtkiego za iednym przy nogach ukłonem.
Lecz co śię urodziło łyſo, łyſem zginie,
Tak *Absalon*, bo ſkoro gniew Krolewſki minie,
On fakcye wyrabia, buntownikow zbiera,
Siebie Herſztem tey zgraie ſwywolney obiera.

Umiał

Umiał uymować Serca wſzech gatunkow ludzi,
Jednych uniżonością do affektow wzbudzi,
Drugich karmi y poi, iak lis ſię ułoży,
Gdzie zaś widzi potrzebę, tam workiem dołoży.
Niebawiąc woyſko zebrał cicho z tą umową:
Ze kiedy mieć roſkaże partyą gotową,
Tam ſię ruſzyła, y tam ſtanęła w te ſtopy,
Gdzie iey ſypać ná Oboz náznáczy okopy.
Maiąc rzecz pogotowiu czyni ſię świętoſzkiem
Pontnikiem, włoczykiiem, álbo liży Bożkiem.
Wilk drapieżny pod ſkorą cichego Baranka,
Iezabal piękná z twarzy, á z ſerca tyranka.
Tey *Absalon* ná zdradę Oyca zażył Maſki,
Proſząc żeby mu ſwoiey nieodmowił łaſki,
A pozwolił do Hebron iutro iść piechotą,
Z niektoremi Oſoby y z tablicą złotą.
Bom w czaſie gniewu twego to wotum uczynił,
Pokutowáć w Hebronie za to, com przewinił.
Gdzie ſtanąwſzy, naypierwey Oycze twoie zdrowie
BOGU oddam, oraz Cię kochać poſtanowie.
Ktoż by tak Swiętey drożki niechwalił Synowi,
Owſzem Krol miłość w ſercu ku niemu odnowi
Mowiąc: idź *Abſalonie* niech Cię BOG wyſłucha.
Niech grzech zgładzi, niech ſwego użyczy ci Ducha.
Tu ſię prawdziwy Obraz ziawił Hipokryty,
Pod płaſzczykiem Pielgrzymá czart dyſzy ukryty.

Alboż on niećwiczonym od tylu lat frantem?
Wie z iakim má ná odpuſt iść peregrynantem.
Zná on, po co kto idzie, bo go tam ſam zwabił,
Zeby iadł, pił, tańcował, y kogo oſzwabił
Z cnoty, z życia, z pieniędzy, o nárowy ośle!
Ręce w cudzą kieſzenią, oczy w Niebo pośle.
Są też y Dewotiſſe, co na mieyſca święte
Biegaią, nioſąc z ſobą w ſzarzyznách ponętę;
Ażeby im ſłużyła krytyka zupełnie,
Możná mowić: że mole rady ſiedzą w wełnie;
Rożańce, to Koronki, uſtawiczne w uſtach
Trzepią, iak wietrzne młyny, kiedy ná Odpuſtach.
Niechże przyidzie do Domu, aż ile pacierzy
Sklepała, tyle Diabłow korcami odmierzy.
Inne ná Odpuſt chodzą z iednego ná drugi,
Zeby w dom powrociwſzy, miały ná czas długi
Materyą obmowiſk, z wzięciem ſławy rożnych;
Otoż to nabożeńſtwo Dewotek podrożnych.
Takież to Dewocye twoie *Absalonie*
Bydź máią BOGU miłe, złożone w Hebronie?
Jakieś ná Ołtarz Pańſki przynioſł z ſobą mięſa,
Takaż będzie Ofiara y taka dyſpenſa.
Alboż to BOG twoiego ſerca nieprzeniknął?
Ześ ſię zkonfederował y na Oyca ſpiknął.
Pamiętay że takowe dzieci chleba proſzą,
Co ná Rodzicow rękę zuchwale podnoſzą.

Poſzedł

Poſzedł *Abſalon* w drogę, woyſko w kupę ściąga,
Do Głowy DAWIDOWEY po Koronę ſiąga.
Bo ledwie że w granicach Hebron ſtanąć zdołał,
Zaraz ſię Jzraelſkim Krolem bydź obwołał.
Jdzie z woyſkiem zebranym ſam ku Jeruzalem,
Słucha Dawid niemiłych nowin, z wielkim żalem,
Ze y Oycem y Krolem będąc w godność pierwſzy,
Syn go z Páńſtwá wyrzuca, niby zabę z wierſzy.
Przyſzło ná to, że on Pan lat ſześćdzieſiąt maiąc
Ucieka w nocy boſo, iak przed chartem zaiąc.
Obáwia ſię wpaść w ręce kochanego Synka,
Sztuk w ucieczce zażywá, wyſadza kominka.
Niechodzi bitym traktem, by niebył zabity,
Zawſze mu w głowie tkwiały z Uryaſzem kwity,
Co wſpomniał, to łzy toczył, niech BOG karze puty,
Aż zupełne za grzech moy wypełnię pokuty.
Płaczą nad nim Kapłani y nie iedna żona,
Ale ci wziąwſzy Arkę ná ſwoie ramiona,
Nioſą ią za Dawidem, mowiąc: gdzie oſiędzieſz
Tam nas y ſkrzynię Pańſką mieć przy ſobie będzieſz.
Weſtchnął Krol ná ich ſłowá, ſerce w nim umarło,
Duchowni zaś niewiedzą, co ſię w tym zawarło,
Ze zamiaſt Dawidowey pociechy łzy widzą,
Czy to źle uczynili ? trwożą ſię y wſtydzą.
Aż kiedy im Krol rzecze: miłe Duchowieńſtwo
Czegoż za mną noſicie to Błogoſławieńſtwo ?

Ktore-

Ktoregom nie ieſt godzien, żeby poſzło ze mną,
  Bo grzechy moie chodzą za mną y przedemną.
Jeżeli mi BOG powie: że DAWIDZIE, iużci
Dobroć moia zaległy kapitał przepuści,
  Y gdy mi miłoſierdzie tę pioſnkę zanoci,
  Ze Dawid ná Kroleſtwo znowu prętko wroci.
W ten czas dopiero będę koło Arki ſkakał,
Łzy otrę, twarz omyię, zapomnę żem płakał.
  Gdy zaś z gory powiedzą niepodobaſz mi ſię,
  Gotowem Tron porzucić á wleść w iamy liſie.
Niech czyni ze mną co chce Pan y BOG moy dali!
Wolno mu, niech go ze mną wſzyſtek żywioł chwáli!
  Wy ſię wroćcie Kapłani názad z ſkrzynią Bożą,
  Ja w Jmię iego poydę w dalſzą mą podrożą.
Zoſtawiwſzy przy ſobie co z ludzi woiennych
Dla obrony przypadkow iak nocnych tak dziennych,
  Przeſzedł przez Rzekę Cedron ku gorze oliwney
  W ciężkim ſerca uciſku, żałośći przedziwney.
Łzy krwawe z oczu ſączy, y pot takiż z ciała,
Lęka ſię, czego ieſzcze po nim, będzie chciała
  Wſzechmocna wola Boſka, nikt ſię niewykicha,
  Komu gorzkiego zażyć roſkaże kielicha.
Poſtępuie ná gorę DAWID weſoł częścią,
Kiedy mu Semey w drodze zaſtępuie z pięścią;
  Ktorą ledwie nie do uſt Krolewſkich podſunie,
  Y w twarz godną uczczenia, co tylko nie płunie.

Stánął Krol zadziwiony, ten mu pod nos dmucha,
Oczy ſpuścił, pokornie ſłow zelżywych ſłucha.
Niewyparzoną gębą niby żądłem oſa
Utnie go, nie iak ſtarca, ale iak młokoſa.
Dobrze ci tak zaboyco, y cudzołożniku,
Ze piechotą uciekaſz, á nie ná koniku;
Strąciłes Saula z Tronu, Ciebie też Syn kłuci,
W tym Semey porwał kamień, ná Dawidá rzuci.
Zdięci gniewem zołnierze chcąc w ſztuki rozſiekać
Zuchwalca, ále im Krol roſkazał poczekać,
Mowiąc: daycie mu pokoy, bicz to Boży śmiga
Dawida, ten mnie zewſząd wypędzi, wyściga.
Czy nie tyś to Dawidzie w CHRYSTUSA figurze
Cedron przebywſzy, ſtanął ná oliwney gorze?
Kiedy ſię krwawym potem iako marmur pocił,
Nie Semei, lecz Judaſz zelżył go, wyſzpocił
Tyś zakazał żołnierzom mścić ſię nád złym łotrem,
CHRYSTUS ſię też umáwia za Małchuſa z Piotrem.
Na ciebie ieden biczyk, ieden kámyk leci,
CHRYSTUSA wſzyſtkie chłoſzczą Adamowe dzieci.
Ja wchodzić niechcę w głębią niebieſkich wyrokow,
Bo te rzeczy BOG przez ſwych ogłoſił Prorokow.
Mnie ſię tak tylko widzi iak za umbrą świca,
Ze Dawid Meſsyaſza przyſzła taiemnica.
Abſalon mi ciekawość nie małą zoſtawił,
Co dalcy z Oycem czynił, y nad czym ſię bawił?

Ale kto źle zaczyná, zrzadka dobrze kończy;
Kto się sam z cnoty obdarł, niegodzien opończy.
Niemyślę go ochronić, ale ná sztych wydam,
Ni się za czyie błędy uymę, ni zawstydam;
Raczey wytchnę ná widok niecnotliwe Syny,
Ktorzy Rodzicom daią do gniewu przyczyny.
Gdyż Absalon iak swoy wiazd odbył tryumfalny
W Jeruzalem, pierwszy Akt zaczął kryminalny,
Napadszy żony Oyca, á swoie Macochy,
Gwałt im czynił publiczny odszczepieniec płochy.
Dano znać Dawidowi co się z żonmi stało,
Ledwie co serce w starcu w poł żywe zostało.
Azáż nieprorokował Natan o tym wcześnie,
Co się stało ná iawie, iam to widział we śnie?
Osłabiał Krol strapiony, taczaiąc się stąpał,
We łzachby wszystek siebie iak w Cysternie skąpał.
Ná tożem was nieszczęsne dzieci ná świat spłodził?
Tak narzekaiąc: ręce załamawszy, chodził.
O plemie niecnotliwe! o rodzie iaszczurczy!
Wymowiwszy te słowá, sam się w kłębek skurczy,
Z resztą żalu na ziemię iak snopek upadnie,
Zęby ściął, oczy zamknął, iuż sobą niewładnie.
Bogdayże takich Synow śmierć brała z kołyski!
Nim do głowy Oycowskiey siągną czyniąc spiski.
Nim ręka w kieszeń Oyca potrafi się zmieścić,
Poty z Synaczkiem można poigrać, popieścić.

Częſto płaczą Rodzice, długo ſerce ſmucą,
Gdy naykochańſzym dzieciom Parki życia ſkrocą.
By wiedzieli ná co ie BOG przezorny ſprząta,
Szczęśliwe niewińniątko! nim go grzech uplata.
Jak zmotał Abſaloná ſpoſobem paiąnka.
Od cienkiey ſiatki przyſzło do łyka, poſtronka
Nieprzylgnęła łagodność do twardey opoki,
Przeklęctwo ſię Oycowſkie chwyciło bez zwłoki.
Bo lubo był cierpliwy Krol, y wiele znoſił,
Lubo pomſty ná Syná od BOGA nieproſił.
Coż? kiedy ſprawiedliwość nád dobroć przebraná,
Przyprowadzi do gniewu naylepſzego Pana.
Jle że bez nádziei poprawy grzeſznika,
Do twardouſtey ſzkapy takowych przytyka.
Sam Dawid w Pſalmie ſwoim przeniknął, że taki
Syn iego będzie, máiąc do zginienia znáki.
Częſte nowiny Joab do Krola wyprawia,
Nad iaką ſię robotą Abſalon zabawia.
Wſzyſtka myśl obroconá iakby Oyca zgubić,
Jak Krolem Jzraelſkim w Koronie ſię chlubić.
Jak woyſka co raz więcey do niego przybywá,
Przez co y mnie y twemu Rycerſtwu ubywá
Ochoty, kiedy Krolu ná to wſzyſtko chrapiſz,
Ni radą, ni roſkazem znieść go niepokwapisz.
Chyba czekaſz, aż cię Syn ná mieyſcu przydybie,
Y rzecze: tuś mi teraz opleśniały grzybie!

Niedłu-

Niedługo tego czekać, ia nowiny ſkrucę,
Tylko wiedz, że y ciebie y woyſko porzucę.
Więcey ſię Krol Hetmaná z wziętych gazet wſtydził,
Niżeli złość Synowſką oczywiſtą zbrzydził.
O miłości! ſłuſznie cię maluią málarze
Slepą, bo wſzyſtko dobrze widzą w twey maſzkarze.
Przymuſił DAWID rękę z wolą do podpiſu,
Choć ſię wzdryga danego ná plancie abryſu.
Zeby do niego Joab dla rady przyiechał,
A myśli deſperackie w Obozie poniechał.
Jeżli ſam czaſu niemá Joab ná me liſty
Przybydź, niechayże ſłucha Officyaliſty,
Co odemnie przykaże, byś ſię iak mogł, bronił,
Byleś mi Abſaloná przy zdrowiu ochronił;
O co cię raz y drugi y potrzecie proſzę,
Uymuy młodego zrzebca wędzidłem potroſzę,
Jak mu przypnieſz popręgow, y zażyieſz śmiało,
Nie będzie umiał brykać tak, iakby ſię chciało.
Spotkał ſię Joab z Woyſkiem Abſaloná licznym,
Zwątlony lud od raná boiem uſtawicznym.
Padło trupem ná placu Dwadzieścia tyſięcy
Z Partyi Abſaloná, choć ich było więcy
Niźli z Joabem, ale BOG ſzyki pomylił,
Gdy ſię Syn przeciw Oycu z potęgi wyśilił,
Ledwie ſam uciekł z woyny ná leniwym mule,
Dobrze że w ſtrachu niezbył ná drodze koſzule.

Bieżał z oburącz biiąc nierozumne bydle,
Ni śię ſpodział uwięznąć ná gałęzi w śidle,
Ani by był tak prędko ná tamten świat kwapił,
By przewiedział że go Dąb za włoſy ułapił.
Bo máiąc bardzo piękne y długie kędziory,
Puścił ie wolno iadąc przez zaroſłe bory,
Spodobała śię drzewu fryzura z tuperem,
Uchwyciło za loki, muł wybiegł z impetem.
Pogoń ktora wziąć chciała Abſaloná żywo.
Napadła ná to w leśie nieſzczęśliwe dziwo,
Że młodzian uśidlony wiśi ná gałęzi,
Poczekawſzy, y życie y duſzę uwięźi,
Dali znać Joabowi, co widzieli w leśie,
Rozgniewany, złaiał ich za tę boiaźń, że śię
Żaden niechciał ośmielić, grotem dać przez ſkrònie,
Co má wiśić ná drzewie, w wodzie nie utonie.
Pewnie was odſtraſzyła proźba nierozumná
DAWIDA, żeby głowá Abſaloná dumná
Y Oycem y Kroleſtwem y woyſkiem rządziła,
Potym námi iak wołmi, wprzągſzy w pług robiła.
Widzę że wam intereſs ſolą oczy natarł,
Raczey by śię tu każdy ſwey Oyczyzny zaparł,
Niż Syná Krolewſkiego tknąć, choć on nás łupi:
Na wydarcie wolności cudzy narod kupi.
Ja śię czuię prawdziwym Synem Jzraela,
Otoż ſam ieden idę ná nieprzyiaciela.

Tego, ktory y Oyca y Rzeczpospolitą,
Má za cyfrę, wnet doydę sprawy z hipokrytą.
Jedzie Hetman, kędy go prowádził przewodnik,
Widzi las tak krzewisty, iako letni chłodnik,
Zaledwie kilkadziesiąt krokow z brzegu ruszył,
Postrzegł, że się Absalon ná gałęzi suszył,
Postąpiwszy pod niego, trzemá strzałmi razem
W samo serce zasadził hartownym żelazem.
Czyż niedosyć Hetmánie było iedney strzały?
Wszak tylko iedná Dusza nie trzy tam mieszkały.
Gdy tę zawádę sprzątnął Joab, wlot się wrucił
Do woyska, po Obozie nowiny rozrzucił,
Ze Absalon zabity, że więcey nie żyie,
Niech odtąd pokoy będzie, niech się nikt niebiie.
Wskorałżeś Absalonie, coś włosy rozpuścił,
Ale bardziey sumnieniu zbyt cugle wypuścił,
Smierć ci też wolność dała, żeś się nákołysał,
Nim Joab likwor życia, z serca niewysysał.
Trzebaż tu wielu Synom ostrożność zachować,
A codzień przykazanie ná palcach rachować.
Na czwartym, gdzie utratą Łaski Boskiey grożą,
Ktorzy nie czczą Rodzicow, niech się słusznie trwożą.
Alboż to nie prawdziwe przykładow Zwierciadło?
Jakie na Absaloná ukaranie spadło,
Darł się Oycu do Głowy, drzewo się zemściło
Krzywdy Oyca, bo go wprzod za głowę chwyciło.

Trzy ſtrzały ktore ſerce Abſaloná bodły,
Wytknęły grzech troiſty, y Geniuſz podły.
Że nieiako Krolewic ále iak Syn kmiecy
Podał pod grube plagi twardey ſkory plecy.
Pierwſza ſtrzała za Oyca, á druga zá brata,
Trzecia w moim umyśle ná powietrzu lata.
Przypomnę ſobie zaraz, odpocząwſzy trochy,
Ale podobno za to,że zelżył Macochy.
Tać to Mądrość Przedwieczná,Dobroć niepoięta
Puſzcza nás ná ſwobodę iak lotne ptaſzęta,
Lecz nie ná to żebyśmy złotą wolność zanic
Ważyli, wybiegaiąc z przykazania granic.
Jeźli cię Synu Ociec ſympatycznie lubi?
Niech ſię twoia wynioſłość naymniey tym niechlubi,
Bo co czyni, to z ſzczerey miłości ku Tobie, (bie.
Za coś powinien wdzięczność wieczną wzbudzać w ſo-
A iak to wſzędzie bywá, gdy ſię co náygorzey
Dzieie, tam z nowinámi przybiega co ſkorzey.
Tak ktoryś kruk przyleciał, poſzepnął do ucha
Krolowi, że Abſalon iuż wypuścił Ducha.
Porwał ſię Dawid z krzeſła, ſzárpał włoſy ſiwe
Płacząc mowił: o lata moie nieſzczęśliwe!
Tożeście mnie w obroty wzięły bez wytchnienia,
Przyśliycieſz kiedykolwiek godzinę ſpocznienia.
O Synu Abſalonie, o krwi moia właſná
Za coż ci do ucieczki droga była ciaſná.

Jzaliś niemogł wołać: ſtoy Joabie śmiały,
Obacz ktom ieſt, á wnetby ręce mu zdrętwiały.
Doſzły ſłuchy Hetmaná, że Krol nudził, zrzędził
Poſzedł lubo znudzony przecię nog nieſzczędził,
Wprzod Paná ſwego uczcił w powinnym ukłonie,
Potym ſię ku łożkowey przyſunął zaſłonie.
Rzecze: o coż to płaczeſz Krolu, o co idzie?
Wybacz mi, co ci powiem, zbyt dobry Dawidzie,
Zdzieciniałeś, ſam niewieſz, o co zrzędziſz, ſzlochaſz,
Znáć więcey Abſaloná nád Oyczyznę kochaſz.
Mnieyſzaby nád Oyczyznę, byle nie nád BOGA,
Byłaby niegodziwá w tym ſercu załoga,
Ten co przez Rebellią Kroleſtwo ozionął,
Ty chceſz, żeby ná niego zły wiatr niezawionął.
Zápomniałeś, iak cię BOG ſkarał zá Amoná,
Bądź pewien że cię ſkarze y za Abſaloná.
Niech byś kochał iak Ociec, a iak Sędzia ſądził,
Kto wykroczył ſkarać go, zganić kto pobłądził.
Godzienbym pochwálenia żem ſię tak zakrzątnął.
Gdym Twego y Oyczyzny przeciwnika ſprzątnął.
Ty byś powinien názwać dniem pełnym weſela,
W ktorey BOG dopomágał znieść nieprzyiaciela.
Gniewaj ſię Krolu iak chceſz, mow: idź precz Joabie,
Ja niebędę wyſtępkow obwiiał w iedwábie,
Hetmánem málowanym, bydź, więcey o ſławę
Dbam, niżeli o reſpekt y złotą Buławę.

Nakoniec patrzay Krolu ná ostatnie kołka,
Zebyś się nieopuścił iako ta Jaskołka,
Ktora o przyszłey zimie nie myśląc, ni kąta
Szuka sobie, y Dzieciom, w Jeziorach się pląta.
Jak woysko chorągiewki zwinie, poydzie w strony,
Ty bez sił tak zostaniesz iak ptak obarczony.
Przezimować niemasz gdzie, ná lato wysadzą,
Ledwie iaką lepiankę do mieszkania dadzą.
Rady moiey posłuchay, pokaż się ludowi,
Jakbyś dał Plastr Samsonow, tak Jzraelowi
Słodkie będzie widzenie swoiego Monárchy?
Jakby obraz Abrama mieli Patryarchy.
Rad nierad wyszedł Dawid ná Teatrum w pole,
Jednych cieszy że zdrowy, drugich w oczy kole,
Mianowicie tych zdraycow, co śię zbuntowali,
Z Absalonem ná życie Krola czatowali.
Wraz wszyscy położeni Rycerskiego Stanu
Oddali posłuszeństwo pod przysięgą Panu,
Ktory się zaś do grzechu czuł, pokornie prosił
Odpuszczenia, przed Krolem ręce w gorę wznosił.
Poznał z nich wielu Dawid, co im więcey wierzył
Nad innych, przecię za to kary niezamierzył
Zadnemu, tylko czasem westchnął myśląc sobie,
Tych coś kochał Dawidzie byli przeciw Tobie.
Jakoż to rzecz naycięższa do zniesienia trudná
Ufać komu, kochać go, w nim przyiaźń obłudná.
O iak

O iak nas tacy często ná ſidła ułowią!
Co nam moy Przyiacielu, powierzchownie mowią.
Ja rozumiem, że oni muſzą mieć dwie Duſze,
W chytrośći wyćwiczeni źli Faryzeuſze.
Jedną bliźniego kocha, drugą nienawidzi,
BOG ſię oboiętnością tákich zdraycow brzydzi.
Koley ná Semeiego, przeproſin przypadła,
Skręcił ſtę czym przypłaci ziedzonego ſadła,
Oczu nieśmie pokazać przy drzwiach z Publikanem,
Pierſi tłucze nie pięścią lecz wſtydu taranem.
Pięścią nie dawno pod nos Krolowim nákiwał,
Kamieniem nań rzuciwſzy, zelżywiem przezywał.
Cięſzkoż tu zbydź z drugiemi prożbą y ukłony (ny.
Grzech moy, náypewniey czekać,że mnie ziedzą wro-
Záprawdę ſtrach przeymuie, krew ſię wſzyſtka wzburzy
W tym, ktory możnieyſzemu nád ſiebie zaſkurzy.
Szpetnie mu zayrzeć w oczy, nic mi źle nieczynił,
Jam go Cudzołożnikiem, zaboycą obwinił.
Ale wiem co uczynię, mowi Semey w ſtrachu:
Jeſzcze nikt Krolewſkiego niepoczuł zamáchu,
Choć ſię ná winowaycow ſwych ręką zamierzył
Przecie nikogo plagą ná śmierć nie uderzył.
Poydę proſto do niego na twarz przed nim padnę,
Ze mi winy odpuści nieomylnie zgadnę.
Dobrego to Pan ſerca miłoſiernie ſądzi,
Bo ſię miłośćią bliźnich nie cholerą rządzi.

Y dobrze ſobie Semey poradził, nie ſzukał
Jnſtancyi, do Krolewſkich drzwi śmiele zapukał.
Dawid rzekł: wnidź kto ieſteś, powiedz czego żądaſz,
Zapewne ſkutek łaſki w ſwey proźbie oglądaſz.
Wpadł żyd iako ſzalony, Nog ſię Pańſkich trzymáł
Poty, poki Odpuſtu grzechom nieotrzymáł.
Ktożby taką pokutę od ſiebie odrzucił?
Kiedy Syn marnotrawny do Oyca powrocił.
Wyſzedł z weſołą miną od Krola Semei,
W lepſzey niźli o wakans obietnic nádziei,
Wſzyſcy co tylko byli przed Pańſkim pokoiem,
Wylecieli przed Zamek zá Semeim roiem.
Jedni krzyczą rozſiekać śmiáłego Jntruza,
Drudzy niewypuſzczać go, bez znácznego guza,
Jnni ubić kamieńmi, inni na pal wſadzić,
Więcey nád pięćſet Mężow ięło o tym radzić.
Krol ſłyſząc rozruch w Zamku, wlot okno otworzył,
Zaleca, proſząc żeby iuż każdy umorzył,
Cokolwiek Semey zgrzeſzył, iużem mu darował,
Daruycie y wy, kiedy ſerdecznie żałował.
Scierpieć tego niemogę, rzecze DAWID, żeby
Krwią ludzką pomázane zwycięſtwá potrzeby
Honor nám przynoſiły, raczey złośći notę,
Ze za wielu winnieyſzych ſtracono lichotę.
Pańſkać to cnota mogąc mścić ſię ſwey urazy,
A nie mścić, ni wyſtępnym miotać w oczy głazy.

Mieć Prawo, á nie ſądzić tyrańſtwá Rygorem,
Miecz noſić, á nieścinać nim, ani Toporem.
Nayſnadniey Panu zgubić ſłabſzego nád ſiebie,
Ktory ſię ani prawą, ni lewą odgrzebie.
To ſztuka, być lwem mocnym, á ſchować pazory,
Ná kozła nikczemnego, nieſzarpać mu ſkory.
O cnoto wielkiey Chwały! coś w wieczności Xięgę
Wpiſana, Ja w tym czaſie beśpiecznie przyſięgę,
Że pod ſłońcem dni naſzych Dawida nieznaydzie,
Kilkakroć ten Luminarz pod Ocean zaydzie,
Nim Brat Bratu odpuści, dopieroż bliźniemu,
Nie ieſt cnota darować dobrym, ale złemu.
My opacznie czyniemy, ſkrupułu niemámy,
Gdy częſto do niewinnych urazy ſzukamy,
Poſądzeniem w umyśle, lub w nieſłuſzney rzeczy,
Pan ná mnie niełaſkawy, cicho mi złorzeczy.
Nie ieden to poſtrzegſzy, y nad tym zadziwi,
Będęż y Ja ſię krzywił, kiedy ſię Pan krzywi?
Nierościł ſobie Dawid, ni urazy knował
Do tych, co ie w wierności nikt niepoślakował.
Płacił dobrym dobrocią, złym winy odpuſzczał,
Nieſłuchał, choć go ktory faworyt poduſzczał.
BOG mu też błogoſławił, BOG nim zawſze rządził,
Że lubo przeciw niemu wykroczył, y zbłądził,
Nigdy go nieopuſzczał, nigdy niezapomniał,
Tylko iak Ociec Syná dyſkretnie nápomniał.

Szczęśliwy wiek prowádził Dawid w swey starości,
Miał czerstwość, miał bogactwa, miał dość maiętności,
Miał pokoy tak kwitnący iak Palmy ná wiosnę,
Zapędził ná kray świata łakomstwo zazdrosnę.
Miał woyska podostatkiem, wszyscy go kochali,
Przykład dobry od Krola pobożnego brali.
Co żołnierz, to Herkules w sile y Imięniu,
Przystoyno mu lwią skorę nosić ná ramięniu.
Bo Lampart nieozdobi Rycerza pstrociną,
Tylko sercem odważnym, męstwem, dobrą miną.
Szyszak máło pomoże, y hartowne nity
Kiedy Pancerz żołnierski tchorzem iest podszyty.
Więc Dawid żył spokoynie, panował szczęśliwie,
Kiedy mu wszelkie Stany służyły życzliwie.
Płacił dobrze, wdzięczen był każdemu z osobna,
Wyniosł w gorę, gdzie była Familia drobná.
Jednym słowem, zewszech stron wszystko mu się wiodło,
Zrzucił z siebie Pokutą owo twardę siodło,
Co go lat kilka nosił za grzech swoy ná grzbiecie,
Teraz żaden Dawida ucisk nieugniecie.
Wielki czas ná Modlitwach w rozmyślaniu trawił,
Co BOG dla niego czynił, długo nád tym bawił.
Co on też BOGU winien, ścisle się rachował,
A codzień siedmkroć razy z płaczem medytował.
Niedosyć máiąc ná tym, chwalić wielkiey mocy
Imię Boskie w południe, chwalił o pułnocy.

Wstá-

Wſtawał z łożka Staruſzek, padał ná kolaná,
Niewiemy, wiele razy wielbił w nocy Paná,
To wiemy, że Skarb wielki Kościołowi nádał,
Znáć niepłonnie rozmawiał, y długo przeſiadał
Nad uważaniem, iako nad naygłębſzą ſtudnią
Taiępmnic Boſkich, ktore mądrym głowy trudnią.
Rząd Pańſtwa, ſprawy w Sądach, domowy porządek
Nieprzykry był Krolowi, bo wielki rozſądek
Ktory miał, wſzelkie ſnádno trudności oddalił,
Przy tych pracach iednáko BOGA codzień chwalił.
Ale gdy nás fortuná piaſtuie ſtateczna,
My ſię ſtaiem niegrzeczni, kiedy oná grzeczná,
Dogodzić nam niemoże, iak ſprzecznemu kołu,
Ta nas ciągnie ku gorze, my idziem ku dołu.
Jeźli nas pomyślności ſmaruie balſamem,
Brykamy, nieczuięmy ciężaru pod tramem,
W niepamięć poſzło żeśmy niedawno ſkrzypieli,
Bez ſmarowidła oſi wytarte ciągnęli.
Natura ludzka ieſt to morze nieſpokoyne,
Uſtawiczną z wichrami zwykło toczyć woynę,
Skołatane przez burzą z wierzchu ſię uciſzy,
Wewnątrz ſzmer, huk, ſtękanie, kto żegluie ſłyſzy.
Skoro ſobie odpocznie, wnet cichość przemini
W ſzturm, bałwanámi rzuca, y całe zapieni.
Nie ſtęka, ale ryczy, nie ſzepce, lecz ſzumi,
Nabrawſzy ſił ná nowe pokaże, co umi.

Tak człowiek, ktorym Dawid był, ſkłonnym do boiu
Niedługo mogł dotrzymać traktatu pokoiu.
Krewkości temperament rządził Jego ſzykiem,
Dla tego ſię niezgodził z żadnym flegmátykiem.
Myśli nieprożnowały, chociaż mowił máło,
Zawſze ſię wſpaniałemu ſercu czegoś chciało
Ná zyſk ſławy, áżeby niezależał pola,
Y żeby znał Jzrael DAWIDA za Krola,
Zwołać kazał Starſzyzny, co nád woyſkiem mieli
Komendy, á co prędzey przed Panem ſtaneli.
Potym Gubernatorom, Rządcom ſwego Pańſtwá,
Wy rachuycie żołnierzy, wy wſzyſtkie Poddańſtwá,
Niepodobał ſię Proiekt oboiey Zwierzchności,
Wiedząc że to Krol czynił z iakieyś wymyślności,
Kochaiąc Paná ſercem, ięli mocno radzić.
Jakby go od tey drogi mogli odprowadzić.
Y mowili, zaniechay Krolu Inwentarza
Spiſywać, wiele ci Bog Poddanych przyſparza.
Doſyć ci ná tym wiedzieć, żeś nad ludem wielu
Niezliczonym, ſam ieden Rządca Jzraelu.
Bądź tylko na nich łaſkaw, kochay ich iak Ociec,
Gdyż niewiemy przyczyny, na co byś miał dociec
Liczby woyſka, y gminu Poſpolitey rzeſzy,
Ręczem, że żaden myślą ku Tobie nie grzeſzy,
Wſzyſcy ci dobrze życzą, wyprawuią modły
Do BOGA za twe zdrowie, iak zacny, tak podły.

Ty

Ty myśl o tym, żebyś nam zdrow ſto lat panował,
Głowy nietroſzcz, byś cały Izrael zrachował.
Nieprzyiął Krol tey rady, ni ſię uſpokoił,
Każe pełnić to, co raz w ſwey woli zakroił,
Mowiąc: *wolno mi widzieć iak Panu Tabelle*
Co mám ludzi do woyny, iak Poſpolſtwa wiele ?
Niechcieli ſłudzy dłużey w kontr z Panem grać w karty,
Jle znáiąc że umyſł w DAWIDZIE uparty.
Rozbiegli ſię po miaſtach, Prowincyach, Grodach,
Chcąc pokazać przyſługę pracy ſwey w dowodach.
Hetmán obieżdża woyſka rachuiąc tyſiące,
Jnni Poſpolſtwo liczą, ale y mieſiące,
Jak długo ná rachunkach tak wielkich bawili,
W Dzieſięć mieſięcy ledwie do Krola wrocili,
Pokazano Regeſtra wiele takich liczy
Sam Jzrael, co ie wiek iuż do woyny ćwiczy.
Oſiem kroć ſto tyſięcy pięćkroć Narod Judy,
Wpiſać by woyſka komput trzeba miedzy Cudy.
A kiedy Dawid lud ſwoy porachował w Summę,
W tym punkcie pomieſzany zaczął ſmutną Dumę,
Weyrzał w ſiebie, y z planty ſerdeczney wyczytał,
Jaką ſię intencyą o gmin ludzi pytał.
Poznał błąd ſwoy, że zgrzeſzył, uderzył ſię w pierſi
Mowiąc: odpuść mi Panie, wſzak Rodzice pierwſi
Pychą, nieposłuſzeńſtwem przeſtąpili w prawie,
Przecieś ich niepotępił, lecz przyiął łaſkawie.

Niepotrzeba Proroka żeby mi łopatą
Kładł w głowę, iak grzech przeszły y z iak wielką stratą
Łaski twey, większe dla mnie nieszczęście nád piekło,
Kiedy serce Dawida od BOGA uciekło.
Nietrzeba mnie prowadzić do Paná, sam poydę
Pod karę, ázaż ieszcze miłosierdzia doydę?
Ktore mi przy pokucie niedawno obiecał,
Bylem w nádzieię tego niegrzeszył, zalecał.
W tych Aktach pełnych żalu kiedy się Krol korzył
Przed Panem, Gad Prorok drzwi do niego otworzył.
Zastał Dawida w płaczu iak małą dziecinę,
Niepytał czemuś smutny bo wiedział przyczynę.
To rzekł: że BOG mnie przysłał na wszystko patrzący,
Za coś go pychą gniewał iakby samochcący.
Azaż cię ná to Pan twoy żołnierstwem uzbroił?
Ażebyś sobie Boży lud przyznał, przyswoił.
Umiałeś niegdy pychę Saulowę wytykać,
Teraz sam od niey niechcesz Dawidzie umykać,
Zyczę, byś sobie często wspominał Kazanie:
Pięknie mowicie, czyniąc źle, Xięże Plebanie.
Znowu grzech twoy pociągnął doczesne karanie,
Luboś mowił: odpuść mi o Boże! o Panie!
Odpuścił wieczną winę, przygotuy się wcześnie,
Ná trzy plagi, ktore cię ukarzą docześnie.
Głod siedmioletni, woyná, trzy miesiące krwawá,
Powietrze trzy dni srogie, tak Boska ustawá

Nazna-

Naznaczyłać, Ty obierz z tego troyga ſobie
Ktore chceſz, gdyż Pan y to kazał mowić Tobie.
Twardy klin Prorok zabił DAWIDOWI w głowę,
Ze za grzech nowy muſi wſtydzić ſię ná nowe.
Ale nie ſamym wſtydem zbyć kary dekretu,
Trzeba oczy zamrużyć, á nadſtawić grzbietu.
Stroſkany Krol ſam niewie, co z trzech plag obierać,
Wolałby ſam za wſzyſtkich głod cierpieć, umierać,
To złe, áto nie dobre, y to cięſzko ſtrawić,
Kość oſtra do przełknięnia będzie w gardle dawić.
Niechże mnie BOG karzący miałko zmiele, zetrze!
Obieram nad głod, woynę, morowe powietrze.
Wolę wpaść w ręce Tego, co mnie niemi ſtworzył,
Y według Joba iak ſer zlepił y utworzył.
Jużem ſprobował złości człowieczey nad ſobą!
Wolę mieć zawſze ſprawę, o moy Boże, z Tobą
Jeźlim zgrzeſzył ku Tobie, chocieś mnie o ziemie
Uderzył, znowuś podnioſł pomniąc żem twe plemie.
Ale gniew ludzki nigdy niepohamowány,
Czy ręką, czy Językiem, zadaiący rany.
Jak kamień młyńſki prawie wnętrzności wyciſka,
Lub piiawka, poty sie poki krew nie pryſka.
Karzże mnie ſam moy Panie, wypłać ſobie długi,
Tylko w moc nieprzyiacioł nieday ſwego ſługi.
Biy mnie iák tylko Twoia ſprawiedliwość każe,
Niech ſię w twych á nie w cudzych rękach piekę, ſmażę.

Przepuścił BOG powietrze trzydniowey zarazy,
Pokazał ſkutek ſwoiey do Krola urazy,
Siedêmdzieſiąt tyſięcy ludzi trupem legło,
Tu ſię ſerce Dawida za ſwoy grzech poſtrzegło,
Gorzko záczął nárzekać, nudzić, ſobą trwożyć,
Zebrze żeby BOG kazał miecz do pochew włożyć
Aniołowi, ktorego właſnym widział okiem,
Jak lud Boży zabiiał śmiertelności mrokiem.
Ciężko było Krolowi okropne nowiny
Znoſić, że ludzie giną dla Jego przyczyny.
Jam rzecze: zgrzeſzył Panie, Ja niech pokutuię,
Niech za lud twoy umieram, niech twą rękę czuię.
Jam winien mowię: á Tyś, ná niewinnych miecze
Przepuścił, mnie biy, á tym niechay ſię przepiecze.
Czyż powinni za moy błąd padać iako muchy,
Umierać iako bydło bez żalu, bez ſkruchy.
Ach wiem Bożeiże czymem zgrzeſzył, tym mnie śmigaſz,
Zá coż tych karzeſz, á mnie ná ramionách dzwigaſz?
Jam to ieſt owá owca, dla ktoreyś opuścił
Dziewięćdzieſiąt y dziewięć, mnieś z oka nieſpuścił
Jam ſię nád twą właſnością unioſł pychą głupi,
Sądząc że mnie ż licznego woyſka nikt niezłupi.
Ty Boże ſkoroś grzech moy zuchwały przeniknął.
Zeby lud w pień wycinał, na Aniołaś krzyknął.
Znám y to o moy Panie! że więc niſkie drzewká
Dlá więkſzych wycinaią, álbo gdy dlá lewka

Małe

Małe biią ſzczenięta, áby ſię ten kaiał,
Przez karę ſłabych, mocny złość ſwą uſpokaiał.
Iużem poczuł moc twoię,ſtałem ſię iak plewa,
Co ią wiatr po nizinách kędy chce, rozwiewa.
Albo łodka ná morzu zbita mocną falą,
Kiedy ná nię pioruny, grzmoty, ſkały walą,
Wiem też y to, gdy wichry uſtaną, y burze,
Znowu iaſny firmáment ſtanie w ſwey poſturze;
Gwiazdy co ſię zádęły, co Xiężyc zaſępił,
Swiecić muſzą tym, coś ich Boże niepotępił.
Iam świátło zgubił, ia go poſzukam u Ciebie.
Będę oń proſił poſzcząc o wodzie, o Chlebie.
Wſzák nie umárli twoią Opátrznością tyią?
Ale ci, co cię chwalą, y ná ziemi żyią.
Daley ſię Dawid z Panem tárguiąc niedrożył,
Zrzuciwſzy paludament, włoſieńnicę włożył,
Popioł ná głowę ſypał, trzy dni nieiadł, niepił,
Klęczał niewſtáiąc,tylko oczy w Niebo wlepił.
Toż czynili Panowie, toż czynił lud proſty,
Krzyżem leżąc wołali: oddal Pánie chłoſty
Od twych Jzráelitow! ktoreś záwſze lubił.
Iuześ nas też ukarał, y iák chciał, ták ubił.
Zmiłował ſię BOG dobry, ſpuścił łáſki roſę,
Roſkazał śmierci złamáć záoſtrzoną koſę,
Aniołowi rzekł: ſchoway miecz, coś go wynoſił.
Iuż mnie Dawid ubłagał, y ſzczerze przeproſił.

Powinien ſtan Krolewſki z Dawida brać miárę,
Ze za grzech Jego, cały kray poſzedł pod kárę,
Niech ſię wſzelkie Zwierzchności miárkuią po rządách,
By zá ſiebie Poddanych niegubili w ſądách.
Po uſtaniu powietrza Krol ſtráchem przeięty,
Nie zapomniał, gdzie mu ſię mąż pokazał święty
Z dobytym mieczem. záraz poſyła czym prędzy.
Na zapłácenie placu, doſtátek pieniedzy.
Ná ktorym Ołtarz Bogu ku ſłużbie wyſtawił;
Ofiáry czyniąc, mieyſce owo Cudem wſławił;
Y náznáczył przyſzłemu po ſobie Krołowi,
Zeby nieodmieniáno gruntu Kościołowi.
A Kiedy Bog z Dawidem uczynił przymierze,
Już ſię też do pokoiu, nie dowoyny bierze,
Y ta codzienna była proźbá Dawidowa:
Niech mnie Pan w dniách ſtárości w pokoju záchowa!
Cały czás reſzty życia do Boga obrocił,
Weſołem bydź záczynał, áni ſię záſmucił.
Czuiąc po ſiłách ſłabych że w krotce ogląda
Twarz Boſką. ktorą widzieć káżdy Swięty żąda,
Zabawa Dowidowa z Duchowieńſtwem gadáć,
Ná uſtáwách porządkow, Kościelnych przeſiadáć,
Spiewakow, gdzie ſpoſobnych ſądził do śpiewánia,
Sprowadził, Inſtrumentá pokupił do gránia.
Cokolwiek bydź rozumiał ku czci Panu ſwemu,
Zálecił pilność Xięży z oſobná káżdemu;

Aże-

Ażeby nábożeńſtwo dzień, y noc w Kościele
Nieuſtáło, podzielił kurs ná godzin wiele.
Sam Pſalmy komponował z prorockiego Duchá,
Co mu Bog w táiemnicách poſzepnął do uchá.
Pieśni pełne ſłodkości co dzień głosno śpiewał,
Jak Łabędź, gdy ſię śmierći codzienney ſpodziewał,
Będąc w wieku zgrzybiałym Krol, lud záwſze w ſtráchu
Nowego oczekuiąc po śmierci zamáchu,
Miły ieſt kilkaletni pokoy, żywność w gruntách
Wſzyſcy żyią ſzczęśliwie, nieſłycháć o buntách.
Káżdyby rad nowego Duchá w Krolá włożył,
By mu zdrowia, czerſtwości, życia, ſił przymnożył.
Wiattowi nań przykremu záwiąnąć nie dádzą,
Jákby go w dalſze láta konſerwowáć rádzą,
A gdy naturálnego Dawid pozbył ciepła,
Krew ſię zaſtánowiła w żyłách, bo już ſkrzepła,
Przez co ták oſtygł, że go pierzyną puchową
Zagrzaną ukomina, nákrywano z głową.
Ale máło pomogło oziębłemu Panu,
Choć mu z winem dawano doſtatek Száfranu.
Oſtátnia Alkiermeſem ſtárego rozgrzewáć,
Tu mu dádzą kordyał, ten záczyna ziewáć.
Ktoryś Doktor wyczytał ſekret z Pliniuſza
Co ludzi ſtárych ná czás do ciepła poruſza,
Młodziuchną, piękną, ładną, ſprowádzić Pánienkę,
Kazáć iey krotką noſić nád koſtki ſukienkę.

Niech

Niech ſzyię białą y Pierſi chuſtką niezáſłania,
Niech ſię Krolowi zráná ná noc niſko kłania,
Niech go głáſzcze pod brodę, niech go kareſuie,
Niech mu ieść, pić podaie, záwſze uſługuie.
Posłał Senat z receptą Krolowi życzliwy
Szukáć po całym Páńſtwie tey prezerwatywy.
Ledwie iednę z tyſiącow ználeźli kobitkę,
Táką właśnie iák Doktor kazał Sunámitkę,
Zá wielki prezent wiodą Krolowi ſtáremu
Pánnę, umiezgnął ſię Dziad do niey poſtaremu,
Czym ſkorupka náwrzáła, iák mowią: zá nowu
Tym trąci, chociaż ſtara, y ſkwarzy ſię znowu.
Kto ſię w iákim Rzemieśle od młodości ćwiczył,
Tego ſobie ná ſtárość praktykowáć życzył.
Tylko że czás, co wiekiem ludzkim dyſponuie
Spoſobność do rzemiosła ſtárym odeymuie.
Są iednák tácy, ktorzy niemogąc robocie
Wydołać, niezbywa im przecie ná ochocie.
Częſtokroć ſię Dziádowie o to troſzcząc ſmucą,
Ze nie oni pokuſy, lecz ich te porzucą.
Bądźże y ty oſtrożny Dawidzie w ſtarości,
Byś w to niewpadł, co uſzło dniom twoiey młodości,
Terazby ſzpetnie było, gdybyć to przyználi,
Ze w ſtarym piecu Diabeł ogień ſobie pali.
Jákoż Krol Swięty będąc od złego dáleki,
Oziębłe ſię obchodził z ciepłemi Apteki.

Owſzem iák káżdy chory lekárſtwá obrzydzi,
  Kiedy śmierć bliſką w oczách, co godzina widzi.
Chociaſz mu nádſkakuie piękna Abizai,
Choć mu ſmaczne potrawki do iedzenia rai,
  Choć w iednym łożku ſypia z Krolem dni ze trzyſta,
  Przecię Abizai Panna poczciwa y czyſta.
Już ſię co raz do końca wiek Dawidow zbliżał
Jak luminarz ſłoneczny ku záchodu zniżał.
  Już co raz duchy życia uſtáią, ſłabieią,
  Wáchlarze pektoralne co raz wolniey wieią.
A tu wieſzczkow niemało, ktory z nich ugadnie?
Ná kogo po Dawidzie rząd Kroleſtwa ſpadnie,
  Nieczekał Adoniaſz Oyca ſwego śmierci,
  Wdziera ſię do Korony, dziury w ściánach wierci.
Záproſił adherentow, co ich przekupuie,
Innym Wakanſe godne rozdáć obiecuie,
  Proſząc, by go zá życia Oyca Krolem zwáli,
  Sukceſſorem prawdziwym ná Páńſtwo przyználi.
Z czym BOG do Betſabei przyſyła Proroka,
Ażeby nowey kłotni nieprzynioſła zwłoka
  W rozrządzeniu Dawida między dwoma Syny,
  Co by im do niezgody dawáło przyczyny,
Idź Betſabeo, rzecze Natan: y mow śmiáło
Do Krola: wiem, że mu ſię będzie podobało
  Co z nim tráktowáć zechceſz, poki ieſzcze żyie,
  Bo wilk głodny przez poſty, w leſie nieutyie.

Przypomniy mu przyſięgę, co ci ią obiecał,
Dotrzymáć, młodſzym będąc, tobie ſię zálecał,
Gdyś mu po wziętym ślubie naykocháńſza Zoná
Powiła naymilſzego Syná Salomona,
Przyrzekł ci w ten czás, że on nie kto inſzy będzie
Krolem, po nim Tron Jego niechybnie oſiędzie,
Teraz ſię Adoniaſz záwczáſu ſadowi
Już Krolem obwołany, niech ci, kto chce powi.
Skoro tego domowiſz, Ja zá tobą wſtąpię
Zá prog Krolewſki, woli Bożey nieuſtąpię,
Ale to mowić będę, co mi roſkazáno,
By Salomona Krolem po Oycu obrano,
Poſzła Betſabe z wiarą na Prorockie ſłowo,
Spyta Jey Dawid: po coś przyſzła Białogłowo!
Mow:co maſz mowić zemną, czy cię co dolega?
Mow głośno, bo mie już ſłuch w ſtárości odbiega,
W tym Pani twarz pokorną wraz ſmutną náchyli,
Pełna ſkromności miną ſtárcowi przymili.
Wſzyſtko by dla niey czynił, czego by żądałá,
Ták mu ſię piękna w oczách y nádobna zdała.
Rzekła Betſabe: wieżże Krolu moy y Panie,
Kto Krolem Jzráelſkim po Tobie zoſtánie?
Odpowie Dawid: Syn Twoy, Salomon naypewni,
Tu ſię niewiáſta ſkrzywi, rozpłacze, rozrzewni,
Y mowi: niewieſz Pánie, ſtárością zwątlony,
Że Adoniaſz już ieſt Krolem ogło zony,

Jam

Jam przyszła po to, chcąc ci przysięgę przypomnieć,
Zebyś o Salomonie nieraczył zápomnieć.
Kiedy kończy rozmowę Betsabea swoię,
Wchodzi Natan do Krola przez długie pokoie,
Pokłon niski uczyni, iak Krolom należy,
Ale widzi, że ten już wpoł umárły leży.
Przystąpi kniemu bliżey Poseł Boskiey woli,
Gada, iák zwyczay z chorym, dyskretnie, powoli,
W przod go pyta: iák się ma, pulsow mu pomaca,
Ktore gdy ustępuią, on też dyskurs skraca.
Tylko co zysk Krolestwu cáłemu przynosi,
O to Prorok Dąwida w Imię Boże prosi,
Jeźliby życie skończył z długoletnią kwotą
Jzraela po sobie nieczynił sierotą.
Spyta Krol: alboż znowu iáka kłotaniná
W páństwie moim nástáła! więc ktoregom Syná
Pod przysięgą náznáczył, Tron po mnie osiadáć,
Coż więcey mam powtarzáć, y daremnie gadáć.
Posłuchay mnie Dawidzie rzekł Prorok: Poki ci
Nie powiem: Adoniasz iákie uprządł nici
Na złowienie Senatu, woyská y Poddanych,
Zaprosił ná traktáment kilká głow wybránych. (nym
Przez ktore chce bydź Krolem w tych dniách miánowá-
Jakoby z woli twoiey ná Páństwo obránym,
Jam świádek, żeś poprzysiągł Mátce y Synowi,
Ze Salomon, nie inny, Tron z Páństwem ułowi,

Teraz maſz czás Dawidzie, pokić ſłużą zmyſły,
Uczyń pokoy w ſwych Synách, uczyń kontrákt ściſły
Wyraźney woli twoiey, ogłoś Salomona
Publicznie, że on Krolem, że Jego Koroná.
Słuchał Dawid Natana, odwłokę uprzątnął,
Pilnie ſię koło ſpráwy ták mocney záprzątnął.
Wezwał tych co Krolewſkie głowy Koronuią,
Y tych co ich oleiem ná Tron námázuią
Rozkazał Salomona wſadzić ná mulice,
By z trąbámi, kotłámi, obieżdzał ulice,
Ci,co do nich należy, niech głoſem wołáią,
Dáiąc znáć, że nowego Krola wſzyſcy máią.
Duch wſtąpił w Izraela, czas ſię złoty wrucił.
Gdy go ten BOG pocieſzył, ktory był záſmucił,
Bliſką śmiercią Dawida lud iák powárzony
Chodził, niewiedząc ktorey ma pilnowáć ſtrony.
Teraz káżdy weſoło śpiewa po łamencie,
Kto ná iákim gráć umie zágrał inſtrumencie.
Cáłe Miáſto brzmi hukiem muzyk głoſem gminu
Wołáiąc; żyi nam, panuy o Dawidow Synu!
Wczáſie wielkich rádości Adoniaſz ſmutny,
Wygląda co godziná, że Dekret okrutny
Wypadnie od Dawida, lub nowego Krola,
Zeby go zátráciłá tych obudwoch wola.
Ucieka do przybytku, chwycił ſię Ołtarzá,
Po wielokroć ze ſtráchem ſuppliki powtarza,

Niech

Niech ſię Ociec zmiłuie, niech mi Brat odpuśći,
 Bo Adoniaſz rogu Ołtarza niepuśći.
Tak to bywa łakomym y śmierci życzącym
Synom, ktorzy Rodzicow pragnieniem gorącym
 Fortuny, dziś by chcieli obaczyć ná marach,
 Ale im BOG nieſzczęści ná chciwych towarach.
Widziemy w wieku náſzym wielu Sukceſſorow,
Jak marnie zażywaią Antenatow zbiorow.
 Bo ich to nie koſztuie, gotowość zaſtali,
 Ná co Rodzice w pocie czoła pracowali.
Ociec Pan z Panow będąc, má honor bydź Panem,
Wſtydzi ſię Stoł zaſtawić ſztuką mięſa z chrzanem,
 Syn po nim choć ubogi, ále przecie hardy,
 Gorzkiey w prywatnym kącie zażywá muſztardy.
Ociec w Senácie ſiedzi, w purpurowey Todze,
Syn ledwie má ſukienkę w Cudzoziemſkiey drodze,
 Gdyż co z ſobą wziął z Domu ná edukacye,
 Jedno wzięły Amory, drugie komedye.
Czeka z niecierpliwośćią Poczty z ſwey Oyczyzny,
Rychło po ſtarym Oycu śmierć mu da puścizny.
 Czuwa iak ſęp ná trupa, lecieć ſię gotuie,
 Gdy umarłego Oyca przez liſty poczuie.
Spieſzy nie po to, żeby łzy z oczu wytłoczył,
Ale żeby ná grobie Oycowſkim wyſkoczył.
 Zeby Skarbce otwierał, ſplondrował Szkatuły,
 Jak wiele tam oſzczędne ręce złota wſuły.

Do-

Dopiero w ten czas kontent młody Pan y gładki,
Kiedy nápakowane zaſtanie ſzufladki,
Obmyśli prędki ſpoſob, iak złoto chędożyć
Zaśniedziałe, trzeba go w ręce ludzkie włożyć,
Zbiera zewſząd Kapele, przyimuie ſtoiakow,
Na ſtayni chowa dzielnych pięćdziesiąt Rumakow,
Pſow rożnego rodźaju w kilku Psiarniach wyie
Sam ſię po láſach włocząc, iák dziki Mąż żyie,
Potym kiedy Kapella wytrąbi intratę,
Słudzy głodni, ſłoniny ledwie maią łátę,
Pſom nieſtáło wywáry, wyſłáć ich do Játek,
Myśliwcy niech po krzakách wieſzaią oſtatek,
Potym z Pana Syn chudym zoſtawſzy páchołkiem,
Częſto zá rownym ſobie, uſługuie z ſtołkiem,
Wſpomina cicho ten czas, gdy mu też ſłużono,
Gdy Stoły záſtawiáno, w brod winá noſzono.
Spytáć ſię Boga: czemu godnych Oycow dziatki ?
Niecieſzą ſwoiey żądzy, fortunnemi ſpadki ?
Odpowie BOG: dla tego, złe ich fata ćwiczą,
Ze Rodzicom przed czáſem prędzey śmierci życzą.
Tego był Adoniaſz złych Synow gatunku,
W większym miał Stan Krolewſki, nád Oycá ſzácunku
BOG mu umknął oboyga, z łáſki wykwitował
Oycowſkiey, y ná Tronie żadnym nie krolował.
Salomon záś od Mátki záwſze napomniony,
Ják ma Oycá ſzánowáć, iák bydź uniżony,

Jak rano wſtaiąc, myśl ma ku BOGU podnośić,
Potym o długie życie dla DAWIDA prośić.
Pan Naywyżſzey Mądrosci przeyrzał w Salomonie
Doſkonáłość, do Rządow po DAWIDA zgonie,
Jeſzcze nim ſię urodził, Prorok mowił o tym:
Ze Salomon Króleſtwo obeymie nápotym.
Już Salomon ná Tronie, DAWID dokonywa,
Wſzyſtkich przyiacioł ſwoich záprasza, zwoływa,
Zoná moiá Betſabe z Synem niech poſpieſzy,
Niech ſię Duch moy ſchorzały ich widzeniem cieſzy.
Stánął Krol z Mátką ſwoią, między ludnym gminem,
Ják Ráchel przed Jakobem, z ſwym Beniaminem,
By była nieumárła, minąwſzy ſtarſzeńſtwo.
Dla niego by prośiłá o błogosławieńſtwo.
Przyſtąp bliżey Synu moy, rzekł Dawid: á ſłuchay,
Co mowię, bierz w uwagę, z mieyſca ſię nieruchay,
Poki ſłow moich w ſercu nieſchowaſz głęboko,
A ná wſzyſtko obracay ſłuch, rozum, y oko.
Ja ſię w drogę zábieram wieczności okrągłey,
Po woynie z świátem, ciáłem, utarczki przeciągłey,
Niewiem, kędy mnie Bog moy z ſwey woli oſadzi,
Niech on o mnie, iáko zwykł, y po śmierci rádzi,
Tobie młodemu ſtary zoſtáwiam przeſtrogi,
Zebyś Boſkich Przykazań nieuchybił drogi;
Kochay Páná z cáłego ſerca, z cáłey duſzy,
Włos ci z głowy nieſpadnie, nikt z Tronu nie ruſzy!

Ko-

Kościoł buduy, ktoregom ia niemogł budowáć,
Kazáno go dla ciebie ſamego záchowáć,
Pamiętay, żebyś temu zádoſyć uczynił,
Zeby mnie BOG zá ciebie nie ſądził, niewinił,
Maſz złoto, ſrebro, moſiądz, ſtal, żelazo, miedzie,
Maſz cedry, wſzyſtkoć poydzie gładko, iák po ledzie,
Bom wſzyſtkiego záwczáſu nato przyſpoſobił,
Zeby Ty iák naypilniey koło tego robił.
Skoro ſkończyſz przybytek, wprowadź weń porządek,
Co do Ofiar Kápłáńſkich należy, obrządek,
Niech żadnego dnia Chwałá Boſka niewakuie,
Ten ci roſkaz Synu moy zá Skarb zoſtawuię.
Bądź w Sądách ſpráwiedliwy, byś nie był ſądzony,
Wyſłuchay z cierpliwością ſkárżące ſię ſtrony.
Nie unoś ſię paſſyą, nierządź ſię impetem,
Byś niepokáwił prędko wydánym Dekretem,
Sierotom: Wdowom, maſz bydź Oycem, Opiekunem,
Ktorym śmierć Mężow ſmutnym przykryła całunem
Sam BOG ſwoię nád niemi opiekę oświadczył
Zemścić ſię, ktoby takim krzywdę czynić raczył,
Niebądź pyſznym, day przyſtęp proſzącym twey łáſki,
Między nieprzyiáznemi uſpokoy nieſnáſki,
Poddanym krzywdy nieczyń, co ná ciebie robią,
Niech ſię w miłość ku tobie, nie w boiaźń ſpoſobią.
Służącym płać rzetelnie, záſłużone myto,
Wiernieyſzym, coć przychylni, nádgradzay ſowito
By

By ich ſzczerość o pomſtę niewzywała Nieba,
Báć ſię tego iáko rdzy ſzkodliwey potrzeba.
Nie bądź chciwy ná zbiory nieſłuſznie wydarte,
Nie ſtawiay dla żebrakow u drzwi twoich wartę,
Udziel z tego coć BOG dał, niełay, niewypychay,
Owſzem nád nędzą onych użal ſię y wzdychay,
Bądź ſnádny w odpuſzczeniu, gdy cię kto przepraſza,
Nieſłuchay plotek płonnych, kto bliźnych obnaſza,
Niemściy ſię zá rzecz podłą, miey przyiacioł wiele,
Maiąc ich, zayrzyſz w oczy nieprzyiáznym śmiele,
Po tych wſzyſtkich rozkazách Prawo przyrodzone
Záchoway, kochać Matkę ſwą, á moię żonę,
Betſabeą, ktora cię z boleścią rodziła,
Ona ciębie przez proźby ná Tron moy wſadziła,
Kochay ią, ſzánuy, ſłuchay, chceſz bydź długo żywym,
Bądź iey wdzięczen zá miłość affektem prawdziwym,
Y ty, y każdy tego w piſmách ſię domáca,
Ze przeklęctwo Rodzicow dzieciom życie ſkraca,
Tobie ſamemu daię błogoſławieńſtw tyle,
Ile bieg ſłońca codzień wyráchuie mile,
Ile gwiazd ná ſuſficie ſwym firmament liczy,
Tyleć łaſk Boſkich Dawid, Salomonie życzy.
A teraz idź w pokoiu, bo y ia odchodzę,
Bliżſzy ieſtem ná śmierći, niż ná życia drodze,
Zegárek lat, mieſięcy, dni, godzin, docieka,
Już mnie oſtatni kwadrans, w trzech minutách czeka;

Ledwie tych słow dokończył Dawid, oddał Ducha
BOGU, płaczący stoiąc nádstawiáią uchá,
Jeźli Krol iesżcze żyie, ále skrzepłe ciáło,
Ze duszy w sobie niema, iáwnie pokazáło.
Zákończył Dawid życie, pełen dni y sławy,
Pełen bogactw, Pan to był ná wszystkich łáskáwy
Wszyscy go też żáłuią, płáczą iáko Oyca,
Wielu by Piotrow zá nim poszło do Ogroyca.
Pochowan w grobie Krolow, gdzie z nimi spoczywa,
Nas do cnot swych,ktore miał,nie do grzechow wzywa,
Jeżeli grzeszącego náśládowáć chcemy,
Niewiem; czy pokutowáć? iák on, potráfiemy,

SKończyłam pracą moię z zákończeniem życia
Twoiego Swięty Krolu, wyglądáć przybycia
Będę, że mi ná ten czás pospieszysz z rátunkiem
Kiedy mnie śmierć gorzkości poczęstuie trunkiem.
Niepatrz ná styl, sens, słowá, kádencye liche,
Lecz ná serce, wszák Twoie było proste,ciche,
Czyliś mowił, do BOGA,do woyská, do Synow,
Nieszukałeś po Xięgách wybornych terminow.
Jeźli w mym wierszu gustu nieznaydziesz, ná reście
Wybaczysz, iák Pan mądry,że to są Niewieście
Konceptá, ktore żadney w náuce praktyki
Nie maiąc, ledwie znáią Imie Poétyki.

Czy-

CZytelnik też łáſkáwy, grzeczny, rezeznány,
Pogłádzi wierſz chropawy, y nieokrzeſany,
Mam nadzieię, że gdzie ſię Error iáki ziawi,
Podłey Autorki dzieło, dyſkretnie popráwi.
Ten, komu z ſerca, z chęci, wdzięczności dozgonney
Oddam życie DAWIDA, w ufności niepłonney
Jeſtem, że iako Jego Rodzice kocháni
Łaſkáwi ná mnie, ták Syn pracy mey niezgáni.
Ktoremu tyle Fortun, Honorow domowych,
Zyczę, ile było, ieſt, będzie Adamowych
Synow, z początku świáta z Adama plemienia,
Ty bądź pierwſzym Adamem Twoiego Imienia.
Zyi długo, bądź ſzczęśliwym, w Przodkow Twoich ślady
Wſtępuy, z Tych Polſka dotąd ma piękne przykłady,
Pradziadow, Dziádow, Oyca Matki, wielkie Cnoty
Wzbudzą cię, że będzieſz miał też ſame przymioty.



DUSZA

Po wielu grzechach zabieraiąc ſię
do popráwy życiá
Szuka po Puſtyniach

S. MARYI EGIPCYAKI

áby ią nauczyła ſpoſobu pokuty ſzczerey
y drogę pokazała
do ſzczęśliwey wieczności.

Wierſzem Polſkim
przez
W. J. P. ELZBIETĘ
DRUZBACKĄ
OPISANA

Roku Pańſkiego 1746.

✠
I H S

W Trudną moy umyſł zapuſzczam podrożą
Z podłym dowcipu mego przewodnikiem,
Zamknięte paſy do ciemnych ſkał trwożą,
Ze tam nie z każdym puſzczą go grzeſznikiem,
Wprzod życia złego odmienić nałogi
Potrzeba, kto chce wniść za święte progi.
Nie z ciekawości Sług Boſkich ſzpieguie,
Schodząc Jaſkinie, nieprzeyrzane puſzcze,
Nie drogich meblow oko upatruie,
Tu mchy po ścianach , tu pniące ſię bluſzcze,
Tu chcąc odpocząć, zámiaſt materaca
Oſtry tarń bokow y głowy námaca,
Lecz ſzukam Swiętych, co przed tym grzeſzyli,
Teraz świat, ciało, czarta oſzukali.
Pragnę ! by mię cnot ſwoich nauczyli
Spoſobu, ktorym w Niebo ſię doſtali.
Te trzy zawády y ia bez frymárku
Zbyć chcę za plewy ná lada iarmarku.
Coż ! gdy przewodnik moy tchorzem podſzyty
Liſtka ſię boi, przed mrowką ucieka,
Przed Lwem y Smokiem ſtanąłby iak wryty;
A tu śmierć pewná przed oczymá czeka.

Y tak

Y tak mię w ciemnym zoſtawiwſzy gmáchu,
Sam w ciaſnym kącie, gdzieś zginął od ſtrachu.
Tułam ſię w ſkałach, po Jaſkini błądzę,
Niemaſz, ktoby mię wyprowadził z dołu,
Ze więcey Nieba nie oglądam, ſądzę:
Ze ſtracę życie y z duſzą poſpołu.
Oſtatni ſpoſob nie myślący wiele,
Ratuy mię Swięty Strożu moy Aniele.
Ledwie te ſłowá co wymowić mogę,
Wnet z oczu moich Katarakta zdięta,
Nie tylko światło, ále widzę drogę,
Jakby z rąk zſunął powroz, á z nog pęta,
Co więkſza, idąc, obaczę z daleka
W Zakonney ſukni, Sędziwego człeka:
Spieſzno ku niemu krok z radością zbliżam,
Boię ſię żeby nie zniknął mi kędy.
Chwytam zá ſzatę, głowę do nog zniżam,
Z ſtrachem powiadam ſwey podroży błędy.
Nie taię przed nim, że moy umyſł taki.
Szukać w tey Puſzczy Cney Egipcyaki.
O ktorey ſłyſząc że wielką grzeſznicą
Bydź miała, potym grzechu ſię wyrzekła.
Okrywſzy ciało oſtrą włoſiennicą,
W ſkały przed światem zdradliwym uciekła.
Teraz gdzieś ięczy, łzy pokutne leie,
Tymi wypłaca złego życia dzieie.

Ja, że do większych poczuwam się zbrodni,
Bo życie moie samym było grzechem,
Gniew, z zemstą palą mocniey od pochodni,
Natchnienia Boskie pozbywałam śmiechem,
Nie znam co cnota, dobrego uczynku,
Przez co w sumnieniu nie mam odpoczynku.
Zaczym gdy mię wiek co raz cięźey gnębi,
Rozum strofuie, czas umieráć każe,
Wieczność nie mylną zwáżam co raz głębi,
Z czym się przed Sędzią surowym pokażę!
Ktory iak rzecze: idź w bezdenne Huty!
Znász śmierć, Sąd, piekło, á nie znasz Pokuty?
Ah! straszne słowá niechże was nie słysze!
Niech mię przywálą gory, y pagorki!
Niech mną iak suchą Trzciną wiatr kołysze!
Niech mię roztoczą ciała Posseforki!
Niech mię BOG zrowná z niskiemi doliny!
Wszak mię nie z skały, ále stworzył z gliny?
Cierpliwie Starzec mowy moiey słucha,
Zal, płacz rzewliwy, bym tłumiła, prosi,
Pełen mądrośći y Boskiego Ducha
Swiętą mię ręką od ziemie podnosi,
Mowiąc łagodnie Oycowskiemi słowy:
Powstań, pokorney miecz nie siecze głowy.
Chwalebny zawod do zbawienney mety
Wzięłaś przed siebie duszo oświecona,

Ciemnemu rządcy, żeś dała walety,
Wszak wiesz do końca iakiegoś stworzoná,
Krwi JEZUSOWEY stałaś się okupem,
Niechże cię piekło nie przyznáie łupem!
Szukasz troskliwie MARYI z Egiptu,
Jak światła korcem przykrytego w lochu,
Jać dam świadectwo, day wiarę bez skryptu,
Ze iuż nie żyie zagrzebioná w prochu.
Jać dlá pociechy, w potrzebney zabawie
Rod, życie, grzech, śmierć, iey pokutę wsławię.
Jestem Zakonnik Zozymás imieniem,
Klasztor, gdzie mieszkam, obaczysz w tym lesie,
Chcę się dziś widzieć z moim zgromádzeniem,
Do ktorego mię posłuszeństwo niesie.
Reguła każe wraz wszystkim się stawić,
Nad zámierzony czas, dłużey nie bawić.
Ty ieźli szczerze pragniesz wiadomości
O tym, com ci iuż, choć krotko námienił,
Podź za mną, á miey statek w cierpliwości,
Byś się w nowego człowieka odmienił,
Chceszli krzyżowey zakosztowáć drogi,
Bądź czysty w ciele, á w Duchu ubogi.
Dopieroć skarby Boskiey taiemnicy
Otworzę, gdy ich widzieć godná będziesz.
Otworzęć cnoty Swiętey Pustelnicy.
Jeźli pokutnych łez z serca dobędziesz,

Jeżelić z słow mych, iak Ewangeliczne
Ziarno przyniesie pożytki roźliczne.
W przod swoie własne opowiem przywáry,
W ktore mię ludzka ułomność wplątała,
Jak mię usidlił nieprzyiaciel stary,
Jak Boska Ręka z piekła mię wyrwáła,
To dla twey duszney opowiem pociechy,
Zeć zastarzałe Pan odpuści grzechy.
Młodość niewinną trawiłem w Zakonie,
W iednym Klasztorze Rok pięćdziesiąt trzeci
Zacząłem mieszkać, tu się nie ochronie,
Ze mię raz ieden pyszny duch podnieci,
Z tąd że mię wszyscy doskonáłym zowią,
Anioł nie człowiek, chwaląc w oczy mowią.
Wzbiia się w gorę co raz wyżey pycha,
Pokora śmiała, posłuszeństwo mruczy,
Ubostwo dumne, iuż czystość wypycha;
Piekielny Maister nowey Szkoły uczy,
Ledwiem nie doszedł stopnia Lucypera,
By mię z nim iedná pochłonęła sfera.
Przełożonego Zwierzchność lekce ważę,
Towarzystwem się Braci moich brzydzę,
Z szemraniem słucham, gdy mi co rozkaże,
Sam siebie tylko doskonáłym widzę,
Rozumiem: że mię w cnotach żaden Swięty
Nie przeszedł, ták mną złudził czart przeklęty.

W takowych myślach bluźniąc przeciw Panu,
Jakieś natchnienie gwałtowne mię wzruszy,
Bierz się Zozymie ku Rzecze Jordanu,
Tam poznasz iawnie ślepotę Twey Duszy.
Wieleś lat przebiegł w zawodzie daremnym
Chcesz drugich wodzić, á sam iesteś ciemnym.
Tak mocno ten głos w serce mię uderzył,
Zem iako strzała puszczoná z cięciwy
Do mety lecąc anim krokow mierzył,
W punkcie ná mieyscu stanąć byłem chciwy,
Nie pożegnáwszy Braci, ni Przeora,
Nie nátrze Pychá, gdzie mieszka pokora.
Stawam szczęśliwie u Zakonney Forty,
Proszę: by Opat o mym stanie wiedział,
Aż wnet wychodzi z mądremi exhorty.
Przyczynę przyiścia, chce, żebym powiedział,
A kiedy prawdy w mych ustach probuie,
Chętnie iak Ociec za Syná przyimuie.
Tu w kilka godzin, iak w zwierciedle widzę
Skazy ná Duszy á plamy ná ciele,
Trądu szpetnego, zarazą się brzydzę,
Myślę z drugiemi iak stanąć w Kościele?
Niewiem: iakąby parch opłukać wodą?
Zeby nieśmierdział między czystą Trzodą.
O iak mię boli złości moich raná!
O iak żałuię zasług utraconych!

Ktorem

Ktorem ſzczegulnie dla miłośći Paná
Myślał poświęcić, w tylu lat ſtrawionych,
Gdy trzymám, żem ſię iuż w zapłacie poſzył,
Grzech całą pracę w momencie rozproſzył.
Dopieroż głupſtwá moiego ſię wſtydać
Záczynám, kiedy mięſzkam z Aniołami,
W żadnym defekcie żadnego nie widać;
Rowno pracuią z dobrymi pſzczołkami,
Szerſzeń ni Truteń w ulu nie poſtoi,
Gdzie zgodna ſłodycz z pożytkiem ſię roi.
Tu świątobliwość mięſzka przy proſtocie,
Tu ſkromná trzeźwość czyſtości pilnuie,
Tu ſię uboſtwo zakochało w cnocie,
Miłość z pokorą wſzyſtkim uſługuie.
Tu poſłuſzeńſtwo kark ſchyla pod ſtryczek,
Pyſzney gotowe Twarzy dać policzek.
Tum ſię dopiero iak ze ſnu ocucił,
Tu mię Niebieſkie światło oświeciło,
Tum ſię ſerdecznie zá moy błąd zaſmucił,
Tu miłoſierdzie Skarb mi otworzyło,
Y pokazało dowodne przykłady,
Zem nie był godzien w świętych ſtąpać ślady.
Zwyczay z Reguły w tym Klaſztorze taki:
Skoro ſię zacznie Poſt Czterdzieſtodniowy,
Ciała Pańſkiego zbawienne przyſmáki
Wziąwſzy, każdy z nás wychodzić gotowy
W nay-

W náygłębſze puſzcze y dzikie iaſkinie,
Co rok ta droga, żadnego nie minie.
Ten czas ná ſamey Miłości Chryſtusa
Trawić náleży, żałować za zbrodnie,
Bydź mężnym, gdyby nátarła pokusa,
Statecznym ſercem ſłużąc Panu godnie;
Ciało zaś martwić y poſtem y chłodem,
By duſza wiecznym nie zamárła głodem.
A gdy ſię Kwietnia przybliżá Niedziela,
Y my zbliżamy ku domowi radzi,
Zupełne w duchu nioſący weſela,
Ze nas iak kokoſz pod ſkrzydła zgromádzi
Kochaná Matka, klauzura; ſwe dzieci,
Z pod iey opieki żaden nie wyleci.
Słuchayże pilnie coć teraz ogłoſzę,
Y co BOG dlá mnie w tey podroży zdarzył,
Kiedy myśl ſmutną w ciemney kniei wznoſzę,
Zeby nádemną miłoſierdzia zażył,
A zapomniawſzy długow moich ſumy,
Przyiął mię w Niebo, między Swiętych Tłumy.
Wchodzę w okropne laſy, miedzy ſkały,
Widzę pod drzewem bliſkim, coś ſię ruſzy,
Strach mię ogarnie, że tu zwierz zgłodniały,
Pewnie ná ciele moim kły zaiuſzy;
Lecz kiedy co raz lepiey ſię wpatruię,
Zamiaſt beſtyi, człowieka znáyduię.

Zſzczer-

Zſczerniałe ciało, iſtny Heban, z ſkury,
  Włoſy iak wełná, tak białe máiący,
Zrachować możná żyły y junktury,
  Większy má wigor Trup w grobie leżący;
    Kto znáł w wyborney urodzie MARYĄ,
    Egipſką, teraz obaczy Mumią.
Takim widokiem będąc przerażony,
  Nie lekce ważę, owſzem mocno wierzę,
Ze Sługa Boſki światu nie znáiomy,
  Zapłatę wieczną ná tym mieyſcu bierze;
    Więc ſię ku niemu ſpieſzę dla rozmowy,
    A ten ucieka iak młody y zdrowy.
Ciekawość ſłuſzná, gonić za nim radzi,
  Starość leniwo, żołwie kroki czyni,
Przynáymniey wołać, poczekay nie wadzi,
  Wſzak Echo bywá dwuraźne w Puſtyni.
    Y tak co tylko tchu w ſobie mieć mogę,
    Komárzym głoſem tamuię mu drogę.
Ná Imię Boſkie zaklinam cię człecze,
  Y ná twarz moiey wywiędłey ſtarości,
Ná reſztę życia, co ſię iak dym wlecze,
  Ná ciało, ktore iuż przyſchło do kości,
    Mowiąc powtornie, ſtań ná Imię Boże!
    Duch chce, ciało mdłe, gonić cię nie może.
Jeżeli ſłońce w prośbie Jozuego
  Na roſkaż Paná w mierze ſtać muſiało;

Jeżeliś y ty kreatura Jego,
Słuszná by Stworcy, Stworzenie słuchało.
Ná Imie BOGA całe piekło stęka,
A Niebo z ziemią ná kolano klęka.
Usłuchał człowiek głosu mego przecie,
Stanął w gęstwinie, ku mnie niechcę stąpić,
Nie czeka bym go zaklinał potrzecie,
Ze Sługa Boski, áni mogę wątpić;
Kiedy cudownie wspomniał moie Imię,
Odpuść mi proszę o Oycze Zozymie!
Zem ná twoy roskaż nie posłuszną była,
Nie upor we mnie taką dzikość sprawił,
Ale iak bym się przed ciebie stawiła,
Jakiey by mię wstyd sromoty nábawił,
Zle z szat, gorzey z cnot, á niewieście zwłaszcza
Bydź obnáżoną, rzuć mi swego płaszcza.
O gdyby nim grzech, nie ciało zasłonić,
Bo to czas zmiele, w subtelne atomy,
Ale Duch wieczny, gdzież się má uchronić
Przed BOGIEm? ktory wszystkiego wiadomy,
Proch z ciała oddam w klepsydry czasowi,
Duszę przy nogach, rzucę JEZUSOWI.
Strach mię przeraził słysząc Swiętą Panią,
Tak, że się ledwie nie staię kamieniem,
Odwracam oczy, á niosę płaszcz zá nią,
Ze mię nie znawszy wołała Imieniem:

Pewnie

Pewnie mię moie nie omyli zdanie,
Ze w niey Duch Boſki má ſwoie mieſzkanie.
Kiedy ſwą nágość zakryła przedemną,
Rzecze: czemu chceſz mnie widzieć grzeſznicę?
Uciekać będzieſz, pomowiwſzy ze mną;
Wzrok ſtraciſz, boć ſię zarażą zrzenice;
Bazyliſzkiem mię oſądziſz z weyrzenia,
Gdyś ſprośnieyſzego nie widział ſtworzenia.
Patrzę z boiaźnią, bo to ná mnie wiele,
W twarzy Anielſkiey długo ſię przeglądać;
Strach grzeſznym w Swięte oczy ſpoyrzeć śmiele,
Wprzod Ich przyczyny, o tę łaſkę żądać,
Zeby nas grzeſznych ználi ſwey urody,
Przez Boſką miłość y pokutne wody.
Więcey świadectwá ſzukać mi nie trzeba
O dobrey Duſzy, ſam ná ziemię padam,
Już widzę iawnie, że nią rządzą Nieba,
Głęboką prozbę przy Jey nogach ſkładam:
Błogoſław Mátko ſłudze twemu ſzczerze,
W cnotach, miłości, nádziei, y wierze.
Aleć wzaiemnie y ta iako długa
Padnie przedemną, głowę ſypiąc piaſkiem,
Ty mi błogoſław, boś Chryſtuſow ſługa;
To wymowiła z żałośliwym wrzaſkiem:
Tyś godzien Ciało y Krew Pańſką noſić,
Czemuż mi nie maſz łaſk Jego uproſić?

W Trwo-

Trwoga mię ná wſkroś wſzyſtkiego przebodła,
Kiedy iey ſłowo z uſt Prorockich płynie,
Kapłańſtwo moie iak ná plac wywiodła,
Ktorego godność y w Puſtyniach ſłynie.
Słucham, że y to ná tym placu ſtanie:
Zle ſię ſprawuieſz niegodny Kapłanie.
Y tak z nią więcey nieśmiem mowić o tem,
Tylko z pokorą żebrać nie przeſtaie:
Zmiłuy ſię Pani nád moim kłopotem,
Udziel ſwey łaſki, kiedyć ią BOG daie;
W tobiem ná roſkaz uznáł poſłuſzeńſtwo,
Niechże ná proźbę znám Błogoſławieńſtwo.
Widzi moy upor Swięta Białogłowá,
A bardziey litość má ná moy włos ſiwy,
Pełne ſłodkości wymowiła ſłowá:
Błogoſławiony BOG ná wieki żywy,
Ktory tak kocha mizerne ſtworzenia,
Da pokarm Ciału, á Duſzy zbawienia.
W tym ſię od ziemi podnioſła y ſpyta:
Powiedz mi Oycze, w iakim też świat ſtanie?
Jeźli Pogańſtwo ieſzcze ná to zgrzyta,
Ze wiara kwitnie, á z nią Chrześcianie,
Jak ſię też Kościoł Katolicki rządzi?
Y kto z ſtolicy Apoſtolſkiey ſądzi?
Odpowiem: Matko za twoią przyczyną,
Pokoy ſtateczny dał BOG dobrotliwy;

Pogáństwá z swemi bałwanámi giną,
Dla Chrześcianow, czas rośnie szczęśliwy.
Gdyby świat cały, twey żądał modlitwy,
Nie znałby moru, głodu, ani bitwy.
Nie dziwuy że się memu grubiaństwu,
Zem tak bespieczny w proźbie sam za sobą;
Gdy plenność Wierze, cichy pokoy Państwu
Wyiednać możesz, Swiętą swą osobą,
Nie żałuy pracy w zbawienia potrzebie,
Zebym się wiecznie z tobą cieszył w Niebie.
Rzecze Niewiasta: nie rozumiey o mnie,
Ażebym godną przed BOGIEM bydź miała,
Raczey ná piekło, kiedy sobie wspomnie,
Dawno mię moia rospusta skazała;
Niegodnám by mię ziemia miała nosić,
A iakoż lepszym mogę co wyprosić?
Jednak Twoy roskaz wypełnię, kiedy mię
Jeszcze probuiesz, y kapłańską władzą
Modlić się każesz, Oycze moy Zozymie.
Tobie, co zechcesz, wszystko Nieba dadzą,
Ja proch mizerny Łotryni wierutná,
Nic nie wskorawszy, poydę z płaczem smutná.
W tym ná wschod Słońca twarzą obroconá,
Pocznie się modlić, oczy w slup postawi,
Cud widzę, iako w gorę wyniesioná,
Y ná powietrzu czas nie máły bawi,

Przyſięgą ſtwierdzam, że mię wzrok nie mylił.
Choć ſię ſtarością y pracą wyſilił.
Pocznę ſię lękać y ná nowe trwożyć,
Czy mię nie iaki Duch zdradliwy zwodzi ?
Rożne ſię zaczną myśli w głowie mnożyć,
Bym zaś nie zbłądził, o wielką rzecz chodzi,
Właśnie myśl moię w punkcie odmieniła,
Gdy Seraficzną modlitwę ſkończyła.
Mowiąc: widziſz mię grzeſzną y mizerną,
Nazwać mię możeſz prochem y popiołem,
Ale też ieſtem Chrześcianką wierną,
Za mnie, y wielu, lał Chryſtus Krew ſpołem,
Wiedz, że to dla mnie pociecha iedyná
Wyznáwać Oyca, y Ducha, y Syná.
O ſkryte ſprawy Niebieſkich ſekretow !
Tożeście mocną opatrzone ſtrażą,
Czyieſz ſię ręce, waſzych tkną Dekretow ?
Y z protokułu zapiſy wymáżą ?
Kto ſiedm pieczęci Apokaliptycznych
Otworzyć śmiały Taiemnic rozlicznych ?
O iak nas wielu w tym defekcie błądzi !
Ze bliźnich náſzych powierzchowne ſprawy
Oko obaczy, á ſłowo oſądzi,
Nie wiedząc, komu BOG ſprzyia łaſkawy,
Y czym ſię náſze podeyrzenie brzydzi,
To nas ná Sądzie oſtatnim zawſtydzi.

Już nie śmiem dłużey Swięta Matko bawić,
Tylkoć się cały w opiekę oddaię,
Chciey mi szczęsliwą śmierć u BOGA sprawić;
Ale mi tego ieszcze nie dostaie,
O co cię z płaczem będę prosił rzewnie,
Kto, y zkąd iesteś żebym wiedział pewnie.
Bo mię nie darmo w tę puszczą wysłało
Opatrzne Niebo, lecz tylko dlá tego,
Zeby skarb skryty w ziemi pokazáło;
A mnie kopaczem uczyniło iego.
Y gdyby Boskiey w tym nie było woli,
Pleśniał by metal bez pożytku w roli.
Nie darmo mowię, Pan mię dotąd chował,
Siły umocnił, y duchy odżywił;
Nie darmo nogi gonięce zprostował,
Co ie wiek setny w obłąki pokrzywił;
Kiedy z komorki bez prog przeyść nie mogę
W ten czás mi w skáły náznaczáią drogę.
Nie boy sie żadney Pustelnico zdrady,
Zeby ci prożną czart chwałę zárzucił,
Kiedyś záczęła, słuchayże mey rády:
Zebym się nie ia, tylko on zásmucił,
Kapłáńskim słowem ná toć się zápiszę,
Ze z Boską Chwałą będzie, co usłyszę.
Przyznam że wielkiey pracy y odwagi
Trzebá, kto w sobie tych mordercow czuie,

Sumnienie z grzechem, z Pokutą wſtyd nági,
W oſtatnich ſiłách z ſobą ſię paſſuie.
Często przychodzi do krwáwego potu,
Chcącym ſię ſzczerze zbyć tego kłopotu.
Grzech lotem pędzi, w punkcie ná łeb wpada,
Sumnienie zaráz ſtrofuiąc go gryzie,
Wſtyd ſię opierá ná pierwſzego ſkłada,
Pokuta ledwie co zá niemi lizie,
Wolałby drugi w puſzczy od Lwá ginąć;
Zeby Kápłaná przed Spowiedzią minąć.
Nie tego zdánia, Swięta Amázonka,
Gotowá z grzechem, wſtydem zácząć woynę,
Nie trzeba dla niey trąby, ni poſtronka,
Byle ſumnienie mieć mogłá ſpokoyne,
Kiedy ſię grzeſzyć iáwnie nie wſtydziła,
Jáwną pokutą wſzyſtko zwyciężyła.
Odważnym ſercem pocznie mowić zemną,
Nie wiem zkąd zácząć Oycze moy łáſkáwy,
Mroz mię przeymuie, nogi drzą podemną,
Ják ci wyiáwić wſzyſtkie moie ſprawy,
W ktorych to znáydzieſz z niemáłą ſwą trwogą,
Ze w pieklc nad te, gorſze bydź nie mogą.
W tym cię upewniam że nic nie ochronie,
Zycia ſproſnego, ſpoſobow zgorſzenia,
Straty czyſtości, złych ſłow, w káżdey ſtronie,
Truła m niewinne ſwym iadem ſtworzenia,
Wreſz-

Wreſzcie w śmiertelnych grzechách kátalogu,
Niemáſz, cobym go nie miáła w nałogu.
Jeſzczem ci iedney części z tych przyſmákow,
Co piekłem trącą, nie opowiedziała,
Strách mię powietrza, ſtrách Niebieſkich znákow!
Strach by mię żywo ziemia nie porwała!
Gdyć wſzyſtko powiem, coż Zozymie rzeczeſz!
Ják od pádalca odemnie ucieczeſz.
Ale kiedy cię BOG iak mowiſz, po to
Wyſłał w tę puſzczą, ná Skárbu kopanie,
Szukay mey duſzy, wſzák droższa nád złoto:
Spraw niechay zá Skarb, przed ſwym Stworcą ſtánie,
Z ziemim poczęta, niechże mię pozwoli,
Tobie wykopáć, iák robaká z roli.
Zal mię ſerdeczny przeraził z Jey ſkruchy,
Łzy ſtrumieniámi z oczu moich płyną,
Pocznę iey czynić zbáwienne otuchy,
Jak teraz cnoty Magdaleny ſłyną,
Bog ci odpuści, y Swiętych przyczyna,
Ja kończę mowę, á ta ią záczyna:
Z Egiptu Rodem ieſtem Oycze miły,
Rok mi dwunaſty był, kiedym uciekła
Od mych Rodzicow, záraz mną rządziły
Złe chuci, záraz cnotym ſię wyrzekła,
Wſtydowi oczy mocnom záwiązała,
Zeby nie widział, ná com ſię udała!

W Al-

W Alexandryi do roſpuſty pole
Pierwſzem ználázła, wſtyd mię o tym mowić,
Jákom nie iedno niewinne Pachole
Piekielną wędą ſtárała ſię złowić,
Słowem wſzetecznym, y śmiáłym pozorem
Młodź zárażáłam, śmiertelnym fetorem.
Y co bydź może grzechowych gátunkow,
Wſzyſtkie ſię u mnie wygodnie mieściły,
Nie biorąc nawet żadnych podárunkow,
Samą ſproſnością żądze ſię cieſzyły.
Gdy mię w niecnotách widzą uſtáwiczną,
Już mię záczęli w Mieście zwáć publiczną,
Lat ſiedemnaście iák tego rzemiosła
Ná niecnotliwym uczę ſię wárſztácie,
Ták mię ſwawola ná wſzyſtko uniosła,
Piekłu z pożytkiem, á Duſzy ku ſtrácie,
Teraz gdy z tobą o tym mowię chwilę,
Cięſzkim ſię wſtydem morduię y ſilę.
W tym widzę w okręt wſiadaiących ludzi,
Nie pytam do kąd, y po co popłyną?
Tu mię nieczyſty znowu Duch podbudzi,
Stánie przy uchu prędko z tą nowiną,
Nie prożnuy, nie czyń krzywdy ſwey urodzie,
Łowiſz na ziemi, dopieroż ná wodzie.
Prędko pozwalam ná ſzepty záwodne,
Wpraſzam ſię z niemi, záraz okiem rzucę,

Czy

Czy tu ieſt iákie ſtworzenie dorodne,
Całą myśl z wolą do grzechu obrocę.
Właśnicm ſię zdáła Fliſom zá Szafarkę,
Bom tu y z wierzchem przepełniła miarkę.
Słyſzę mowiących, że do ziemie świętey
Swoię żeglugę czynią z znabożeńſtwa,
Modlą ſię z ſkruchą w drodze przedſięwziętey,
BOGU oddaiąc ſwe niebeſpieczeńſtwa,
Coś o zupełnym gadáią odpuście,
Ja o zupełney ná morzu roſpuście.
O wielki Boże cudownyś ná lądzie,
Ale ná morzu dziwnieyſzy w ſwey mocy,
Kiedy ná piaſku, y na łada prądzie
Płynąca Nawá, nie rozbita w nocy,
Ze ią pioruny w ſztuki nie ztrzáſkáły,
Wichry ná oſtre ſkáły nie wegnáły.
Czemu cnotliwych wrzucaſz ná przepáści,
Co pracowicie pożytku ſzukáią?
Czemu nie uydą zboieckich nápáści?
Czemu ich byſtre fale zálewáią?
Y ci ná twoie co uſługi płyną,
Częſto ná morzu od bałwánow giną.
Zá coż mię cierpi, y tzyma ná dłoni?
Ktore w ſwym domu, trupa znieść nie może!
Od wieloryba łakomego broni,
Stanąć u brzegu dobrego pomoże,

Jam dawno BOGU y cnocie umárła,
Przecię mię wyrwał iák Jonaſza z gárła.
Dochodzę zrzodła zkąd w nim żywe wody,
Sámarytanka dla zdrowia czerpała,
Szukaiąc ciáłu w upałách ochłody,
Lepſzych ſię ſmakow duſzá iey dobrała,
Znáć przez minerał kordyalny bieży,
Kiedy ożywi, kto śmiertelny leży.
Więc y ia z tegoż nápiłám ſię ſtoku,
Co záśmierdziáłe obmywa bolączki,
Krew JEZUSOWA z wodą płynie z boku,
Ná uśmierzenie piekielney gorączki;
Łáſkawe morze Sodomſkie powodzi,
Swym miłoſierdziem chłodząc ułágodzi.
Stawam z drugiemi w Mieście Jeruzalem,
Słyſzę, iako ſię z ſzczęścia ſwego cieſzą,
Jedni ze łzámi y ſerdecznym żalem,
Ná mieyſca kędy Chryſtus cierpiał ſpieſzą.
Ja ſię też cieſzę w myśli nie pomáłu,
Ze tu zażyię z młodzią kárnáwału.
Jákoż zwyczaynie przy odpuſtách bywa
Targ, álbo iármark ná rożne przedáży,
Zrána nie ieden ciężaru pozbywa,
Drugi z południa cetnarámi waży;
Mnie o moy towar, kto ſię tylko ſpyta,
Bierze bez tárgu y nie płáci mytá.

Swię-

Swięto náſtáło Krzyżá podwyżſzenia,
Kiedy z rożnych ſtron, ludzi tyſiącami
Zgromádziło ſię widzieć znák zbáwienia;
Ciſną ſię we drzwi Kościelne tłumami,
Mnie też ciekáwość iść tam roſkazáła,
Zebym ná Łotra nie ná Krzyż pátrzáła.
Tu mię zátrwożył moy zamyſł uparty,
Znáć żem nie godná teń kleynot oglądáć;
Coś mię odepchnie, á niewidzę wárty,
Ja nie przeſtaię tego przecię żądáć.
Záczym drugi raz y trzeci ſię kuſzę,
Daley ze wſtydem, od drzwi odeyść muſzę.
Uważam mocno, co to zá przyczyna?
Ze drudzy wchodzą, choć ciżba w Kościele,
Jam wyłączona od wſzyſtkich iedyna;
Zebrak, káleka, gdy chce, wnidzie śmiele,
Kalectwo moie naygorſze podobno,
Znáć dla zárazy, ſtawia mię oſobno.
O Swięte Drzewo! kiedyżeś dla kogo
Ták nie przyſtępne, iáko dla mnie było?
Náygorſzych Łotrow nie tráktuieſz ſrogo,
Choć ich przy tobie, práwo powieſiło;
Prawda żeś oſtrość nád Stworcą wywárło,
Kiedyś mu Ramię do kości przetárło.
O Krzyżu Swięty nie odpychayże mię!
Wſzák ieſteś fortą moiego zbáwienia,

Y to wieſz, żem ieſt Adamowe plemie,
Zá ktore Chryſtus cierpiał obelżenia;
Lubom z roſpuſtą przyiaźni záwarła,
Ciebiem ſię przecie nigdy nie zápárła.
Nie śmiem iuż więcey záżywáć śmiáłości,
W kąd przyſionkowy poſzłam, zácznę wzdychác:
Cáłego życia przyidą ná myśl złości,
Jákoż mię Kościoł nie ma precz odpycháć?
Com y ná Boſkie y Jego przykazy
Nie dbáiąc, owſzem ſzukáłam obrazy.
Jak by mię wrzącym opárzył ukropem,
Tak wielka boleść ſpádła ná mnie nagle,
Nieutrzymáne łzy płyną potopem,
Wzdychanie ſwoie rozpuściło żagle;
Wſzyſtkám ſię práwie rozpłynęła w morze,
Gdy żal do gruntu, ſerce rudlem porze.
Nie wiem co czynić, do kogo o rádę
Udáć ſię? nędzney, obrzydłey niewieście;
Ktoż ze mnie zdeymie ták ciężką záwádę?
Chociaż mam pełno Przyiacioł w tym mieście;
Zaden mi widzę dzwigáć nie pomoże
Kaydan ná nogách, ná ſzyi obrożę.
Spoyrzę trafunkiem w bok ná iednę ściánę,
Obaczę obraz Matki JEZUSOWEY,
Trzyma ná Rękàch ſwe dziecie kochane,
Nie pokázuie twarzy mi ſurowey,

Owſzem iák by mię do ſiebie wołała,
Łáſkáwym okiem ná mnie pogłądała.
Ztąd mocną biorę nádzieię z otuchą,
Do nog tey Pani pokorną myśl rzucę,
Co byłam niemą, y ślepą, y głuchą,
Iako z letargu śpiąca ſię ocucę:
Zmyſły ſtrácone iuż w śmiertelnym rázie,
Zdrowe znayduię w cudownym obrázie,
Y rzekę: Pánno nie znáiąca zmázy
W poczęciu Twoim, y Anielſkim życiu,
Grzech Ewy w Tobie nie zoſtawił ſkazy,
Swiętaś w żywocie Anny, y w powiciu:
Jakoż ſię pełná ſzpetności kloaka,
Przymknąć do ciebie má Egipcyaka.
Alem ſłyſzała że BOG Stworca świata,
Ná to człowiekiem ſtał ſię w twych wnętrznościach,
Widząc że wielka w grzeſznych Duſzach ſtratá,
Ktore po uſzy zagrąznęły w złościach,
Za to ná Krzyżu w mękach życie ſkrocił,
Zeby naygorſzych do ſiebie náwrocił.
Proſze cię grzeſznych ucieczko iedyná,
Panno y Matko ſierot wſpomożenie,
Czyiaż bydź może ważnieyſza przyczyná,
Dla ktorey Syn Twoy, dał wielom zbawienie,
Niechayże y mnie uczyni tę łaſkę,
Y da oglądać Krzyża ſwego trzaſkę.

Przy

Przywroć mię Matko Owieczkę ſtraconą,
Zebym ſię znáła do ſwego Paſterza;
Pozná mię y on, chociaſz odłączoną,
Wydrze mię z paſzczy łakomego zwierza;
Dobry to Paſterz, gdy ſiebie w zakładzie
Za iednę Owcę Duſzę z życiem kładzie.
A ia przyrzekám, że odtąd poſłuſzną,
Ná każde Syná Twego zawołanie
Będę, tylko mi ſpraw pociechę duſzną;
Otworz drzwi łaſki ná me kołatanie,
Tych ſię chwyciwſzy, trzymać będę klamki,
Mocnemi życie opatrzywſzy zamki.
To wſzyſtko mowiąc y ſercem y ſłowy,
Dziwną weſołość uczułam w mym ſmutku.
Bramę otwartą, port weyſcia gotowy,
Nád ſpodziewanie wynálazłam w ſkutku.
Y co koło mnie ludzie z wzgardą prześli,
Teraz mię w Kościoł ná ramionách wnieśli.
Tam obaczywſzy Krzyż Swiętego Drzewá,
Zacznę ſię lękać, y znowu ośmielę,
Przyidzie mi ná myśl że nie iedná Ewá:
Frukt iadła, ale, y Adamow wiele;
Przecie to Drzewo żywota, treść ſamá,
Nie ztruło śmiercią, Ewy, ni Adamá.
Toż dlá mnie ſamey Drzewo, w Raiu roſło,
Ktore świat cały ſwym cieniem okryło,

Dla mnie y wſzyſtkich frukt życia przynioſło,
Zeby nikogo wiecznie nie zgubiło;
Poczuło piekło, y mocną ryknęło
Kiedy ná gorze Trupich głow ſtánęło.
Czemuż ia nie mám przyſtąpić do Krzyża,
Kiedy grzeſznikow przytula do ſiebie?
Niech Cerber wyie, y hardy kark zniża,
Niech ſię go boi, bo nie będzie w Niebie;
Dawno z pod tego znáku wymazany,
Gdzie krwią JEZUSA grzeſznik zapiſany.
Ucieka boiazń, á śmiáłość przychodzi;
Ta mi roſkáże Krzyż Swięty całowáć;
Dziwná ſię ſłodkość, w uſtach moich rodzi,
Y poczną zaraz ſerdecznie żałowáć,
Zem tey wonnośći dawniey nie zażyła,
Co zmarłą duſzę w momencie wſkrzeſiła.
Wygrawſzy ſprawę u Syná, do Matki
Po utwierdzenie prawá mego wracam,
Z kąd wzięłam moiey fortuny zadátki,
Tam niecháy pewność dziedzictwá wymácam.
Ta mi pomoże w reſzcie intereſſu
U pomyślnego ſtanąć ſzczęścia kreſsu.
Biegnę z radością do ſieni Kośćielney,
Stawam z pociechą u mego obrazu,
Jak bym ſię w ſzacie widziała weſelney,
Kiedy mię wſzędzie puſzczaią do razu;

Nikt mi nie mowi, czego ciśnieſz tu ſię,
Suknie godowey, nie máſz odartuſie.
Beſpieczniey teraz Matko moia rzekę,
Ktoraś mi rękę podała zginioney,
Zmiłuy ſię, y weź w dalſzą mię opiekę,
Umocniy ſiły, grzechami zwątloney,
Pokaż mi proſzę do pokuty drogę,
Gdyż bez twey łaſki poſtąpić nie mogę.
Jak by mi w ucho, kto poſzepnął bliſko,
Słowa rzetelnie wymowione ſłyſzę:
Wychodź zá Jordan, y poſpieſzay rzyſko,
Tam ſię ſwáwola twoia ukołyſze,
Tam do pokuty, gdy zaczynieſz przywykać,
Będzieſz ſpokoyną, y przeſtanieſz brykać.
Wychodzę zaraz, nic ſię nie opieram
Na pierwſzy roſkaz Pani wielowładney,
Pakta ſtateczne z Jey Synem zawieram,
Ze ſłużyć nie chcę mámmonie ſzkaradney;
Jakoż ná woynę zaczętą przynoſzę
Jałmużny wziętey, od kogoś trzy groſze.
Za te kupuię, chleba do Obozu,
Lekko ſię wybrać myślę bez taborow,
Niechcę obciążać ładunkiem powozu,
Ani nápełniać leguminą worow;
Dwie potraw zrobię błagalney ofiary,
Z ſiebie wędzonkę, á z chleba ſuchary.

Pytam ſię w Mieście o drogę y Bramę,
Co do Jordanu idących prowádzi;
Wnet mi pokażą y przywiodą ſamę,
Mowiąc: idź proſto, tak każdy poradzi;
Wyſzłam nioſący ſerdeczne pociechy,
Zem zá muramiporzuciła grzechy.
Już ſię zniżyło ſłońce ku wieczoru,
Kiedym ſtanęłá nád Rzeką ſpragnioná,
Nie tak do wody, iako do Klaſztoru
Biegnę, áżebym byłá odrodzona
Przez poſilenie Ciałá y Krwie Pańſkiey,
Y uzbroioná w zaſadzce ſzatańſkiey.
W Kościele Janá Swiętego Chrzciciela
Wziąwſzy Wiatyk ná podroż ſzczęśliwą,
Tam mię ze świátem, y czartem rozdziela
Nienáwiść ciała, z pokutą prawdziwą,
Trzech towárzyſzow, zbywám za granicą,
Z iedną ſię puſzczam wierną włoſiennicą.
Swiątnica Boſka oczyściła Duſzę,
Woda z Jordánu niech opłocze ciało,
Niech z gruntu brudow zaſtarzałych ruſzę,
Zeby ſię ſkrytey śnieci nie zoſtało;
Przed czyſtym Panem, choć w niemodnych ſtroiach
Byle chędogich, ſtanę ná pokoiach.
Patrzę ná Jordan, y rzeknę: o Panie!
Z czegoż obmywać dałeś ciało czyſte?

Y tyś śię wielkiey rzeczy ważył Janie,
Konchą zamącić zrzodło przezroczyste,
Skrytą mieć musisz tego taiemnicę,
Gdyś z prostey wody uczynił Chrzcielnicę;
W ktorey swe Swięte Chrystus obmył nogi,
Ja twarz y głowę grzesznica umyię,
Nie dokuczy mi w drodze upał srogi,
Kiedy strumienia słodkich wod zażyię,
Jakoż skutecznie uznáłam, że zdrowe,
Bom chleba ziadła, bochenka połowę.
Potym ná ziemi układłam śię twardey,
Nocleg nie smáczny po suchym popaśie,
Pięść za podusżkę kładę głowie hardey,
Kamień czy bryła, pod bok podsuwá śię,
Nie trzeba trąby, bębná, ni kogutá,
Obudzi rano leniwych pokuta.
Jeszcze noc ciemná, świtać nie zaczyná,
Wstawam, y chodzę po nád lądem smutná;
Nie wiem co czynić, bom sama iedyná,
Załość mię wzięła y rospacz okrutná;
Jak by mię názad coś ciągnęło gwałtem.
Takim pokusa, zaszła ná mnie ksztaltem.
Krzyżem śię bronię iak mocnym orężem,
Kładąc go często ná ustá, ná czoło,
Co raz uchodzę przed piekielnym wężem,
Zeby mię znowu nie opasał w koło.

Aliśći widzę nádchodzące wozy,
Gotowe máią liny y powrozy.
Do przeprawienia, ná tamtę ſię ſtronę
Wſzelką gotowość uważam iż máią,
Ludzie piechotni, Wielbłądy iuczone,
Rożne ciężary w ſtatek wprowadzaią;
Mnie nikt nie ſpytá, ubogiey ſieroty,
Co ż ſobą nioſę do ładowney floty.
Bo wſzyſcy widzą że pod pachą gniotę
Chleba kawałek, iak złoto piaſtuie,
To moy prowiant, ten moię lichotę
Ná dalſze życie w ſiłach utrzymuie;
W grubey mię ſukni widząc y powrozie,
Zaden nie mowi, zapłać ná przewozie.
Wyſiadłam ná brzeg proſto ku puſtyni,
Biegnę iak Jeleń ſzukaiący zdroiu,
Otwarta ſkała pokazuie w ſkrzyni
Sliczną kaſkadę chłodnego nápoiu.
O iak ſmákuie ta prezerwatywá,
Co ztruty Jeleń w niey iádu pozbywá.
Odtąd w tey puſzczy zoſtałam, kędy mię
Boſkie wyroki oſadziły cudne;
Ciebie pierwſzego oglądam Zozymie,
Gdyż tu las głuchy, y mieyſce odludne;
Tu Lwy, Tygryſſy máią ſwe łożyſka
Nic mi nie czynią, choć przychodzą zbliſka.

Tu mieſzkać będę, poki nie rozkaże
Pan moy przed ſobą ſtanąć, zadłużone y,
Regeſtr ſzafarſtwá moiego pokaże
Jeźli połowę daruie ztrwożoney;
O gdyby ſłyſzeć ſłowo miłoſierne!
Bierz ſługo Niebo zá uſługi wierne.
Słucham z pilnością Swiętego Kázania
Co mi go Swięta Puſtelnica prawi,
Otworzę oczy głębſzego uznania,
Nad czym ſię Boſkie miłoſierdzie bawi.
Tych co piekielny Jaſtrząb w ſzponách duſi,
Cichemu oddać Gołąbkowi muſi.
Y rzeknę: Matko przedziwney pokuty!
Jeſzcze mi powiedz, wiele tu lat żyieſz?
Proſić cię o to nie przeſtanę puty,
Poki mi reſzty ſpraw ſwych nie odkryieſz;
O co cię ſpytam, powiedz poufale,
Mnie ná poprawę, á BOGU ku chwale?
Odpowie: iako z Jeruzalem wyſzłam,
Rok ten czterdzieſty y ſiodmy nádchodzi,
W tym ſamym czaſie ná tę puſzczą przyſzłam;
Ten mi godziny y momenta ſłodzi,
Bo mi ſię zdaie że y Roku ćwierci,
Nie ſłużę BOGU, á iuż bliſkam śmierci.
Spytam; co iadaſz? czym żyieſz tak długo?
Odpowie: chleba com z ſobą przynioſła

Lát kilka miałam, gdy ztwardniał, znowu go
Ná rosę kładłám dziwnie kromka rossa,
Y tak co tydzień, lub kilka dni minie,
Jadłam zá Biszkokt, chleb, po odrobinie.
Wszakże wiesz Oycze, że nie samym Chlebem
Człowiek powinien żyć, lecz Słowem Bożym,
To nas umocni, to nás złączy z Niebem,
Gdy go słuchaiąc, starania przyłożym;
Przez post, modlitwę, bliźniego kochánie
Sposob, rzecz śmiele, odstąp precz szatanie.
Spytam: początek twego tu mięszkania,
Nie byłżeć przykry, po świeckiey wygodzie?
Po smácznych kąskach Bankietow, śniadania,
Suchar za Pasztet, á smák winá w wodzie;
Naucz mię proszę sekretney zaprawy,
Czym tak posilne są twoie potrawy.
Na to westchnieniem bárziey niż słowámi
Rzecze ach! Oycze, nie śmiem tego ruszyć
Com mizernemi swemi uczynkami
Postánowiła Wiperę ususzyć;
Zeby się z iádem do mnie nie wrociła,
Y umorzona znowu nie ożyła.
Srogiem powiáda, pokusy cierpiáła
Przez siedmnaście lat we dnie y w nocy,
Nigdym spoczynku wolnego nie miáła;
Tak czárt nádemną probował swey mocy,

Jle lat w iego dłużyłam śię Skárbách,
Trzymał mię w lichwie, czas piſząc ná kárbách.
Sproſne prżywodził do myśli poczwáry,
Szpetnieyſze monſtra przed oczy wyſtawiał;
W oziębłym ciele podniecał pożáry,
Stan moy mizerny ze śmiechem wymawiał
Wrzeſzcząc; o głupia! gdzieś rozum podziałá?
Z doſtatniey Pani hołotąś śię ſtáłá.
Potraw Egipſkich, ſmakow przy roſpuſtach
Com zażywała, ten z nich odor czuię,
Ják bym ich miała zgotowane w uſtách,
Ták ie piekielny Kuchmiſtrz przyprawuie,
Sciſnełam zęby, nos zátykam w ſtráchu,
Nie chcąc iuż więcey ſmáku, ni zápachu.
Gdy mię ták cięſzka znużyła chorobka,
Nie mam ſpoſobu,leczenia z praktyki,
Bo w tey nie tylko ſerce y wątroba
Zniſzczeie, ále, wſzyſtkie wyſchną ſzpiki:
Fraſzka pedogry, puchliny, ślepoty,
Naygorſze z pokus bywáią ſuchoty.
Przecież y ná te, mam ſpoſoby proſte,
Po twárdey ziemi, noc y dzień śię walam,
A coraz ciáłu dáwſzy dobrą chłoſtę,
Mężnym umyſłem ná nic niepozwalam.
Niechay mię piekło cáłą śiłą bechce,
Ja BOGU ſłużę, á czártá znáć nie chce.

Kiedy záś czuię, że pokuſy hurmem
Gwałtowny w duſzy chcą czynić rábunek,
Gdy wſzyſtką śiłą podſtępuią ſzturmem,
W ten czas záwołam o mocny rátunek
Do moiey Páni, co zá mną ręczyła
Synowi, że iuż nie będę grzeſzyła.
Aż iák po wichrze, piorunách y grzmocie,
Łáſkáwe Słońce ſwe rzuci promienie,
Ták wzrok záślepi piekielney hołocie,
Ze ią ná przepáść wieczną z placu zżenie,
Ten wyiąc płácze, ten iáko lew ryczy:
Biádá! nic Pánu nie nioſę w zdobyczy.
Potym w modlitwę, iák w ſtalową zbroię,
Ufam, że mię ta obroni w tey woynie,
Co moment práwie w ten ſię kiryś ſtroię,
Y iuż nie máły czás żyię ſpokoynie.
Mocna to Bramá nád Báſzty y wieże,
Co nas od duſznych Nieprzyiacioł ſtrzeże.
Częſto ná pámięć przywodzę czás przeſzły,
Ják márnie zginął, iák upłynął z wodą,
Na czym dni, lata, y godziny zeſzły,
Komu wiek młody doſtał ſię z urodą;
Ach! ciężko wſpomnieć niecnoty w nałogu!
Czárt ſię tym cieſzył, co miáło bydź BOGU.
Spytam: powiedz mi Swięta Pani proſzę,
Czym teraz żyieſz gdyć chleba nie ſtało?

Odpo-

Odpowie: ziołek używam potrofze,
Co ich w tey pufzczy, Niebo dla mnie dało.
Iużem ci rzekła, że nad Słowo Boże,
Lepfzy pofiłek w Chlebie bydź nie może.
Gruba fukienka com tu wniofła z fobą,
Zgniła od fłoty, w fztuki fię porwáła,
Ta była moiey nágości ozdobą,
Długom z niey węzły po fobie wiązała.
Co ią defzcz wyprał, wiátr wyfufzył, znowu
Refztę im dałam, ciefzcie fię z obłowu.
Teraz gdy będąc blifką życia końcá,
Ják lift ná drzewie, mrozem zdięty mdleie,
Ták y ia będąc blifką życia końca,
Czekam, rychło mię śmierć wraz z liftkiem zwieie.
Máło tákiemu potrzeba żywności,
Gdzie fię fkurczyły z żołądkiem wnętrzności
Spytam: ieżeli ma Pfałterz u fiebie?
Y Swięte pifmo iák dawno czytała?
Odpowie: że tu naypierwfzego ciebie
Człowieká teráz dopierom widziała,
Niewiem co Pifmo, áni znam Pfałterzá,
Ledwo że umiem káwáłek Pacierzá.
Záczpę ná nowe BOGU czynić dzięki,
Ze ták cudowny w fpráwách niepoiętych,
Ochotny w zgubie do podania ręki,
Z naygorfzych ludzi, czyni wielkich Swiętych;

Ta nigdy Pismá zadnego nieznała
O Swiętym, Swięta nie dziw że gadałá.
Tu mowi do mnie z westchnieniem głębokim:
Otoż máſz Oycze ſpraw moich kroniki,
Niegorſz ſię ze mnie ni uchem, ni okiem,
Czegoś nie wiedział, teráz znáſz z praktyki.
Co wpędzá w laſy, co w głuche pieczary,
Tych co bez cnoty żyli, y bez wiary.
Lękam ſię tego, żeby słowá moie,
Z uſt wypuſzczone powietrza nie ztruły,
Ptaſtwá, zwierzęta, frukta, wodne zdroie
Swoią zarazą z gruntu nie zepſuły.
Bom uważała gdym z tobą mowiła,
Skała, słuchaiąc gębę otworzyła.
O to cię teraz proſić mi należy,
Proś za mnie BOGA, Kapłanie pobożny;
Pamiętay o mnie, iak ten Rok przebieży,
Choćbyć trudności wſtręt czyniły rożny.
Tak Chryſtuſowi znać ſię podobało,
Zebym z rąk twoich, Jego wzięła Ciało.
Ktorego dotąd żem nie pożywáła,
Głod czuię w duſzy, z tąd słabość w mym Ciele,
W ten czas kiedym ſię nád Jordan doſtáła,
W Swiętego Janá Chrzciciela Kościele,
Wzięłam Wiátyk, w tę idąc Jaſkinią,
Uważ, w zgłodniałych co słabości czynią?

Czekayże ná mnie, nie bierz z ſobą Braci,
Tylko Nayświętſze Taiemnice w Chlebie,
W ten dzień gdzie Chryſtus Uczniom ſwoim płaci
Chlebem, tam zamknął Ciało, Krew, ſam ſiebie;
Ja czekać będę z Rąk twoich poſiłku,
Gdy z umocnieniem przyidzieſz w życia ſchyłku.
O Swięte ziarno pſzenicznego plonu !
Jakożeś ſzczodre, iak obfite w kłoſy !
Godnes Pańſkiego Stołu, godne Tronu,
Bo razem z Chlebem, ſączyſz krwáwe Roſy;
Niech Kleopatra ſwey perły ſzacunek
Zmieni ná ziarko, co w nim Chleb y trunek.
A ná oſtatek rzecze mi: Zozymie,
Jdź iuż w pokoiu do ſwego Klaſztora,
Pamiętay ná twey Penitentki Jmie,
A potym przeſtrzeż odemnie Przeora,
Ażeby ſiebie ſam poprawił wprzody,
Jeżeli mieć chce, pożytek z ſwey trzody.
Jednák mu teraz o tym nie wſpomináy,
Aż ci BOG káże; nie pytáy zá co to ?
Nie bądź ciekawym, ni ſię dopomináy
Wiedzieć dlá czego z ołowiem wraz złoto ?
Przyidzie czas, kiedy Złotnik z tygla ſnádno
Złoto odbierze, ołow poydźie ná dno.
Oſtatnie ſłowá, lecz ſłodkośći pełne
W ſercu, y moiey pamięci zoſtawi,

Płaſzcż porzuciwſzy, okryła ſię w wełne,
Nic ią nie wſtrzymá, nic ią nie zabawi,
Jak ptaſzek w gniazdko ſtęſkniony bez dzieci,
Tak do ſwey ſkały, Puſtelnica leci.
Zal mię nieznośny z ſmutkiem opanowáł,
Zem ſtracił z oczu Anielſkie oblicze,
Tylkom to mieyſce gdzie ſtała cáłował,
Już przyſzłych czaſow, mieſiące, dni, licze,
Kiedy mię znowu BOG godnym uczyni
Swiętą oglądáć Duſzę w tey Puſtyni.
Widzę że prożno czekać mám tey rzeczy,
Co nigdy, álbo nie rychło ſię wroci,
Niechay to Niebo má ná ſwoiey pieczy,
Jak do tąd miało, á mnie ſię dzień kroci.
Czynić zadoſyć co roſkazał Starſzy,
Wracam do Domu łzy z oczu otarſzy.
Stanąłem właſnie, w punkt iak náleżało,
Rok cały chowám milczenie w ſekrecie;
Zda mi ſię że iuż lat kilká miiało
Moiey tęſknicy, mám nádzieię przecie,
Ze mi tę ſzkodę czas odda ſtokrotnie,
Gdy ſwoie koła zacznie pędzić lotnie.
Przychodzi pora prágnącego zyſku,
Ledwom nád prawo Reguły nie zgrzeſzył,
Nad zaſłużeńſzych, chcąc być w ſtanowiſku;
Już ſię przed ſiecią z ſzczęściam ſwego cieſzył;

Ale coż czyni BOG dla lepſzey proby!
Ná niecierpliwych przepuſzcza choroby.
Bo kiedy widzę, że wſzyſcy wychodzą
Bracia ná puſzczą, iam nágle osłabiał;
Zazdroſne myśli, z żalem mię uwodzą,
Otoż máſz ſkutek, coś nágle wyrabiał.
Naucz ſię z ſwoiey włáſney wyzuć woli,
Mieć, nie to co chceſz, lecz coć BOG pozwoli.
Kwietná Niedziela ſprowádziła Synow
W dom zgromádzenia, mnie w podroż wyſyła.
Czekam roſkazu, Rządzcy wielkich czynow,
Aż ſłabość w czerſtwość wnet ſię obrociła.
Bogday pod taką umierać komendą,
Gdzie ſiły z ſercem w potrzebie przybędą.
W ſam wielki Czwartek, wziąłem Pańſkie Ciało,
Oraz Starſzego mego pozwolenie;
Wyſzedłem rano nim ieſzcze świtało,
Czekam ná owo czci godne ſtworzenie,
Scieſzkęm udeptał, po nád Jordan chodząc,
W przykrym czekaniu, Jey przyiściem czas ſłodząc.
O Boże! iak ſą długie te godziny,
Com ie tu ſtrawił, o iak ſobą nudze,
To mi nayciężſza, że niewiem przyczyny,
Czemum nie godzien uſłużyć Twey ſłudze?
Jeźlim omięſzkał termin náznáczony,
Zal moy do śmierci nie będzie ſkończony.

Już

Już mám odchodzić zapłakawszy rzewnie,
Jeszcze obrocę oczy ku Jordanu,
Uyrzę, aż oná do mnie spieszy pewnie,
Z pokorą winną podziękuię Panu,
Ze mię tak ieszcze nigdy nie zasmucił,
Czegoby z setną pociechą nie wrucił.
Cud niewidany, gdy iak Łani chyżá
Szybko przybiegła nád Rzekę głęboką;
Widzę, kiedy znák wyraziwszy Krzyża,
Woda się stała mostem, czy opoką;
Po ktorey przeszła nie zmáczawszy nogi,
Rożne BOG grzesznym pokazuie drogi.
Tu przed obecnym BOGIEM w Maiestacie,
Na ziemię padła, nie śmie podnieść oczy;
Znać nie wie, że Pan bywá w podłey chacie,
Chrusty podpiera, mur iak pianę tłoczy.
Mowię Jey: powstań, Krol czeka ná ciebie!
Zebyś go chętnie przyięła do siebie.
O wielka uczto w Domu Zacheusza!
W ktorym zbawienie dziś zaraz się stało,
Co miłość Boska ná człeku wymusza?
Chce by w nim słowo wraz z ciałem mieszkało;
Przyiście Chrystusa, z skąpego Celnika
Hoynym zrobiło, w datku Jałmużnika.
Ciężko grzesznemu, posturę Anioła
Opisać, w iakiey skromności, pokorze

Stanie przed Panem, kiedy go zawoła?
Ciężko łyżeczką w dołek przelać morze,
Nie moiey głowy, á dopieroż ręki,
Malować Twarzy Anielſkie y wdzięki.
Ale com widział, o tym śmiele mowię:
Ze po przyięciu ſkrytey mánny w ſkrzyni,
Swiętą Niewiaſtę, iuż Aniołem zowię;
BOG ſkryte rzeczy dlá ſwey chwały czyni,
Mam ia nádzieię że ukryta perła
Godná Korony, godná będzie Berła.
Po zakończonym nábożeńſtwie, rzecze:
Zegnam cię Oycze kochany ze łzami,
Bądź u mnie niźli zegarek dociecze
Zycia moiego pod tymi ſkałami,
Gdzieś w puſzczy ze mną pierwſzy raz rozmáwiał,
W Rok proſzę byś ſię ná to mieyſce ſtawiał.
Odpowiem: wſzyſtko co każeſz, uczynię
Swięta Niewiaſto, uczyń y ty dlá mnie
O co cię proſzę, niechay wiara ſłynie
W Kościele Bożym, á modl ſię też za mnie.
Ceſarzow, Krolow, utrzymuy przy zgodzie,
Niech będzie pokoy ná ziemi, ná wodzie.
Ledwiem domowił ſłow oſtatnich, iużci
Zniknęła z oczu moich Puſtelnica;
Właśnie iak okręt gdy żagle rozpuści,
Albo iak lotná wzbiie ſię Orlica,

Tak

Tak za nią śladu nie poſtrzeże oko,
Czy niſko bieży, czy leci wyſoko.
Przecie BOG tyle widzieć mi pozwolił,
Co mię iedynie pocieſzyć umiało,
Ażebym ſobie głowy nie mozolił,
Kędy ſię moie ſzczęście zapodziało;
Wſzyſcy ią nazwać Cudotworną mogą
Gdy znowu Jordan przeſzła ſuchą nogą.
Wiecznemu Panu oddawſzy cześć z chwałą
Ze mię ſwey łaſki nędznego żebraka
Uczynił godnym, z pociechą nie máłą
Wprowádził w Puſzczą, gdzie Egipcyaka
Swięte prowádzi z Aniołami życie,
Mnie to pokazał, co zachowáł ſkrycie.
Tego żałować długo nie przeſtanę,
Zem ſię nie ſpytał o Jmie Jey własne,
Rok tego czekać nim tam znowu ſtanę;
BOG wie ieżeli, w tym czaſie nie zaſnę;
Mizerná ſtarość moia temu winna,
Lat wiele máiąc, á pamięć dziecinná.
Cieſzy mię iednák nádzieia, że ieſzcze
Ten raz oſtatni wyczołgam ſię w drogę,
Wraz z Bracią, bo mam iakieś Duchy wieſzcze:
Będzieſz żył, wyidzieſz, ia ci dopomogę,
Jakoż nic mi ſię czas długi nie zdawáł,
Znać nożycami ſam ſiebie ukrawał.

Dzień przyszedł nászych corocznych zwyczaiow
Wychodzić w lasy, idzie każdy z chęci;
Rożni do rożnych rozbiegną się gaiow,
Mnie skała moiey Pustelnicy nęci;
Ná pierwszym wstępie nim się z nią powitam
Zaraz o Imie z ciekawością spytam.
Doszedłem ledwie Jaskini posępney,
Gdziem náznaczony miał kres do rozmowy,
Strászy mię ostrość skały niedostępney,
Pod ktorą domek Swiętey Białogłowy;
Opatrzność Nieba wnet ratunek dała,
Za przewodnika podrożnych, Rafała.
Sam nie wiem iákom stanął bez trudności,
Ale wnet za to BOG mię poczęstuie,
Za miast rozmowy w skrzepłym ciele kości,
Pragnienie moie gorzkość wynáyduie,
Umarłą widzę, com miał żywą witać,
Trudno się teraz Imienia dopytać.
Takie BOG czyni z Człowiekiem przemiany
Ná iego dobro y wieczne wesele,
Przykra rzecz, kiedy Przyiaciel kochany
Przyiaźń zakończył w obumárłym ciele:
Płaczemy straty, á tego nie znamy,
Ze w nim przed BOGIEM wielką pomoc mámy.
Utracił Jakob kochaną Rachele,
Bez pocieszeniá płacząc nád Jey grobem,

Załował, że lat ſłużył zá Nię wiele,
Krotko ſię cieſzył wyſłużnym ſpoſobem.
A zaż nie wiedział że doczeſne ſmutki,
Wiecznych radości przynioſą mu ſkutki.
Y iam ſię poſtrzegł w nierozumney zrzędzie,
Záłuiąc tego co BOG wziął iák ſwoie;
Wiem że Pátronką moią w Niebie będzie,
Przecię mię trapią wnętrzne niepokoie:
Tyleś z nią razy rozmawiał Zozymie,
A nie ſpytałeś iákie miałá Imie?
Chodzę po miedzy leśnemi ſzpalery,
Nie wiem co czynić z ciáłem ználezionym?
Aż widzę iákieś ná piaſku litery,
Znowu ſię czuię niby pocieſzonym,
Czytaiąc, w ſłowách wzrok tępy zanurze,
Ják by ich dłutem wyrył ná marmurze.
Pogrzeb Zozymie, nędzne ciáło moie,
Day ziemi ziemię, niech wraca z kąd wyſzło,
Duſzy day pomoc przez modlitwę ſwoię,
Dla ktorey Boſkie miłoſierdzie przyſzło.
Wiedz káżdy kto Grob y to piſmo miia,
Ze tu ſpoczywa Egipſka MARYA.
Tu ná kolaná przed Panem upadłem,
Związawſzy w ſnopek Jozefowych Braci,
Tyle łaſk liczę ile kłoſow z kładam,
Co niemi ſługom ſwoim wiecznie płaci.

Y ty Jozefie z Brácią swoią w snopách,
Złożcie pokłony, przy Wszechmocnych stopach.
A ia mizerak coż z sobą przyniosę
Ná dzięk czynienie, y winne Ofiary ?
Kąkol szczerniały, y nikłą stokłosę,
Lub wymłocony, z ziárná snopek stary.
Niewdzięczność moia iest tego przyczyną,
Zem śnieci oddał BOGU z dziesięciną.
Teraz iak umiem, iák mogę, ták zdołam,
Ták nieskończenie Pána chwalić záczne,
Ná pomoc wszelkich żywiołow záwołam,
Wyznawáć Jego Dobrodzieystwa znáczne,
A zá ofiarę w tleiącey iskierce,
Nie máiąc co dáć, niechże weźmie serce.
Zá wszystko co mnie grzesznemu wyświaczył,
Cudną Niewiástę w Pustyni pokazał.
Jey urodzenie obiáwić mi raczył
Grzechy, pokutę opowiedzieć kazał;
Z rąk moich Swiętą wzieła Kommunią
Piasek wyświadczył Imie Jey MARYĄ.
BOG cuda záczął y na Cudách skańczył,
Gdy sam nezdużam ciału pogrzeb sprawić,
Wnet mi Anioła ná pomoc przyłączył,
Zeby umárłą w Grob wybrány wstawić.
Ja kończę pracą z MARYI Pogrzebem.
Prozbę záczynam bym się cieszył Niebem.

Do ciebie Duſzo, ſzukaiąca w kniei
  Egipcyaki, ſwą mowę obracam:
Ze iey nie znaydzieſz, iuż nie miey nádziei,
  Ja po Pogrzebie do Domu powracam.
    Grob nawiedź, z reſztą żądze ſwe uſpokoy,
    Cnoty náśladuy, á grzechom day pokoy.
Stawam nád grobem Twoim Swięta Páni
  Ktoż mi łez doda? kto żalu pomoże?
W puść mię do ſwoiey pokutney ochłani,
  Z chęcią wymieniam puchy zá rogoże!
    Łzy z żalem mięſzáć będę ná przemiány,
    Skała przyczyni kropel z zimney ściány.
Kiedym nie byłá w to ſzczęście doſtatnią,
  Oglądáć Ciebie pokutnych Obrázie,
Pamiętay gdy mię śmierć zágarnie w matnią,
  Ty bądź Pátronką w niebeſpiecznym razie,
    Ty piekielnego odſtraż rybołowce,
    Niech Chryſtuſowe, w ſieć nie łápá Owce.



Swięta MARYA MAGDALENA iák wielką ſtała ſię obydą Płci Białogłowſkiey w grzechach ſwoich, ták wielką ozdobą w pokucie, ſtateczną w miłości JEZUSA aż do śmierci Krzyżowey

O Wielka Stworcy moiego dobroci!
Coś MAGDALENĘ roſpuſtną zbáwiła;
Ktoraż ſię owcá do ciebie niewroci?
Co po manowcách ſamopás błądziła,
Przyimieſz Paſterzu dobry do owczárnie,
Tę, co z pokorą do twych nog ſię gárnie.
Ze MAGDALENA w Morzu grzechow tonie,
Ledwo ſamego dna w głębi nie ſzuka,
Ze iáwnie grzeſzy, ſzpetnym ogniem płonie,
W okopciáłego obrocona kruka;
Wybacz. żeć pioro w pochwale nie ſprzyia,
Nie ia cię głoſzę, lecz, Ewangelia.
W Perły bezcenne ſzyię, rece ſtroiſz,
Pięknaś, bogata, á w cnotę uboga,
Włoſy w pierścienie zwiiaſz, w oknie ſtoiſz,
Wabiſz oczymá, wolna do cię drogá!
Nie wieſz, że w piekło nie iednego nurka
Wyſłałaś po śmierć, dla twych pereł ſznurka.

W Je-

W Jerozolimie Mieście głośna fama,
Ze MAGDALENA prym bierze w urodzie,
Ładna, przyiemna, grzeczna, kſztałtna Dama,
Zadna iey zrownáć nie potrafi w modzie.
Wdzięk w uſtách, w oczach, wabik w cáłey twárzy,
Nie dziw że młodzi lgną, gorſza że ſtarzy,
Kiedy w roſpuście aż po uſzy brodzi,
Siedm ſproſnych czártow wſtąpiło w ſtroynicę;
W iárzmie mizerna duſzá robiąc chodzi,
Prowadzą piekłu, piękną niewolnicę;
Już zákładáią cenę ſwey przedaży
Ze ią lucyper, rowno z złotem zważy.
Co raz ſzátáńſtwo gorę nád nią bierze,
Już MAGDALENA nie wſpomni o BOGU!
O poczciwości, o śmierci, o wierze!
Uwięzła, powſtáć nie może z nałogu.
Takie do grzechu Diabeł práwo rości,
Ják pan dziedziczny w ſwym mięszkaniu gości.
Kończy Szátáńſtwo roſkoſzy nie trwáłe,
Záczyna trapić y Ciáło y Duchа,
Rádzą co czynić Krewni, Miáſto cáłe
Co żywo z wielkim podziwieniem ſłucha;
Co ſię to ſtało z tą, co niewolnika
Tyſiącem bráła, ſama wzięta w łyka,

Nie

Nie długo myśląc ledwie nie łańcuchy
Ciągnie grzeſznicę upártą, do Páná;
Ták ci to widzę do żalu, do ſkruchy,
Mocnego trzeba powrozu, arkana;
Czuie bies y grzech co ſię w tym záwiera,
Ze go chcą wygnáć, mocno krok opiera.
Stawa z boiaźnią przed JEZUSA twárzą,
A ten łáſkawym ſpoyrzał ná nię okiem;
Wnet ią miłości iego ognie ſparzą,
Łzy leie z żalu, obfitym potokiem,
Drzy przeráżona śmiercią; piekłem, Sądem,
Prágnie bydż w Niebie, czy morzem, czy lądem.
Odchodzi trwoga, nádzieia poſpieſzy,
O miłoſierdziu Chryſtuſa upewni,
Ze dobrym płáci, naygorſzych rozgrzeſzy,
W ten czás MARYI Serce ſię rozrzewni,
Y wielką grzeſznym otuchę przynoſi.
Ze go pokutą káżdy łotr przeproſi.
Nie doſyć ná tym MAGDALENY ſmutku,
Rozbrát uczynić z światem, z ciáłem, z czárty,
Jeſzcze ten kontrakt nie pewny w ſwym ſkutku,
Z wykrętnym ſpráwa, Poſeſſor uparty
Uſtąpić nie chce, choć go ſtraſzą ſłowy,
Wieżą wyſiedzieć, grzywny dáć gotowy.

Do-

Dopiero w tedy záczyna ſię ſmucić,
Kiedy grzeſznica ſtateczne przymierze
Z Jezuſem czyni, do złego nie wrocić:
Tego ſtrách, á tę większa śmiáłość bierze,
Bliżey przyſtąpić z większym przedſięwzięciem
Sciele ſię u nog zá rowno z ſzczenięciem.
Do ktorych iák raz przykleiła ſerce,
Nikt ią od tego Skarbu nieoderwie,
Choć JEZUS, w háńbie, w męce, w poniewierce;
Zadnego wſtrętu nie chowa w rezerwie;
Wyświadczyć mogą Kálwáryiſkie drogi,
Ják JEZUSOWE ukochała nogi.
Czując ſię wolną MAGDALENA w Duſzy.
Już ná krok miſtrza odſtąpić nie myśli,
Rwie perły, włoſy, ogołaca uſzy,
Słodkie nauki w żywą pámięć kryśli;
Niedbá ná żądła uſzczypliwe w mowie,
Gdy ią żydoſtwo zá ſzaloną zowie.
Właſna ſtroſuie MAGDALENĘ Sioſtra,
Ze prożniak z ciebie, podobno z zazdrości,
Nic ią tá mowa nie urázi oſtra,
Szácuiąc Pána nád nię y iey gości;
A wieſz że Marto przypowiaſtkę onę:
Ze Goſpodynie, bywaią ſzalone,

Jakoż

Jákoż ſam Chryſtus gani pracą Márty,
MARYĄ chwali trwáłą w ſtatku, w wierze,
Dla tych ſię troſzczeſz, kto w zbytku obżárty.
Ta że mię kocha, lepſzą cząſtkę bierze;
Táką BOG mierzy ſwym kochankom miarką,
MARYA Panią, á Marta kuchárką.
Szczęśliwaś cząſtko Páńſkiey darowizny,
Co frymárk czyniſz zá wieczną niewolą,
Miłe ſwobody Niebieſkiey Oyczyzny,
Zá puſtą ziemię, złotych kłoſow rolą;
Ktora nád perły droższe zboża rodzi,
Bo łzy zbáwienne w pożytku wywodzi,
Chwalebna modo z ſtarożytną cnotą,
Co nie uważaſz Goſpodarza miny,
Czy przeciw tobie wybieży z ochotą?
Czy wytwornemi wita cię terminy,
Doſyć że ſerce nátchnione dyktuie,
Twoy ſię Przyiaciel w tym domu znayduie.
Uchodzi taka MAGDALENIE ſztuka,
Ze nieproſzona ná Bankiet przybędzie,
W ſzák nie Páſztetow lecz JEZUSA ſzuka,
Zá ſtoł nie idzie, przy nogách uſiędzie;
Zá coż ią głupi Faryzeuſz łaie,
Jeſzcze w mym domu takich niedoſtaie;

Prze-

Przeniknął JEZUS Faryzayſkie gody,
Ze nie ſą ſzczere, tylko polityczne,
Rzecze: tyś nie dał nogom moim wody,
Ta łez nieſkąpi, cedząc krople liczne;
Tyś głowie moiey żáłował oleia,
Znáć nie znaſz, iák tá, ſwego Dobrodzieia.
Tyś twarzy moiey nie chciał pocałowáć,
Ta bezprzeſtannie cáłuie mię w ſtopy.
Włoſow ná Ręcznik nie będzie żáłowáć,
Tybyś podobno płutná nie dał kopy;;
Godná ta ſługa, płacić Jey ſowito,
Dać grzechom odpuſt, á Niebo zá myto.
Gdzie Panu radzi, á ſług máło ważą,
Więcey w tym domu bywać nie máſz chęci,
Y Paná y ſług z gościńca odrażą,
Ten punktem ſławy, á ci żalem zdięci;
Dla tego JEZUS, że ſwey ſłudze ſprzyia,
Faryzeuſzá Dom zdaleka miia.
W nádgrodę wzgardy, honor Jey przynoſi,
Gdy miaſto rzuca dla ſwoiey kochanki,
Ná wieś ubogą, mieſzkanie przenoſi,
Ucieka z murow, do ſłabey lepianki,
Chcąc to pokazać, że domeczek z gliny
Milſzy mu, niżli, wynioſłe máchiny.

Ledwie w granice Betanii wchodzi,
Pierwszą supplikę, wieśniacy przynoszą;
Pańskie przybycie pewną ufność rodzi,
Że chleb y żywność poddani wyproszą;
Większa tu proźba do Paná się zdarza
By umarłego ożywił Łazarza.
O mocná wiaro! choć w náczyniu kruchym,
Ktoż cię upewnił, ktoć powiedział skrycie,
Że ten wzrok ślepym, słuch przywraca głuchym?
Że ten umarłym dać potrafi życie;
Wiara Niewiastę chorą uzdrowiła,
Wiara Niewiasty Łazarza wskrzesiła.
Nie trać nádziei Białogłowski Rodzie,
Co ci nie ieden dotkliwemi słowy,
Chytrym, niewiernym, złym zowiąc, dobodzie;
Twoia rzecz cierpieć, zá grzech Adamowy,
A ufać przecie że Twoy BOG łaskawy
Winęć odpuści, y poprawi sławy.
Kto pismá Swięte z ciekawością czyta,
Znaydzie Esterę w rostropności dobrą;
O męstwie Judyt, snádno się dopyta,
Że Abigáil, mądrze była szczodrą,
Dawid dla złości Saula, we łzach moknie,
Michol mu wierná, życie dała w oknie.

Łeska-

Łaſkawy JEZUS przyiął proźby mile,
Od Sioſtr Łazarza, wnet rzecze: waſz ſmutek
Obrocon będzie, w pełne pociech chwile,
Y kogo kocham obaczycie ſkutek,
Gdy wam zdrowego przyprowadzę Brata,
Za waſzą ludzkość ta dla wás zapłatá.
Ktożby takiemu nie rad Panu ſłużył?
Co wſzyſtkim dobrze, á nic źle nie czyni:
Nad kalekami miłoſierdzia użył,
Gdzie ſtał goſpodą, płatná Goſpodyni;
Nie dziw że za nim liczne chodzą kupy,
Kiedy wywodzi żywe z grobu trupy.
Ten MAGDALENA przykłád z ſiebie daie,
Co od ſług Panu dobremu náleży,
Rzuca świat, roſkoſz, máiętność przedaie,
Z ubogim chętnie zubożoná bieży;
Ná iakiekolwiek Pan przyidzie obroty,
Cierpieć z nim miło, te dobrych ſług cnoty.
Szemrze żydoſtwo, drugi głośno ſkrzeczy,
Co z tey Proroka wynikuie náuki,
Odmieni Zakon, pomięſza nám rzeczy,
Poſpolſtwo wzburzyć małey trzeba ſztuki;
Już wſzyſtka za nim poſzła Betania,
Kto ich zbuntowáł? Marta y MARYA.

Dochōdzą uſzu MAGDALENY wieści,
Ze cała o tym radzi Synágoga,
Już ſię ta w ſtarſzych głowách boiaźn mieści,
Urośnie z tego tumult, wielka trwoga,
Zyczą kamieńmi JEZUSA zarzucić,
Jak ſię nie miały Serca Uczniow ſmucić?
Nic nie odſtraſzy ſtateczną kochankę,
Od Oblubieńca trwáłego w przyiaźni,
Nie ladá fraſzka ná niepewną wzmiankę,
Miłość odmieni, zaprze ſię z boiaźni,
Nie myśli kłamać dla podłey kucharki,
Co mocną ſkałę, przerobiła w garki.
Prowadzą z Krzyżem JEZUSA ná gorę,
Zdaleka Słudzy, gdy ſtrach koło Paná,
Zadnego Serce tak nie było ſkore,
Dopomoc dzwigać, choć w Ramieniu raná,
Od oſtrych ſękow przetarta do kości;
Tu ſęk, w nieſzczęściu dać probę miłości.
Jedyny Celu wierney komitywy,
Probo miłości, złoty kruſzcu w cenie,
Coś znitowała mocnymi ogniwy,
Nie rozerwany łańcuch MAGDALENIE,
Ten ią z JEZUSEM rázem ná Krzyż ciągnie,
Z nim Ray odbierze y Niebo oſiągnie.

Już Chryſtus koná, ciemność ná świat pada,
Co żywo z gory do Miaſta ucieka!
MARYA w Krzyżu nádzieię pokłada,
Ze wieczne światło po ciemnościach czeka
Tych, co z żyiącym żyć życzyli ſobie,
Z umarłym umrzeć, z nim razem bydź w grobie.
Nie ieſt to ſztuka, Przyiaciela kochać,
Pieścić ſię z zdrowym, oświadczać mu chęci,
Mnieyſzá gdy umrze, zabiiać ſię, ſzlochać,
To grunt, po śmierci kochać go w pamięci,
Y nie żałować Balsamu dlá duſzy,
Ktorym ſię Boſkie miłoſierdzie wzruſzy.
Straciła z Miſtrzem dobra uczennicá
Miłość do ludzi, ochotę do świata;
Błądzi w puſtyniach iak Synogarlica
Oſierociała, ſmutno ięcząc lata,
Odpocząć nie chce w zieloney gęſtwinie,
Szuka ſpoſobney ná ſwoy żal Jaſkinie.
Tam czas zbawienny, tam ſpoczynek z trudu,
Tam ſłodkie z miłym JEZUSEM rozmowy,
Tam z łez fontánny ná obmycie brudu,
Tam wolność wieczná zá cięſzkie okowy,
Tam śmierci obraz chowá za wezgłowie,
Gdy ſię przypatrzy codzień trupiey głowie.

O Swię-

O Swięta Pani! wie o tym świat cały,
Ze cię grzech w pyſzne wprowadził Pałace,
Wie, że Pokuta wpędziła cię w ſkały;
Komuż ten inſtynkt w ſerce nie kołace?
Kto ſię do grzechow Pałacowych czuie,
Niech z MAGDALENĄ w ſkale pokutuie.
O wielka grzeſznych nádzieio w Pokucie!
Naucz mię płakać náywiękſzą grzeſznice!
Pokaſz w ktorey ſię mám wyczyścić hucie!
Zaprowadź do tey żywych wod krynice,
Z kądeś czerpała zdrowie wieczne duſzy,
Zal Twoy, niech w popioł ſerce moie ſkruſzy.



Ná Obraz ścięcia S. JANA Chrzciciela.

WNiosł diaboł babę ná Pałac Heroda,
Czy dziurą w dachu, czy ciasnym kominem,
Sám uciekł mowiąc: niech ta rády doda,
Bom ia nie bywał między Dworskim gminem,
Mnieby tabliczkę nosić trzeba za nią,
Wstyd mnie starego za starą iść Panią.
Dość żem poznosił Bibliotek wiele,
Z ktorych się może wszystkiego náuczyć,
Jak zawsze może z Panem mowić śmiele,
Jak iednych zgubić, iak drugim dokuczyć,
Jak skrycie może zrobić z swey praktyki
Z iednych wyznáwcow, z drugich Męczenniki.
Jakoż niedługo zá iey radą JANA
Biorą w więzienie okropne za kratę,
Za roskazaniem srogiego Tyraná,
Pod miecz skazany y ná życia stratę,
Spytać się zá co JAN ginie ná placu,
Za to że baba z corką ná Pałacu.
Zginąłeś JANIE żeś strofował Krola,
Zá niegodziwe ámory z Bratową,
Przeto krwią twoią chce umorzyć mola,
Co go w sumnieniu gryzł, ty płacisz głową,

Miał-

Miałbyś y teraz ná swą szyię ostrze,
Gdybyś zabronił brać siostrę po siostrze.
Jużeś wygrała zdrádliwa sektarko
Ześ świętey prawdzie ustá zawiązała,
Nasyć się z corką krwie cudzey szafarko!
Kiedyś z rozumu y Krola obrała,
Cieszyisz się wiedmo! z swoiey rady zysku,
Gdy widzisz JANA głowę ná pułmisku.
Chociasz iuż iego ustá mártwe milczą,
Przecie im babo ieszcze grozisz palcem,
Wziełaś Baranka w swą paszczękę wilczą,
Przechodzisz żmiię iadem, boś padalcem,
Wieszże ná kogo ząb się twoy tak sroży,
Tyś czarcia koza, JAN Báranek Boży.



F A B U Ł A

O Xiążęciu ADOLFIE *Dziedzicu Rozolanij ktorego Czas przez lat trzysta ßukaiąc znaleść nie mogł, przypadkiem powracaiąc z Wyspy ßczęśliwości, od tegoż Czasu złapany, śmierci prawu zadosyć uczynić musiał, ktore dla wßystkich naydłużey żyiących ludzi postanowione.*

BAyka to ſzczera Fabuła rzetelna,
Co ią záczynam piſać dla rozrywki
Zeby ludzkiego życia nieśmiertelna
Linia była, ſą to tych pokrywki
Záwodzcow, ktorzy umierać nie myślą
Takowe fraſzki, w głowach w Xięgach kryślą.
Ja ich w tey mierze niechcę naśladować,
Wierząc czaſowi że ieſt ták dyſkretny
Nad zámiar Boſki żeby mogł ſzafować
Wiekiem, y dać go komu kilkaſetny
Jak ADOLFOWI o ktorym ten czytam
Apokryf, kto go wymyślił nie pytam.

TEn Xiążę zácny z godnych idąc przodkow,
Wzroſtem, pięknością, dobrocią, rozumem.
W Ich ślady wkráczał, niechcąc być wyrodkow
W tytule zwány Rycerſtwo też tłumem,
Lgneło do Páná choć młodego w latach
Lecz doyzrzałych cnot, możnego w intratach.
Pełen náuki w ćwiczeniu wybornym,
Akademia w nim miała mięſzkanie
Przy mądrey Matce przy Oycu przezornym.
Czas mu ſię miły Raiem ziemſkim ſtanie
Gdy ták godziny ſłodkim biegiem płyną
Co innym przykre, bo w prożności giną.
Nie maſz co więcey mowić o XIĄZĘCIU
ADOLFIE, tylko ſzczegulne pochwáły
Ani mu przeczyć w żadnym przedſięwzięciu
Bo ieſt we wſzyſtkim biegły, doſkonały.
Szczęśliwy w Woynie, ſzczęśliwy w pokoju,
Z Minerwy mozgu znać zażył nápoiu.
Tak kray ſwoy zdobił, iák ſkałę Dyament
Chropawą, co ią w Skárbcach maią możni,
Albo Jutrzenka błękitny Firmament
Oświeca, tym ſię ADOLF od nich rożni,
Znać Kleynot z luſtru, znać co kamień proſty
Snadno Pſzenicę poznać między oſty.

Szczęgulne ztąd miał umártwienie w żyeiu
Ze jedynáka Rodzicy odumrą
W Národzie dzikim, gdzie w ſławy nábyciu
Wſzyſcy leniwi ſiedzą, iak pod umbrą,
Swiatła znać niechcą, by ich oświeciło,
Z bydląt rozumne ludzie poczyniło.
Ta w grubym rodzie iedyna zábawa (czyć
W puſzczach bezdrożnych z zwierzem woynę to-
Gdzie tylko háłas, huk, codzienna wrzawa,
Czy świt náſtaie, czy ſię zácznie mroczyć,
Echo brzmi w polach pomieſzane z głoſy,
Aż poki Zorza nie rozpuści włoſy,
Białe Niedzwiedzie, wielkości nád wiarę,
Oſtrymi w pierſi Rohatynmi kolą.
Dziki roziadłe choć kły maią ſtáre
Biorą ná oſzczep y z nich mięſa ſolą
Zubry kárczyſte ták trafiaią w czoła,
Ze z nog ſpádaią kręcąc ſię do koła.
Jelenia byle między ſkałmi zoczył,
Lub kozę dziką gryzącą modrzewy
Strzałę puściwſzy krew z niego wytoczył,
Z kozy w puł żywey wiſzą z boku trzewy
Sarny pierzchliwe wegnáwſzy ná lody,
Biiąc, nie wiedzą, ktorą z nich brać wprzo

Tákim ſpoſobem ten lud dziki żyie,
O nic ſię więcey nie troſzcze, nie ſtára,
Z ſkor zwierza ciało, ná zimę okryie,
Mięſzkaniem dla nich náygłębſza pieczara,
Ktorą nátura w ſkálnych rozpadlinach
Wykuła, tam ſię ſpuſzczaią po linach.
Tych zoſtał ADOLF Satyrow Dziedzicem
Tęſkni że Rządzcą ieſt ták głupich oſłow,
Radby godziny przepędzał Xiężycem,
Poki nie wyſzle do cudzych ſtron Poſłow
Po piękną żonę, znáczną z Kolligacyi,
Zeby ſię z dzikich wyprowadził Nacyi.
Tym czaſem z ludźmi mądrymi przeſtaie,
Zákopać niechce ſkárbu tego, co go
Nábył z dziecinſtwa, co mu honor daie,
Co go Rodzice zápłacili drogo,
W tym zánurzony, w tym cáły utopion
By zámiaſt Cedru, nie wyraſtał w łopion.
Sądzi, że y ta ieſt młodym potrzebna
Zábawa, umieć ſtrzelać ptáki w locie
Chęć polowania rozrywka chwálebna
Ugodzić zwierza iák w cel ná obrocie
Dawſzy mu kulą, głutem pod łopatki,
To mi myśliwy, to mi ſtrzelec głádki.

Dzień

Dzień ſobie obrał pogodny, ow XIĄZĘ
Do polowania, chcąc uciechy zażyć,
Przytomnych miłą proźbą obowiąże
Kto ma ochotę zwierza lekce ważyć,
Niechay z nim w iedney kompanii iedzie.
Ná dziki, żubry, ná białe Niedzwiedzie.
Nikt nie był, coby z miny, z ſerca znákiem
Dał poznać z ſiebie, boiaźń woyny z wierzem,
Kiedy Wieprz dziki ſwoim krzywym hakiem
Silno záwadzi, ktoż może przymierzem
Być ubeſpieczon, chociaż natrze żwawie,
Zeby z beſtyą nie przegrawał w ſprawie.
Puſzczaią w knieie, śmiałych pſow rodzaie,
Każdy ſwoiego pilnuie rzemiosła,
Ten probę. iawną zaiadłości daie,
Drugich nátura w głębſzy las zániosła,
Co do ktorego czynić náleżało;
Z guſtem ADOLFA, oko pogłądało.
Záciekłość w ſzczwaniu appetyt uwodzi
Myśliwych, byle ſzczęście ſię powiodło,
Zápomną o tym, że Słońce záchodzi
Y ſamo życie, otakſuią podło,
Nie maſz baczności ná grzmot, záwieruchę,
Ják wpadną na ślad,gdzie zwierz toczył juchę.

Nie masz tam rządu każdy w inszą stronę,
Bieży w las głuchy, niespyta o Pàna.
Choć mu noc w oczy zápuści zásłonę;
Choć go nie puszcza gęstych krzakow ściana.
Drże się gwałtownie niby kot do szafy,
Biorąc po gębie z kolcow Paragrafy.
Opuszczon w puszczy Pan od swych sług włásnych,
Goniąc Jelenia zniknął z oczu nágle
Widzi się w skáłach okropnych y ciasnych
A noc y chmura ciemne ścielą żagle.
Strwożony, kiedy ná myśl przyszło mu to
Ze go w tę otchłań záprowadził Pluto.
Wicher powstanie, łamie Dęby sosny,
Pioruny biią koło samych uszu.
Poznaie ADOLF kres życia żałosny,
Pozbył śmiałego w strachu animuszu,
Grad sypać zácznie, deszcz iák z kadzi leie,
Tu go odstąpią cieszące nádzieie.
Bo spádaiące wody z gor do dołu
Ták przybierały, sięgaiąc do głowy
Porwać Xiążęcia, y z koniem pospołu
Wrzucić z impetem w bezdenne parowy,
Widzi, że Pánow, y ubogich, rázem
Złe szczęście iednym zábić może głazem.

Wzdycha do Bogow, o przyczynę pyta,
Zá co nań Niebo furye wywarło,
Zá co iák żbiega przytrzymuie, chwyta
Co winien? że ieſt oſądzon ná gárło,
Wſzák nie w Dyanny poświęconym gaju,
Polował, ále, w właſnym ſwoim kraju.
Czás niepozwolił dłużſze czynić modły,
Ráczey uciekać miłość życia każe,
Poki go z duſzą Parki nierozwiodły,
Uchodzi; wyżey kiedy ſię pokaże
Dość małe światło z głębokiey Jaſkini,
Smielſzym Xiążęcia y weſelſzym czyni.
Ale iák mowią, ſtrach ma wielkie oczy
Więkſzą rzecz widzi, niźli w ſobie ſama;
Mucha wielblądem, ktorą Paiąk wtroczy,
Rowek w środ nocy przepaściſta jama,
Ták ADOLFOWI daleką iſkierkę,
Zárzących węgli pokaże faierkę.
Nic to u Pána, być od zguby o piądz
Spory krok czyni po oſtrym krzemieniu
Byle ſię ognia widzianego dopiąc
Chociaż w ſubtelnym zábłyſzczał promieniu,
Ale im bliżey ku światłu przymyka,
To przed nim coraz, to daley umyka.

Wſpina

Wſpina ſię przecie ná ſkáłę wyſoką,
Zbyt niedoſtępną, gładką, przytym śliſką
Ręce zá ſobą ledwie konia wloką;
Doſzedł wierzchołka, widzi przepaść niſką,
Gdzie mu iść trzeba zá światła powodem,
Koń drogę czyni, wypuſzczony przodem,
Tylko że Serca Pańſkie nie ſą ſkłonne
Do prętkiey trwogi, więc przyſtąpi śmiało,
Przed prog Jáſkinie, ma myśli niepłonne,
Ze kilkudzieſiąt Zboycow tam mięſzkało,
Krorzy w tym kraju ták wielu podrożnych
Złupili, ſiedząc w Puſtyniach bezdrożnych.
Broń bierze w Rękę, poſtępuie głębi
Oſtrożność rádzi mieć humor do boiu;
A w tym ADOLFA táki chłod oziębi;
Ze ledwie ſtrzymać mogł w polowym ſtroju;
Drży, rozumieiąc, że wſzedł do Lodowni,
Gdzie iſkry, ognia nie maſz, áni głowni.
W głuchey Jáſkini ćichość mięſzkać zwykła,
Przez co náymnieyſzy ſzeleſt ſłyſzą uſzy,
Do Echa tylko własnego przywykła;
A kiedy ſię co w ktorym kącie ruſzy,
Podnosi głowę, y oczy obráca,
Poki ćiekáwość ſtrachu nie wymaca.

Wychodzi z ſkały Białogłowa ſtára,
Przeciw XIĄZĘCIU, czuiąc go zá progiem
Nie inſza była w Jey umyśle wiára,
Nád tę, iż z ktorym zpotyka ſię BOGIEM
Ten zaś ták myśli, boiaźnią przeięty
Ze mu záchodzi, drogę, Duch przeklęty.
Bo wiek zgrzybiały, formę twárzy pſuie,
Pochyłość człeka, práwie czyni zwierzem,
Monſtrum ſię w oczach młodych, prezentuie,
Gdy głowa ſiwym obſypana pierzem,
Nie miło ſpoyzrzeć, zbliſka ni zdáleka,
Ná ſtárych, choć nás tákiż ſtopień czeka.
Zániemiał ADOLF, ſłowa w uſtach ſkrzepły
Z ſtráchu, y z zimna, ſkoro go ta ſpyta,
Po coś tu przyſzedł y młody, y ciepły?
Gdzie gora lodem, y śniegiem okryta,
A kiedy prawdę mowić ci ſię godzi (dzi.
Tyś pierwſzy człowiek, co w to mieyſce wcho-
Czy wieſzże? (rzecze) czyie to mięſzkánie?
Odpowie XIĄZĘ: niewiem Mátko czyie,
To wiem że życie, ſłużyć mi przeſtánie;
Nikt ſię przed śmiercią w ſkále nie ukryie,
Zal mi umierać, miłość náturalna
Zyć chce, tu Scena zágląda Fatalna.

Nieſzczęście, ktore, wſzyſtkich ludzi chłoſzcze,
Mnie uczęſtnikiem práw ſwoich mieć chciało,
Głowy Monarchow, zákłoći zátroſzcze,
Coż zá dziw, że ſię młodemu doſtało,
Końcem pręcika, wziąść plagę po grzbiecie
Ten metr wyuczy, iák mam żyć ná świecie.
Słucháła ſtárość, coż iuż cierpią młodzi,
Niewinnych bierze Fortuna w obroty,
Dziecko ná paſku przymuſzone wodzi,
Wyndzie z kolebki, roſną z nim kłopoty,
Bo kędy iść chce, tam mu nie pozwoli
Groźna Piaſtunka, dána od złey doli.
Powtárza ſwoie wprzod záczęte ſłowa
Stára Niewiaſta, mowiąc: wiedzże o tem,
Że tu Stolica właſna *Eolowa*,
Podziemnych Bożkow wykowana młotem,
On ſam ieſt Bogiem wiatrow, on ich Krolem.
Jowiſz roſkázał zwać mu ſię *Eolem*.
Tu mięſzka z Dziećmi, ktorych ieſtem Mátką,
Samąś mnie záſtał, gdyż moi Synowie,
Wychodząc z Domu, gurę mgliſtą ſiatką
Okryią, że ſię nikt o nich niedowie,
Dokąd zmierzaią, gdzie po świecie krążą,
Mnie zoſtáwiwſzy drzwi zimnem záwiążą.

Jedni w dzień ſwoię powinność odbędą,
Drudzy noc cáłą prácowicie robią,
Ci zmordowani ná ſpoczynek ſiędą,
Owi ſił nowych znowu przyſpoſobią
Ták nà przemiany co nocni źle zbroią
To łágodnością dzienni uſpokoią.
Niechcę cie báwić powieścią, bo widzę,
Ze deſzcz náwalny zmoczył twoie ſuknie;
Tákim ſię gościem iákoś ty niebrzydzę,
Wnidź w Dom moy, w ktorym záraz ogień huknie
Ná oſuſzenie ſzat, ogrzanie ciáła
Uczczę twą godność, iák będę umiała.
Wcześnie przepráſzam, że zimno ná kuchni
Gdyż wiatry, letkie iádaią potrawy,
Rzeknę ktoremu przecię ieno dmuchni
Choć ieść nie maſz co, przynaymniey dla ſłáwy
Niech ſię z komina gęſte dymy kurzą,
Przez te náſzego głodu nie wynurzą.
Ty zaś ADOLFIE, ieźlim imię zgádła,
Jnáczyś ſię żyć ná świecie náuczył.
Tu báwiąc wnet być cera z twárzy ſpádła,
Coś ią dobrymi przyſmaki utuczył,
Moy Dom ták puſty, co nie z moiey winy
Ze w nim nie znáydzieſz chleba odrobiny.

Dziękuie XIĄZE, zá ludzkość ſtáruſzce
Kiedy głod, niechże ogień go zágrzeie
Rádby położył głowę ná poduſzce
Lecz y tey nie maſz, myśli co ſię dzieie
Czy ſię Bogowie źli ná mnie zprzyſięgli
Nic nie mam, tylko pełną iamę węgli.
Szum powſtał w dziurze, świſt okropny ſłychać,
Koło pułnocy wicher drzwi odſunie,
Gość pomięſzány ledwie może dychać
Wſzyſtko przyznaie przeciwney Fortunie,
Czeka, rychłoli czás ſtánie nád kárkiem,
Z dociekaiącym do życia zegárkiem.
Gdy lárwa wchodzi z głową roztárganą,
Z gębą wydętą, iák więc w kuźni miechy,
Tu ADOLFOWI, pulſy bić przeſtaną.
Drugie ſtráſzydło widząc niby z ſtrzechy
Wody po włoſach wiſzących ſpádały,
Jnnym po plecach ſamopaś látały.
Jeden po drugim, zſuwa ſię do lochu
Wſzedł Południowy upálony ſłońcem,
Twárz Jego czárna, nieznać iey od prochu,
Ten Faetonta niegdyś bywał gońcem
Gdy wyproſzone u Oyca woźniki
Záprządł fatalnie, do zdradney lektyki.

Miar-

Miarkuie XIĄZE, że ſię wſzyſcy mylą
Ktorzy o czterech wiátrach báyki plotą
Głowy zámącą y Piersi wysilą
W ſprzeczaniu, bo te cáłą chodzą flotą.
Widział oczyma przeciągłą linią,
Snuiących wiatrow, co Imiona kryią.
Y iuż rozumiał, y wierzył zupełnie,
Ze zákończony Regeſtr wietrznych Duchow;
Alić oſtátni, iák ſzkiełko w Bawełnie
Przybył *Eolus*, oczy z ſiwych puchow
Znák dały, że on tyſiącznych lat ſkładem
Jeſt Oycem Synow, Wnukow, Pra,pra, dziadem.
Jle ich było, tyle z niemi rázem
Weſzło w pieczarę grubiianſtw zwyczaiow,
Słowem iákoby dał po grzbiecie płazem,
Ktory przemowi od pułnocnych kraiow,
Nie miła z zimnych ſtron gośćmi rozmowa,
Głowę w Niedzwiednią, Ręce w wydrę ſchowa.
Był táki proſták co XIĄZĘCĄ ſzatę,
Smiał z ćiekawości ná plecy zárzucić,
Jáko zwykł z płotu záwieſzoną ſzmatę
Rádby go w gorę nogami obrocić,
Ale dáremnie, bo ADOLFA nogi,
Nátręta mogą przeſadzić, przez progi.

Wyrwał ſię inny z kąta, y przymuſza
Zuchwále Pána do zbytniey pokory
Szemrze przy uchu, trącił Kápeluſza,
Cierpliwie znosi, choć ſilny choć ſkory,
Czás Pánow zniża przypádek náuczy,
Ják ſwoiey woli niepowierzać kluczy.
Gdy ſię XIĄZĘCIU wſzyſcy przypatrzyli,
Ják piękny, młody, kſztáłtny, iák ieſt choży,
W tym go kilkákroć w koło obrocili,
Każdy z oſobna przed nim ukłon złoży,
Zwinoł ſię y Pan práwie we trzy kłęby,
Jak wietrzne Bogi otworzyły gęby.
Bo z iedney mroźne wychodziły trżony,
Z drugiey zaś mgliſte wybucháły Dymy,
Z trzeciey huk ięczał, by Kościelne Dzwony,
Z czwártey wypáda lod, iák w pośrod zimy,
Owym przy uſtach záraz márzły ſłowa
Ci śniegi ſypią, z kąd droga puchowa.
Stárſzy záczyna chwálić ſię przed młodzią,
Siła okrętow woiennych rozpędził;
Ten mowi, á Jam zaś płynących łodzią
Potopił; potym ná lądach powędził,
Ow rzekł: Jam flotę w ciaſne ſkáły wegnał,
Tam ſię nie ieden, z tym światem pożegnał.

Wzieli głos młodsi, y my nieposledni,
W ſwey mocy nád was, bo w kilku miaſt mury
Zwątlone ſtoią, tyſiąc Dębow w te dni
Przewrocilismy korzeniem do gury,
Poczuli we Wſiach mięſzkaiące Chłopy,
Gdy wywrocone widzą gumna ſzopy.
Słucháła Mátka, Synow co práwili,
Ráda że tákich porodziła zbiegow,
Co z ſobą Chwáłę do Domu wnosili
Będąc Rządcami wod y ziemie brzegòw,
Ufała, że ią, ciż ſami uczynią
Szczęśliwą w życiu, po śmierci Boginią.
W tym wzrok ſtrwożona obroci do koła,
Wrzeſzcząc, coż to ieſt *Zefira* niewidać,
Z wſzech kątow wiatry, przed ſiebie przywoła,
Pyta: gdzie zoſtał? mogło ſię co przydać!
Ci odpowiedzą: ktoż go wie gdzie láta,
Mátki nieſłucha, á dopieroż Bráta.
Zrzędzi Babina to wzdycha, to ſzlocha,
Záſnąć nie może, aż po małey chwyli
Czuie zá progiem ſwoiego pieſzczocha;
Skoczy co prędzey, drzwi trochę uchyli,
Wiedząc że iego ták ſubtelne członki,
Wſuną ſię w łożko nietchnąwſzy záſłonki.

Poſtrzegł

Poſtrzegł to ADOLF, oczy w chłopca wlepił,
Czemu ták piękny, nie pyta przyczyny,
Ani mu dziwno, że Bogi poślepił,
Bo tylko tákie widział *Kupidyny*,
Lecz malowane, ten zaś portret żywy
Znák daie, że ieſt *Kupido* práwdźiwy.
Twárz iego wdzięczna białość rowna mleku
Z rumieńcem Roży rozkwitłey zmięſzana,
Wzroſt Dziecka wydał w ſiedmioletnim wieku,
Głowa w kędziory długie pozwiiana,
Oczy śmieiące brwi właśnie dwie Tęczy
Głos mowiącego, iák więc ſtrumyk brzęczy.
Miło nań pátrzać, kiedy ſię umizgał,
Skrzydła z pior białych z rożnymi kolóry,
Niby ie Málarz Farbami pobryzgał;
Kwiatami przez Bark przepaſan od Flory,
Skład ciała musiał głowny Tokarz toczyć
Wśrod dnia, nie w ten czas, gdy ſię miało mroczyć,
Przyznał ſam ADOLF, że go ſpráwiedliwie
Mátka nád wſzyſtkich Synow ukocháła;
Bo ieſt co kochać, tęſknić niecierpliwie,
Mieć by go záwſze w ſwoich oczach chćiała;
A nim Dziecina ſprácowana uśnie,
Zbliży ku niemu, pod brodę pomuśnie.

Mowiąc

Mowiąc gdzieżeś był ſwáwolniku puſty,
Już dawno Brácia śpią chrápią po dziurach,
Wiem iże nierad chodziſz ná roſpuſty,
Nie rád ſię wśpinaſz po maſztowych ſznurach,
Nie maſz báczności co mnie nad to troſzcze,
Dotąd nie iadłam, y cáły dzień poſzczę.
Odpowie *Zefir*, wybacz Mátko że cie,
Moie rozrywki do gniewu przywiodły,
Wſzák wieſz, że prácą mam náywiękſzą w lecie,
Gdyby był ze mnie piecuch leżuch podły,
Gdybym zádoſyć nie czynił mey ſzárzy,
Każdy mnie z Bráci przed Bogi oſkárzy.
Gdybyś widziała, iák mi ten dzień zniknoł,
Rádbym go ieſzcze był przeciągnoł dłuży,
Ledwiem ná ſłońce zuchwále nie krzyknoł,
Ze mrok powſtaie, zorza oczy mruży,
Nigdym ſzczęśliwſzą nie uráczon chwilą,
Ják dziś gdzie dotąd chęći moie kwilą.
Byłem w Ogrodzie Bogini od ſzczęścia,
Nic pięknieyſzego w świecie nie maſz nad nię
Zyie ſwobodnie bez Járżma zámęzcia
Ale przyiść do niey nie każdemu ſnadnie,
Tam ſię z *Nimfami*, długo bawiąc w nocy
Moiey w ochłodzie żądáła pomocy.

Jedne, Bukiety wiły dla zábawy
Drugie, śpiewaniem przeſzły głos ſłowiczy
Trzecie dopadłſzy zieloney muráwy,
Sam ie *Apollo* grać ná lutniach ćwiczy,
Zádna z nich do mnie nie miáła urázy
Chociażem ktorey zletka podniosł Gazy.
Jnne tańcami inne ſzybkim ſkokiem
Czas miły tráwią, goniąc ſię w záwody
Trudno nog doyżrzeć náyciekáwſzym okiem,
Aż zmordowane pobiegły do wody,
Jam ſiedział niſko gdzie był potok wąſki
Widziałem nogi tylko po p - - - - - i.
Wſzyſtkie dorodne wſzyſtkie w ſtánach ładne,
Twárz, ſzyia, Ręka, w rowność idzie z śniegiem,
Jle bydź mogło, tam ſię ſztucznie wkrádnę,
Każdą náwiedzę, gdy ſtáły ſzeregiem,
Tam mi náymilſzy był wczas y ſpoczynek
Gdy ſię u Mátki kármił *Kupidynek*.
Jeſzcze nie koniec, mych guſtow powieści,
Gdy mi ktoś odkrył cudne perſpektywy,
Nikt mi nie powie, nikt mnie nie obwieści
Co to ieſt, á iam máło zoſtał żywy,
Widząc ſiedzącą Boginią ná Tronie
Suknia iey z luſtru ledwie co niezpłonie.

Zápo-

Zápomniałem ſię, niewiem kędy ſtoię
Czylim ná ziemi czym w Niebie czym w Raju,
Poſtąpić z mieyſca y ruſzyć ſię boię
Chciałbym umierać w ták roſkoſznym kraju,
Bo co być może ludzkim zmyſłom miło,
Wſzyſtko ná *Wyſpie* ſzczęśliwości było.
Kiedym rozumiał że Mátka piękności
Wſzyſtkie ozdoby dáła *Nimfom* owym,
Ktorym dopiero ſłużyłem z miłości
W mieyſcu nieznánym, y w Ogrodzie nowym
Alić ta iedna, prym przed niemi bierze,
Sercem Jey oddał przyznaię ſię ſzczerze.
W tym mnie záwoła przybyway *Zefirze*,
Boś nigdy niebył ták wdzięczny iák teraz,
Lubom przy teyże ſiadała kwátyrze,
Też ſamę *Wyſpę*, náwiedzałam nie raz
Zoſtań tu poty, poki ia zábawię
Potym cie wolnym, do Domu wyprawię.
O iák mi miłe były te roſkázy
Służyć Bogini y piękney. y ładney,
Szczęście to moie czcić tákie Obrazy
Być hołdownikiem Páni wielowładney,
Uważ że Mátko, ieżelim wykroczył,
Tylko żem nád czas godziną wyboczył.

Nádſtawiał ucha ADOLF co práwiło
Roſtropne Dziecko, mądrze y rzetelnie,
Myśli czy mu ſię to, tylko nieśniło,
Czy komponuie báyki ták ſubtelnie,
Bądź iákożkolwiek ku niemu pokwapi,
Sciśnie Dziecinę, zá ſzyię obłapi.
Y rzecze przebacz, *Zefirze* kochany
Zem cie nieprędzey, powitał w twym Domu
Bom troſką zdięty, będąc zábłąkany
Więc niechcę ſię też dać poznać nikomu,
Do ciebie mnie chęć, iákaś ciągnie gwałtem,
A czy błędnego ztąd wywiedzieſz kſztałtem.
Tym czaſem proſzę powiedz gdzie dziedziczy,
Krolowa, ktorą zowieſz od Fortuny
Nie maſz tákiego kto ſobie nie życzy
Służyć Jey y wniść między importuny,
Co ią o wſzyſtko proſzą, á ta czyni,
Wiele dla wielu ſzczodra Monárchini.
Nád to z uśmiechem *Zefirek* odpowie
Trudney ſię rzeczy ADOLFIE nápieraſz
Tam być chceſz kędy mięſzkaią Bogowie
Jeſzcześ ieſt w ciele ieſzcze nie umieraſz
Nikt ſpołeczności z Bogi mieć nie może,
Poki go życia trzymaią podroże.

Nie

Nie ieden chciałby doyść do tey Insuły,
Kędy Fortuna ma skład swoich zbiorow
By się ná niego perły z Jey Rąk suły
Aniby stęknoł, ná ciężar honorow,
Ale ta Páni pátrzy na Ofiáry
Kto bez łákomstwa bierze od niey dáry.
Jest tákich wielu co płonnymi chluby
Głowę záprzątną, że u szczęścia mety
Wcále stánelì, moment iest im luby
Choć po obiedzie tráfili ná wety
Krotki tráktament, po cukrach, słodyczy
Gorzkość uczuią, y raz niewolniczy.
Gdyż te Insuły ktore są przed wroty
Domu Fortuny, nieznacznie pływaią
Jm ie kto z większey chce chwytać ochoty
Tym one dáley przed niem uciekaią
Kiedy się zdaią że iuż Ręku bliskie,
W ten czas uciekną, iák płoche y śliskie.
Widzę codziennie tych co chęcią zdięci,
Sławy, Bogáctwa, lubo z siebie zácni,
Przecię zupełnie nie będą kontenći
Asz ich Fortuna zámysły ułacni,
Zámknąwszy Brámę odepchnie od portu,
Puści samopas bez Wodza, Paszportu.

Niepokoy wnętrzny przymuſzał XIĄZĘCIA,
O Wyſpie ſzczęścia wiedzieć doſtátecznie
Co raz ſię pyta śpiącego Dziecięcia
Co mu ná wſzyſtko odpowiada grzecznie
Choć ſnem zmorzone powieki podnosi
Przecię ADOLFA ná ſwe łożko prosi.
Wziął go zá rękę, ná ſpoczynek rádzi,
Po wielu trudach po ſtráchach po głodzie,
W przyiemne mieyſce y ciche wprowadzi
W mały pokoik, przy pomiernym chłodzie
Kędy Fontanna z żywey ſkáły pryſka
Perłowe krople ná poſadzkę ciſka.
Ktorą zielone ozdobiło Dárnie,
Kwiaty páchniące ſadzone w floreſy
Tam Duch żyiący ADOLFA ogárnie
Nie wie z kim pierwey ma czynić kareſy
Czy z goſpodarzem czy iego mięſzkaniem
Czyli z tem łożkiem co ſię układł ná niem.
Jednák ta ćichość pomyślney roſkoſzy,
Naymniey XIAZĘCYCH żądz, nieuſpokoi
Sen mu potrzebny Bogini odpłoſzy
O ktorey ſłyſzał, ta mu w oczach ſtoi
Z boku ſię ná bok, co moment przewráca,
Nic nieſchowawſzy, koło ſiebie maca.

Nie-

Nieſpał y *Zefir*, ſłyſząc że gość nudzi
A czemuſz nieśpiſz, ſpyta go y rzecze,
Jeźli cie moia powieść częſto łudzi
Wſzák ći Fortuna ieſzcze nie uciecze
Coć Niebo ſądzi, toć nigdy nie zginie
Gdyć ſzczęście żagiel pomyślnie roźwinie.
O iákbyś wiedział, moy *Zefirze* drogi,
Odpowie ADOLF że z twoiey rozmowy
Uczułem w myślach niezbyte záłogi
Serce ściśnione mocnymi okowy
Ale niezgádłeś, że dla Fortun zyſku
Sen mnie odbieżał, ſerce mam w uciſku.
Miłość Bogini nád wſzyſtko przekładam,
O ktorey wiele, ſłyſzałem od ciebie
Ták mnie związała, że ſobą niewładam,
Ratuy ADOLFA w oſtatniey potrzebie
Jeżeli można, byś to ſpráwić ráczył,
Zebym Jey piękność zdáleka obaczył.
Jużem ći rzecze *Zefir*, raz powiedział,
Ze uporczywie, tam chceſz być nieboże
Gdzie nikt żyiący z Bogami nie ſiedział,
Zeby bez ćiernia kwitneły ći Roże,
Wprzod ſię przygotuy ná tyſiączne chłoſty,
Nim cię ná pierwſze przed Ray wpuſzczą moſty.

Ale

Ale kiedyś ieſt tey ſerca odwagi
Być tam koniecznie gdzieś ſobie założył,
Jeźliś ták mężny przyiąć wſzelkie plági
Zebyś ſię po nich nie cofnoł nie ſtrwożył,
Já to z przyiaźni ku tobie uczynię
Zánieść przyrzekam kędy ſą Boginie.
Ty zaś ADOLFIE ufay mi y wierzay
Zday wolą twoię pod *Zefira* włádzą
Słuchay przeſtrogi w bok nigdzie nie zmierzay
Moie cie ſkrzydła lotne záprowadzą,
Ná Wyſpę, tylko odday ſię opiecę,
Ich, á Ja z Tobą wiadomy polecę,
Do Páni ſzczęścia, bo ták ieſt názwana,
Mięſzka z *Nimfami* w Páłacu ukrytym
Od świáta, nád nią, nie maſz Rządce Pána,
Pod Baldachinem ſiedzi złotolitym,
Kogo chce wynieść z niſkich ſtopniow w gorę
Z tych zdiąwſzy, á tych odziewa w Purpurę.
Straż tego mieyſca niezwyczayna broni
Smoki trzyłbiſte Niedzwiedzie Tygryſy,
Wierzchołek ſkálny, trzyma go ná dłoni,
Sam Jowiſz z prácą ryſował Abryſy
Trudnego weyścia, zá Fortunne Brámy,
Lubo ie w oczach, y bliſkie Rąk mamy
Jeſt.

Jeſt to Labirynt, krętych ścieſzek Matnia,
Jákiegoś metra wyſadzony ſztuką,
Wchodzącym zda ſię, że ta ieſt oſtátnia,
Aż go gáłęzie gęſte w głowę tłuką,
Widzi drog wiele, tą y ową krąży,
Wráca zkąd przyſzedł, zaś do inney dąży.
Alec mu y ta, puści w oczy mydło,
Pokaże tráwnik záſłany iedwabiem,
Już mu to mieyſce błędliwe obrzydło,
Przecie zmamiony bieży zá tym wábiem,
Ná koniec długim osłábiony chodem,
Szukaiąc zyſku umorzony głodem.
Reflektuy że ſię moy ADOLFIE wprzody,
Czy fortun ſzukaſz, czy cie miłość ciągnie
W kráy nieznaiomy częſto więc z urody
Obmierzłe oczom *monſtrum* czás wylągnie,
Maſz czas obierać co ci rozum zdrowy
Każe, ia wſzyſtko uczynić gotowy.
Ach moy *Zefirze* rzecze ADOLF nágle,
Jużże mnie nie martw, y ſerca nie báday,
Roſpoſtrzyż ſwoich pięknych ſkrzydeł żagle,
Záwołay ná mnie iuż ADOLFIE wſiaday,
Niech mną Fortuna gdzie chce kołem zkręci
Tam być chcę, gdzie mnie ſzczera miłość nęci.

Ná to mu *Zefir*, kiedyś ták uparty,
Kiedy cie niczym nie mogę záſtraſzyć,
Zá nic nie ważyſz Dziwowidzow wárty,
Ja ſobie odtąd uſta wolę záſzyć,
Zebyś nie mowił, nikt mnie nie przeſtrzegał,
Jam na *Zefirze* zupełnie polegał.
Przynáymniey mnie w tym ſłuchay miły XIĄZĘ,
Co cie od wielu złych przygod záchowa,
Mam Płaſzcz zielony, tym grzbiet twoy obciążę,
W tym ſkárbow moich złożona połowa;
Bo kiedy ſię niem okryie w dzień biały,
Ludzkie mnie oczy, nie będą widziały.
Pilnuy go dobrze, álbo przypaſz Paſem,
Zeby przypadkiem iákowym nie zginął,
Zkończyłbyś náſze przyiaźni háłaſem,
Wyſpę ſzczęśliwą z dáleka ominął;
Poki ten z ciebie ná ziemie nie ſpádnie,
Poty, przebiegow twoich nikt nie zgádnie.
Nie tylko ten Płaſzcz lecz cáłe cetnary
Wal ná mnie, rzecze ADOLF, do *Zefira*,
Letkie ſą dla mnie tey Páni Ofiáry,
Do ktorey ſerce ſchnie, y obumira,
W przążmnie pod ciężar rowno z *Herkuleſem*
Poydę ciągniony inſtynktu magneſem.

Długo

Długo ten dyſkurs, dwoch kompanow trzymał,
Cáłą noc nieśpiąc czas miły tráwili.
Aż ſię ku dniowi, *Zefir* trochę zdrzymał,
Roſkázał Bráci, by go nie budzili,
ADOLF importun iàk Zoraw kámykiem
Zbudził go ſwoim niedyſkretnym krzykiem.
Wſtáway kochany przyiacielu z łoża,
Przetrzey Dziecinnym ſnem zmorzone oczy,
Patrz że Jutrzenka iák w Purpurze Roża,
Złociſte koła pod woz ſłońca toczy,
Już ſobie iaſny dzień wrota otwiera,
Febus poſiane perły z Roſy zbiera.
Porwie ſię Dziecko zrządzi z niedoſpania,
Ziewa, á coraz głowę pálcy ſkrobie,
Ręce przeciąga, co mi do kochania
Czy-iego, y ták mrucząc, gáda ſobie:
XIĄZĘ ſię kocha, mnie noc ná dzień mienią,
Já trzymam Rożen, on weźmie Pieczenią.
Przerwie chłopięciu ADOLF dyſkurs puſty,
Pieści, przytula do ſerca, do twárzy
Wziąwſzy ná Ręce łączy uſta z uſty,
Spyta: coć ſię to moy *Zefirze* marzy?
Czyń coś obiecał, panuy nad ſwym ſłowem,
Mnie uſzczęśliwij fortunnym połowem.

Uznał ſam *Zefir*, że záczeło świtać,
Gotow ná podroż, ſkrzydła muſzcząc trzepie,
Dziś mi ſię z piękną Rożą trzeba witać,
Záſpałem ſmaczno w chłodnym Grotty ſklepie,
Dobtześ ADOLFIE uczynił, żeś zbudził,
Sen by mnie dłużſzym był leniſtwem łudził.
Wiedz że też y Ja mam ſwoie amory
Zbyt delikatne, zrzędne, fantaſtyczne,
Skoro noc ćiemność zápakuie w wory,
Wſtáwam, y chłodzę to ſtworzenie śliczne,
Jákże uchybię, nád powinność czáſu,
Kilka dni zbyć ſię nie mogę grymaſu.
Ták nas obudwoch miłość ma ná ſmyczy,
W rowne kochankow záprzęgła niewolę,
Ciebie Bogini w ćierpliwosci ćwiczy,
Mnie moia Roża częſtokroć ukole,
Jednak nas zamyſł niech namniey nietrwoży,
Spieſz do Bogini, Ja do ſwoiey Roży.
To powiedziawſzy *Zefir*, w płaſzcz zielony
Odział ADOLFA, rzecze: źle mi będzie
Nieść cię ná ſkrzydłach, w ták dálekie ſtrony,
Ciężko z tym lecieć, co bárki przyſiędzie,
Jnſzy mam ſpoſob, zrzucę z ſerca pychę
Ták cię zánioſę, iákom zánioſł *Psychę*

Z Rozkazu Bożka *Kupidyna*, kiedy
  Spáła ná łące, wskroś przeięta strachem,
Zbyła się szczęściem, swey ostátniey biedy,
  Gdy iey smok strászny zápowiedzian Gachem,
    Jam ią pod Ręce wziąwszy z łąki placu,
    Niosł do pysznego *Kupida* Páłacu.
Widzisz ADOLFIE, tey skáły wierzchołek,
  Jdź rączo zá mną, wezmę cię pod pachy,
Poznasz mnie z siły, żem mocny Pachołek
  Choć w szczupłym ciele, nád wieże nad Dachy,
    Wzbiwszy się w gorę, pod same obłoki,
    A ktoż potrafi zliczyć moie kroki?
Uiął ADOLFA, biorąc dobrą wágę,
  Skrzydła rozpuścił, wiatr w nie tęgi zbierał,
Wyleciał szybko, XIĄZĘCĄ powagę
  Odrzucił, lub ten ze strachu umierał,
    Wniesiony między gęstych chmur Bałwany,
    Czuł, że czas Panow mieni w letkie piany.
Nie raz go w trwodze passye odpádły
  Widzieć Boginią, łaie przedsięwzięciu,
Wątpliwość, rozpacz, serce mu osiadły,
  Ze drogie życie powierzył chłopięciu,
    Co moment práwie na swoy błąd nárzyka,
    Ze ślepą miłość wziął zá Przewodnika.

Łaie młodości, porywczość przeklina,
Strofuie, woła, bez wodzy wędzidła;
Już po niewczasie żałować poczyna,
Ze go złowiły pstrocinami skrzydła,
Pożnał fortunę co w swey sztuce kryie
Wypráwia z młodych śmieszne komedye.
Czyszczone ziarno przez Rafy przetáki,
Większą ma cenę od Kupcâ w przedaży,
Ze było w probie, álić iáki táki
Ten towar godnym zápłacenia waży;
Złoto bez ognia, Dyament bez dłota,
Nîczego warte, choć w nich droga cnota.
Przecięż w náygorszym rázie więc nikogo
Mądra *Minerwa* nie odstępowáła,
Ná czas się groźno stawiła y srogo,
Mieysce nádzieiom záwsze zostáwiała
Młody *Telemak* wiele rázy zbłądził,
Rozum Mistrzyni był znim, y nim rządził.
W iedney kolei ADOLF z *Telemakiem*
Obádway ná Los fortuny styr złożą,
Ten zá bezdrożnym morza idzie szlákiem,
Owego wiatry po powietrzu wożą,
Fáta przeciwne krzywdy im nie czynią
Ten ználazł Oyca, ow szczęścia Boginią.

Nie traci iednak ſerca ADOLF y tu,
Bliſkim ſkał oſtrych, bliſkim będąc morza,
Myśli że *Zefir* godzien ieſt kredytu,
Szpetnieby Bożku noſić Imię Tchorza,
Kiedy bez ſzwanku, ná Pałac *Kupida*
Wniosł *Psychę*, toć mnie, nic ſię źle nieprzyda,
Tenże *Kupido* w ciałku ſzczupły, drobny,
Rosłych *Gigantow*, gdy ugodzi grotem,
W małe ie dzieci, przemienić ſpoſobny;
Mocniey niż *Wulkan* ſerce ſtłucze młotem,
Práwdać raz podrwił, że nieprzedarł ſiatkę,
Ktorą przykryto z Marſem Jego Mátkę.
Ale bądź, co bądź, przecię ieſt ták śilny,
Ze ſamym Bogom częſtokroć dokuczył,
Gdzie tylko zmierzył, poſtrzał nieomylny
Boginie wzdychać, y płákać náuczył.
On ie kiedy chce, y kłoći y godzi,
On w ſwey komędzie ułomności wodzi.
Czemuſz moy *Zefir* utrzymać mnie nie ma,
Wſzyſcy lękliwi o powoz go proście,
Uiął mię ſzczerze Rękami obiema,
Odtąd nie wątpię, o siłach, o wzroście,
Czuię nie zwykłą rádosci przyczynę,
Mam go zá Bożka, á nie zá dziecinę.

Y poydę

Y poydę zá niem, gdzie mnie záprowadzi,
Gdzie mnie fortuna kołem ſwoim zkręći,
Pomyślnie, czyli przeciwnie oſadzi,
Jemum wraz z ſobą oddał z wolą chęći,
Jemu powierzam, z ſłáwą drogie życie,
Czy on Bog, czy on ieſt *Eola* dziecie.
Tym czaſem ADOLF w drodze nieprożnuie,
Lecąc przez Pańſtwa nieznaiome ſobie,
Miáſta oſiadłe, Wśi, Zámki, ráchuie,
Jch położeniu, ich dziwney ozdobie
Przypatruie ſię, iuż ſzczęściu nie łaie,
Kiedy bez koſztu, zwiedział cudze kraię.
Jeźli nád ſkáły leci niedoſtępne,
Uważa lochy, dziury, rozpadliny,
Przebywa puſzcze z ciemności poſępne,
Gaie weſołe, obſzerne doliny,
Ogrody piękne, Fontanny, Szpálery,
W rożne Figury ſadzone kwátery.
Poglądał mile okiem appetycznym,
Ná Frukta, ktore wábią ſwemi guſty,
Oczy prágnieniem martwią uſtáwicznym,
Bo niepodobna koſztować ie uſty.
Wſpomniał *Tantala*, iáko prágnął wody,
Chociaſz mu ſame ſięgały do brody,
Trudno

Trudno opiſać, á trudniey zráchować,
Inſuł, Prowincyi, wyſp, brzegow, wod, lądow,
Lepiey ie teraz czaſowi darować,
Pytać do czyich te náleżą rządow,
Poſtylon lotny, ciekáwość zoſtawił
Ná popas, kędy ADOLFA poſtawił.
Jákoż ná iednym zielonym págorku
Odpoczął *Zefir*, piora w ſkrzydłach muſzcze;
Wielkiś mi ciężar zdał, mały *Amorku*,
Dźwigać go muſzę, z Rąk mych nieupuſzczę;
Te słowa Dziecko ſzeptało pod noſem,
Rozłącz mnie Bożku, z twey Bandy z młokoſem.
Potym wzrok wdzięczny ná XIĄZĘCIA rzući,
Uſta śmieiące mało co otworzy,
Y rzecze: niech cię ta zwłoka nie ſmući,
Choć ſię żołądek twoy głodem wymorzy,
Ták ći to bywa tym co miłość śledzą,
Nie śpią nie piią, á w kilka dni iedzą.
Stánieć zá pokarm nádzieia, ktora ći
Prędkie widzenie Bogini przyrzeka,
Tać twe fatygi ſtokrotnie zápłaći,
Ta cie z otwártą Ręką Fortun czeka,'
Ta miłość twoię miłością wzaiemną
Odda, byś nie miał tę podroż daremną.

A luboś mylczał, ániś mnie ſię ſpytał,
Przez ktore trákty pędziliśmy oba,
Już cię tu nowy świat gościem przywitał,
Tu twego ſtátku náſtępuie proba,
Czyś iednoſtayny w zámyśle raz wziętym, (tym.
Czy przez cierpliwość chceſz bydź zwany Swię-
Bo ieſzcze nie tu, y nie zá tym rázem
Stanieſz ná mieyſcu tym, gdzie ſtánąć żądaſz.
Pierwey ſię z oſtrym obáczyſz Kaukazem,
Jeſzcze śnieżyſtych gor wierzchy oglądaſz,
Nim cie Duch ciepły z moich uſt owieie,
Nim ſkutek wezmą, twych myśli nádzieie.
Tu ADOLF ſzczerze chęć ſwoię ogłoſił,
Ze będąc bliſkim uprágnioney mety,
Pokorną miną *Zefira* uproſił,
By go iuż więcey nie brał ná ſztylety,
Ale tam ſtáwił przez głogi przez ciernie,
Gdzie ſię doſtawſzy, kochać zechcę wiernie.
Oto gra chodzi, kiedy mnie przyzowie,
Bogini moia, y zácznie mnie pytać:
Zkąd ieſtem? niewiem, iák ſię z nią rozmowić,
Jákie ięzyki mam po świecie chwytać,
Ona, co gádać będę? nie zrozumie,
Ja też nie poznam, czy mądra, co umie.

O rzecz

O rzecz ſię małą ADOLFIE fraſuieſz,
Jáko maſz mowić od Fortuny z Xiężną;
Prożne záwady w ſwoiey głowie ſnuieſz,
Alboż Bogini ták ieſt niedołężną?
Przeniknie twoiey podroży intrygi,
Miłość potrafi zmowić ſię ná migi.
Dłużſzym mnie nie baw, y ſiebie dyſkurſem,
Osiaday barki, chwyć ſię zá Rámiona,
Lećmy w ſwą drogę zá nátury kurſem,
W kwadranſie náſze poznaią Imiona,
Poczuie wnętrznie Bogini twe przyiście,
Mey Roży wigor, dam ná zwiędłe liście.
Przez cáłą podroż w niwczym nie był ſprzeczny
ADOLF, we wſzyſtkim, rad *Zefira* ſłuchał,
W iednym humorze weſoły y grzeczny
Czy nań *Boreas* czy *Akwilo* dmuchał,
Czy go náyſtarſzy *Eolus* poddymał,
On ſię z oburącz, ſwego wodza trzymał.
A ták ſzczęśliwie przebył wſzelkie ſtráchy,
Státek mu żaglem był, á miłość maſztem;
Nic nie wſkorały przeciwne zámachy,
Bo ſwey miłości nie chciał mierzać łaſztem,
Jedno miał ſerce, iednę upatrzoną
Boginią, co ią, znał Panią nie żoną.

Dla tego Panu Nieba dopomogły,
U forrunnego ſtanąć prędko brzegu,
Zdrowiem, odwagą, ADOLFA wſpomogły,
Serce kałauzem było w iego biegu
Umyſł gruntowny bez oboiętności
Oſobę kochał, nie iey maiętności.
Tu sił oſtátnich wietrzny Duch dobędzie,
Tu iáko ſtrzáła, z łuku w gorę ſzyie,
Ná wierzchu Cedru z XIĄZĘCIEM uſiędzie,
Twárz potem zlaną, iáko wodą myie,
Rumieniec oba záfarbował lica,
Ni ranna zorza, álbo wſchod Xiężyca.
Skoro odetchnoł *Zefir* zmordowany
Ukaże palcem ſzczęśliwą Inſułę,
Rzecze: ſłuchayże ADOLFIE kochany,
Wprzod ci tu ściſłą nápiſzę Regułę,
Ktorą mi ztwierdziſz wſzech Bogow przyſięgą,
Skłam-ieźli, oni wſzędzie cie doſięgą.
Płaſzcz niewidomy, miey záwſze ná plecach,
Kolor zielony obrácay ku wierzchu,
Młodości ſkromność w krotkich trzymay lecach;
Unikay bieſiad, gdy ſię ma do zmierzchu,
Złych myśli nie miey, choć piękność obaczyſz,
Zefira uſług nigdy nie zábaczyſz.

Kochay

Kochay ſwą Xiężną, do ktorey ták ſpieſzyſz,
Reſpektu dla niey z pilnością przeſtrzegay;
Wierność zachoway ták nigdy nie zgrzeſzyſz.
Ná żadną z Jey *nimf*, oczami nie migay,
Szánuy Fortunę, bądź ſwych Paſsyi Panem,
Przykrość cie minie nie trafi Taranem,
Upewnił ADOLF *Zefira* ná Bogi,
Ná Imię ſwoie ná wody *Styxowe*
Ze byle przeſzedł, za fortunne progi,
Wſzyſtko dotrzymać ma chęći gotowę,
Byle go dłużſzą nie báwił Exortą,
A prędzey ſtawił przed Bogini Fortą.
Spoyżryiże w práwą, rzecze, do XIĄZĘCIA,
Zefir, ta gora będzie ządz twych celem,
Jeźli cie ktory BOG, przyimię zá Zięcia,
Pamiętay, żeś tam wſzedł moim fottelem,
Czytay przeſtrogi co dzień iák z Táblicy,
Będzieſz Dziedzicem, Fortuny Stolicy.
To kończąc porwał ADOLFA pod pachy,
Wzbił ſię ná nowe, ku gorze wyſokiey,
Dziwney piękności Miaſta, minoł Dachy,
Letko z niem oſiadł, ná łące ſzerokiey,
Nád ktorą Páłac, przepyſzney ſtruktury,
Dzieło Rąk Bogow ále nie nátury.

Kiedyś iuż ſtanoł u ſzczęśliwey mety,
Przez wiele trudow niebeſpieczeńſtw tyle,
Adoruy wielkiey Bogini Portrety;
Traw z nią pomyślnie, długich wiekow chwile,
Wiem, że z Jey Domu nic cię niewypłoſzy,
Procz właſney woli, y zbytniey roſkoſzy.
Zyi zdrow, bądź kontent, záchoway przymierze,
Niech ci tu záwſze miła kwitnie wioſna.
Wſpominay że twoy *Zefir* życzyć ſzczerze,
Gdyby cie ſcena zpodkáła żałoſna,
Nie ná mnie, ále ná ſwoy błąd nárzekay.
Pomocy moiey iuż więcey nie czekay.
Zniknęło dziecko, z oczu ADOLFOWYCH,
Cień tylko chwyta ſwego Poſtylona,
Chciał mu dziękować, ſłow zdobywać nowych,
Alić *Eolus* wzioł go ná ramiona,
Boiąc ſię żeby płochość *Kupidyna*,
Nie uplątała ná Inſule Syna.
Záłoſny XIĄZĘ, że ſtrácił kompana;
Miłość mu prędko ten żal uſpokoi,
Bo ta nad ſobą mieć nie życzy Pána,
Záwſze ſię czegoś wyſtrzega y boi,
Owſzem zázdroſny grzech ná ſerce zwala,
Miałbym pewnego z *Zefira* Rywala.

A ták

A ták ſam ſobie ſnadniey dopomogę,
Gdy odtąd rozum moy mną będzie rządził
Pozbyłem myśli trwożliwych záłogę.
Mam w oczach Wyſpę czy możnaż bym zbłądził?
Wreście mi ſama miłość przypnie ſkrzydła,
Ktora wie, gdzie ſą powabne pieścidła.
Otoż maſz wdzięczność *Zefirze*, coś ſwatał
ADOLFA, coś go wſzyſtką siłą nosił,
Ná krotkiś ſię czas z XIĄZĘCIEM pobratał,
Wtedy, opomoc pokornie cię prosił,
Byś mu pokázał gdzie ſą drogie ſprzęty,
Teraz bierz przykład bratać ſię z Xiążęty.
Już o cię niedba wſzedłſzy w kray ſzczęśliwy,
Fortuna ſię nim záczęła opiekać,
Czy mu źle życzyſz, czyliś nań gniewliwy,
Przed tym oboygiem, nie myśli uciekać,
Stanoł ná gruncie Bogactw y potęgi,
Niewiem czyć daney, dochowa ptzyſięgi,
Bo wzrok myśl, ſerce, w Wyſpę ſzczęścia wlepił,
Poiąć ſię nie mogł, głodem zwiędły ſuchy,
Gdzie ieſt, gdzie siły ták prędko pokrzepił,
Tą aurą, muſzą żyć Niebieſkie Duchy,
Dla tego też ſą wieczne nieśmiertelne,
Ciáła ich zdrowe y nieſkażitelne.

Zápach

Zápach przyiemny, ze wſzech ſtron záwiewa,
Firmament czyſty, gwiazdy widzieć we dnie,
Bliſkim ſię Nieba ADOLF być ſpodziewa,
Chęći go daley ciągną niepoślednie
Mieyſce delicyi, kędy rzući okiem,
Rzeźwieyſzym co raz poſtępuie krokiem.
Słońce iaśnieyſze iednak bez gorąca,
Chmurki nie widać, zimno niedokuczy,
Mucha dyſkretna, Oſsa látaiąca,
Ni ſię po polach paięczyna włuczy,
Z roſy wieczorney lub ze dzdzu perfumy,
Z tych Granic wyſzły dumnych wichrow ſzumy.
Láſki nie wielkie, umyślnie ſadzone,
W ſwey okrągłości, iák wieniec u Pánny
Drugie zaś w kwadrat, gdzie ściefzki przeſtrone,
Owe w tryanguł zwierzyńce Dyanny,
Cytryn, Pomarańcz, Oliwek Kaſztanow,
Pełno, znać ten Bor, náznaczon dla Panow.
Podſzyte knieie, gęſtemi krzewiny,
To laur to Bukſzpan, to Cyprys to Bobek,
Ztąd rodzay wzięły piękne rozmaryny,
Tu *Dafnie* piſał *Apollo* nadgrobek,
Tu im *Kupido* mściwy poſtrzał zádał,
Tu ſię *Jupiter*, do *Tioli* ſkradał,

Obſzer-

Obſzerne łąki w cudne kwiaty ſtroyne,
Odor Dzielśminow, Lilij Roż Fiałkow,
Koſy nieznaią od ſierpa ſpokoyne,
Nikt ie niezerwie, bo tu nie maſz śmiałkow,
Cichość z wolnością, roſkoſz bez płochości,
Ten kray osiadły, hołduią miłości.
Pola zbyt żyzne bez działu wymiaru,
Nikt ſię o grunta wzięte nieprawuie
O Kopce, Miedze, nieuſłyſzyſz ſwaru,
Ceres ie ſieie, *Ceres* uprawuie,
Dwakroć do roku, ziemia zboża rodzi,
Nikt tu Ogrodow płotami nie grodzi.
Rzeki bieżące nigdy nie prożnuią,
Rybki złociſte można ręką chwytać,
Potoki w koło Pol, y łąk ſię ſnuią,
Niemaſz kogoby dokąd biegną ſpytać;
Nieznać tu żeby wylewały z lądu,
Bo ni głębîny nie maią, ni prądu.
Widzieć Kaſkady, iák przez drobne ząbki,
Zyłkámi ze ſkał, ſubtelnemi płyną,
Potym ſię w cienkie rozlewaią Rąbki,
Znać z kąd wychodzą, niezgadnieſz gdzie giną.
Kámienie płáſkie, maią iakieś dziurki,
W te biegną, y zaś wrácaią przez Rurki.

Fontanna chociaż náturalnie niſka,
Pompy niewidać z kąd moc bierze wòda,
A pod obłoki ſto ſtrumieniow pryſka,
Okiem niedoyzrzeć, kto impetu doda,
O kilkáſet mil álbo dáley ieſzcze
Doſięże, ludzie ſkłádaią ná deſzcze.
Widząc to wſzyſtko, ADOLF ſię zàdziwi
Y myśli po co wſzedłem tu człek lichy,
Zefir mnie uczył, że niewchodzą żywi
W ten kray ſzczęśliwy, piękny, miły, ćichy
Samym tu Bogom mięſzkać przyzwoita,
Strach nogi moie w dalſzey drodze chwyta.
Ale coż czynić! wrácać do Oyczyzny?
Anibym trafił, *Zefir* mnie porzucił,
Prędzeyby głowa doſtáła śiwizny,
Já ſam podobno w proch bym ſię obrocił,
Trudno przez morza, lecieć mam bez ſkrzydeł,
Niezráchowanych czekam zewſząd ſideł.
Wielcy Bogowie, niechay mną kieruią,
Jch raz ná záwſze protekcyi ſzukam,
Niech mnie Tułácza ná rękach piaſtuią,
Wſzák wiedzą dobrze do czyich wrot pukam,
Wiedzą że mnie tu miłość nie łákomſtwo
Zánioſła, bo mnie, nie ſuſzy potomſtwo.

A w tym

A w tym ADOLFA coś niby podnosi,
Letkość nog czuie, ochota go bierze,
Jść prędzey myśli, czy mnie ktory prosi
Z łáſkawych Bogow, z ſobą ná wieczerze,
O iákże by ſię ná tym nie omylił
Głodnego gościa żołądek posilił.
Jákoż o kilka krokow ledwie ruſzył,
Obáczy Stoły ſuto záſtawione,
Oſtrzy appetyt, bo kilka dni ſuſzył,
Smáki w potráwach modno záprawione
Kredenſe złote oczom widzieć miło,
Czegożby w Domu Fortuny nie było?
Jeźli guſtownych pokoſztuie Trunkow,
Co delikatność rodzajow wydaie,
Tyle tam wina ſtáwiano gátunkow,
Wſzyſtko ſię głowne ADOLFOWI zdaie,
Sam nie wie ktore pić, iák nálać miarę,
Obrał podobno, Węgierſkie á ſtáre.
Jáwnie poznaie po Pańſkim Bankiecie
Że tu Fortuna ſama Goſpodynią,
Że iey Dom bliſko, że go doydzie przecię,
Że ukocháną ogląda Boginią,
Stoły záſtawne, wbrod wina dobrego,
Kuchmiſtrza nie maſz, áni Piwnicznego.

Násycił XIĄZĘ y Ciáła y Ducha,
Miały y oczy delicye ſwoie
Na głoſy ptaſząt nie umykał ucha,
Pod nos z kwiatami ktoś podſuwał ſłoie
Czuł cztery zmyſły, ná piąty nárzykał,
Ze czego prágnął, dotąd ſię nie tykał.
Poſpieſza rączo, po dobrym popasie
Pawia pięknego przeciw ſobie zoczył,
Minuty niechce trácić w drogim czasie,
A ten ſwoy ogon ſtooczny roztoczył,
Potym go złożył, iákby Pána witał
ADOLF ſzedł zá niem o drogę nie pytał.
Wiedząc że to Pták *Jowiſsowey* żony,
Wierzy że mu go zeſłáła ta Dáma,
Ná odſłonienie ſpuſzczoney záſłony.
Zá ktorą mięſzka ſzczęśliwości fama.
Jeſzcze ſwych myśli z wiárą nie powtorzył,
Kiedy gościowi Paw Bramę otworzył.
Y zámknął za nim, ſam ſię kędyś podział,
Páłac przepyſzney pokázał ſtruktury
XIĄZĘCIA wſtydu Purpurą przyodział,
Ze on nie umiał tey Architektury,
Bo zámiaſt wápna, piaſku, wody, cegły,
Skárbow niezmiernych Lwy Tygryſy ſtrzegły.
Gdzie

Gdzie ma bydź kámień, tam Dyament ſiedzi,
Szmaragd z Rubinem w taſle ukłádane,
Niewidać nigdzie żelaza ni miedzi;
Wſzyſtko ná ſzczerym złocie oſadzane,
Topaz, Amatyſt, Chryzolit z Száfirem,
Perły w białości kontruią z Pápirem.
Okna z kryſztáłow, co ie w ſkáłach kopią,
Drzwi Hebanowe, iák zwierciadła czyſtę,
Záwiaſy, klámki, ledwie ſię nieztopią
Od ſłońca, bo w nich złoto ieſt ogniſtę,
Dáchy pokryły rumiane krwáwniki,
Poſadzki wſzędzie z drogiey mozaiki.
Agat opaſał w cyrkuł tę Machinę,
Porfir z Jaſpiſem, trzyma Gáleryę,
A na Dziedzince wylewano cynę;
Koral ſwe rozgi koło kolumn wiie
Moſty cedrowe y tákież poręcze,
Srebrne łancuchy wiſzą przez obręcze.
Nákoniec ktoby chciał opiſać piorem
Tę doſkonałość, co zámyka w ſobie
Z zdumienia, ſtaćby muſiał ſię Marmurem,
U Jubilerow ná długiey być probie,
Złotnikow pytać, Architektow zbierać,
Ktorzy muſieli dáwno poumierać.

Ale co rozum, co dowćip człowieczy,
Poiąć wydoła, to znáydzie w tym Domu,
Nic tu nie weſzło, coby niedorzeczy,
Ani ſię życzę mozolić nikomu,
Z kąd Rzemieślnicy, z kąd złoto, z kąd ſarby,
Z kąd drogi kámień, kto poznosił ſkárby.
Musieli Bogi długo o tym rádzić,
Muśieli myśleć komu Dom budować,
Kogo w ták pięknym mięſzkaniu oſadzić,
Kto godzien żeby umiał w nim panować,
Wſzyſcy ſię rázem na iedno zgodzili,
Pánią *Fortunę*, w Páłac wprowádzili.
Już ADOLF w Raiu, ieſzcze Nieba ſięga,
Pogląda w gorę, iákby ſię tam doſtać,
W pyſzną myśl wpáda; *Zefir* mnie urąga,
Ze tam bez niego nie mam przy kim zoſtać,
Otoż pokażę możność moię właſną,
Siły *Zefira*, teraz przy mnie zgaſną.
Obchodzi Zámek, widzi ſtraż drapieżną,
Schodow do weyścia, nigdzie nie znáyduię,
Kto wie czy myślą nieoślepł lubieżną,
Choć byſtrym wzrokiem ſtopniow upátruie,
Jákaś mu umbra zrzenice záſłania,
Wiedzie zá ſobą, co raz mu ſię klania.

Wſzedł

Wſzedł w Grottę ciemną, z Magneſu wykutą.
Ale ták była wypolerowáną,
Ják gdy więc daią kolácyą ſutą,
Ták ſię bez ognia świeći każda ściana,
Zimny to kruſzec w krzemieniach ſię lęże,
Chwyta żelazo kiedy go doſięże.
Uchwycił ſerce młodego XIĄZĘCIA,
Gdy mu z marmuru białego pokaże,
Sliczną Statuę, trudną do poięcia,
Do tey iść co raz to bliżey roſkaże,
Ażeby uznał, że choć nic nie mowi,
Kto wpadł do Grotty tego ſobie złowi.
Y to bynáymniey ADOLFA nie zrázi,
Czy mu bydź w ſaku, w włoku, czy w niewodzie,
Owſzem z ochotą w ciaſny wiencierz właźi,
Ani ſię lęka być po ſzyię w wodzie,
Wreście ná wendę oſtrą ſzedłby ſkory,
Byle pozyſkał Bogini Fáwory.
O! trwáły ſtátku, piękny Geniuſzu,
Co cie náytężſze, nie zmienią przykrości,
Czy ta cierpliwość ieſt w Nowicyuſzu,
Zeby dla Bogow czynił to z miłości,
Godzieneś mieyſca między świàta cudem,
Godzieneś chwáły przed Bogi przed ludem.

Idź

Jdź że iuż śmiele, do tego posąga,
Ktory cię w komplet Rejestru záprasza,
Ktory státecznych, pod swoy znák záciąga,
Kogo odwłoka trudność nieodstrásza;
Jdź á z uwágą pismo w Groćie czytay,
Albo go odrzuć, álbo się go chwytay.
Nie zdáł się y w tym ADOLF być upárty,
Uczćił misterną sztukę *Kupidyna*,
Stał on przy skale, łokciem o nią wspárty,
Poznáł po członkach, płodney Mátki Syna,
Ciáło iák żywe, bo w niem skáczą żyłki
Chciał go cáłować, bez gustu omyłki.
W ręce pochodnią, nád śnieg bielszą trzyma,
Z niey zámiast ognia, woda długie sznury,
Ná sufit rzuca, zda się że poddymał
Wiátr iskry, ktore, od dołu do gury,
Z impetem swoie krople sypią drobne,
Bárdziey do ognia, niż wody podobne,
Z złota odlane w magnesie litery,
Przeciw Bożkowi wyryte ná ścienie,
Wábią XIĄZĘCIA, czytać cháraktery,
Zeby w nim większe, wznieciły płomienie,
A tę pochwáłę miały mądre Wiersze,
Z prácą Pòéty ostátnie y pierwsze.

W ten

W ten ſens: *Ktoś tu ieſt, kto wchodziſz w tę Grottę*
Niech ci nie cieżą Kupida *kaydany,*
Bo ten ná Szali zważy twoię cnotę,
Czyś od Bogini godzien być kochany,
Słodkie Iey jarżmo, nie zow go niewolą,
Letkie, gdy zá iey chodzić będzieſz wolą.
Pzyeczytał piſmo, niedba że uwięźnie,
ADOLF ná lepie, że go miłość bárczy,
Byle ſię mieścił, między tákie więźnie.
Ktory zá wolność, niewolą frymarczy,
Już ieſt zá ſiecią, już wędą ſkáliczon,
Już hołdownikiem *Kupida* policzon.
Jeſzcze nie ſtánoł u brzegu, ieſzcze tu
Szuka pokoju, do ktorego ſpieſzył,
Aż widzi z Grotty drzwi, do Gábinetu,
Wſzedł tam co prędzey, nádzieie pocieſzył,
Ználazł chłod wdzięczny mieyſce odpoczynku.
Rzekł, Pozwol mi ſnu, o *Cyprydy* Synku.
Bo znać to mieyſce dla tych náznaczone,
Co ſię ná ſłużbę Bogini poświęcą,
Co ſnem powieki maią obciążone,
Co ich tu Ráyſkie delicye nęcą,
Co pewnym doyściem ſzczęścia ułudzeni,
Co prácą dzienną, nocną, utrudzeni.

Słyſzy głos: Ták ieſt, ADOLFIE, ugádłeś,
Zeć tu ſpiącemu mucha nie záwadzi,
Kiedy ná łożko gotowe nápadłeś;
Coć ſię śnić będzie, y iák ći porádzi
Morfeuß, ták czyń; ſen zważay ćiekáwie,
To wſzyſtko wſtáwſzy obáczyſz ná iáwie.
Záſypia XIĄZĘ, tu go ſen obłápi,
Miętkiemi ręki, ſam ná palcach depce,
Echo znać daie iáko śpi iák chrapi,
Strumyczek w głowach, bliſko uſzow ſzepce,
Fontanna ták ſię w graniu uciſzyła,
Zeby ſwym ſzumem Pána niebudziła.
Dziwne widzenia, á wſzyſtkie do ſmáku
Przypádły oczom, ſercu, rozumowi;
Twárzy Anielſkie każda z nich bez bráku,
ADOLF ie widział niechże o nich powi.
Ale iákby mu ktoś dał pod nos ſinſę
Ták ſkoczył iednę obaczywſzy *Nimfę*.
Biega, cień łápa, w prożnym Gábinecie,
Gniewa ſię oto, iże nieſpał dłuży,
Nie maſz nikogo, on ugánia przecię,
Gwáłtem powieki zámyka, to mruży,
Wypádł z cholerą, ſpoyźrzy w czyſtą ſtudnię,
W ktorey po ſłońcu poznáł że południe.

Záło-

Záłować począł, czáſu co upłynął,
Spiąc nád potrzebę, umbry tylko chwytał.
Co prędzey ſię w Płaſzcz zielony obwinął,
Już też zębami ná Fortunę zgrzytał,
Páłac obchodził, ſzukał Forty, Bramy,
Coż mnię tu ieſzcze trzymaią zá Tamy.
Tráfunkiem oko obroćił ku gorze,
Poſtrzeże śliczną twárz, młodziuchney Pánny,
Tá złoty koſzyk ſpuſzczáła po ſznurze,
Sądził, że Portret ſamey był Dyanny,
A gdy w otwártym oknie chwilę ſtoi,
ADOLF uważa, że ſię go nieboi.
Jeſzcze ná tráwnik nieſtáwia koſzyczka,
Ledwie w połowie był ná murach ſzklących,
Kiedy przynosi ładna Ogrodniczka,
Wiele Bukietow, z zioł dziwnie páchniących,
Sukienkę, kſztáłtnie podkáſaną miała,
Zeby ſzybkości iey nie záwadzała.
Koło ſamego XIĄZĘCIA przebieży
Ni ſię ukłoni, áni go przywita,
Y ták nieuczći iák Pána należy,
Ani z kąd ieſteś z ciekáwości ſpyta,
Dopiero poznał ADOLF w on czas krutki,
Płaſzcz od *Zefira*, iákowe miał ſkutki.

Ze on ią widział, ále ona ciemną,
Stáła ſię wcále, oczámi niewłáda,
Tylko Bukiety Figurą foremną,
Ják Piramidę, w koſz raźno ukłáda,
A *Nimfa* czeka, ſtoiąca w kwáterze,
Náłoż że kwiecia Ogrodniczko ſzczerze.
Dáwno cie czekam, á ty czyniſz zwłoki,
W ſwey powinności, wieſz o ktorym czásie,
Boginią ſzczęścia Dámy ſtroią w loki,
Było obáczyć dáwniey ná kompasie,
Ukłáday prędzey, ia pociągnę raźni,
Nim ſię Bogini ubierze do łaźni.
Miarkuie XIĄZĘ, że mu uydzie ſztuka,
Ponieważ od dwoch Pánien nie widziany,
Więc Ogrodniczkę y *Nimfę* oſzuka;
Wſkoczył ná koſzyk kwiátami uſłány,
Usiadł ná páczku náypięknieyſzey Roży,
Wſzelką pomyślność ſercu ſwemu wroży.
Ciągnie koſz Dáma ſznurowány wſtęgą,
Cięża' niezwykły z fátygą winduie.
Ty Ogrodniczko powiedz pod przyſięgą,
Czy to nie koncept twoy ze mnie żartuie,
Znam twoię ſztukę y zápewnem zgádła,
Ześ pod Bukiety kámykow nákładła.

Tá odpowiáda: godnábym nágany,
Służąc Bogini ále w Randze niżſzéy,
Niechcę ſię wdáwać w żarty między Pány,
Przykrość oſobie czynić, nád mnie wyżſzey
Kiedy by kwiáty ciągnął Ogrodniczek,
Mogł by ſię znaleść w koſzyku kámyczek.
Ledwie ná oknie *Nimfa* koſzyk wſpárła,
ADOLF iák motyl z páczka odlátuie
Kontent że iego usilność dotárła,
Tam gdzie Fortuna, wráz z ſzczęściem pánuie.
Teraz rzekł, więcey iuż ſobie nie życzę,
Tylko Bogini oglądać oblicze.
Bom tu nie po to przybył z moiey ſtrony,
Páłacu drogość z meblami tákſować,
Ani mnie *Perſkie* zwábiły opony,
Ani kredenſe złote opátrować,
Zá nic ſą umnie te, co widzę ſprzęty,
Perły Rubiny Szmaragd Dyamęty.
To cel iedyny, do ktoregom dążył,
To treść nádgrody, to ſkutek mey żądze,
To ſkárb, dla tegom Cyrkuł świáta zkrążył,
To moie zbiory, to fanty, pieniądze.
Widzieć Boginią zbliſka czy zdáleka,
Nád wſzyſtkie ſzczęście to mnie w życiu czeka.

 Wſzedł

Wſzedł ADOLF w Sálę, ná podziw obſzerną,
A ta wyborne ma w ſobie Obrázy,
Wyſokość według machiny pomierną,
Kolumny w koło, z Száfiru bez ſkázy,
W niey ſame Pánny czyniąc wielkie koło,
Wdzięcznie śpiewaią, tańcuią weſoło.
Wſzyſtkie pod Bárwą, w białey chodzą ſzácie,
Jedna robota, ieden model w kroiu,
Order przez Rámię, noſzą ná Szkárłacie,
Głow ich opiſać nie potrafię ſtroiu,
Oprocz Kleynotow to tylko námienię,
W czym guſt mam,włoſy zwiiane w pierścienie.
Młodość w nich kwitnie, gdy po śniegach kwiáty,
Naypierwey białość, wiośnie prezentuią.
Kolor niewinny nie przeſtáły láty,
Potem ie Roże rumieńcem farbuią,
Zieloność przy tych dwoch kolorach chodzi,
W śmieiącym wieku dobry humor rodzi.
Przypomniał ſobie, ADOLF, co powiadał,
Zefir ſwey Mátce, widzę práwdę ſzczerą,
Jáką miał korzyść gdy z temi przeſiadał,
Co świáta grzeczność przechodzą manierą,
Rozmowy mądre á przy tym niewinne,
Zárty, zábawy, czyſte bo dziecinne.

Przy-

Przypomniał y to, że kiedy ſpał w Grocie,
Sen mu te właſne pokázywał twárzy,
Jáki miał záwod, ná płonney ochoćie,
Niechcąc, dać wiáry, że ſię to w śnie márzy,
Wſpomniał głos, kiedy leżał ná muráwie,
Że te piękności, miał widzieć ná iáwie.
Ale tu ieſzcze iedney nie doſtaie,
Z tych náypięknieyſzey, co mnie obudziła,
Przyſiągłbym śmiele y teraz wyznaię,
Że do mnie ſtrzáłą z łuku wymierzyła,
Dla tegom ſkoczył, iák ſpárzony z tráwy,
Czuiąc ráz w ſercu oſtry, choć nie krwáwy.
Długo ſię oko ADOLFOWE páſło,
Miłym widokiem Dam, piękności zbiorem,
Ktoś nágle krzyknoł, niby im dał haſło,
W punkt rozkaz pełnią, nie idą oporem,
Owſzem wrząd ſtoiąc, w regulárnym Paśmie,
Wyſnuły wątek, iákby iedwáb w Taśmie.
Wſzyſtkie wybiegły, puſtką trąci Sála,
Chociaż przeſtronna drogo meblowána.
Gáni ią XIĄZĘ y iuż nie wychwála,
Kiedy w niey żadna nie przemowi ściana,
Niech pełna będzie złotych Geniuſzkow,
Nie wárta, gdy w niey niewidać Far- -- kow.

Poydę

Poydę zá niemi niechcę tu być dłuży,
W tym pięknym Gmáchu, coż kiedy bez ludnym,
A czey Fortuna znowu mi posłuży,
Y nie omami widzeniem obłudnym,
To myśląc wdzięczne śpiewania usłyszy,
Ucha nádstawi y tchnienie ućiszy.
Nie tylko głosy ludzkie, lecz muzyki
Dziwnych melodyi graią instrumenta.
Gdyby wrodzoney nie miał polityki,
Przerwałby sztukę (co była záczęta,)
Sliczney Aryi, *Nimf* kompozytury,
Spiewaczek twárzy nád miniatury.
Widząc, że skury ledwie nie wyskoczy,
Jákaś go płocha uniosła rospusta,
Niech mnie tu wárta Lwow Tygrow obtoczy,
Muszę z tych ktorą, pocáłować w usta,
Ják skoro wspomniał *Zefira* przestrogę,
Záraz letkości zátamował drogę.
Szczegulnie ná to słuch chćiwy obroćił
Zeby zrozumiał słowa w piękney sztuce,
Albo przynáymniey, tym tonem zánucił,
Gdy niesposobny wydołać w náuce,
Gorgow kánarka, á przemian słowika,
Ktore tu każda, z śpiewaczek wykrzyka.

Dáre-

Dáremne w myślach ADOLFA zárzuty,
Ze wſzech ſtron trudność zágradza mu pole,
Słow nie zrozumiał, áni poiął nuty,
Uſt niecałował; bo tákie ſwywole,
W domu Bogini byłyby defektem, (ktem.
Gdzie ſkromność mięſzka, zmięſzana z reſpe-
Doſyć miał ſzczęścia, wiele pozwolenia,
Stánąć zá *Nimfą*, piękną nád pięknemi,
Gdy iey kwef upádł ná ziemię z niechcenia,
Podnioſł go prędko Rękoma drzącemi;
Y nim ſię Dama po ſwą zgubę ſchyli,
Widzi ią w Ręku, zdánia nie omyli.
Krzyknie; coż to ieſt? Duch ſię iákiś ziawił.
Co mi kwef podał, do Rąk moich włożył;
Pierwſzy w tym mieyſcu, ſtráchu mnie nábawił,
Jeſzcze go zwinął, w kilka fałdow złożył,
Swiadczę ſię Bogi, świadczę náſzą Xiężną,
Stwierdzę tę prawdę, pieczęcią przyſiężną.
Zbiegły ſię wſzyſtkie kompanki iey rzędu,
Pytaią pilnie, czym ſtrwożona krzyczy?
Chcą ią koniecznie wyprowádzić z błędu,
Każda z nich gáni, y zániechać życzy
Tych fochow, ále ta ſwą piosnkę śpiewa,
Ten cud po cáłym Páłacu rozsiewa.

W śmiech obrociły Dziewczęta swáwolne,
Strách piękney *Nimfy*, y żarty z niey czynią,
Mowiąc że to są báyki dobrowolne.
Drugie stánąwszy przed swoią Boginią,
Dla iey uciechy te śmieszne powieści
Práwią zá prawdę, iák zwyczay Niewieści.
Słucha Bogini, á poważną miną
Smiech w sobie taiąc, rzecze: swáwolnice,
Wzieliście gorę nád młodą Dziewczyną,
Práwiąc że iey ktoś podał Jedwabnicę,
Náysnadniey uwieść stworzenie niewinne,
Daycie iey pokoy, wy stársze y inne.
Ustał szmer Panien, ADOLF ie ná oku
Ma, gdzie się kolwiek obrácaią roiem,
Wszędzie iest z niemi, nieopuści kroku,
Czy igrászkami báwią się, czy stroiem,
Y kiedy im znać z Gáleryi dáno,
Ze ich do usług Bogini wołano.
Skoczą co rychley, iák więc chyże łánie,
ADOLF za niemi przez pokoie długie,
Aż iáka táka przed zwierciadłem stánie,
Sukien popráwi, á zaś włosow drugie,
Skoro się każda, iák lalka wysmuknie,
Włos pięknie leży, w stan wpádaią suknie.
Weszły

Weſzły do Sali, z ktorey bláſk uderzył,
W oczy XIĄZĘCE, zbyt iaſny y czyſty
Promień mu w ſame zrzenice wymierzył,
Ledwie nie trzeba było Okuliſty,
Zeby zbytniemu swiatłu umbrę przydał,
Lecz być kaleką, ADOLF by ſię wſtydał.
Podniosł powieki ze ſtráchem od ziemi,
Máło co widział, tylko iaſność ſamę,
Strofuie ſiebie, á myśli: Dobrze mi
Zefir powiedział, że zâ ſzczęścia Brámę,
Nikt z żywych nie wſzedł, iam ſwoy upor krze- (pił,
Ktory mnie tu wiodł, ále wzrok zaślepił.
Bogdáy to słuchać przyiacioł, pokrewnych,
Bogday od ſtárſzych brać rozumne rády,
Porzucić ſwoy kráy, dla rzeczy niepewnych?
Rozwod uczynić, z miłemi Sąſiady?
Bogday młodością, rządził wiek doyzrały,
Hippolit byłby, y z ſwym wozem cáły.
Jednák nikogo w pośrod morza toni,
Myśl deſperácká wtrącać niepowinna,
Choć Zeglárzowi burza port záſłoni,
Weſprze go Bogow Ręka dobroczynna,
Y iuż tonący má nádzieię przecię,
Ze *Delfin* Topca wynieſie ná grzbiecie.

Tymże ſpoſobem ADOLF rozpacz rzucił,
W myśl dobrą ſerce, wráz z ſtatkiem uzbroił,
Záraz iákby ſię z letárgu ocucił,
Ufnością mocną trwogę uſpokoił,
Rzekłſzy: *dziś śmiele z Orłem w ſłońce patrzę,*
Nocny niedoperz iuż ná mnie nie natrze.
Uyzrzał wśrod Sáli Tron z czyſtych Brylantow,
Ná nim Boginią ſiedzącą w Koronie,
Przy nogach tyſiąc ściele ſię Amantow;
Jedni iey kwieciem opaſuią ſkronie,
Drudzy w kráy ſukni cáłuią, ci w Ręce,
Wſpiąwſzy wzroſt drobny ná palce Dziecięce.
Náymnieysi ſwoie fryzowáne głowki,
Kłádą nà łono ſwey Páni z pieſzczoty,
Oczy każdego, iſtne ſamołowki,
Ta im pozwála bez uſzczerbku cnoty,
Poufałości, w dziecinney oſobie,
Choć ktory ſzátę páluſzkiem poſkrobie.
Snádno ich poznać, że im miłość Mátka,
Imię zaś włáſne maią *Kupidynow.*
Wrodzaju Bogiń nád wſzyſtkiemi głádka,
Przyſłáła ſwoich náykochańſzych Synow,
Zeby Fortunney Krolowy ſłużyli,
A iák umieią, ták ią zábawili.

Ubior tey Xiężney, ADOLF nie wydołał
  Opiſać, z iákiey Płaſzcz iey máteryi,
Chociażby Kupcow Páryſkich przywołał,
  Niezgadną, bo ta z ſamych galanteryi,
    Złota niewidać, iedwab ſkrył ſię w motki,
    Mnieyſza o ſuknią, niech to będą plotki.
Bo ADOLF twárzy wdzięk ſzácuie więcey,
  Bogáte ſtroie zá nic ma u ſiebie,
Kochać Boginią záczyna goręcey,
  Przyznaiąc że ieſt urodzona w Niebie,
    Swiat tákiey nie ma, áni iey mieć może,
    Zápewne to być musi plemię Boże.
Oczu iey iaſność, przyrownać ſię godzi
  Do Gwiazd, gdy Niebo wroży nam pogodę,
Albo Jutrzenka, co przed Słońcem chodzi,
  W ślicżney purpurze pokaże urodę,
    Lîlia mleczna, gdy z rumianą zorzą
    Zmieſzáne, wielu kochánkow pomorzą.
Wiek Monárchini lát pietnaście liczy,
  Ale iey rzędy, zdaią ſię być ſtáre,
Wie co da komu, wie kiedy pożyczy,
  Ná iáką znowu ma odbierać miarę,
    Młodość poważna, weſołość bez zbytku,
    Mądrego ſztuka, mieć ſpoſob pożytku.

Cokolwiek mogło być doſkonáłego,
Ná czym záwiſła perfekcyi Fáma,
Wſzyſtko ſię zciąga tu do mieyſca tego,
Gdzie Corka Nieba dyſponuie Sama,
Skárby bezmierne z iedney Ręki ſypie,
W drugiey obráca koło, lecz nie ſkrzypie.
Tu zbłądził ADOLF, tu wpádł w ciaſną jamę,
Gdy o zîelonym ſwym zápomniał Płaſzczu,
Wzrok, pámięć, rozum, wlepił w piękną Pánnę,
O tym nic, że go *Zefir* Paſem w chaſzczu,
Mocnym przywiązał, zakaz groźny zádał,
Ażeby z rámion XIĄZĘCYCH nie ſpádał.
Pádł płaſzcz ná ziemię, przeciwko Mandatu,
ADOLF grzech poznał, że kárę zawinił.
Gdy z gniewem z ſwego zchodzi Majeſtátu
Bogini, on ią, z dobrey złą uczynił,
Nimfy, iák ſkoro ADOLFA poſtrzegły,
Rotami zewſząd do Páni ſię zbiegły.
Háłas w Páłacu, ktory był mięſzkániem
Miłey cichości, lubego pokoju;
Strách nowy powſtał z tákim pomięſzániem,
Jákoby kto dał przyczynę do boiu;
Nie dziw, bo Męſzczyzn te Pánny nieznáły,
Niewinne będąc ſłuſznie uciekáły.

Roſtro-

Rostropny ADOLF, pokuty zwyczaiu
Niechybił, pádnie pod Bogini stopy,
Zeby z *Adamem* nie wypędzon z Raju,
Albo iák niegdy skárano *Cyklopy*,
Zá szturm do Nieba co im *Iowiß* zgáni,
Gdy z Ręku Jego piorunem skárani.
Leży przy nogach, áni ná krok pusci
Fortunney Páni, poki niewymodli,
Tych słow: Powstańże, twą zuchwáłość iużci
Odpuszczam, choć tu nie bywaią podli,
A chcąc się pozbyć importuna prędzy,
Każe mu przynieść wor pełen pieniędzy.
A ADOLF głowę zniżoną podnośi,
Klęczy przed Damą, niby przed Ołtárzem,
O wysłuchánie cierpliwie iey prosi,
Y oto, żeby nie był sądzon łgárzem;
Nákłoń Bogini łáskawego ucha,
Wierz żem iest XIĄZĘ, nie prosty Pastucha.
Słyszáłem wiele, o twoich przymiotach,
Wielka Bogini, y teraz mi miło,
Wspomnieć, co *Zefir* powiadał o cnotach,
Gdy mnie w Dom wiatrow szczęście wprowadziło
Przypádkiem dziwnym, więc Jego, y Mátki
Wzywam, niech stáną, prawdy moiey świadki.
Kaź

Każ ich przywołać, osobliwie Syna,
Bo Mátka przyść tu nie może zbyt stára,
Zefir iest moiey podroży przyczyna,
Niech mu zá Mátkę dána będzie wiára,
On mnie tu przyniosł swych skrzydeł zámachem
Pod strátą życia zmomentalnym stráchem.
Nie poto, żebym był zbiorow łákomy,
Nie poto, żebym wyprosił iałmużny,
Nie poto, zwiedzieć kray mnie nieznaiomy,
Jáko udaie ow Pielgrzym podrożny,
W udzielnym Xięstwie, nie iestem ubogi,
Zebym dla zysku trudney zażył drogi.
Jedyna miłość, ktorey oczy wiążą
Málarze, ta mnie przez głębokie fosy
W Dom twoy przywiodła, áni mi obciążą
Kárku, náycięższe grubych Tramow stosy,
Osądź mnie Páni, czym ná śmierć zásłużył,
Zem szedł do ciebie, á oczym zámrużył.
Anim cie widział, ánim cie znáł kędy,
Miłość mnie gwáłtem ciągneła ná smyczy,
Tá niech opowie mey podroży błędy,
Niech ći opisze stan moy niewolniczy,
A ty Bogini odmień w dobroć kárę,
Nie gań tym, ktorzy ślepą maią wiarę.

Nic nié mam, czymbym twoy impet przebłágał,
Boś rozdáwczyną Fortun, wſzelkim ſtánom;
Choćbym oſtátnich sił z ſiebie wymagał,
Trudno wydołać możnym świáta Pánom,
Co náydroższego mieć mogę przy ſobie,
Serce oddaię, w przeprosinach tobie.
Słucha Bogini, co iey ADOLF práwił,
Pátrzy mu w oczy, widzi że nieſzpetny,
Rzecze gniewliwa: zkądeś ſię tu ziawił,
Czyś ſzpieg, czyś nátręt przyſzedł niedyſkretny,
Już dzieſięć wiekow mięſzkam w mey Oyczyznie,
O żadnym dotąd, nie ſłyſzę Męſzczyżnie.
Oprocz *Iowiſſa*, ktory w náwiedziny
Czáſem przychodzi *Iuno*, *Wenus*, *Pallas*,
Albo mnie ktory Bog prosi ná Chrzćiny;
Tyś ſię náypierwſzy ták beſpieczny ználazł,
Bez opowiedzi, wniść zá moie progi,
Gdzie wolne przyiście maią ſame Bogi.
Ale ſurowość białey płći kto zważy,
Niech łágodnością pokorą nádrobi,
Nieſtráwny kąſek w oliwie uſmaży,
Głaz nieużyty ſkruſzy, w piaſek zdrobi,
Niechcę cie, podź ſam, á nátura frantem,
Má miłosierdzie nád Peregrynantem.

Jákoż Bogini zmiękczona ſkłonnością,
XIĄZĘCĄ, álić poczekáwſzy trochy,
Srogość záczyna nádgradzać miłością,
Już ią powoli odſtępuią fochy,
Jm dłużey w piękney przegląda ſię Twárzy,
Tym bliżſza ognia, czuie że ią párzy.
Y mowi: Piękny *Fenixie*, iák trudny,
Obrałeś ſobie, trákt do mego Pańſtwa,
Ktory bogáty, ále ieſt bezludny,
Tu poſłuſzeńſtwa nie maſz ni poddańſtwa,
Ty tu bądź Pánem, nie myśl o odiezdzie, (zdzie.
Odmłádzay wiek ſwoy w nieśmiertelnym Gnie-
Maſz wſzyſtko co chceſz, co tylko myśl żąda,
W czym ſerce twoie, chce ſobie ſmákować,
To záraz w punkćie, oko twe ogląda,
Y czym potrafię, guſt twoy kontentować,
Zebyś mnie uznał dobrą Goſpodynią, (nią.
Co w Domach ſwoich ludzkość gościom czy-
Jeżlić ſię ſama podobam, á ty mnie,
Weźże wraz ze mną, Fortun mych doſtátek,
Zoſtań ná záwſze pod zákładem przy mnie,
Wieſz co zá Imię, ma, każdy nieſtátek,
Byłby to Error, po świecie obſzerny,
Gdyby z XIĄZĘCIA zmiennik był niewierny.

Sciele ſię ADOLF przed Boginią plackiem,
Wyznaie ſwoię niegodność w pokorze,
Kiedy fortunnym potrząſneła wáckiem,
Zápomniał że ten, kiedyś ſię rozporze;
Dopiero weſoł że zá Xięſtwa ſtrátę,
Ználazł ſtworzenie piękne y Bogáte.
Cáłuie Rękę, ſwey Xiężney y rzecze,
O wielka Pani Monarchini moia,
Godzienbym żeby oboſieczne miecze
Ná mnie powſtały. Wulkánowa *zbroia,*
Niechay mnie ſwemi przyciśnie ciężary,
Ieżelić kiedy, niedotrzymam wiáry.
Toć iuż po ślubie, wzaiemney przyſięgi,
Ráda Bogiui, ále rád y XIĄZĘ,
Ze ich ſubtelney, moc ſpoiła wſtęgi,
Ktorą śmierć ſama, rozerwie, rozwiąże.
Nie trzeba świadkow kiedy Bogi widzą,
Krzywoprzyſięſtwo kárzą, nim ſię brzydzą.
Brzmi Páłac ſzczęścia, brzmi Fortun Inſuła,
Gdzie ſię obrociſz tam wdzięczne Muzyki,
Gdy śliczną párę, obtoczyła Stuła;
Ptáſzęta z ſwemi zlecą ſię okrzyki,
W przemianach pienia, nucą po gáłązkach,
Ze Pánią ſwoię w miłych widzą związkach.

Nimfy párámi przychodząc winſzuią,
Wieńce laurowe rzucaią pod nogi,
Kupidynkowie máli wyſkákuią,
Pełno ich wſzędzie, zdániem tey przeſtrogi,
Ktoś ieſt w Páłacu, wychodź, przyſtąp śmiele,
Bo dziś Bogini z XIĄZĘCIEM weſele.
Nie tylko dziſiay, ále iák świat ſtáry,
Stać ieſzcze będzie, weſołość codzienna
Tu trwać ma, tu niech przychodzą z Ofiáry,
Páńſtwu młodemu, ktorych nieodmienna,
Fortuna będzie, piaſtować ná Ręku,
Nic im z látami, nieubędzie wdzięku.
Po wypełnionym ślubie, ſkocznych godach,
Weſołość z Domu, nigdy nie wychodzi,
Ani tu ſłychać o kłotniach, rozwodach,
Miłe pożycie każdy moment ſłodzi,
W ſamych pieſzczotach, ſwe godziny pędzą,
Kontenći z ſiebie, y o nic nie zrzędzą.
Opływa ADOLF iáko w maśle pączek,
Tonie w roſkoſzy w Boginiey przybytku,
Sypią ſię ſkárby nań, z Jey ſzczodrych rączek,
Już przebrał miarę, wſzedł ná ſtopień zbytku,
Miłość rozpieści, doſtátek nápuſzy,
Tych co im troſka, głowy nieuſuſzy.

Gdy czás pomyślny, láta młode báwi,
Gdy prożnowanie nim ſię rządzić zácznie,
Ani ſię poymie, kiedy dni przetráwi,
Ják żywą porę, utráca nieznácznie,
Wtedy dopiero pozna błąd ſwoy gruby,
Gdy w ściſſe z wiekiem záchodzi ráchuby.
W pośrod delicyi, ktore miłość kryie,
W ſwoich komorkach, z ktoremi ſię cacka,
Y ktorym ADOLF, Kordyałem żyie,
Kîedy go ſpyta, Bogini z nienácka,
Powiedz kochány XIĄZĘ twoie zdánie,
Ják dáwne ze mną trzymaſz Pánowanie.
Tu ląd przebráła, ADOLFA rozpuſta,
Smiałość ſwey Páni, każe záyzrzeć w oczy,
Przymknie ſię do niey, pocałuie w uſta,
Wiſzących z kárku pociągnie wárkoczy,
Mowiąc o co mnie pytaſz, czemu kusiſz?
Długo tu ieſtem lepiey widzieć musiſz.
Ktoż czáſy liczy, ná kompas zágląda,
Kiedy ſię komu gdzie pomyślnie wiedzie,
Przewlokłych godzin nád kurs ſłońca żąda.
Zaś każdy kwádrans ráchuie kto w biedzie,
Já ták rozumiem, że nád trzy tygodnie,
Tu będąc niewiem czy ći ſłużę godnie.

Z wdzięcznym uśmiechem Ręką w Rękę plaśnie,
Fortunna Páni, mowiąc iák cie myli,
Czas, moy ADOLFIE, czyć kto poplotł baśnie,
Lát trzyſta z ſobą, iużeśmy przeżyli,
Cieſzę ſię żeć ten wiek ze mną ták krotki,
Znać w Domu moim nie znaſz, co ſą ſmutki.
Trzyſta lát? rzecze XIĄZĘ zádumiały,
Jáko w ſzczegulney żyię tu roſkoſzy?
Zádney u świáta przez to nie mam chwáły,
Młodość dni moich, nikczemność rozproſzy,
Niewiedząc w iákiey mam Oyczyznę porze,
Podłość ſam w ſwoim, poznaię humorze.
XIĄZĘ bez Xięſtwa, Pan puſtego Pańſtwa,
Nikt mnie nie pozna, owſzem zá chimerę,
Każdy poczyta, bez ſług bez poddańſtwa,
Jnſzą w mym kraju, záſtanę manierę,
Krewnych nie znáydę, tylko Hiſtorye
Záſtánę, kto z nich umarł, á kto żyie.
O ſobie ſamym będę czytał Księgi,
Zem zginął w Puſzczy, żem ſię gdzieś zápodział,
Choćbym tyſiączne wypełniał przyſięgi,
Już mi niewrocą, to, co poſzło w podział,
Sławym po ſobie, żadney niezoſtáwił,
Tę tylko, żem ſię polowániem báwił.

Záczem

Záczem Bogini, cáłuię twe ſtopy,
Zebrzę pokornie, niebierz to Afrontem,
Ze ſię chcę wybrać do mey Europy,
Z moim ſię miłym witáć Horyzontem,
Niecháy przynáymniey oglądam ruiny
Gniazda, gdzie Ociec moy mieſzkał iedyny.
Zbládła Bogini iák *Narcys* rożwiły,
Białość zoſtáłá, rumieniec ſię ſchował;
Wſzyſtkie ią rázem odſtępuią siły.
ADOLF zmięſzány, ſwą Pánią rátował,
Jednák upártey imprezy nie łamię,
Chociaż mdłą głowę kłádzie mu ná rámię.
Długo odetchnąć żałoſna nie mogła,
Dopieroż ſłowa, wymowić z uciſkiem
Serdecznym; lecz ią Paſsya wſpomogła,
Rzući ſię mowiąc: Coż to ? Ja igrzyſkiem,
Jednym zoſtáłam, ADOLFIE u Ciebie,
Záczałeś brykać ná mym właſnym Chlebie ?
Anim po ciebie wyſłáła Okrętow,
Anim lądowey nietráciła fury.
Zefir był metrem przezornych wykrętow,
Ty złe ćwiczenie wziołeś od nátury,
Więc was obodwoch, ná iedney gáłęzi,
Nić *Aryadny*, niech w ſidła powięzi.

Co-

Cożeś zá krzywdę miał zdráyco, w mym Domu?
Chyba tę, żem cie uczyniła Pánem;
Od ſtrzał *Iowiſsa* broniłam pogromu;
Zbiłby cie w miazgę *Wulkan* ſwym Taranem,
Herkules pałką, *Cephal* Rohatyną,
Ześ *Wyſpy* moiey zgwáłcenia przyczyną.
Tákaż to wdzięczność, táki obowiązek?
W przyſiędze twoiey Zmienniku przewrotny?
Ledwieś był godzien tchnąć ſię mych po--- zek,
Wydał ſię w Tobie poſtępek ſromotny,
Wiedz, żem Boginią, wiedz, że ći dokuczę,
Ják z Bogi igrać, Człowieka náuczę.
Dáłam ći zdrowie, czerſtwość iednoſtáyną;
Stárości nie znáſz; choroby nie czuieſz;
Nád czas, w tym wieku, młodość niezwyczayną?
Lát trzyſta żyiąc, przy mnie záchowuieſz,
Jdź zkądeś przyſzedł. O! ſerce zwierzęce,
Lwá, Tygra, Sępa, ále nie XIĄZĘCE.
Obáczę kto cie w twoy kráy ztąd przeniesie,
Pewnie rozumieſz, że mych Insuł ſtraże
Wolnyć pas dádzą? zábłądziſz iák w lesie;
Já *Zefirowi* pod gárłem zákażę,
By ſię nie ważył ciebie, y Opończy,
Brać ztąd zieloney: Ná tym ſłowa kończy.

Z reſztą uchodzi do Antykámery;
Ják ſzybka Sárna, ták chyży krok ſunie,
Wſpárſzy ſię w oknie, uchyli kwátery,
Gdy z pięknych oczu łez ſię ſtrumień lunie,
Dwáy przed nią ſtáną mocni Adwerſarze,
Miłość, złość; każdy z nich Autorkę kárze.
Ze ſama winna wzruſzenia pokoju,
Ktorym ſię ADOLF z nią wzaiemnie cieſzył,
Sáma wſpieniła nurt cichego zdroiu
Sądzi ſię, przez co iey kochánek zgrzeſzył,
Ze ſławy ſzukać chce, y że tam ciągnie
Nátura Ptáka, kędy ſię wylągnie.
Ná coż go było pytać, iák czás długi
Ná *Wyſpie* ſzczęścia delicyi zażywa?
Kiedy ći wierne poświęcił uſługi;
Dáwno ná łonie, pieſzczonym ſpoczywa?
Trzeba być záwſze oſtrożną y czuyną,
Niewzbudzać w młodym nieſpokoyność buyną.
Przyznayże ſama luboś wielowładna,
Lubo z Boſkiego plemienia pochodziſz,
Ześ świegotliwa, do upádku ſnádna,
Dość na tym że ſię Białogłową rodziſz,
Bo ich ięzyki ſą nieprzyiaciele,
Kiedy nim ktora bez potrzeby miele.

Pocznie ſwoy impet ze wſtydem roztrząſać,
Strápiona Xiężna, iuż nie przeczy drodze,
O co ſię miáłá ná ADOLFA dąſać;
Ze ſwym Paſsyom wypuściła wodze.
W tym ſobie mocnych ſkrupułow przyczyni,
Ze złość ułomna panuie w Bogini.
Drzwi z Gábinetu otworzy ſzeroko;
Nimfy, co ſwoie odpráwiały warty,
Widząc, że Pańſkie zápłákane oko,
Zádna wniść nie śmie, choć pokoy otwárty,
Aż do nich rzecze, Bogini zbyt ſkromnie:
Jdź ktorakolwiek, proś ADOLFA do mnie.
Przyſzedł z boiaźnią, zdáleka ſię kłánia,
Wybládł, zmizerniał, iakby wſtał z choroby,
Z uſt Pańſkich ſłyſzy, że mu nie zábrania,
W kray iego śpieſzyć; niechcąc czynić, co by
Umártwić miáło, zdrowie z życiem ſkrocić;
O to nie pytam gdzie ſię chceſz obrocić.
Słuchay ADOLFIE, ták z niem mowić zácznie:
Chciáłam żebyś mną rządził, y mym Xięſtwem,
Zámyſły moie czás zkręcił opácznie,
Já Heroicznym rządzę ſię zwycięſtwem,
Choć mnie to trápi, do żywego boli,
Maſz Abſzet; bądźże Panem ſwoiey woli.
Bę-

Będzieſz żałował! ták moy inſtynkt ſzepce,
  Ze cie fatalny przypádek przydybie,
Szukaſz nieſzczęścia iák więc młode źrebce,
  Albo wpaść w niewod nieoſtrożney Rybie,
    Ten nogę złámie, tę Kucharz oſkrobie,
    Toż ſię ADOLFIE przydać może tobie.
Ale niech dobroć niewdzięczność zawſtydzi,
  Łágodność moia niech twoy upor złamie,
Te dwie przywáry Niebo nienáwidzi;
  Mścić ſię, bydź iedzą, nie przyſtoi Damie,
    Oráż Bogini; uràzyć odpuſzczę,
    A z mego Domu ná wolność wypuſzczę.
Przecięż opieka y łáſk moich miara,
  W podroży twoiey, wſzędzie z tobą ſtáną.
Dam ći z mey ſtáyni Rumáka *Biſſara*,
  Miecz, kirys, znać dá, że byłam kocháną;
    Jeźliś Káwaler zácny z urodzenia?
    Obráz moy w ſercu miey bez zápomnienia.
Koń ten od Bogow ieſt mi dárowány,
  Swiadkow ći ſtáwię ktorzy byli przy tym,
Ze z rodu tego pilnie wychowány,
  Gdzie Pradziad iego uderzył kopytem.
    W tym mieyſcu záraz *Helikońſkie* zrzodło,
    Sławnych *Pegazow* pámiątkę wywiodło.
 Prze-

Przeſtrogęć daię, byś z niego nie zſiadał,
Poki w dziedzicznych nie ſtánieſz gránicach,
Potym iák zechceſz ták niem będzieſz włádał.
Bydź záwiedzionym ná mych obietnicach
Nigdy nie możeſz; á potym ſam przyznaſz:
Ze ná *Biſarze* ſiedząc, záwſze wygraſz.
Gdy cie zaś upor zwyczáyny ogárnie,
Ze moie ſzczere przeſtrogi odrzuciſz,
Bądź pewien tego, iże zginieſz márnie,
Siebie w grob wpędziſz, mnie wiecznie zaſmuciſz;
A teraz Niebo niech o tobie rádzi,
Gdzie ſobie życzyſz, zdrowo záprowádzi.
Słuchał cierpliwie ADOLF, iáką, Páni
Wielkiey dobroci, wrożkę w ucho wſadza,
Czuie raz tęgi, iák mu ſerce ráni,
Ale rozumie, że go odprowádza
Od zámierzoney, w Oyczyznę przeiazdzki,
Ma to zá báykę, y letkie drobiazdzki.
Grzeczność zaś iego, ináczey uczynić
Niemogła, tylko kilkakrotnie Dzięki
Przy nogach złożyć; á w czym śmiał przewinić?
Przepráſzać; proſić o podánie Ręki
Szczęścia Boginią, ná drogę ſzczęśliwą,
Ze ią ſwą Pánią obiera práwdziwą.

Y ták záczyna mowić: bogdayże mie
Smierć nie mineła, ieżeli obłudnie
Z tobą Bogini idę; niech mey ziemie
Niewidzę, ieźli woli twoiey trudnię,
Na iáką ſztukę, w wymyślney imprezie
Niech *Charon* łodzią, w piekło mnie przewiezie.
Byłbym (nie człekiem) gorſzym nád Lwią ſrogość,
Nieznać wdzięczności tey, co ią do grobu
Z ſobą zánioſę; twych Dobrodzieyſtw drogość
Nád życie ważę, ále mi ſpoſobu
Szukać náleży, przez ſłáwy nábycie,
Stać ſię godnieyſzym tráwić z tobą życie.
Smielſzym powrocę, gdy nie dla pozoru,
XIĄZĘCĄ godność mam od ſwoich przodkow,
Dzieła Rycerſkie przyczynią honoru,
Tákich koniecznie ſzukać muſzę środkow,
Ze choć ſię w rodzie niezrownam z tym Boſtwem
Przynáymniey famą, pięknych czynow mno-
Ciebie Bogini, iedyny Terminie (ſtwem.
Miłości moiey żegnam, á przyrzekam,
Ze nád Rok więcey tygodnia nie minie,
Ják z Xięſtwa mego ztęſchniony uciekam.
Bißar potrafi, gdy przyłoży ſzłapi,
W prędſzym powrocie wraz ze mną pokwápi.

Wſzyſtko záchowam pod ſkrupułem grzechu,
Coś rozkázała, w czymeś mnie przeſtrzegła;
Myśl momentalną będę miał w pośpiechu,
Do ciebie ufność w twey łáſce poległa,
Fortuny moiey ſzczęśliwego ſtánu,
Zażywać z Tobą ſłodyczy nie chrzánu.
To powiedziawſzy, przed Boginią klęknie,
Ręce iey do uſt, do ſerca przytyka,
Zegna ſię z żalem rozumnie y pięknie,
Weſtchnienia rázem ze łzámi połyka,
Kochay mnie Páni, to ná koniec rzecze,
Z oſtátkiem nágle z pokoju uciecze.
Wsiadł ná Rumáka ná ktorym czás dáwny,
Siedzieć zápomniał, pieſzczotą zmamiony,
Poznáł po cnocie, że dzielny y ſpráwny,
Ze z *Pegazowey* nátury ſpłodzony;
Záleconego widzi włáſność konia,
Sokoła w locie, w mocnych nogach Słonia.
Pierwſzey zádoſyć chcąc uczynić ſztuce,
Jezdzcę upewnić, iák *Biſſar* obrotny,
Nie w láda Szkole bywał ná nauce,
Smiały ná ſtrzelbę, ná wodę ochotny,
Kiedy z wyſokiey ſkáły w Rzękę wſkoczył,
Siebie máło co, Pána mniey zámoczył.

Prze-

Przepłynął głębią, ſzeroko rozlaną,
   Bałwany byſtre, kopyty przecinał,
Ani pokázał minę zmordowáną,
   Owſzem iákoby dopiero záczynał
      Prácować, choć ſię piana z nozdrza ciśnie;
      Głową potrząśnie, á niegdyś odpryśnie.
Gdzie gładka ſkáła, gdzie *Kaukazu* pleſze,
   Tam rzezwość *Biſsar*, pokázał náywiękſzą;
Jle kroć ſtąpi tyle ognia ſkrzeſze,
   Niedba czy drogę, daley znáydzie miękſzą;
      Gory, págorki, láſy, wody, błota,
      Jedna dla niego, co w rowniach robota.
Wyrażić trudno iák ſię ADOLF cieſzył,
   Nádzwyczaynego maiąc Poſtylona,
Co ptáſzym lotem trudne mieyſca przeſzył,
   Chęć do Oyczyzny ciągnie upragniona;
      A gdy ni konia ni ſiebie popaſem
      Poſilić niechciał, droga mu taraſem.
Woz iákiś záległ w głębokim wąwozie,
   Skáły wyſokie, gościniec iák murem
Ciaſno ściſneły, ná żadnym przewozie.
   Trudność XIĄZĘCIA, nie plątáła ſznurem,
      Ciernia kolczaſte w płoty uſadzone,
      Podrożnych w żadną niepuściły ſtronę.

Oprocz

Oprocz tey drogi, gdzie owa Telega,
Kołmi do gury wywrocona ſtała;
Nikt ſię podobno od praw nie wybiega
Tych, co nátura każdemu posłała,
Ciaſnym gościncem do Forty przechodzić,
Ktokolwiek ná świat ráczył ſię narodzić.
Alić obáczy rzecz godną uwági,
Stáremi ſkrzydły dymem zkopconemi,
Wyłádowane owe ſtáre ſzrági,
To wytartemi to wpuł złamanemi,
Kiedy ſię *Biſſar* z ſapaniem uciſzy,
ADOLF pod wozem głos ięczący ſłyſzy.
Chce bliżey nátrzeć, lecz koń ſłuchać nie chce,
Czuiąc fatalny przypádek ná Pána;
Wſpina ſię, chrápa, aż gdy go połechce
Po bokach, tchneła *Biſſara* nágana,
Więc z niem poſkoczy, z gniewem iák furya,
Kiedy Pan nie zna, że mu ſługa ſprzyia.
Poſtrzeże ADOLF Sędziwego Stárca,
Ktory pod wozem przywalony leżał,
Już ci tu zginie nie doczeka Márca;
Litością zdięty z konia zſiadſzy bieżał,
Ná porátunek, umknąć tey záwady,
Bo widział że Dziad nie da ſobie rády.

Jeſzcze

Jeſzcze tym bárdziey prosi, żebrze, ſtęka,
Widząc XIĄZĘCIA, co raz bliżſzym ſiebie,
Ey Káwalerze! niech mnie twoia Ręka
Weſprze, wydźwignie w oſtátniey potrzebie
Bądź miłosiernym, nádemną zgrzybiáłym,
Weźmieſz moy Towar, z pożytkiem niemałym.
Rozśmiał ſię XIĄZĘ nád Stárca proſtotą,
Przyſzedł ku niemu, by woz z niego zwálił,
Ten ucieſzony, Pánicza ochotą,
Porwał go silnie, ná ziemię obálił,
Wziąwſzy zá gárdło, kolanem przyciſnął,
ADOLF pokornie leżąc, áni piſnął.
Zácząl ow *Satyr* práwić mu perory,
A tuś młodziku, com cie przez lát trzyſta
Szukał, á ciebie trzymały amory,
Widziſz, że zemnie dobry Okuliſta,
Umiem upatrzyć, choć kto w kącie ſiedzi,
Moia go pilność, wymaca, wyśledzi.
Já wiem że ieſteś Pánem białey Ruśi,
ADOLF ci Imię, maſz XIĄZĘCĄ Mitrę,
Ceſarz, Krol, moim poddánym być muśi,
Wnet tu y tobie pyſznych Rogow przytrę,
Roſkoſz unioſła, wiek płynął Fortunny,
Niś wſpomniał, żeś ſię urodził do Trunny.

Tyleś lát przeżył w pieſzczotach, w wygodzie,
W doſtátku zbytnim, coś dobrego zrobił?
A młodość twoię, iákby kámień w wodzie
Utopił, czymżeś tę Rzekę ozdobił?
Chyba tym, że głaz ciężki ná dno poſzedł,
Swego Terminu, gdzie náleżał doſzedł.
Prożność ieſt ſzczera, kto ná tym polega,
Zeby mu dobrze lat kilkáſet było,
Nie myśli, że czas wſzędzie zá niem biega,
W iednym momencie, wſzyſtko ſię ſkończyło,
Ják temu, co ieſt wychowan w roſkoſzy,
Czy w nędzy, śmierć to, oboie rozproſzy.
Zgádłem kto ieſteś, ia ći też powiadam,
Kto ieſtem, oto *Czas* moie názwiſko,
Co świat ma ia, tym záwiaduię, władam,
Odemnie wſzyſtko bierze ſtánowiſko,
Brát moy zowie ſię ſzybkolotny *Goniec*,
Przydomek mamy, wſzelkim rzeczom *koniec*.
Widziſz te ſkrzydła, ktorych cáła Bryka,
Z twoiey przyczyny przytárte, obite,
Trzy wieki látam, ADOLF mi umyka,
Já po iaſkiniach, y gdzie mieyſca ſkryte,
Ciſnę ſię nie raz, o ſkáłę uderzę,
Skrydło złomane widząc, złość mnie bierze.

Ale gdzieśkolwiek przesiadał, przebywał,
Chocieś lát trzysta szczęśliwie przepędził,
Aniś pomyślał, aniś się spodziewał,
By młodość twoię, czás kiedy uwędził,
Znáyże go teraz, każdy umrzeć musi,
Kto żył: To rzekłszy ADOLFA udusi.
Nieszczęściem trafił ná Scenę trágiczną,
Przelátuiący *Zefir*, gdy mordercę
Wszech rzeczy widzi, gdy Osobę śliczną,
Zábił, wydziera z niey Duszę y Serce,
Sam precz odchodzi, á zaś *Zefir* chyży,
Do zábitego z ciekáwości zbliży.
Krzyknie żałośnie! Ach ADOLF uduszon,
Coż tu miał robić, w ták ciasnym tárasie,
Od kogo do tey podroży przymuszon,
Dmucha tchem wdzięcznym y mowi: O! *Czasie*
Nieszczęsny, potym skrzydły mocniey wieie,
Ale ten leży, bez życia nádzieie.
Płácze Dziecina, wzdycha, głowę skrzywi,
Co ráz páluszkiem powiek mu podnosi,
A kiedy poznał, że go nie ożywi,
Braci swych stárszych ná pomoc záprosi,
Zeby zdolnieyszych sił chcieli przyłożyć,
Ciáło ná skrzydła *Zefirowe* włożyć.

Leci z ciężarem, bo XIĄZĘ był w zbroi,
Gdzie go podzieie, nie czyni záchodu,
Przez drogę, w płaczu áni ſię ukoi,
Nieſie ADOLFA proſto do Ogrodu,
Bogini ſzczęścia, chcąc mieć wieść práwdziwą,
Czemu iey *Wyſpa*, teraz nieſzczęśliwą.
Składa depozyt, w wydrążoney ſkrzyni,
Ktora iákoby wykuta umyślnie,
Ná grob, ná wierzchu poſępney Jáſkini,
Dla kogoś, co mu ſzczęście, niepomyślnie
Kości rzuciło, ADOLF ná te loſy
Fátalne tráfił, zwiądł od czaſu koſy.
Zdiął *Zefir* zbroie, co ią miał ná ſobie
XIĄZĘ, *Trophœum* z niey, oraz z oręża
Zrobiwſzy, z żalem poſtáwił przy grobie,
Ná znák, że zły *Czas* Rycerzow zwycięża,
Kirys, Tarcz, Szyſzak, Pancerzowe nity
Puſzczą, komu *Czas* dać chce z życia kwity;
Jeſzcze XIĄZĘCIU oddaie cześć inną
Płaczący *Zefir*, y nieutulony,
Názbierał kwiatow przyſługą Dziecinną,
Rozrucił ná grob, á Wieniec zielony,
Z Láuru uwity, ná wyſokiey Tyce
Powiesił, miał w tym ſkrytą Taiemnicę.

Jákoż niepłonną, bo owa Regnantka
Fortunney *Wyſpy*, często náwiedzáła
Jáſkinią, pełna ſuſpicyi Zelantka,
Co zá przyczyna ADOLFA trzymáła;
Długi to przeciąg, powrot w Rok obiecać,
Tę nieſpokoyność ięła w ſobie wzniecać.
Ucieka od *Nimf*, ciemne lubi lochy,
Po to tam wchodzi, że ze ſkał ſtrumyki,
Sączące, ſwemi podchlebnemi ſzlochy,
Łez iey dodaią, á drobne kámyki,
Ná ktore ſznurki zpádaiące brzęczą,
Tonem żałoſnym wraz z Boginią ięczą.
W czás ku wieczorny w dni ſmutnych momentow,
Wyſzła Bogini z Páłacu z ſwą zgraią
Pánien, chce wchodzić do Grotty lámentow,
Te ſkácząc przed nią, Pánią rozrywaią
Wdzięcznemi pieśni, tańcem, y czym mogą,
Proſzą by z niemi inſzą poſzła drogą.
Powolna Páni (czas ią upokorzył)
Słucha, ſłużebnic, idzie gdzie ią wiodły,
W mieyſce, kędy *Czas* kochanka umorzył,
Nie wie że *Parki* iuż ią z niem rozwiodły,
Boginią będąc, á przecię nie zgádnie,
Ze ná ſtos żywo tráwiący nápadnie.

Sama poſtrzegła, wchodząc w mirtu krzáki,
Gdzie nie raz będąc, nie widziała wiechy
Ná żerdzi długiey, co by to zá znáki,
Swieżo wytknione, żalu czy pociechy,
Prognoſtyk czynią, czy do mnie kto w ſwáty
Przyiechał, bieży, ukaſawſzy ſzáty.
Doſzedłſzy gory przykrego wierzchołka,
Widzi ADOLFA Obraz nie fałſzywy,
Wſtyd iey przypomniał opuścić po[illegible]ka,
W tym rozumieniu, że śpiący, że żywy,
Z krajow dálekich, odpoczywa, znuży,
Niech mu ſen słodki ná posiłek służy.
Każdy kto kocha umie poiąć ſnadnie,
Co ieſt tęſchnica w rozłączoney parze,
Nie trzeba Wieſzczka, ten náypewniey zgádnie,
Ják oddaleniem, miłość tego kárze,
Ale ile ran, odległość zákroi,
Skutecznym plaſtrem, przytomność zágoi.
Niewie Bogini z pociechy co czynić,
Słowność ADOLFA ogłáſza przed Niebem,
Myśli iákich mu tytułow przyczynić,
Już go w godności ſtáwia rowno z *Febem*,
Státek w miłości, nád wſzyſtkie przekłada
Boſtwa, nad ten zbior, co *Olimp* oſiáda.

Zefira

Zefira woła, życząc mu záwdzięczyć
Pracą, że przynìoſł ADOLFA powtornie,
Ze iey ſię nie dał długo ſuſzyć, męczyć,
Cośkolwiek zrobił, roſtropnie, przezornie,
Podź moy *Zefirze*, niech ći podziękuię,
Wiele dam, gdy twe uſta pocáłuię.
Dwoch rzeczy Xiężna nudząc ſobą czeka,
Ocknienia ze ſnu, ſwoiego kochánka,
Na opoźnione momenta nárzeka,
Mowiąc: Ey przecięć ta miłość Tyránka,
ADOLF ſpi długo, *Zefir* mnie nieſłucha,
Kiedyż ſię w złości ſwoiey udobrucha.
Dáley nie mogąc z cierpieć czaſu zwłoki,
Raźno powſtánie Bogini z morawy,
Pokiż mnie będą mártwiły wyroki,
Choćbym wyſtępek popełniła ſłáwy,
Trząſne ADOLFEM, niechay ſię obudzi,
Mną wſpaczne ſzczęście nie miota, nie łudzi.
Gdy bliſko przyidzie, Ręce pogotowiu
Ma, ná ściśnienie, powitanie ſwego
XIĄZĘCIA; widzi, uſta do ołowiu
Podobne, y twárz człeka umárłego
Pádnię wpoł martwa, śmierć, ADOLFA łupem
Nieſyta, mieć chce y Boginią trupem.

Przy-

Przybywa *Zefir* ná rátunek Xiężnie,
Duchy żyiące, osłabione rzeźwi,
Woła, ażeby odrzuciła mężnie,
Co ią zpodkáło, miłym chłodem trzeźwi,
Proźby zażywa, ná reszcie posuka,
Boginią, grożnych sposobow poszuka.
Mowiąc, coż to iest y iáka niebaczność,
Ná stan swoy, ktory śmierći nie podlega,
Na krewność z Bogi, ná urząd, ná zacność,
Wstyd, że cie mądrość y honor odbiega,
Paniąś Fortuny, szczęścia rozdawczyną,
Wszech częśći świáta, wielką Dzierżawczyną.
Płáczesz XIĄZĘCIA, twárzy piękność gubisz,
Smutek cie przeiął, aż do serca calcu,
Wszák to był człowiek, co go dotąd lubisz,
Gust miałaś płonny w glinianym káwalcu,
Biegły Sztukator dobrą formę zrobił,
Ksztáłtem, urodą, ADOLFA ozdobił.
Wiedz odtąd iáká powinność człowiecza,
Być pod Zwierzchnością *Czasu*, to iest śmierći,
Nikt się nieoprze, ni zuchwále zprzecza,
Rok podzieliwszy ná cząstki, ná ćwierći,
W każdą godzinę czy wieczor, czy ráno,
Z żywego kwiecia, suche zrobi siano.

Jeſt to Pan możny, Dziedzic ziemſkich włośći,
Burzyciel rzeczy, przeciwnik nátury,
Ma przywileie ná wſzelkie wolnośći,
Ruynować z gruntu przedwieczne ſtruktury
Kolumn, Piramid, co u świáta cudem
Było; rozſypał, ſkruſzył przytrząſł brudem.
Coż tedy zá dziw że ſię *Czas* ták ſpráwił,
Jákie ma práwo, iáki rozkaz z gory,
Gdy doczeſnego XIĄZĘCIA udławił,
Wſzák ná trzy wieki był nie chciwy ſkory,
Ale gdy ſobie ADOLF tyle troie,
Zycia założył, *Czas* go wziął iák ſwoie.
Y ty Bogini z ſwoiemi doſtátki,
Z fortunnym kołem, z Inſułą roſkoſzną,
Przyidzieſz pod práwo *Czasu*, on te ſpádki,
Bierze po wſzyſtkich, nie gárdzi dwugroſzną
Intrátą, on twoy Páłac drogi zburzy,
Twą piękność ciała popiołem przykurzy.
To powiedziawſzy *Zefir* odlatuie,
Z mieyſca kłopotu, troſku, ſmutku, płaczu;
Zal go Bogini ná wylot przeymuie,
O rzecz mu chodzi, by y on háraczu,
Czaſowi nie dał, wpádł z ſtrachem do Mátki,
Wſzyſtkie ADOLFA powiedział przypadki.

Bogini mdléie osłábiona ráną
Serdeczną, krorey nigdy nie uleczy;
Rozmyśla mocno nád szczęścia odmianą,
Nád włádzą *Czasu*, że Bogi káleczy;
Jey nárzekania słysząc wody, skáły,
Drzewa, ptaszęta, rowno z nią płákáły.
Kiedy do siebie samey zácznie mowę,
O szczęście miałkie, o Fortuno krucha,
Dopiero waszą poymuię osnowę,
Jedna z was ślepa, druga wcále głucha,
Ják komu macie dotrzymać przysięgi,
Gdyście bez oczu, uszu, niedołęgi.
W was oryginał hipokryczney zdrády,
Nic státecznego nie macie w ustáwach,
Komuż w złym rázie dacie zdrowe rády?
Zginoł ten, ktory polega ná práwach,
Tych dwoch oszusztow, co w Domu ni w polu,
Niedotrzymuią dánego Parolu.
Coż mi po Tronie, co mi po Insule,
Co po urodzie, co po drogich sprzętach,
Kiedy *Czas*, Bogow przenosi w Tytule,
On kres zámierza w delicyi momentach,
Koniec tych uciech, rozpacz, smutek, nędza,
W Káptury, w Puszcze, młodość ludzką wpędza.

Więc ia oczyma widzę, wnętrznie czuię,
Ják wielka własność, moc powága *Czasu*,
Odtąd swą *Wyspę* ták zátarasuię,
By w niey żadnego zgiełku ni hałasu,
Nie było, ále przyrzekam rzetelnie,
Odtąd nikt kontent nie będzie zupełnie.
Zámknęła Brámę Bogini, y iuż ći,
Znowu ná Tronie Dziedzicznym osiadła,
Wárty przydawszy nikogo nie wpuści,
Klámka od Forty fortunney západła,
Sciesżki,gdzie przedtym kwitły ná nich Roże,
Cierniem zárosły; dla tego nie może,
Nikt teraz trafić, ktokolwiek iest żywy.
Kto po nas będzie niech się nie nápiera,
Zeby bez odmian *Czasu*, był szczęśliwy,
Każdy w kłopotach, żyie, y umiera,
Lub nam Fortuna, trochę drzwi uchyli,
Wszęściu zupełnym, zá zwyczay omyli.
Báykać to w prąwdzie, wymyślna fabuła,
Ale możemy nábrać z niey pożytku,
Przed wielu, *szczęścia* zámknięta *Insuła*,
Kto iey nie umiał szánować dla zbytku,
Gdzie komu dobrze, polepszenia szuka,
Pomyślność głucha, choć do iey wrot puka.

ADOLF zwierciadłem, co po świecie krążył,
Miał piękną żonę, w dostátku po uszy
Brodził, przecię on do Terminu dążył,
Sam *Czasu* szukał, ktory go w punkt skruszy,
Y nam toż będzie, co dowodnie wiemy,
Ze się dla *Czasu* ná ten świat rodziemy.

OPISANIE
Czterech Części Roku.

BOgdayżeś przepadł w piekło z *Atheistą*,
Ty ktory mowisz: że BOG nie iest Panem,
Ni Stworcą rzeczy; á ktoż oczywistą
Máchinę świáta, oblał Oceanem,
Kto Słońce, Miesiąc, Planety w swym biegu,
Kommenderowáł, kto Gwiazdy w szeregu?
Powiedz kto Słońcu wschod ránny náznaczył,
Kto czas wieczorny w Záchodzie zámierzył,
Kto Xiężyc pełny w części przeinácził,
Kto osiom mile gwiazdecznym wymierzył,
Kto mleczną drogę, kto czystą Jutrzenkę,
Kto w Swietną przybrał, Firmament Sukienkę.

Kto

Kto w ślicznych cieniach málowaną wſtęgę,
Kſztáłtnie rozwinął, rozpoſtarł w Obłoku,
Kto w niey wpotopie záwiązał przyſięgę,
Kto ią przymierzem prezentuie oku,
Kto iey wodniſte humory poruſza,
Spytać ſię oto trzeba Atheuſza.
Kto mgły w ſubtelney przez śita wilgoci,
Przesiwać kazał, kto krepliſtę roſy,
Podzielił w grána, iák ſłodkie łákoći,
Wſzák te obiedwie ziedney płyną Foſy,
Kto im dał rożność choć ſię rázem rodzą,
Roſy ożywią, mgły częſto záſzkodzą.
Kto ná powietrzu podſtęplował chmury,
Wgrubych báłwanach, pełnych dzdzu y śniegu,
Kto z lodow twarde ukował mármury,
Kto byſtrym rzekom kurs tamuie w biegu, (pie,
Kto z iedney mátnie deſzcz wraz z śniegiem ſy-
Pytam ſię Ciebie Mądry *Aryſtypie.*
Ktoryſz Monarcha windował armaty,
Z kulami z prochy w Obłoki wiſzące,
Bomby, Kartacze, ogniſte gránaty,
Z zimnemi grády pioruny gorące,
Ktoś ten cud śwjáta wyſtawił koſztownie,
Mieć ná powietrzu Cekhauze Prochownie.

Choć mi wiek dáwny *Nemroda* przypomni,
Ktory wyſtáwił pyſzne Piramidy,
Niech miliony wyſypane wſpomni,
Tylko dla guſtu ſwey *Semiramidy*,
Coż gdy ogrody, knieyki, y ſadzáwki,
Wnet ſpádły, bo też były dla zábawki.
BOG zaś od wiekow niemaiąc początku,
Dopieroż końca, z ktorym wſzyſtko ginie,
Co poſtánowił w Wſzechmocnym porządku,
Nic nieupádło w Niebieſkiey Machinie,
Toż Słońce, Xiężyc, Gwiazdy w biegu rządnym,
Dopiero koniec wezmą ná dniu Sądnym.
A ták cokolwiek naſz rozum dyktuie,
Co oko widzi, co zmyſły przywodzą,
To nás do więkſzey wiáry animuie:
Ze wſzytkie rzeczy od tego pochodzą,
Co świat, co Niebo, Ziemie, Kreatury
Stworzył, ten pewnym dáwcą ieſt nátury.
Ciebie uczony *Aryſtotelesie*,
Niemyślę w moiey naśladować prácy,
Zal mi że *Euryp* iuż cię ná dno nieſie,
Wolę to umieć, co umieią tacy,
Niż z Filozofem tonąć przy uporze,
A potym z głupim wiedney chodzić ſworze,

Ani

Ani ſię myślę topić ztey przyczyny,
Zábrnąwſzy ná wart kręcącey ſię wody,
Dość wierzyć: że BOG Stworca ieſt Jedyny,
Wſzák nieźliczone pokâzał dowody;
Nieſłuſznieſz BOGA uznać Stworcą rzeki,
Niż na Jey zgubne rzucać ſię opieki.
Rzeczeſz bluźnierco! że nátura ſama,
Y ziemia Mátką wſzelkich rzeczy zgoła,
Ze ta zrodziła EWĘ y ADAMA.
Przeklętyś w zdániu bez wſtydu bez czoła,
Pokaż Autora, z kąd nátura wyſzła,
Zá czyią wolą y rozkázem przyſzła.
A tyś znać ſtworzon z piekielnych wáporow,
Z ſiarki, z ſáletry, z dziekćiu, y ze ſmoły;
Gdzie ſię obrociſz, tam pełno ſetorow,
Przez co, przed tobą zámknięte Kościoły,
Wſzyſcy przyznaią głoſem iednoſtáynem,
Ześ ſię powinien zwać czártowym łaynem.
A zaſz BOG w tobie, ſamym niecudowny?
Przewrotny Zdráyco, gruby heretyku!
Dáwſzy ći rozum bydlętom nierowny,
Kſztałt ciała, wolność, nie wyieſz ná łyku,
Dał wieczną Duſzę, dał Imie Człowieka,
Niewdzięczne Dzieło! od Stworcy ucieka.

Po-

Powiedźcie czáſy, kto wami kieruie?
Z kąd regularność ſwoich biegow macie?
Kto práwodawca waſz, kto wam panuie?
Komu poſłuſzny hołd co Rok dáwacie?
Kto wiosnę, láto, jesień, zimę oddał?
Pod wáſze rządy y poddaństwo poddał?
Powiedźcie głośno, niech ſłyſzy świat cáły!
Ze BOG wáſz Stworca wrzeczy oczywiſtey,
Ze Niebo, Ziemie, Słowa Jego dáły,
Zámknijcież gębę *Hidrze* ſiedmiołbiſtey,
Zeby przeſtáła więcey o tym brydzić,
Czego ſię będzie wpiekle wiecznie wſtydzić.
Ja w rowność z żadnym uczonym nie wchodzę,
Boiąć ſię porwać ná ſłońce z motyką,
Po niſkiey Ziemi nie po Niebie chodzę,
Ni ſię pochwálić, ztą mogę Práktyką,
Zebym wiedziała czego dowcip chciwy,
Z Aſtrologiczney doyrzy Perſpektywy?
Doſyć tu będzie ná moy rozum podły,
Nie potrafiwſzy Gwiazd ná Niebie zliczyć,
Przynáymniey w lesie Dęby, Soſny, Jodły
Ráchować, w tey ſię Artmetyce ćwiczyć;
A co ná Ziemi BOG dał widzieć oku,
Chwálić go zácznę, wczterech częściach Roku.
Pier-

Pierwßa część Roku Wiosna, wydaiącą się w dziecinnym y niewinnym wieku.

O! Złoty wieku wpostaći dziecinney,
Wiosno wesoła, toć się pięknie śmieiesz,
Wszystko twey uydzie płochości niewinney,
Czy chłodem dmuchasz, czyli ciepłem grzeiesz,
Wolnoć iák dziecku dla swoiey zábawki,
Dziś urodzone strászyć śniegiem trâwki.
Przecie choć strászysz, nieuczynisz szkody,
Ni skrzepłym zimnem, ni przykrym gorącem,
Przyiemna pora, czas miły, czas młody,
Ma swą umowę zpowietrzem y słońcem,
Wie kiedy zágrzać, wie kiedy ochłodzić,
Ma sposob stárość orzeźwić, ódmłodzić.
Ty okowáną y ściśnioną ziemię,
Od tęgich mrozow uwálniasz zniewoli,
Ják Corka Mátki kochaiąca plemie,
Káydany zimne rozpuszcza powoli,
Potym zaś bliższym ogniem gdy dosadzi,
Z lodowey wieże więźnia wyprowadzi.
A po Tyrańskiey zimowey opiece,
Pozwálasz ziemi odetchnąć swobodnie'

Tá otworzywſzy ciepłych Duchow piece,
Zkościáłe role rozwolnia wygodnie,
Im częſte tchnienia z uſt ſwych rozpościera,
Wſzyſtko ſię rodzi á nic nieumiera.
Choć ſię záſępiſz, choć płaczem rozkwiliſz,
Nieprzykro pátrzać ná twoie grymaſy,
Sprágnioną Mátkę ſwemi łzy posiliſz,
Ucieſzyſz pola, łąki, kwiáty, laſy,
Ty wſzem żywiołom pożytek przynosiſz,
Gdy perłowemi wody częſto rosiſz.
Ty ſzczodrą zwać ſię możeſz Monarchinią,
Ktora co rocznie bárwy wſzyſtkim daieſz,
Czego Ceſarze, Krolowie, nieczynią,
Tyś chętna w dátku, nikogo niełaieſz,
Ty wieſz co komu zá Kwártał należy,
Nikt o zápłatę z Supliką niebieży.
Zielone láſy w cieniach rozmaitych,
Zpięknych kolorow liberye maią,
Jnſze ná brzozach, inſze w Gaiach krytych,
Jnſze ná drzewkach niſkich guſt wydaią,
Jnſze ná Buku, Grábinie, y Sośnie,
Jnſze ná Dębie, ktory ſto lát rośnie.
Jnſząś zieloność łąkom náznaczyła,
Jedwábne tráwy dáwſzy im zá płaſzcze,

Sliczne-

Slicznemi kwiátki iák cácko upſtrzyła,
Z temi ſię *Zefir* báwiąc ſkrzydłem głaſzcze,
Te też wzaiemnie iák z dzieckiem igraią,
Jedne ſię wznoſzą, á drugie zniżaią.
Dopieroż kwiatom, ziołom Ogrodowym,
Obácz iák piękne ſpráwiła ſukienki,
Trudno opiſać, ni *Appelleſowym*
Pędzlem malować ich kolorow wdzięki,
Niech ſię Páryſkich Fabryk, materya
Wſtydzi, Wenecki iedwab w kłąbek zwiia.
Ktoryż Krol, Xiąże, Senátor bogáty,
Co dzień ſię ſtroi wpurpurową Togę?
Odmienia rożne ná Feſtyny ſzáty,
Podleyſzych znowu zażywa ná drogę,
Kwiáty ogrodne przy codzienney gali,
W Purpurze chodzą w tey co ią ráz wdziali.
Cieſzyć ſię Flora, że piękne Partery,
Pod Jey dozorem wſzyſtkich wábią oczy,
Chodząc po między gázony kwátery,
Każdy kwiat zpączka ledwo niewyſkoczy,
Do ſwey Bogini, y iák Słońce błyśnie,
Ten ſię do ręki, ow do pierſi ćiśnie,
Ptáſząt rożlicznych głoſy ſłychać w Gaiach,
Te gniazdo ścielą, te mieyſca ſzukaią,

Te iuż ſpokoyne, co ſiedzą ná Jaiach,
Te zaś choć ślepe z Domkow wyglądaią,
Temu miod niesie, muſzkę, temu mrowkę,
To pyſzczkiem prosi, to náchyla głowkę.
Zádne prożnować niechce w czásie drogim,
Każde ſię ſtára mieć z piſkląt pociechę,
Choć tego tuzin ieſt w Domku ubogim,
Przecie ich bronią Sowom nosić w ſtrzechę,
Kukułka prágnąc potomſtwa, co robi?
Zprzymuſem Mamkę dzieciom przyſpoſobi.
Tu ſłowik wdzięczne przemiany w ſwym głosie,
Poſyła Echu, ktore chętnie niesie,
Przyiemny koncert porankowey rosie,
Słychać go w Łozach ſłychać wciemnym lesie,
A gdzie ſtrumyczek ſzemrząc płynie wąſki,
Pleszcze ſkrzydełka ſkoczywſzy z gáłąſki.
W láſach cieniſtych, w Puſzczach, Knieiach, Borże,
Słychać Ryk zwierząt, ſzeleſt ſzybkich biegow,
Ják ſkoro z świtem wſtáną iaſne zorze,
Co żywo z ſwoich ruſza ſię noclegow,
Záſpać niemyśli żadne powinności,
Oddać náturze przypłodek z miłości.
W krotce z ukrytych łożyſk wiodą młodzież,
Łánie Jelonki, á Sarny Koźlęta,

Nic

Nic ſię nie troſzczą Mátki o ich odziesż,
  Lwica wpułnagie prowádzi ſzczenięta,
    Każde ſię chlubi z przymnożenia rodu,
    Wiernie pilnuiąc wydanego płodu,
Gádzin podziemnych z okropnego lochu,
  Dobytych mnoſtwo, w rożności poſturach,
Uyrzyſz robáctwo gminami iák prochu,
  Wodmienne centki ſkropione po ſkurach,
    Tu wąż chcąc pozbyć przeſzło-roczney ſuknie,
    Zbolem ią zrzuca, w nowey ſię wyſmuknie.
Goſpodárz pilny w zasiewie zimowym,
  Z niecierpliwością upátruie świtku,
Wybiega w pole chce wzrok cieſzyć, owym
  Zyſkiem, co w ziemie ſchował do pożytku,
    Zniemylną wrożką prowizya chodzi,
    Ze mu ſiedm ziarnek ſto kłoſow urodzi;
Uważa ieśli posiane pſzenice,
  Beſpiecznie ſwoie rozścielaią brody,
Zágon niebrozdzi, z brodą o gránice,
  Bo iuż to ſobie wymowili wprzody,
    Aby gdzie tylko golizna ſię ziawi,
    Tam brodą, wąſem, czupryną záſtawi.
Z ſadow, gdzie ſczepiem ulice ſadzone,
  Nádzieia Fruktow wieść daie obfitych,

Gdy nie tylko te, co pilnie ſtrzeżone,
Lecz z leśnych będzie zyſk w drzewach okrytych,
Z tey formy wiedzie kwiat natura członka,
Ták pigwa rodzi, iáko leśna płonka.
Ták z dzikich pniakow látorośl wynika,
Tymże gościncem ná świat ſię dobywa,
Jáko ta z ſzczepow wproſt ſwoy rod wytyka,
Szczepione zrázu częſto roſną z krzywa,
Częſto z chropawych, niekrzeſanych, klocow
Doczeka chłopek rzęsiſtych owocow.
Nimfa Pomona, ktora ſadom ſprzyia,
Drzewa rodzáyne ma oddane ſobie,
Z krzywym ſię noſem iák *Cyga* uwiia,
Te z wilkow ſtruże, z tych mchy siwe ſkrobie,
Nic tu po ſuchym ſękowatym drewnie,
Młodych y głádkich trzeba tey Krolewnie.
Wioſna tu Pánią, Wioſna czáſem włádnie,
Młodość tu ſama mieſzka w żywey porze,
Mieyſca tu niema śmierć, co ſtárych kradnie,
Nikt tu w żałobnym nie chodzi kolorze,
Co dzień, co moment, ná złość *Lybityny*,
Wenus z *Lucyną* zápraſzaią w Chrzciny.
Już wſzelki żywioł, Człowiek, Pták, zwierz, Ryba,
Kontent z wioſenney, miłey, ciepłey chwili,

Już inſpekt niedba gdy go grzeie ſzyba,
Y że się w krotce przymuſzon wysili,
Jeśli pomocy nie będzie od láta,
Zginie kwiat, ſtrączek, ogurek, ſałáta, (nach
Wſzechmocny w ſłowie, wſzechmocnieyſzy w Czy-
W Niebieſkim Domu Goſpodarz przezorny,
Myśląc o ludziach, bráctwie Ryb, zwierzynach,
Złożył Rok z czterech części zgodny, sforny,
By Wioſna Látu, Jesień zimie, były
Powolne, á Tym Stworzeniom ſłużyły.

Część Druga, Lato.

KOńczy czás Wioſnę, nieuchybi kroku,
Poſłuſzny Włodárz Wielorządcy ſwemu,
Wie; że Pan biegły; ma wſzyſtko ná oku,
Cokolwiek czyni, ciągnie ku dobremu,
Oko opátrzne, wdzięczności nas uczy,
Nie tylko konia, lecz cáły świat tuczy.
Czás ieſt poddány pod Pańſkie rozkázy,
W punkcie uſtąmpi pola, z Wioſną Látu,
Każe malować *Cerery* Obrázy
W wieńcu, z żytnego y pſzennego kwiátu,
Sierp w ręce práwey, w lewey Snop piaſtuie,
Pod nogą koſa z grábiami czátuie.

Drugi

Drugi wprowádza Obraz *Faetona*,
A ten ſwe coraz zácina woźniki,
Pędząc ku Gorze gdzie droga wiadoma,
Pilnuie leycow, y toru Lektyki,
Sam w złotey ſzácie, ſtroyny ſtáromodnie,
Nád głową promień, á w ręce pochodnie.
Ják prędko owi záwitali Goście,
A z niemi *Auſter*, ſkoro ciepłem chuchnie,
Wſzyſtko ſię z ziemie dobywa y roście,
Zgłodniały Tułacz iuż nieſzuka kuchnie,
Gdyż w laſach, polach, gdzie nogę powlecze,
Wſzędzie ſię ſmaży, gotuie, y piecze.
W Borach poziumki, czernice, maliny,
Ubogą, w Bárwę okrywaią Ziemię ,
Grzyb, Szmarz, Rydz, Maśluch oddaią dániny,
Ze Jey wnętrzności nosiły ich Brzemie,
Wdzięczność wrodzona ſpolną czyni ſkłádkę,
Upſtrzyc, połátać, odziać gołą Mátkę.
Tráwy z kwiatami, koſy gołą płytkie,
Jeſzcze ią coraz oſtrzą twárdym głázem,
Zeby pościnać, lub niewinnie wſzytkie,
Mártwe ná placu położyć zárazem,
Y iuż ná zwiędłe, choć bezzębney babie,
Pożyczą zębow ſwoich twárde grábie.

Zboża rożnego nieprzcyrzáne Niwy
Febus z pochodnią obchodzi do koła,
Co raz im zbliżać każe pod ſierp krzywy,
Lud poſpolity do roboty woła,
By jęczmień z kłoſem nieopadł przez ſuſzą,
Gdy mu ſię wąſy, iuż przeſtáłe kruſzą.
Tylko co wyſzedł ten Mandat od Thronu,
Co żywo biegnie iák woyſko ná czátę,
Każde ſię ſchyli do ſwego zágonu,
Mátka podeprze drągiem z dziećmi chatę,
Tę co przy pierſi mizerną dziecinę
Bierze ná plecy, związawſzy w płáchcinę.
Gdzie okiem rzuciſz pełne pola ludzi,
Y niby mrowki, ſam to tam, biegaią,
Niech ich ta práca nie gnębi, nie trudzi
Chociaſz ſię przy niey kiedy nápiiaią,
Oprocz że z tych dwoch Woyt czy Podſtároſta
Grzbiet leniwemu korbáczem ochłoſta.
Cieſzy czás żniwa ubogiego chłopka,
Niedba że ſłońce piecze go y ſmaży,
Co raz podnosi związánego ſnopka,
Probuiąc ieźli cięſzki, wiele waży,
Z kąd ma prognoſtyk opátrzności Nieba
Że z żoną dziećmi dość będzie miał chleba.

Już śię też śierpy, kośy przytępiły
Już tylko ściernia ſtoią ná kſztáłt ſzczeći,
Ledwieby młodą kuropátwę ſkryły,
Przepiorkę widać gdzie pádnie, z kąd leci,
Chrośćiel umyka chyłkiem zdięty ſtráchem,
Boiąc śię zdrády pod ſłomianym dáchem.
Widać zdáleka károcę złociſtą
Bláſkiem ſłonecznym otoczoną w koło,
Czy sferę, czyli kometę ogniſtą,
Lwy Affrykańſkie prowádzą weſoło,
Trząſaiąc grzywy znák daią pokoju,
Ze Pánią chleba wiożą á nie boju.
Spuſzczaią co raz tę Machinę bliżey
Z iaſnych Obłokow, iuż ku zięmi mierzy,
Y gdy iuż ſtánąć niepotrafi niżey,
Kilką Piorunow *Jupiter* uderzy,
Jle zaś rázy zágrzmi ile błyśnie
Tyle Rac z ſwego *Arſenału* ciśnie.
Lud przeſtraſzony będąc w tákim huku
Ják zwierz pierzchliwy od Strzelby ucieka,
Jeden rozumie że wziął ſtrzáłę z łuku
Drugi rátunku ogłuſzony czeka,
Trzeci iakby go wyprowádził z łaźni,
Spotniał do nitki od dzdzu, czy z boiaźni.

Skoro

Skoro ta burza uſtąpi z háłaſem,
Firmament kolor Száfierowy bierze
Bogini złotym przepaſana paſem
Pod Báldachynem siedzi w piękney cerze,
W kłosianym więńcu Niebieſkiey roboty,
Promięń Jey wſzędzie aſsyſtuie złoty.
Wrowninach woz ſwoy Tryumfalny ſtáwia
Gdzie nieźliczone ſnopkow woyſka ſtoią,
Rzecze łágodnie niech ſię nie obáwia
Nikt, żem tu z grzmotem y światłością ſwoią
Przyſzła, gdyż Bogom náleży Dziedzicznie
Z Nieba ná zięmie chodzić pompatycznie.
Chlebodáwczyną ieſtem wáſzey nędzy,
Miłość mię ná świat przeciw wam przywiodła
Nie dla chćiwości zebrania pieniędzy,
Lecz by was bieda z Domow niewybodła,
Prácom Rąk Wáſzych Náywyżſzy poſzczęści
Gdy go będziecie z ſerca chwálić części.
A teraz ſnopow pełne pola roty
Znoście co prędzey gromadzcie w dzieſiątki,
Z nich układaiąc pod liczbą námioty,
Dla záchowania Praw Boſkich pámiątki,
By ta co jemu náleży Dánina,
Z chęcią oddàna od was Dziesięcina.

To mowiąc Obłok modry na kſztałt tęczy,
Okrył Boginią y iuż z oczu niknie
Gmin to poſtrzegſzy płácze, woła, ięczy
Kto tylko może iák náygłośniey krzyknie,
Zmiłuy ſię Páni, niechciey nas ták ſmucić,
Byś ſię niemiała zá Rok znowu wrocić.

Część Trzecia, Iesień.

KIedy iuż ſwoię powinność odbyło,
Kocháne Láto już zdaie komęnde
Co przez ſzeſnaście Niedziel zárobiło,
Puſzcza Jesieni, Intráty Arendę
A to kontráktem ſobie obwáruie,
Ze w Rok tęſz ſamę, niemylnie zluzuie.
Czeka Poddańſtwo Dzierzáwczyny nowey,
Ciekawi wiedzieć komu ich podáno
Krolowi ſłużyć, będziem czy Krolowey
Czy ná pańſzczyznę chodzić każą ráno,
Ktoſzkolwiek taki, Pána trzeba ſłuchać (chać.
Czy drzwiámi ſkrzypać, czy wprożny wor dmu-
Przeſtáną mowić, kiedy Pánna mężna
Wchodzi, ná ktorey wſzyſcy pátrzą przyście,
Wſpániałey miny Bogini czy Xiężna
Głowę jey winne opáſało liście,

Koſz Fruktow nieſie rożnego rodzaiu,
Grona wiſzące trzyma w ſzáty kraju.
Rzecze, chcecieli wiedzieć moie Imię,
Jesienią jeſtem przychodzę z przeſtrogą,
Byś cie gotowi byli przeciw zimie,
Wſzák wiecie że ieſt oppreſsorką ſrogą,
Fráſzka Káłmucy, Kozáki, Tátary,
Ják ta wyprzątnie ze Stodoł obſzáry.
Więc moiey rády poſłuchay co żywo,
Skłádaycie wozy, zaiezdżaycie w pola,
Gdyście ſzczęśliwie zákończyli żniwo,
Zábierzcie zboźa, niech zoſtánie rola,
Zkolącem oſtem, w krzákach głogi, tárki,
Zoſtáwcie przecię dla przyſzłey ſzáfarki.
Ná koniec wino z winnic, frukta z ſadow,
Járzyny proſte, włoſzczyzny z kwiatami,
Sprzątnąć z Ogrodow, oddać ie do ſkłádow,
Drzewa poznosić, pochowáć, z ważami,
Do Sklepow, Piwnic, do Pomarańczarnie,
Niech wſzytko śpieſzy,niech ſię hurmem gárnie.
Z niecierpliwością czeka ludzi mnoſtwo,
Końca przeſtrogi Jesieni przezorney,
Każdemu chodzi o ſwoie uboſtwo,
Pádną jey do Nog w poſturze pokorney,

Dziękuiąc jáko dobrey Matce Dzieci,
Każdy do Domu nie bieży lecz leci.
Ochotne chłopſtwo, ile gdy dla wziątku,
Nie potrzeba ich náganiać, przywodzić,
Pędzą bez ſzyku, y wſzego porządku,
Pod zwierzchność czyię, áni myślą wchodzić,
Pan ſobie każdy, kiedy wolność dána,
Zábierá w mędlach zboże, w kopach siana.
Wlot ná Obozy *Cerery* uderzą,
Pſuią námioty, zewſząd attakuią,
Oſtremi widły ztąd y owąd mierzą,
Poki do gruntu, ſzańcow niezruynuią,
Znáydzieſz tam Xiędza oraz z Bákałarzem,
Zámiaſt oręża chodzą z káłamarzem.
Ták wziąwſzy z pola zdobycze ładowne,
Uchodzą śpieſzno w otwárte ſtodoły,
Będzie dać z czego podátek, pogłowne,
Będzie ſię dzielić czym z żydem nápoły,
Szlachta korzenno jádać ma ochotę,
Gdy Wiſłą ſpuści, pełną zboża flotę.
Frukt wſzelki, ktory oſadzon ná Drzewie,
W czasie doyrzáły iuż nábył rumieńcu,
Ten zaś náyznaczniey, co záſzkodził Ewie,
Wſtydzi ſię jáko Páuna młoda w wieńcu,

Lub

Lub gdy kto kogo w tę y owę ſtronę,
Policzkiem zelżył, ták z sina czerwone.
Jákoż ma czego wſtydać ſię y płonąć,
Będąc do grzechu pierwſzego powodem,
Dla niego w piekle przyſzło wſzytkim tonąć,
Trucizną Węża, y śmiertelnym miodem,
Jábłko záprawne, więc Ciáłu y Duſzy,
Szkodzące, kto go zákazáne ruſzy.
Przeklęty owoc, y niedotykány,
W ktorym śmierć ſwoie mięſzkánie záwarła,
Czemu nie ADAM więcey ukárany,
Nád EWĘ, tylko ogryſkiem u gárła,
Wſzák ADAM tymże Szátańſkim zámachem.
Zwiedzion, dotknieniem, ſmákiem, y zápachem.
Niechże przynáymniey tę karę odniesie,
Jábłko by láda páſtuch, nim potrząſał,
Czy w ſadzie z ſzczepu, czyli z płonki w lesie,
Ogryzek rzucił, boki mu obkąſał,
Ktore ſpaść niechce, więc bez polityki,
Zażyć nań wolno kija, żerdzi, tyki.
Aleć nie tylko temu ſię doſtáło,
Co káry godne, wpádſzy w ręce grube,
Sliw juſz ná drzewie mało co zoſtáło,
EWY nieznáwſzy, trzęſą ich zá Kubę,
Niewin-

Niewinne gruſzki, y Włoſkie orzechy,
Zſtrzęśli, obili, á zá cudze grzechy.
Już ſię też otym Jesieni nieśniło,
Ni dołożono w jey Uniwerſale,
Co rozpuſzczone Poſpolſtwo zmyśliło,
Czy zbuntowane ſłuchać niechce wcále,
Poznáły gęsi co to być w rozruchu,
Gdy ie oſkubli z oſtátniego puchu.
Owce co winne? co ie wiożą gbury,
Z właſney ſukienki; oſtrzygą, obnażą,
Oſtre nożyce, doymuią do ſkury,
Jeſzcze im zá to cicho leżeć każą,
Głupie bydlątko uwolnienia prágnie,
Oddaie wełnę, ſkurę, młeko, jagnie.
Czy ták náleży Pſzczołki miodorodne,
Tráktować, ktore nieuczynią ſzkody,
Kwiatem z zioł żyią, jeżeli ſą głodne,
Trunku żadnego procz wody niepiią,
Zá coſz ich práce zábrać, porwać, burzyć,
Ná koniec z ciaſney cháłupki wykurzyć.
Mizerny robák ſłodkie robi pláſtry,
Sam kwiátkiem, ziołkiem, appetyt dobywa,
Kármi łákome żołądki hálaſtry,
Spoczynek jego párząca pokrzywa,

Kiedy

Kiedy Goſpodarz miod z pláſtrámi bierze,
Niech że woſk odda, ku Pańſkiey offierze.
Uczyć by nam ſię gnuśnym należało,
Od prácowitych pſzczoł cnot y pożytku,
Robiąc ná ſłodkie Niebo mártwić ciało,
Odpocząć ſkromnie bez wygody zbytku,
Cierpliwie znosić uboſtwo bol, troſki,
Stánie zá światło przed BOGIEM zá woſki.
Ná gorach winnych, gdzie niedoyrzeć wierzchu,
Tam ludzie ná kſztałt koz dzikich po Tátrach,
Skáczą, biegaią, do ſamego zmierzchu,
Ná przykrym zimnie y ná oſtrych wiatrach,
Grona zrzynaiąc cieſzą ſię nádzieią,
Ze choć poziębną, wina ich rozgrzeią.
Noſzą ná grzbiecie nápełnione koſze,
Wrzucaią w kádzie dorodne jágody,
Zwiędłe zaś w práſy wſypuią potroſze,
Niewie chłop w ten czas czy ſię nápić wody,
Miawſzy wbrod wina, gdy go nogą tłoczy,
Kiedy chce gębę, wąſy, brodę moczy.
Szczęśliwe gory ſzczęśliwe winnice,
Z ktorych Pán Trunek obrał do wieczerzy,
Przeminił wino w krwie ſwoiey krynice,
Częſtuie wſzyſtkich kto tylko w to wierzy,

O! ſzczodry Pánie ná coż krew twą łepce,
Ten coś go uczcił, on cię nogą depce.
O! zácny trunku ſzánowania godny,
Ráczey nie trunkiem lecz cię zwać lekárſtwem,
Bo kto ná ciele chory, w duſzy głodny,
Uleczy, kto ſię nie báwi obżarſtwem,
Obrzydź łákome guſta w twym nápoiu,
Gdy w nim niepráwość czerpaią iák w zdroju.
Już prożne pola, ogrody winnice,
Już brać niemaſz co, puſtki iák po woynie,
Ale też pełne ſtodoły, piwnice,
BOG niechay tego da zażyć ſpokoynie,
Stworzeniu ſwemu, ktorym ſię opieka,
Zá to wdzięczności od nas wſzyſtkich czeka.

Część Czwarta, Zima.

OKropna Zimo dzika, nieużyta,
Nikt ſię z twoiego przybycia nie cieſzy,
Każdy cię ſrogą macochą przywita,
Ani otworzyć Brámy niepoſpieſzy,
Y owſzem Gumno, Spichlerz, ogrod z zielem,
Zámkną jákoby przed nieprzyiacielem.
Názwą cię ſkąpą, łákomą, obżartą,
Spytaią czemuś bláda, ſtára, krzywa,

Ten z wſzelkich ozdob obráną, obdártą,
Ná cieple ſchodzi, ná zimnie nie zbywa,
Komin ci Oycem, Faierká zaś Mátką,
Kożuch dobrodziey, a zapiecek chátką.
Názwą cię ieſzcze owym chudem wołem,
Ktorego we śnie *Farao* obáczył,
Ten ſiedm ziadł tłuſtych y z rogámi ſpołem,
Przecię tłuſtości nikt ná nim nie báczył,
Toż ſamo znáczą owe nikłe kłoſy,
Ze zbożem náwet poiadły ſtokłoſy.
Rzeką po cożeś prożniaczko nikczemna,
Do nas tráfiła zwytráwionym brzuchem,
Co Wioſna, Láto, y Jesień przyiemna,
Przyſpoſobiły doſłyſzałaś uchem,
Więc iák furya przychodziſz z háłaſem,
Z cepem, siekierą, poſtronkiem zá páſem.
Przychodziſz zworem prożnym ná boiſko,
Nic nieprzyniesieſz, ráczey brać maſz wolą,
Zmiotłą ſię tylko uwiiaſz á rzeſko,
Snopki cię w oczy w pełnych brogach kolą,
Gdzieś była kiedy robiono zasiewy ?
Gotowe zboża gárnieſz, zmiataſz plewy
Nie z ludźmi tobie bydź ále w jáſkini,
Czyli ná puſzczy gdzie mięſzka zwierz dziki,

Niech by cię *Alpes* w ſwey zámknęły ſkrzyni,
Byśmy nieználi tákiey Dobrodzieyki,
Siedź w Antypodach z leśnymi *Satyry*,
Unas dla ſiebie, nieznáydzieſz kwátiry.
Już mi cię też żal miła ſtára Páni,
Słyſząc ták grube z tobą przywitanie,
Każdy przezywa, to łaie, to gáni,
Wymawia obiad, wieczerzą, śniadanie,
Jeſzcze nikt dotąd niedał chleba kromki,
Przecie ráchuią ſkrzyny y ułomki.
Niech że cię kto chce, iák kto chce tráktuie,
Já tobie ſama pochwáły przypiſzę,
Co ſię dobrego w twych Sądach znáyduie,
Wyiawię, y tych ſzemrzących uciſzę,
Ty mnie zá prácą to daſz w upominku,
Zebyś mi co dzień páliła w kominku.
Zimo poważna bo w doyrzáłym wieku,
Przychodziſz do nas z roſtropnym porządkiem,
Czego młodemu niedoſtaie człeku,
Popráwiſz Error Sędziwym rozſądkiem,
Kto ſię przez láto, w láſach, w polach włuczył,
Twoy go rząd w Domu prácować przyuczył.
W puſtkiby poſzły Wśi, Miáſta, y Zámki,
Gdy by ſię twoiey niebano wizyty,

Okien

Okien, ni piecow náwet do drzwi klámki,
Nikt by nie zrobił, ſtáł by Dom odkryty,
Chłop w láda budzie podpartey ożogiem,
Byle noc przebył, choć nogi zá progiem.
Ty w ſwym dozorze maiąc oziminy,
Wſzelką chceſz dla nich wygodę uczynić,
Zczyſtych ie puchow okrywaſz pierzyny,
By cię niemiała Wioſna, z czego winic,
Ześ pomroziła wſchodzące nasiona,
Więc z śniegow miętkich, nie widać zágona.
Ty w láſach piekne piramidy ſtáwaſz,
Po drzewach, pniakach cukry lodowate,
Niemi jádących oczy záſtanawiaſz,
Pátrząc ná brzozy, ná świerki brodate,
Ktore ſię pyſznią iáko drogim ſprzętem,
Gdyś ie oſuła ſzklącym dyamentem.
Ty przez ſwe mrozy wilgotne humory,
Wyciągaſz, tráwiſz, z kąd zdrowe powietrze,
Z ziemnego lochu ſzkodliwe wápory,
Twoia moc ſuſzy y w iedno iezetrze,
Rzeźwość ſię w ludziach ocięża łych mnoży,
Kto butow niema kożucha niewłoży.
Skrácam pochwáłę oſtátni wierſz kończę,
Boiąc ſię káry od tych co gościowi,

W deſzcz pożyczaią z ochotą opończę,
Drogę pokázać rozkażą ſtrożowi,
Toć y Ja zimie ná wcześne noclegi,
Jádącey w Moſkwę pożycze telegi,
Com Wiośnie, Látu, Jesięni, y Zimie,
Przyznáła, tyś ieſt początkiem y końcem.
Tych rzeczy, niech że chwálę y twe Imię
Y to cokolwiek Stworzyłeś pod Słońcem
Tyś BOG tyś Rządca tyś Dáwca nátury,
Znać cię powinny mądre kreatury.
Já proch nog twoich, ſercem, uſty, myślą,
Wierzę wyznáwam to, wcoś wierzyć kázał.
Przeklęte głowy ktore fałſze kryślą,
Y ten co język bluźnierſtwem ſwym zmázał,
Uymuiąc BOGU czći, to go, też czeka.
Ze wpiekle iák pies twoy honor odſzczeka.



OPISANIE

Czterech Elementow ſzkodliwych y pożytecznych Ziemie, Wody, Ognia, y Powietrza.

Ná Element Ziemie.

ZIemio kochána Mátko wſzech żywiołow,
Coś ſię podáła do Rąk Stworcy ſama,
Wcáłym káwałku, nie zmiałkich popiołow,
Ná ulepienie pierwſzego ADAMA,
Ten że ſám ſiebie, y ciebie w proch ſkruſzył,
Gdy zákazane drzewo z EWĄ ruſzył.
Pierwſzą niewdzięczność maſz zá ſwoie żyto,
Ześ ná Człowieka, udzieliła gliny,
Słowem cie náwſkroś iák grotem przebito,
Po uczynioney od BOGA machiny,
Kiedyć rzeczono: przeklętaś po proſtu,
Mátką ſię ſtánieſz ciernia, głogu, oſtu.
Cożeś ty winna, że ADAM z tey Maſsy,
Wziąwſzy kſztáłt ciáła wdoſkonáłych członkach,
Pozbył nádaney niewinności Kraſsy,
Chćiwy apetyt záprawił ná płonkach,
Wąż, EWA, ADAM frukt ſobie podaią,
Oni go iedli, ciebie przeklinaią.

Ale

Aleś że drzewo ty zrodziła wprzody,
Ná ktorym iabłko powiesiłaś cudne,
Jákieś w nim słodkie záſzczepiwſzy miody,
Zwierzchu guſtowne á wewnątrz obłudne,
Z ciebie wyrosła przyczyna do grzechu,
EWIE do płáczu, czártowi do śmiechu.
Słuſzną wás kárą BOG okryślił obie,
Tey rodzić kázał potomſtwo w boleści,
Zaś żeby wſzyſcy deptali po Tobie,
Każdy cie trąći, á nikt niepopieści,
ADAM złorzeczy pot w prácy wyciſka,
Dla mizernego z twych iábłek ogryſka.
Mnieyſza to EWIE rodzić że ią boli,
Mnieyſza prácować ADAMOWI w pocie,
Samo chcąc, ſwoiey dogádzali woli,
Roſkoſz odięła myśl ich o kłopocie,
To rzecz náywiękſza gdy práwie w dnia ćwierći,
Milionowych nápłodziła śmierći.
Przeto żeś Ziemio grzech zrodziła w drzewie,
Ześ frukt łákomy wydáła ku zdrádzie,
Zá to BOG kázał ADAMOWI, EWIE,
Po śmierći kości mieć w Tobie ná ſkłádzie,
Aby z kąd wyſzły, tam ſię powroćiły,
Zá káwał gliny, popioł odnosiły.

Y ták

Y ták zá iednę bryłkę coś ią dała,
Doſkonałemu Ganczarzowi w pálce,
O! iákoś wielkie iuż lichwy pobráła,
Z każdego gárka ſtłuczone káwalce,
A nawet drobne ſkorupki y prochy,
Pożeraſz práwem łákomey mácochy.
Cokolwiek z ſwoich wnętrzności wyrzuciſz,
Toż ſamo grábiſz, iák w otchłań połykaſz,
Zrána ucieſzyſz, z południa záſmuciſz,
Dziś kwiat rozwiły, dziś go w pączek zmykaſz,
Te zaś co zwiędłe, co z liścia opádły,
Ná twoim gruncie, zoſtáły, osiadły.
Z kąd rodzáy ludzki do zemſty ſpoſobny,
Wziął przeciw Ziemi, złość rázęm z náturą,
Będąc do Stworcy Obrázem podobny,
Smierć mu tę piękność kryie pod iey ſkorą,
Niedość to człeka z honorem, z Imieniem,
Pogrześć, ieſzcze go przywálić kámieniem.
Teraz ći każdy, zá ſwoie oddaie,
Kilkakroć w roku dotkliwie przewráca,
Grubym żelazem ciáło w ſkiby kraie,
Nieraz záwadzi, y żeber pomaca,
Ty chociaż ſarknieſz, choć zębami zgrzytnieſz,
Hák niedba, chyba, że mu końca przytnieſz.

Skoro zágonow nárzną, co potrzeba,
Nárzucą rożnych gátunkow nasieniem,
Grożno przykażą, dáway Mátko chleba,
Pogłaſzczą zá to gwożdziſtym grzebieniem,
Jákże nie wydaſz, tyle co chcą zboża,
Płytſzego ná cię poſzukaią noża.
Zrodziſzli żyto, pſzenicę iák trzćinę,
Wgęſtość, w wyſokość, w kłos dorodny, długi,
Przecię ná ciebie kmieć założy winę,
Ze nie głęboko doięły icy pługi,
Dzierzáwca rzecze, ná plenność łákomy,
Ziarna o male, á zaś nád to ſłomy.
Jeżeli niſkie, rzádkie, kłoſki drobne,
Znowu y to źlę, że nie będzie páſzy,
Dla bydląt, ſnopki nie będą ſpoſobne
Poſzyć ſtodołę, á tu zima ſtráſzy,
Zniwiarz ſię tylko ſápaniną báwi,
Z kilka zágonow pułkopek poſtáwi.
Dziwne do ziemi ludzie wády roſzczą,
To że zbyt tłuſta, to znowu zbyt chuda,
Gdzie glinka, Sapy, Mchy, tam głowy troſzczą,
Gdzie czerwonawa, gdzie iák Judaſz ruda,
Gdzie krzemieniſtą, y tam wynáyduią,
Przyganę, że ſię pługi ſzczerbiąc pſuią.

Ten ią motyką tępą z gory kopie,
Ow rydlem oſtrym do żywego ſtruże,
Oſtátnie licho przyść ná ręce chłopie,
Gdy rzecze trafię, choć oczy zàmrużę,
Czy to w rędzinę w cáleć wſztukę kruchą,
Ta cierpiąc, musi bydź ná wſzyſtko głuchą.
Ledwie ná wioſnę coć wyroſną włoſy,
Jużći Ogrodnik, grácą ią oſkrobie,
Nieſzuka brzytwy, áni krzywey koſy,
Ciebie to boli ále on ozdobie,
Dogádza ſwoim ulicom, niewierzy,
Zeby to miało dokuczyć mácierzy.
Rodzić ći każe bez czáſu w Inſpekcie,
Silić ſię musiſz, płod wydać gwáłtownie,
Zápomniał zły Syn o Mátki reſpekcie,
Upáłem Słońca ſpálił ią ná głownię,
Szklanych ſpoſobow niewdzięczność docíekła,
Zeby rodzącey, tym lepiey dopiekła.
Jeźli zbyt wcześnie wydaſz przymuſzona,
Liścia z kwiatami ná melon ogurek,
Mroz zwárzy wſzyſtko, zágubi nasiona,
Tobie Ogrodnik da bez liczby burek,
Przyczynę daiąc, żeś zimna od ſpodu,
Przeto donosić niepotrafiſz płodu.

A tak nikomu dogodzić niemożeſz,
Przychylna Mátko, choć ſię ſtáraſz oto,
Práwie każdego z ſwych ſkárbow wſpomożeſz,
Zá drogi metal, bierzeſz gnoie, błoto,
Ktore z rynſztokow, chlewow bydła, obor,
Wyrzucą, ták ći oddaiemy pobor.
Ale że Stworca BOG Ziemie, y EWY,
Choć ie ukárał, łaiał, poſukał,
Choć Ziemi kázał Mátką bydź koſtrzewy,
EWĘ do bolow w rodzeniu przynukał,
Przecię dał tyle, nádczym ſię świat dziwi,
Co EWA zrodzi, to Ziemia wyżywi.
O! Ziemio żyzna, dobra, urodzayna,
Niegniewayże się ná Syny, ná Corki,
Wieſz że to w dzieciach rzecz práwie zwyczayna,
Mieć między ſobą przy niezgodzie ſporki,
Jedno powiada czego ſnádno dociec,
Ze Mátka dobra, ále lepſzy Oćiec.
Drugi kontruie, y mowi: Bogdayże,
Matka dla dzieći nigdy nieumárła,
Jlekroć prosiſz: Matko chleba dayże,
Tyle iey ſzczodrość ręki niezáwarła,
Jle ſię dziecko zgłodniałe rozkwili,
Tyle kroć Mátka, piersią go posili.

Ja z temi trzymam dziećmi, co ogolnie,
Mátkę zá Mátkę ſłuſznie ukocháli,
Co ią bez krytyk czcą, ſzánuią, wſpolnie,
Wſzyſtko w niey dobre, a niezłe uználi,
Y mowią Mátko, Páni wielowładna,
Bez twey ſię łáſki, kreatura żadna.
Obeyść niemoże, Człowiek, zwierz, Pták, bydlę,
Y co ſię kolwiek żyiącego rucha,
Zniey pſzczoła znosi pożytek ná ſkrzydle,
Z niey metal żyie, z niey komar, z niey mucha,
Z niey czołgaiące robáctwa po dziurach,
Z niey Smoki w ſkáłach, Orły, Sępy, w gorach.
Z ciebie BOG Ziemio wybránemu ludu,
Obiecał oddać w záſługach nádgrody,
Nád tobą zażył Wſzechmocnego cudu,
Zebyś płynęła mlekami, y miody,
Błogosłáwioną zrządził cie wrodzeniu,
Byś kochánemu ieść dáła plemieniu.
W tobie, iák w ſkrzyni wſzelkie złożył ſkárby,
Kruſzce bogáte, kámienie koſztowne,
W dziwnych kolorach wzrok cieſzące farby,
Miedzie, żelaza, mosiądze luſtrowne,
Mágneſy, Stale, y śine Ołowie,
Kto minerály zna, niech o nich powie.

Ty ná ſwym łonie pieściſz winogrády,
Zeby wiatr oſtry nie dmuchnął z pułnocy,
Okwitłe w kwiaty maſz w opiece ſady,
Strzeżeſz z południa *Euruſowey* mocy,
Miękkich *Zefirow* ná pomoc zápraſzaſz,
Gdy ie od ſiebie lekko w gorę wznáſzaſz.
Wyſmukłe Cedry z ciebie wzroſt nieſkąpy,
Wzięły, ná gorze ſłáwnego libanu,
Z ktorych *Salomon* dla Kościoła pompy,
Ołtárz wyſtáwił, ku Ofiarom Pánu,
Więcey nád złoto ważył z Cedrow trzáſki,
Czy káwał krzywy, ocrągły, czy płáſki.
Ty láury rodziſz, co z nich wieńce wiią,
Ná znak zwycięſtwa po wygráney woynie,
Ná nich pioruny *Iowiſſa* nie biią,
Dąb w ſztuki ſkruſzon, Laur ſtoi ſpokoynie,
Prędzey wiatr ſoſnę wyniosłą obáli,
Ten niſko siedząc ſwoy pokoy ocáli.
Ktoż kordyalne zrodził Cynamony,
Jeźli nie Ziemia? Ktoż zápach przypráwił,
Balſamem drogim? Kto Włoſkie marony?
Y Bobek, co ſię z nim *Apollo* báwił,
Smaczne Daktyle poſzły ná wyścigi,
Czy im w ſłodyczy wyrownaią figi,

Alboż

Alboż Oliwne drzewa niepotrzebne,
Y Kościołowi y cáłemu światu,
Z nich gołębica przynioſła chwálebne,
Wrożki *Noému*, od BOGA tráktatu,
W czasie potopu roſzczkę nioſąc w dziubie,
Pokoy *Korabiu* ſprowádziłam tobie.
Kto chce wyliczyć włáſności, wiadomy
Ziemie rodzáyney, niech więcey nádemnie,
Opiſze, wielkie ponapełnia Tomy,
Wproſtocie moiey dosyć będzie zemnie,
Co názwać umiem, chociaż bez práktyki,
Z reſztą ſię boię, *Zoila* krytyki.
Ná czym záczęłam, ná tym kończyć myślę,
Ze Ziemia Mátką złych, y dobrych dzieći,
Po Transmaryny do Indyi nie wyślę,
Ryb nie doſtánę łowiąc po zá sieci,
To co wydaie Ziemia w mey Oyczyznie,
Ná tym ſię ręka z piorem niepoślíźnie.
Ná koniec pytać wſzyſtkich ſię odważę,
Co żyli, żyią, żyć do świata końca,
Będą, niech mi kto tákową pokaże,
Mátkę, pod wſchodem, y záchodem Słońca,
Ktora wydawſzy płod z ſwoich wnętrzności,
Przyimie go ná zad, z ſzczegulney miłości.

Samey to Ziemie Heroiczna cnota,
Zaśmierdziałego wziąść do ſiebie trupa,
W niey ta iedyney pánuie ochota,
Stać ſię mięſzkaniem bez duſznego ſłupa,
Tułaczem człowiek ubogim po zgonie,
Zyciá, choć ſłużył pieniężney mamonie.
Gdyby go Ziemia nieſchowáła w groby,
Leżał by Bogacz każdemu obrzydły,
Smierć od náymilſzey odraźi oſoby,
Z śmierćią affekta gorące oſtygły,
Ziemia łáſkawa zmárłym ſię nie brzydzi.
Lubo w oziębłym ciele ſzpetność widzi.
Przyimieyże, y mnie Mátko wſzyſtkich Mátek,
Kiedy od Duſzy oddzielona będę,
Choć do Regeſtru złych náleżę dziatek,
Przecię ná łonie twym niechay oſiędę,
Nie wyrzucay mnie chyba ná Sąd Boży,
Ná ktory każda junktura ſię złoży.

Ná Element Wody.

WOdo ſtworzona, czyſty Elemencie,
Wielką mi trudność nieuczoney czyniſz,
W niezgruntowanym oſadzaſz odmencie,
Chyba, że w pioro ſwych kropel przyczyniſz,

Bym

Bym doſtátecznie opiſać cię mogła,
Uproś *Neptuna*, żeby mnie wſpomogła.
Ość iego, ktorą od dna morze mąći,
Niechay tonącą Muzę wyrwie z toni,
Niechay nią myśli z głowy nie wytrąći,
Niech od wárczących Charybd ią obroni,
Niechay wiadomym wod weſprze Trydętem,
Kieruie ná los puſzczonym Okrętem.
Niech co nim gdzie chce, w wodach drogi porze,
Mnie mimo ſkopuł wykieruie z łodką,
Błądzącey, w nocy da obáczyć zorze,
Scyllom niech gęby pozámyka kłotką,
U pomyślnego kiedy ſtánę portu,
Neptunowego nie proſzę paſzportu.
Beſpieczniey w Domu z wodmi ſię pokłucę,
Niżeli z morzem ktore mruczy záraz,
Pierścień Wenecki do Wiſły niewrzucę,
Ta mnie w bezdenność niewprowádzi táraz,
Czy niepochwáły, czy nágany wleie,
Wybáczyć musi w czym ſię práwda dzieie.
Gdy wody *Nawę* Teatrum fatalnym
Wylania z gránic nád lądową miarę,
Kiedy w potopie świat uniwerſalnym,
Pływał, zá grzechy odbieraiąc kárę,

Trágiczne w rzekach ſłyſzeć było dumy,
Náycichſzy ſtrumyk brzmiące wywarł ſzumy,
O! iák żałoſną Scenę wyprawiły,
Niewidanemi báwiąc ſię igrzyſki,
Tyle Národow ná dno pogrążyły,
Niewinne dzieći pobráły z kołyſki,
Rzucáły falmi, práwie pod obłoki,
Olimp z Parnaſem zálały wyſoki,
Láda potoczek, ſtoiące Jezioro,
Stáwek, ſadzawka, krynica, lub źrodło,
Przybráło w ſiebie wody tyle czworo,
Zeby każdego z mieſzkánia wybodło,
Gdzie ſię kończatey ſkáły Jeleń dopnie,
Biorą go wody, przez roſnące ſtopnie,
Nieoſiedział ſię żaden pták w ſwey łoży,
Náywyżſze drzewa potopy dosięgły,
Ktoż ie zálane ná nowe rozmnoży,
Gdy gniazda płyną, gdzie ſię Orły legły,
Z ktorymi Dęby woda ſzybko nioſła,
Niepotrzebuiąc poiazdu ni wioſła.
Zwierzęta nędzne gdzie miały łożyſka,
W puſzczach czy kniejach, lub gdzie roſną chro-(ſty,
Tam wzwyż iák wieża fontanna wypryſka,
Swiat zámulony, okropny, y puſty,

Szczę-

Szczęśliwe ryby co ie wody w mátnią,
Schowáły widząc ruinę ostátnią.
Wyście o wody nieułágodzone,
Ják się zpienicie holeryczną śliną,
Okręty ięczą o skáły stłuczone,
Ná innych ludzie bez ráchunku giną,
Náwet mizerne z sieciami rybitwy,
Topicie ná ich ogłuchłe modlitwy.
Wy obciążone Armatami floty,
Woiennych Osob po kilka tysięcy,
Znosić możecie, piastuiecie poty,
Poki Kupieckich *Naw* nie będzie więcy,
Jak was chimera z láda wiatru zburzy,
Zołnierza z Kupcem zárowno ponurzy.
Wy wody, monstra strászne, y szkodliwe,
Przechowuiecie u siebie w komornym,
Syreny po pas, dla młodych zdrádliwe,
Nic nie wskoráły w *Ulissie* przezornym,
Lecz máło tákich Bohatyrow w męztwie,
By strach, y piękność przemogli w zwycięztwie.
Więcey was niechcę draźnić miłe wody,
Jest czas nágany, iest czasy y pochwáły,
Boię się przepraw, ná ktorych przygody,
Y mnie, y wielom pod stráchem bywáły,

Wy ſię uciſzcie, ia piora przytępię,
Wy ſię nie mścieycie, ia was niepotępię,
Zácznę wam od tąd Pánegiryk piſać,
Wielkich cnot wáſzych, bez podchlebſtwa zdrády,
Byleście dáły ten mi likwor wyſsać,
Z Jordánu, kędy Pan zoſtáwił ſlády,
Chrzczony od JANA w tym zbáwiennym trun- (ku,
Przyimę zá prácą wodę w podárunku.
Y rzeknę śmiele: o! Swięty Jordanie,
Ktoryś CHRYSTUSA czyſtego opłukał,
Ná przykład, wſzytkim kto z nas zmártwychwſta- (nie
Nági, tyś ſpoſob odzienia wyſzukał,
Przez polewánie głow náſzych od gory,
Zdobiſz nás gołych perłowemi ſznury,
Nikt uczęſtnikiem nie będzie Syonu,
Kogo, twe wodą nie opryſną krople,
Nikt w Troycy BOGA nieogląda Tronu,
Jeźli w przypádku lodowate ſople,
Niepuſzczą z siebie eſsencyi, dla Duſzy,
W ciemney niemowlę oſiędzie kátuſzy.
Zwámi czyſtemi Duch ſię Boſki pieścił,
W wáſze záglądał nurty kryſztáłowe,
Nim Stworca świata ſwoy zámyſł obwieścił,
Was uſzczęśliwił dla tegoście zdrowe.

Gdy

Gdy do tąd wáſze przeyzroczyſtė ſzyby,
Náyżywſze w ſobie záchowuią ryby.
Wodo posłuſzna coś ſię ná dwie ściany,
W morzu czerwonym rozſtąpiła ſnádno,
Gdy Rod Zydowſki, zá Lud Boży miany,
Przeſzedł po ſuchu, *Farao* zaś nádno,
Pornął z ſwym woyſkiem,iak kámienie z worem,
Z Wozmi, z Wielbłądy, y cáłym Táborem,
A zaś nie woda w koſzyku z śitowia,
Nosiła Sługę Bożego Moyżeſza,
Pilnuiąc iego cáłości, y zdrowia,
Tam gdzie z Krolewną ſtáła Pánien rzeſza,
Przypłynął máły płáczący Dzieciuſzek,
Wzięła go ktoraś, záwiwſzy w fartuſzek,
Tenże ſam, kiedy pod ſwoią kommendą,
Niewdzięcznych Zydow prowádził przez puſzcze,
Wnet go iák oſy ziádliwe obſiędą,
Ze wody niemaſz, zágubiłeś tłuſzcze,
Ná Imię BOGA przyſzedłſzy do ſkáły,
Uderzył Láſką, wody ſię wyláły.
Wygnána *Agar* z Domu *Abrahama*,
Ze iey Stáruſzek rád záglądał w oczy,
Błąka ſię w puſzczy z *Izmaelem* ſama,
Łzami mu ięzyk, zámiaſt wody moczy,

Dziecko umiera od prágnienia práwie,
Aż Anioł żrzodło pokaże łáſkawie,
Paralityka ſadzawka probierna,
Prędko zleczyła, ſkoroſię w nię wtoczył,
Bo też w nim była ufność wiełowierna,
Niebał ſię, by kto kálekę zátłoczył,
Tylko uważał, y oczy wytrzyſzczył,
Ják Anioł wodę mącił, światłem błyſzczył.
Wypráwił *Abram* dziewoſłęba wſtrony,
Z roſkázem, żeby nieżałował trudu,
Poſzukać piękney *Izakowi* żony,
Byle z obcego nie zrodzona ludu,
Nápadł *Rebekkę*, Boſkie záſzły rządy,
Gdy nápoiła Swáta, y Wielbłądy.
Niedziw, że czyſta czyſtą wyſwátała,
Znać niebywała, Pánienka ná Rynku,
Woda iey prędzey męża wyſzukáła,
Bo przy ſtudziennym báwiła ſię ſzynku,
Ale też *Rebek* tákowych niewiele,
By im zá wodę Poſeł dał manele.
W wodach *Nurkowie* drogie perły łowią, (kach,
W konchach zámknięte, iàk w Snycerſkich ſkrzyn-
Uryańſkiemi, co okrągłe z ..wią,
Z tych *Kleopatrze* iednę w upominkach,
Dano

Dáno ták wielką że Kroleſtwo cáłe,
Zapłacić mogła, tę miała pochwáłę.
Omijam wiele, co wody mieć mogą,
Bogáctw, przymiotow, cnot, bobym z mą łodzią,
Zá magneſową iść musiała drogą,
A morza dla mnie ſą ſtráſzną powodzią,
Ci, co dzień y noc po nich lawiruią,
Niech iák wiadomi, więcey opiſuią.
A ia przy rzekach zábawię tym czaſem,
Rozmawiać będę z ciekącemi ſtruſzki,
Wolę drewnianym rządzić ſię kompaſem,
Uważać, iáko ſubtelne páluſzki,
Graią, dzwięk czyniąc po kámykach drobnych,
Y do uśpienia, każdego ſpoſobnych.
Jeźli chcę dáley przeyść ná tamtę ſtronę,
Obáczyć potok, z kąd płynie gdzie bieży,
Webrnę beśpiecznie, wiem że nieutonę,
Ani zámaczam w kolano odzieży,
Ten choć po głowach ſzumi, ſzepce, mruczy,
Dálſzego *nurtu* ciekáwych náuczy.
Aż widzę potok, że on w rzekę wpáda,
Z nią ſię złączywſzy kilka koł obráca,
W młynie, gdzie zboże z kreſcencyi oſiada,
Gdy wody niemaſz, głod kmiotka námáca,

Modli ſię proſząc: Boże ſpuść nam deſzcze,
Zeby przybyło wody więcey ieſzcze.
Kilka ſtay idąc oglądam Pápiernie,
Dopiero zważę, co umieią wody,
Jak pod regułą, ták pilnuią wiernie,
By niewákował Trybunał, ni Grody,
Kancellarye, Szkolne Pòétyki,
Do każdey ſtępy wlewaią ſtrumyki.
Wnidę do láſow, gdzie Páſterze trzody,
Paſą w dni letnie, á w czáſy gorące,
Widzę że y tam, ſą potrzebne wody,
Gdzie ſię ściągaią promyki ciekące,
Jeden zá drugim pod ſkáłę do zdroiu,
Biegnie chcąc zażyć chłodnego nápoiu.
Wkrádłſzy ciekáwość dalſzą po zákrzaki,
Nád pięknym zrzodłem ſiedzę pátrząc mile,
Ják czyſte, ſłuchani mogłby posiać maki,
Ták ciche, áleć zá nie długą chwile,
Kilka Paſterek przybieży do ſtoku,
Stáną w rząd iedna, rzeczeſz: że od roku,
Niewidziałam ſię, czym biała, czym brudna,
Czym ładna w ſtánie, bo niemam zwierciadła,
Niepoznać ſiebie, ieść to rzecz przy nudna,
Jednemum w ſerce Páſterzowi wpádła,
Ten

Ten do mnie co dzień chodzi ná záloty,
Niewiem z piękności kocha mię, czy z cnoty,
Drugie Páſterki toż ſamo gádały,
Zrzodło ták dla nich grzeczne, y dyſkretne,
Gdy ſię koleyną wſzyſtkie przeglądały,
Choć inne były z twárzy, z oczu ſzpetne,
Podchlebiło im że owe dziewczęta,
Jdąc od ſtoku każda z nich kontenta.
Z láſow wychodząc tráfiłam ná żniwa,
Robotnik ledwie zgoręca nie mdleie,
A tu niewidzę by wożono piwa,
Włodárz czop z beczki wyiął, wodę leie,
W konew, w dzban, w gárnek nie długo zábawi,
Ten pije, á ow náczynie podſtáwi.
Czemu przy ſtudni Pan z *Samarytanką*,
A nie przy ogniu, rozmawiał łágodnie,
Wiedział że była nie czyſtą Poganką,
Ze ią páliły nierządne pochodnie,
Rzekł iey: poſłuchay, dam ći wody żywey,
W tey poznaſz ſkutek ochłody prawdziwey.
Jákoż Niewiaſta náchyliwſzy dzbana,
Uczuła w Duſzy, że cudowny trunek,
Poznáła záraz po poczęſnym Pána,
Zbrzydziła ſobie bezwſtydny ſzáſunek,

Ogień w niey wygasł, skutek wody został,
Bo się z nią Duszny nieprzyiaciel rozstał.
Y ták miarkuię, że krysztáły wodne,
Wszelkim stworzeniom są *Spiritus vitæ*,
Niemasz tey rzeczy do ktoreyby zgodne,
Wody nie były w mnogość cnot obfite,
Gdy ich niepoymę, niech mnie kárzą sztrofem,
Ale nietopią, z mądrym Filozofem.

Ná Element Ognia.

OGniu gniewliwy, ktorędyż do ciebie,
Przystąpić kiedy, y pálisz, y párzysz,
Trzeba mieć wiadro wody, blisko siebie,
Choć to przeciwny iest tobie Towárzysz,
Ale coż czynić gdy w chucianey szopie,
Zácznieśz zbyt chuczeć, wodą cię przykropię.
Jnáczey nicbym z tobą niewskoráła,
Ani cię chwálić, áni cię poganić,
Rękaby moia długo prożnowáła,
Jákby chciał ślepy wdziać paciorki ná nić,
Przytłum płomienia, nieopalay piora,
Gdyć prawdę rzecze, coś zá kreatura.
Wszędzieć wołaią: ey ostrożnie z ogniem,
Jám sama śmiała, blisko ciebie nátrzyć,

Wszák

Wſzák mimo iazdą, y tylko podrożnie,
Chcę ſię też twoim przymiotom przypatrzyć,
Niech mię y iſkra wyſkoczona ſpiecze,
Nikt nic niepozna, czego niedociecze.
Jużem ſię chciała ná pochwáły ſadzić,
Podchlebſtwo mieyſca długo nie zágrzeie,
Ty byś ſam nie mogł hipokryzyi radzić,
Więdząc że ie wiatr z lekkim pierzem zwieie,
Náylepiey prawdą iść, lubo ta czaſem,
Przyięta bywa, z cierpkich tárek kwaſem.
Przyimij coć powiem, żeś zły, holeryczny,
Nád tą ſię ſamą Alchimią báwiſz,
Byś pożarł żywioł ná świecie roźliczny,
Złoto, miedź, ſrebro, w woſk ſtopiwſzy tráwiſz,
Potym ſię pyſznym chlubiſz *Gieniuſʒem*,
Ześ ná wiatr wyſłał dym z *Merkuryuſʒem*.
Są do tąd znáki Gomory, Sodomy,
Siarczyſtym morzem zwać ſię práwie może,
Kto tych mieysc lepiey odemnie wiadomy,
Weyźráwſzy z żalem pomyśli, o! Boże!
Coż tu zá ognie, ták obſzerne były,
Tyle miaſt z ludzmi, w popioł obrociły.
Troja iedyna Kroleſtwa ozdoba,
Tey ledwie kto ſię w Kronikach domaca,

Ták ią ogniowa wycienczyła proba,
Bo w niey spłonęła, tysiącznych lat praca,
Jeden *Eneaß* skarb swoy wyrwał przecie,
Stárego Oyca wynioższy ná grzbiecie.
Nie kto ieſt pierwszą okázyą zguby
Ilium, tylko ognista pochodnia,
Ktora wynikła z żywota *Hekuby*,
Gdy swáwolnego urodziła zbrodnia,
Ogień podpalił *Paryssa*, *Helenę*,
Z ognia też w *Troi* pokázali Scenę.
Słuch mię dochodzi od *Wezuwiuſsa*,
Jak ciężko wzdycha ściśniony obręczą,
Kiedy go zdołu twoy płomień przymusza,
Boki rozdęte, usta wyschłe ięczą,
Odetchnąć musi gorącemi duchy,
Przez co Wśi, Miasta, zásuł popioł suchy.
Wieleż przez ogień Fortec niedobytych,
Wruinę poszło? zliczyć niepodobna,
Gdzie się pod ziemię wkrádł w minach ukrytych,
Tam znać że iego furya sposobna,
Zniszczyć, rozrzucić, wysadzić, wypálić,
Z czegoż cię ogniu, ma Pòéta chwálić?
Ty w gránał záyzrzysz, ty w bombie usiędziesz,
Armatę lontem nieznacznie przypieczesz,
Nay-

Náymnieyſzey ſtrzelbie nà pomoc przybędzieſz,
Byleś podniecił ſam z plácu ucieczeſz,
Kule, śrut, gluty, wyśleſz w przedniey ſtraży,
Ty znikmieſz, á tu twoy duch ludzi praży.
Azáliż nie ty *Wulkanowym* miechem,
Y cáłą kuźnią, nierządziſz w czás woyny,
U ciebie nie ieſt ſkrupułem ni grzechem,
Zeby Monarcha żył w Páńſtwie ſpokoyny,
Owſzem to twoie przy zápałach rády,
W niezgodzie trzymać náybliżſze ſąsiady,
Wieleż piorunow z Obłokow wypádło,
Co niemi w ſtrzáłach pełnych śiarki włádaſz,
Tysiąc Rachmiſtrzow ſummy by niezgádło,
Ty ná *Iowiſſa* niewinnego ſkłádaſz,
Twoy to ieſt impet złość máło rozumna,
Podźegać Dwory, z kreſcencyą gumna.
W kim temperament twoy ogniſty broi,
Każdy to licho zdáleka omiia,
Słowkiem nań nátrzeć, rozumny ſię boi,
Wiedząc że żądłem utnie iák zła żmiia,
Y iáki táki, iák może unika,
Od ſzálonego ze krwie holeryka.
Wreſzcie by był *Piotr* u Arcy-Kápłana,
Nieſtał przy ogniu, gdzie świecił ogárek,
 Nie

Nie zápárł by ſię po trzy rázy Pána,
Aniby nieznał, w tey kuchni kuchárek,
Poſtrzegł błąd, kiedy kur nád nim záśpiewał,
Pokutną wodą ſpárzeliznę zmywał.
Nákoniec niechay Hutnik, pogorzelec,
Swiadkámi będą wielkiey ognia mocy,
Ták żołnierz, Puſzkárz, y dowodny Strzelec,
Ze ty woiuieſz w południe, w połnocy,
Nic to u ciebie Rzym ſpálić bogáty,
Jeſzcześ się cieſzył z *Neronem* z tey ſtráty.
Tu czás nadchodzi między námi zgody,
Niech trzeci do nas pálca w drzwi nie kłádzie,
Ogień mi żadney nieuczynił ſzkody,
Bośmy to ſobie podali w zákładzie,
Zeby ſię niemścił, y teraz, y potym,
Wulkan tráktatu pieczęć przy bił młotem.
Ja też przy zgodzie niechcę ognia niecić,
Ani go ruſzę niech leży w popiele,
Wolę mu wśrzod dnia choć widno przyświecić,
Od tąd ieſteśmy ſobie Przyiaciele,
Jeźlim czym tknęła w piśmienney zábawie,
W teyże mu ſłáwy uiętey poprávię.
Mowiąc niezſzedłby CHRYSTUS ná świat niſki,
Gdy by go miłość ku ludziom ogniſta,

Nie-

Nieſprowádziła widząc Duſz uciſki,
  Pánna przyięła BOGA wżywot czyſty,
    Stworzenie Stworcy, poki ieſt wiek wiekiem,
    Nie odda, że ſię z miłości ſtáł Człekiem.
Miłość ktora bydź bez ognia niemoże,
  Ale dáleka od grzechu iſtoty,
Kogo zły umyſł w rozumie przemoże,
  Kochać bliźniego niepotrafi z cnoty,
    Nas zaś Syn Boſki miłością prágnienia,
    Ukochał życząc każdemu zbáwienia.
Ogień miłości rozgrzał Apoſtołow,
  Przy mocney wierze że śieći rybácze,
Rzucáli z chęcią drudzy w pługach wołow,
  Odeſzli w polu, záciekli orácze,
    Dzieći z żonami co więkſza odbiegli,
    Zá miſtrzem poſzli, bo ná nim polegli.
Ktoż tych proſtákow ſtárych uczeńnikow,
  W rozum oświecił, kto z nich Theologi
Poczynił? kto ich rożności ięzykow,
  Wyćwiczył? z kąd *Piotr*, wziął Xiążęce Togi?
    Oto Duch Pańſki z ſtąpił w ogniu ná nie,
    Ztąd Rybák, Oracz, náymędrſzym ſię ſtánie.
Y ták ſię płomień o ich uſzy otrze,
  Ze go nie tylko ſłyſzą ále czuią,

Y ty

Y ty *Iędrzeju*, y ty ſłuchay *Piotrze*,
Pracuycie niechay śieći nieprożnuią,
Ktorymi od tąd iuż ryby rozumne,
Łowić záczniecie niedoſmáku ſzumne.
Azaż nie ogień Swiętych ludzi páli,
Przeciwko BOGU przeciwko bliźniemu,
Ci ſię ná męki dobrowolnie dáli,
Uymuiąc życia miłego każdemu,
Iana w Oleju iák w poſt rybę ſmażą,
Agaty cnotę ognie nie obnażą.
Owſzem to przyznać że choć ſtoſy ſmolne,
Ják Piramidy ułożone ſtáły,
Co ie pogáńſtwo ſtáwiło ſwáwolne,
Płomienieiąc ſię czyſtych ciał niechciały,
Częſto ſwoy impet rzuciły ná katy,
Swięty zdrow wyſzedł, Tyran ſpálił gnáty.
Alboż nie cudem Pácholęta owe,
Chwáliły Pána w Babilońſkiey łaźni,
Kiedy ie ognie záchowały zdrowe,
Spiewaiąc chodzą. Pogáńſtwo w boiaźni,
Widząc, że im włos ná głowach nie ſpłonął,
Sędzia ſię złością, y wſtydem zápłonął.
Niemielibyśmy powſzedniego chleba,
O ktory co dzień z żebrákami proſim,
Kiedy-

Kiedyby z ognia usilna potrzeba,
Nás niewſpomogła, z kąd siły odnosim,
Y gdyby chleba niebyło po dziurki,
Zprzykrzyła by ſię manna, y przepiorki.
Czegoż by były warte Pańſkie kuchnie?
Ktoby ſurowe iadł z ciaſta paſztety,
Niech ſto Kuchárzow w zimny popioł dmuchnie,
Niebędzie co ieść, lodowáte wety,
Głodnych żołądkow náymniey nieposilą,
W czym ſię wyborni Cukiernicy mylą.
Ná cożby kopać, y ſkáły rozwálać,
Dla drogich kruſzczow, podeymować ſtratę,
Kiedyby ogień niechciał ie podpálać,
Szpetne zoſtáną, ciemne, chropowate,
Skoro im ognie do żywego doymą,
Dopiero polor, glans, ſzácunek poymą.
Tygle Złotnicze co ſię rowno ſprzęgli,
Z Jubilerſkiemi Inſtrumenty rázem,
Czegoż ſą wárte bez ognia, bez węgli,
Złoto zá umbrą drogi kámień głázem,
Poki ogniową, nie doydą ich probą,
Poty ſą grubą okryte żałobą.
Burzyć by trzeba w aptekach piecyki,
Słoyki, retorty, kolby pogruchotać,

Butle ná wodki, ſzklane Alembiki,
By nie wádziły zá ściany wymiotać,
Ba tyle warte bez ognia pomocy,
Ják by kto czytać chciał w śrzod ciemney nocy.
Pańſkie pokoje, weſela, pogrzeby,
Czy ſię obeydą bez ognia, bez świecy,
Niemaſz tey chaty u chłopa, ażeby
Ognia nie było; w hamerni, w kuźnicy,
W hucie, w kominie, w piecu ogień bywa,
Podrożnych w laſach oświeca, ogrzywa.
Wreſzcie gdy ognia doſyć nie wychwálę
Z iego właſności, mocy, z iego ciepła,
Niechay mu więcey Sluſarze, Kowale,
Przydadzą, bo ia w zimnym wieku ſkrzepła,
Ná to go tylko zażyię iedynie,
By mnie siedzącą zágrzał przy kominie.

Ná Element Powietrza.

CIebie powietrze z ſamego Imienia,
Wſzyſtkim okropne, niewiem iák opiſzę,
Wzdrygam ſię náwet ſamego wſpomnienia,
Co wdzieiach czytam, co od ſtárſzych ſłyſzę,
Co moy wiek pomni, com widziała okiem,
Poſępnym ná cię muſzę pátrzać wzrokiem.

Kiedy záraza twey *aury* zepsutey,
Zábija ludzi *Bazyliſzka* kſztáłtem,
Już nie pomoże nic náturze ſtrutey,
Umierać musi przymuſzona gwáłtem,
Ták ieſt záwzięta, ták ná życie chćiwa,
Ze śmierć y w ſamych Kordyałach bywa.
Padáią ludzie, iák muchy ná wioſnę,
Ociec ſię Syna, Mátka Corki boi,
O! iakie echa po polach żałoſne,
Ten záczął konać, ow ſię chwiejąc ſtoi,
Tych záwadziwſzy oſęką w doł włoczą,
Choć ſobie ieſzcze coś pod noſem mruczą.
Jnnych nákładą ná woz, iák drew z boru,
Jnnym pſy, wilki, ſpráwuią pogrzeby,
Dziecię umárłą Mátkę ſsie w czas moru,
Ten by żył ieſzcze kilka dni, ażeby,
Głod mu niedoiął: Bogdaycie nikt uchem
Nieſłyſzał, iák złym tchnieſz powietrzę duchem.
Nie tylko ludziom ſzkodzi nagłą śmiercią,
Ale Bydlętá co nieznaią grzechu
Morzy powietrze, znęca ſię nád śiercią,
Przyimie Człowieka w raz z wołem do cechu,
Już to lát kilka iák prożne obory,
Stoią rzeźnicze, wákuią topory.

Powietrze Mátką chorob, bo ie rodzi,
Sypiąc mgły mokre przy czasie iesiennym,
Ciepłem falſzywym nie ieden ſię zwodzi,
Deſzczem, przymrozkiem łudzi nas codziennym,
Nágle zaś ściśnie iák żelazo w kleſzczach,
Po owych ciepłach,mgłach,rzęsiſtych deſzczach.
Z kąd boleść głowy, kátar, reumatyzmy,
Temu kárk ſkrzywi, ta ręką nie ruſzy,
Czarom przyznaiąc czynią Exorcyzmy,
Ten ma ſzum w uſzach, tę w cále ogłuſzy,
A co ná diabła ſkłádaią z proſtoty,
Kátar náleży wypędzać przez poty.
Wiatr gdy ſubtelne dmuchnienie, á chyże,
Wyśle przez ſzparę, lub ſzybę wybitą,
W prowadzi pręko zdrowych wpáraliże,
Názwać go można ćichym Hipokrytą,
Ktory nieſzumiąc prędzey zabic zdoła,
Jak ten, co świſzcze, cháłaſuie, woła.
Cieſzy wzrok ludzki, kwiat ná ſzczepiach w ſadzie,
Ze ie nátura oblała śmietaną,
Każdy nádzieię pewną wzyſku kłádzie,
Wiele mieć może fruktow, gdy przyſtáną,
Alić wiatr chytry, iák z południa wionął,
Białość uwędził, kwiat młody ozionął.

Ze owo miękkie, delikatne liście,
Ledwie co z pączka ná świat śię dobyło,
Już nim po ziemi miota oczywiście,
Poiąć nie może czym ieſt, y czym było,
Bo iák bez czaſu uſchło y opádło,
Czemu zniſzczało, czy można by zgádło.
Jeźli pozwoli w poł doyzrzały owoc,
Oglądać oczom, iák piękny, dorodny,
Trzeba podpory, trzeba mu dać pomoc,
Bo ten frukt będzie Pańſkich Stołow godny,
Wzburzył śię wicher, cieſzących záſmucił,
Drzewo z fruktami, z korzeniem wywrućił.
Cieſzą śię łąki iedwábnymi tráwy,
Zieloność młoda z weſołością rośnie,
Smieiące kwiatki maiąc do zábawy,
A ktożby ná nie poglądał zázdrośnie,
Oto wiatr ciepły z ſwey nádętey gęby,
Kwiat, liſtki, tráwy zetrze ná otręby.
Wznoſzą śię zboża od ziemie do gory,
Już wrona czarność ná zágonie ſchowa,
Już zaiąc z brozdy nieukaze ſkory,
Już z kłoſka kwiatu wygląda połowa,
Aż zły wiatr ná to czatuiący waży,
Záwiązek ziarka bez czaſu uſmaży.

Niedośyć ná tym ziarno z kłosem z suszyć,
Niedość zárazić, niedość śniecią smolić,
Trzeba wiatrowi chmur zimnych poruszyć,
Niwy okrutne, krescensyą zgolić,
Sprowádzić gràdy dla zboża wymłotu,
Nábawić głodu, ućisku, kłopotu.
Ładuie Kupiec Okręt, y chce płynąć,
Z swoim Towarem do *Indyi*, do *Chiny*,
Nie tym umysłem by miał błądzić, ginąć,
Całą fortunę znosi do machiny,
Tylko tam z dziećmi nie dostaie żony,
By był zupełnie Statek nápełniony.
Płynie szczęśliwie pogoda mu sprzyia,
Cichość spokoyna ugłáskała morze,
Wdzięczny się wietrzyk po żaglach uwiia,
Rudel po wierzchu wodę gładko porze,
Maydk..vie kiedyś łopatami rușzą,
O stałym szczęściu aż do Portu tuszą.
Wprędce po zászłym Słońcu wiatr powstaie.
Okropną chmurę szeroko rozwozi,
W tey szum, grzmot słychać, iák warczy, iák łaie,
Co raz zbliżaiąc náwałnością grozi,
Wicher nią rządzi, przewodnik szálony,
Sam nie wie w ktore maią pędzić strony.

Nie-

Nieſzczęſny żeglarz wyſtáwion ná celu,
Ná wytrzymanie burzy, ſzturmu kłutnie,
W oſtátniey toni zażywa fortelu,
Rzucić Kotwicę, ktorey wiatr nie utnie,
Záſadził w piaſkach nádzieię iedynie,
Ufaiąc Kotwi, przy niey grubey linie.
Przybył mocnieyſzy z ſzargą od pułnocy,
Maßt w ſztuki ſkruſzył, porwał liny, ſznury,
Pokazał ſkutek wichrowatey mocy,
Zoſtáwił *Koteſ* z oſtremi pazury,
Ná gruncie morza ſam chwyćiwſzy *nawę*,
Stłukł ią, a ludzi dał rybom zá ſtrawę.
Tego zaś, ktory miał chęć bydź w Japonie,
Opáczną drogą wiatr zánioſł w kray ſkrzepły,
Ledwie wſkáliſtych ludach co nie tonie,
Dáleko minął ow Horyzont ciepły,
Zámyſły iego tam wiatr z żaglem wegnał,
Kędy ſię máło z życiem nie pożegnał.
Co ſtárożytna wyrobiła ręka,
W Zámkach, Páłacach, w Wieżach, Bazylikach.
To wſzyſtko wietrzna furya ponęka,
Wſzák w oczywiſtych widziemy práktykach,
Wiele Kołoſsow, Piramid w *Egipcie*,
W *Rzymie* upádło, znikło w prochu ſzczypcie,
Wie-

Wieleż Budynkow, wieleż drzew po laſach,
Wicher obálił, ktoby to wypiſał,
Wiele ſzkod zrobił przy nocnych chałaſach,
Ják wiele dachow, krokiew okołyſał,
Ják wiele z chłopſkich chałup ſnopkow nádarł,
Potym ſię w okna, we drzwi gwałtem náparł.
Zruynował wiele co ná wierzchu ſtáło,
Potłukł, połomał, pogruchotał w drzazgi,
Ale mu ſię to zá rzecz małą zdało,
Widzieć po drogach leżące drobiazgi,
Poſzedł pod ziemię záfaſował lochy,
Trzeſąc nią, Skáły czuią wiatru fochy,
Nákoniec przyznam nie ſtáteczność wiatrom,
Ze nic trwáłego w ſwey nie maią Kaſsie,
Z reſztą ich oddam *Kaukazom* y *Tatrom*,
Ktore doznaią wiatrow w każdym czasie, (mna,
Wiedney godzinie śnieg, deſzcz, mroz, mgła dy-
Wiedney ſą gębie y ciepła y zimna.
Niech wiatry chwálą *Merkury* z *Ikarem*,
Co niegdyś uſług onych zażywali,
Jeden z woſkowym gdy leciał towarem,
Drugiego Bogi w ſzpiegi wyſyłali,
Ten wiek odrzucił, Pogan obyczaie,
Zeby człek látał nikt wiary nie daie.

Uciſz

Ucisz się *auro*, nie szum, zwolna dmuchay,
Impet zátrzymay, nie mrucz, nie háłasuy,
Z pilnością tego co ći powiem słuchay,
Urázy do mnie uroszczone skásuy;
Wszák nie ia iestem twych odmian Autorką,
Bydź zá co nie mam furyi Sukcesorką.
Ná rzecz gotowę trafiam w wielu Xięgach,
Zal mnie nad ludzkim záwodem unásza,
Ják wielom práwa złomałeś w przysięgach,
Wolno się o to spytać *Eneaßa*,
Wolno *Ulißa* ktorymiś ty rządził,
Ják długoś tych dwoch lawiruiąc błądził.
Mnieś nie zászkodził w niczym nie zásmucił,
Bo mi też nie maſz co burzyć, obálać,
Práwda żeś mnie raz idącą wywrocił.
To ći odpuszczam, á zácznę wychwálać,
Kiedy się práwda bez podchlebstwa dzieie,
Tey wiatr náytęższy z gruntu nie wywieie.
Kiedyć to przyznam, że co Ziemia trzyma,
Ná swoim łonie wszystkoby pomarło,
Spełzła by iey moc, Wody, Ognia, stýma,
By ná nich twoie nie chuchało garło,
Ni Człowiek, ni zwierz, ni bydle ni ptasze,
Tchnąć niepotrafi kiedyby nie wásze.

Duchy ſkrzydlaſte ożywiały tego,
Co BOG ſwym Słowem ná świecie utworzył,
Cokolwiek tylko chciał mieć żyiącego,
Wiatrom pas wolny do prześcia otworzył,
Chcąc żeby z wſzech ſtron przez gęby nadęte,
Záchowywały dzieła przed ſię wzięte.
Niech mgły, grubością Firmament záſłonią,
Niechay nám Słońca oglądać nie dadzą,
Wiatry tę wilgoć roſpędzą, rozgonią,
Brudnym Bałwanom uſtępować rádzą,
Te bydź powolne muſząc, roſkaz iſzczą,
Uchodzą, po nich *aurę* wiatry czyſzczą.
Niech Zodyaczne zbiegną ſię obroty,
Wzbytnim dzdzu práce przeſzkadzaią letnie,
Częſto im wſchodni ſkręći kołowroty,
Záchodni ſtrugę ćiekącą w lot przetnie,
Ze owe, ſmutne płaczące *Plejady*,
Rośmiać ſię muſzą chociażby nie rady.
Ná cieple Słońca, na wietrze, záwiſły,
Wſzelkie żywności Stworzeniom potrzebne,
Jnáczey tákby, iák kwas w dzieży kiſły,
Wiekiem przykryte dwie cnoty chwálebne,
Jedna oziębłość promieńmi rozgrzeie,
Druga wilgoći, oſuſzy, owieie.

O! iak

O! iák ſą miłe powietrzne ſwobody,
Ják wdzięczne, gdy chcą, iák letkie, ſubtelne,
Podrożnym ſtáną zá kordyał chłody,
Czuiąc w mdłym ćiele ich ſkutki rzetelne,
Robotnik w polu ſiekąc tráwy, zboża,
Padł by wraz z kwiatem bez koſy, bez noża.
Dla zátrzymaney w odetchnieniu *aury*,
Właśnie gdy kogo záſzpuntuią w bani,
Co ſię trafiło między złymi *Maury*,
Wytworną męką dręczyli Tyrani,
Sług Boſkich w ſzklaną machinę wſadzili,
Zámknąwſzy przeciw Słońcu wyſtáwili.
Názwać by trzeba morze martwym trupem,
Bez poruſzenia korrupcyi pełne,
Albo też żony *Lota* ſolnym ſłupem,
Ktoby rozpoſtarł w falach iego wełne,
Bez wiatru, ktoby poznał właſność morza,
Swoy by rumieniec utraćiła zorza.
Uſtał by mądrych wymyślony ſpoſob,
Z wielkim pożytkiem budować Okręty,
Ják dla towarow, ták woiennych Oſob,
Każdy od wody miałby ſłuſzne wſtręty,
Bo co po Maſzćie, po żaglu, po ſznurze,
Gdy rzeki ſtoią w leniwey poſturze.

Byłby to upor, y rozum zbyt tępy,
Ktoby Wszechmocnym Cudem nieokryślił,
Jáko powietrze znośi Orły, Sępy,
Ze to BOG dla ich wygody obmyślił,
Ták ciężkie ptáki zátrzymane w gruntach,
Wietrznych, choć ważą w kilkunastu funtach.
Głośny ná wiosnę Cudow Bożych dzwonek,
Czas opowiada pożądaney chwili,
Wylátuiący pod Obłok Skowronek,
Wzbija się w gorę y skrzydełka śili,
By można, w Niebo choćby słaby dyszał,
Byle BOG wdzięczność w głosie iego słyszał.
O! iák nas wstydzą powietrzne ptaszęta,
Wstaiąc w świtanie każde chwáli Pána,
A w nászych ustach czy też brzmi Pieśn Swięta,
Czy ráno z łożka padniem ná kolana,
Czy Krzyżem czoło przynaymniey náznaczem,
Ześmy ochrzczeni, tym oświadczyć ráczem.
Podź Ziemio, Wodo, podź Ogniu z Powietrzem,
Podźmy do Stworcy Wászego, y ludźi,
Poznámy BOGA, skoro oczy przetrzem,
Ten w Was y we mnie żywą wiarę wzbudzi,
Kiedy przed Jego padniemy Obliczem,
Uznamy iawnie żeśmy Wszyscy niczem.

ELE-

ELEGIA.

Jak się świat obraca nienawiścią lub też miłością.

JAk ścigaiący z konia się przesiada,
Kiedy się chćiwie zysk chce mieć z połowu,
Ták y miłości w rożney formie zdráda,
Bydź się pokaże nie wierzoney słowu,
Miłość odmienna nienawiść formuie,
Wzaiem nienáwiść w miłość się obráca,
Ták iák *Protheuß* záwsze postępuie,
W kolorach rożnych odmienia się práca,
Ták zápalczywy żołnierz ćiska strzały,
Ná zwierza Łowiec parkany zárzuca,
Już z proźbą, groźbą, daie dar nie mały,
Ażeby złowił, lub go precz odrzuca.
Czasem Pioruny lub ogniste Groty,
We troykończastey formie już już ćiska,
Czasem z pochodni płomień wyda złoty,
Ktory po wszystkich kościach iskry pryska,
Gra kuglarz, szydzi, gdy iuż swą broń skłáda,
Ktore igrzysko ludzkie oko wabi,

Ták ieſt pokryta świecie twoia zdrada,
Ná iad podchlebny prędko ulgną ſłabi,
Bez żądła miłość Ty nie trać boiaźni,
Błądzi ten wcale kto ſię ubeſpieczy,
Niby dziecinne pokaże przyiaźni,
Bicz, Arkan, rzuca ná kárk już człowieczy,
Wnet przyprawioną nágnie Łuk cięciwą,
Ta co ſię przedtym podchlebną bydź zdáła,
Strzeż ſię jey wabiu, nie bież ſtopą chćiwą,
Bo w twe śmiertelna biodra utknie ſtrzała,
Nie wierz graiącym, nie tak wściekły ſrogi,
Przyiazń zábawia áby cię złowiła,
Nie prętko graiąc nádſtawi ſwe rogi,
Lecz mocno ſtrapi, boleści da śiła,
Poźniey á prożno poznaſz żeś ulgniony,
Kiedy opaſze ſroga cię gadzina,
W brodzie *Stygiiſkim* będzieſz utopiony,
Brzydka *Alecto* ná dno cię ugina,
Tam gdzie nienawiść, miłość Przewodnikiem
Záwſze ſię ſtaje, weſpoł z ſobą chodzą,
Tákiey miłości przymiot wſzetecznikiem,
Bo między ſobą záwſze ſię iuż zwodzą,
Już nięſpokoyność żadney niema wiary,
Swiat nieſtáteczny kołem ſię obráca,

Cypryiſkie Dziecko gdy też gra bez miary,
Zdradliwie toczy piłkę, życie zkráca,
Jáko krążący wicher go uderza,
Kiedy go z ziemi ná powietrze wznośi,
Ták iak wir byſtry miłość nie uśmierza,
Sam ſiebie goni, ſam ucieka prosi,
Da plaga umyſł: plag dziecinne razy,
Ták zaś ſą ciężkie, zoſtawuią znáki,
Biie nienawiść świat ten tyle razy,
Biie y miłość, raz Jch ieſt iednaki,
Wzniecony *Parys* miłości płomieniem,
Jeſt rozboynikiem *Ledeyſkiego* wſtydu,
Rozpina żagle *Egieyſkim* powieniem,
Nie ludzkie pędzą wiatry z *Propontydu*,
Tu gniew, nienawiść, łzy, krzyk, męka, ściąga,
Pańſtwo *Danay* już ieſt wzamieſzaniu,
Tu pyſzną *Troję* pożar iuż osiąga,
Tu Grecyi zguba w złych Bogin obraniu,
Eneaßowi miłość ieſt przyczyną,
Ze ná obſzernych morſkich wałach błądzi,
Szuka Małżeńſtwa, żegna ſię z Dziedziną,
Ledwie brzeg Rzymſki bydź go Panem ſądzi,
Nienawiść jurna ieſt iak żądło węża,
Gdy go ukole, daleko wypuſzcza,

Ták

Ták iść do *Teukrow* záchęciła Męża,
W miłym napoju śmiertelny jad zpuſzcza,
Miłość w łożnicy mocno ſię też ſroży,
Gdy zła Niewiaſta iák Dzik kły pokaże,
Latium y *Troi* ták powietrzem wroży,
Ze konterfektem *Heleny* porazę,
Miłość do złota do *Parthow* zápędza,
Chciwego *Craſsa* gdzie ſą bogactw ſkrzynie,
Wnet iuż nienawiść wſzyſtką nań broń zpędza,
W dzdzyſtym ſtrumyku rozpękniony płynie,
Chęć Pánowania w *Cezarze* ták żwawa,
Jż na Oyczyznę oſtry miecz obraca,
Ták go zniſzczyły podeptane Práwa,
Jż krwią w Senacie życie ſwe utraca,
Coż mocnieyſzego nad *Rzym*, świata Pána,
Wſzyſtkim Koronom dawał ſwoie Práwa,
Szczegulna miłość ták podło ubrana,
Rzym wywrociła iż upádła ſławá.

E L E G I A

Nie kocha miłość, lecz ná wędę łowi.

KToraż w lubieżnych pokaże ſię rána,
Zeby miłości ran nie doznawała,

Ná ktore meyſca bieży wieczor z rana,
Aby do zguby kreſu uprzedzała,
Nietylko lampą pałaiącą ziemię,
Zapala, kiedy ſkry áffektow wznieca,
Lecz pośrod wody ludzkie gore plemię
Niczym niezgaśi ſerdecznego pieca,
Nie ieſt ták ciężki Saydak *Kupidyna*,
choć oſtrych Grotow Strzał nápełnia bonty,
Lecz wędę śieći zarzuca Dziecina,
A te zdradliwiey proch zaymuią lonty.
Więc teraz rybak łowi wam bezdenny,
Teraz marzynarz niewod garnie z toni,
W ſen przepaść wiedzie melodya *Sereny*,
Tak oſzukuie miłość co cię goni,
Ona pochlebną cerę niby ſtroi,
Wielkie chciwemu obiecuiąc dary,
Obłudney twarzy niech ſię każdy boi,
Szkodliwe zdrady, takowe ofiary.
Jeżeli łowiſz; będzieſz ułowiony,
Wierząca płynie Ryba do robaka,
Tak przez ſmak będzieſz wędką uchwycony,
Jż cię śmierć pewna złapie nieboraka.
Miłość Jeźiorem, świat w nią rzucawędę,
Nie chwytay świata darow bo ſzkodliwe,

Swiat Rozboynikiem, Plonem jego będę,
Gdy ná te łupy pośiągnę zdrádliwe,
Spoyrzy w *Wenerę*, pátrząc śię, rozpala,
Rzucá oczyma, śam do śiebie mowi,
Y gdy śię *Weuus* z oczu nie oddala,
Sieć miłość śtáwia y ná wędę łowi,
Drugi Swiat krążąc cień honorow goni,
Doczęśney śławie, rád táko Gośćiowi,
Ktoż ćieniu łowca o zdrady ochroni,
Sieć miłość śtawia y ná wędę łowi,
Szuka z śtaraniem Skarbow ow łákomy,
Ktoż przywiązanie jego ták wypowi;
Gdy w tych dośtátkach żal jemu dáć śłomy,
Sieć miłość śtáwia, y ná wędę łowi,
Zmyśł twoy káżdego rozkośz śwa zajuśzy,
Gdy śię w miłośći żwawo zbyt zapali,
Stara śię złowić oczyma lub uśzy,
Do tey ponęty wśzyśtko chęć śwą zwali,
Giną dotchnieniem, śą im wędy wonią,
Tylo w paśzczękę nie da zrzeć śmokowi,
Bieży z *Cererą* bieży z *Bachem* po nią,
Sieć miłość śtawia y ná wędę łowi,
Po wśzyśtkich mieyścach rzuca wędy, śieći,
Pilnym śtáraniem ogárnąć cię prágnie,
Wraz

Wraz ſtarych łowi, śrzednich, młodych, dzieći,
Strzegącego ſię w ſwą cię matnią nágnie,
Zazdrość cię porwie gdy pocałowanie,
Do uſt przyłoży ogień wnet odmowi,
Całuſz ten, bywa znaczne oſzukanie,
Nie kocha miłość lecz ná wędę łowi,
Płaczeſz ty pono? kropla łez iák perła,
Wytryſka z oczu iak ku pogrzebowi,
Lecz tych ſtrzemienia dośiągaią berła,
Nie kocha płacząc, lecz ná wędy łowi,
Sleſz ku *Cyprowi* Liſty twe miłoſne,
Jż liſt zmiękczoną troſkliwość odnowi,
Miętkie expreſsye tak ſą rzewne, głośne,
Przecieſz nie kocha, lecz ná wędę łowi,
Ktożby przyſięgłe niechciał przyiąć ſerca,
Y cożby byli zá ludzie tákowi,
Choćby rzekł (kocham) światowy morderca,
Nie kocha miłość, lecz ná wędę łowi.

E L E G I A

Nie wſzyſtko złoto co ſię świći.

PAtrzyſz iáko wzad uſta twe gniewliwe,
Stooczny *Argus* ow przeyrzały coſa,

Wtąż y *Linceuß* Dziecko te płaczliwe,
Tonem się kwili iák przypadnie ſtrofa,
Pono w ſwym błędzie gniewem się zápala,
Záćmiona miłość? mowiſz że odbłąka,
Nie błądzi miłość, zmyśla błąd bezmala,
Y tym omamia czym w zrzenicy blonka,
Prawdy Dozorca, Rządca Sprawiedliwy,
Odkrywa ludziom świáta tego zdrady,
Ná jego rozkaz bądź Człowiecze chćiwy,
Sąd jego ſłodki, ſmakuy z mey porady,
Y gdy się miłość tak ná ciebie gniewa,
To ty ná ten świat gnieway się wzáiemnie,
Swiatłość odwraca, ciemnośći przywdziewa,
To się też odwroć tyłem nie przyiemnie,
Czyń dobrze, zgoła z tego świat náygrawa,
Co widziſz oczu, Labiryntow tyle,
Odmienne farby ſzkło wąglaſte dawa,
Gra bárdziey zdradza, jeźli się nie mylę,
Jeden lub drugi złoty ma wkieſzeni,
Ták mu się widzi, że tyſiące liczy,
Tákowe dary zmyśla, kunſzt nie ceni,
Kunſztem w kolorze nie tylko dziedziczy,
Jle w Szkatule mniemaſz mieć pieniędzy,
Tylo się przypatrz z tych pieniędzy cieni,

Sąd

Sąd twoy o świecie lśni ſię tylko w nędzy,
Ták chćiwość prawie w omyłkę ſię mieni,
Kunſzt twoy ieſt kłámáć, kłámſtwo rzecz ſwą zdobi,
Tak bogatego *Craſsa* ſławne ſkrzynie.
Zołtą czerwoną miedzią przyſpoſobi,
Ten fawor ktory oſzukaniem ſłynie,
Rozumieſz że ma ow bogactwa *Kreza*
Są w nienawiść *Kraſsowe* imiona,
Wynicowana bywa ich impreza,
Krezuſem żyiąc aż *Iruſem* ſkona,
Ow wſzyſtkie złota, co ziemia ma, trzyma,
Ow zaś nádzieję złota obiecuie,
Co w łonie ziemi ciepło złota wzdyma,
Co ſłońce zwarzy każdy wykopuie,
Myśl nábywania złota przyczyniaią.
Omylne wcale świata ſą doſtatki,
Łáknienie bogactw nic nie ugaſzaią,
Choć myśl chęć ſtrzeże, śliſkie ſą zádatki,
Gdy z Cudzych- krajow do náſzego brzegu,
Náładowana ſkárbem płynie *Nawa*,
Wnet my wołamy pośpieſzaiąc w biegu,
Náſz Okręt płynie, naſz zyſk, náſza ſława,
Gdy ſiew ſzczęśliwie w Polſkiey krzewi roli,
Y gdy wypuſzcza choyne zboża kłoſy,

W dobrey otuſze każdey bydź przyzwoli,
Y weſoł w gumnie chce układać wſtoſy,
Anglia ſię chełpi że ma piękną wełnę,
Ufarbowane ſukna w świat wyſyła,
Pienią ſię w *Węgzrech* Wina beczki pełne,
Z ſzumu nádzieja ſporządzona była,
Rodzą ſię w *Konchach* nowe pereł krople,
Co prácowicie ludzka chciwość zbiera,
W pułnocnych krajach gdzie ſą śniegi ſople,
Futer ſzukamy, *Peru* ſkárb otwiera,
Z drobnych ziarn żyta iuż płowieią pola,
Ták iż doyrzały kłos się z wiatru chwieie,
W tym weſoł mowi, otoz moia rola,
Zupełną w żniwie złota da nádzieję,
Gdy gwałtem ſobie chce zniewolić nieba,
Ogniſtą chęcią układa nádgrody,
Tak iakby kamień chciał przemienić w chleba,
Lub roże w złoto, w kleynoty ogrody,
Nietak ſię burzy tum pijakow w nocy,
Ktorzy językiem wſzyſtkich wyścinaią,
Ták w trzeźwych myśli bez zmyśli w niemocy,
Z tey porywczości śmiałości nie maią,
podwoyne w pijanym migaią kielichy,
Y z iedney świcy widzi ſto pochodni,
Niech

Niech otrzeźwieie w'raz ſię ſtaie cichy,
Jákoby nigdy nie popełniał zbrodi.
Wściekłość pijańſtwo, Lecz chciwośc pieniędzy,
Więkſzą wściekłością nad owe opoje,
Pijańſtwo prawie zákończy ſię prędzy,
Dłużey łakomſtwa wściekłe trwaią gnoie,
Gdy w ſkrzyni *Craſsie* gnębiſz twoie zbiory,
Pijaná, czy chora myśl, cię we śnie trapi,
Tylko ſię obudź, uczyń krok twoy ſpory,
Nie urzyſz bogąctw, nic cię nieułapi.

ELEGIA

Nie docrze ſię zgadza Niebo z Ziemią.

NIe zátrzyma ſię w ſercu iedynym zgodnie,
Nieba Pachole, y Ziemi Pachole,
Tego záſzczytu Nieba prágnąć godnie,
Ziemia nie może, uſtąpić mu pole,
Ani gniew błyśnie *Thebańſkim* płomièniem,
Ktorym niezgoda w koło okrążyła,
Ani záwziętość iſkrawym promieniem,
Braći *Tantala* w popioł obrociła,
Nieprzyiacielſkie układa oręza,
Ta owa miłość choć w dziecinney dobie,

Nie-

Niewinná *Puzia* tak ſrogo zwycięża,
Rozśiewa ognie, trzyma ludzi w probie,
Stygiiſką Srzało Serce w ſkroś przebija,
Czyſtym płomieniem Dziecko to odżywia,
Ziemſkie Pachole, zákałą zabija,
Nieba Pachole, Niebo nam zákrzywia,
Swiatłość ćiemności záwſze nienawidzi,
Wzaiemnie ćiemność od światłośći ſtroni,
Ta zaś nocnemi myślami ſię brzydzi,
Owa odednia oczy ſwe záſſoni,
Utraći kolor ſwey białośći mleko,
Gdy átramentu nápełni tynkturę,
Y kryſztałowe zbrudnąć muśi wieko,
Gdzie czyſtą krople zmąci w krwi Purpurę,
Od *Acydalſkich* ogniow płomień czyſty,
Zgwałcony zgaśnie przez *Wenery* zrodła,
Ktora z Gracyami gdzie grunt ieſt ſkaliſty,
Kąpiąc ſię nieraz wſtrzemieźliwych zwiodła,
Ták mądrość czaſem w błąd uwikła długi,
Wzruſzywſzy ſprawy Przodkow ſwych záwiłe,
W ćichym pokoju woynę ſpráwi drugi,
W ſtárych ſzpargałach pokładaiąc siłę,
Nigdy ſię cnota w wiecznym pojedynku,
Zgodzić nie może z ſamą práwie wadą,

Nawet

Náwet śmierć z życiem w przeſtronnym budynku,
Spolnie nie mogą mięſzkać gdzie ſię ziadą,
Smierć choć cię wodzi, z nią nie zbłądziſz cále,
Gorzey *Kupido* zwodzi cię iák mára,
Ow cię prowadzi ná oręża, ſale,
W Boſkiey miłości pokoy ieſt ofiára,
Jednym iuż cnota, drugim kryminały,
Twierdze nie rowno w ſercu ſą ſzkodliwe,
Tym ſię żywota Bramy zámykały,
Drugim śmierć Niebo otwiera ſzczęśliwe,
Mniemam ná koniec iż ſię ták nie brzydzi,
Samą miłością tá nienáwiść wściekła,
Ják iuż Niebieſka miłość nienawidzi,
Ow płod *Wenery* co nápełnia piekła,
Jedno ná świecie lśni ſię tylko ſłońce,
Wiednym Kroleſtwie ieden ſię Krol rządzi,
Jedne miłości doſkonáłey końce,
Y jedna miłość Niebieſka nie błądzi,
Widziſz promienie iák rozrzuca ryte,
Z Niebieſkich gmachow gdzie luſtr idzie ſpory,
Ják ná záchodzie Zámki nie dobyte,
Słońce w Obłokach w piękne ſtawia wzory,
Pierwey ſię będą Gwiazdy pluſkać w wodach,
Gwiezdziſte konie pierwey ziemia ſprzęże,

Niż wychowany w roſkoſzy ogrodach,
Niebieſkich pieſzczot złatwością doſięże,
Dobry, z *Awernu* Olymp zrobić może,
Gdy ſię poſtrzeże w iakie zabrnął błędy,
Wiem że świat w dáwne *Chaos* zmieniſz Boże,
Daremne miłość czyni ſwe zápędy,
Ják ſię zbiegaią te owe Pacholę,
Jedno drugiemu chociaſz niedowierza,
Nie złączy miłość drugiey ſpolnie wolę,
Lecz drugą miłość ciągnie do przymierza,
Y wiednym punkcie iedne Imię nosi,
Chociaſz we wſzyſtkich ſpráwach ieſt rozdzielna,
Ta Nieba ściga, ta do piekła prosi,
Ta ieſt żyiąca á ta ieſt śmiertelna.

E L E G I A

Prozna ieſt ucieczka, Krzyż od ktorego uciekaſz zawſze trwa.

RZymſkich od Krzyża Káwalerow Práwo,
Uwalnia w Rzymie, w tym ieſt cześć národu,
Ná nie uczćiwey belce wieſza żwawo,
Ktory záwini z podleyſzego rodu,
Wîerz mi że żaden być nie może wolny,
Ani też żaden Rzymſkie Imię nosi,

Kiedy

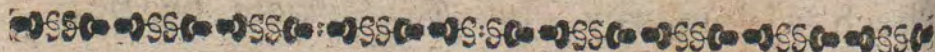
Kiedy ſię wprzęga w to Jarzmo ſwywolny,
  W ktore świat prożny wciągnie y záprosi.
Powiedz mi świecie ktoryż cień cię dręczy,
  Pono ci ſtraſzne widzą ſię bydź Krzyże?
Nie każda rádość miłym dzwiękiem brzęczy,
  Miodem ſkropiony język y żołć zliże.
Krzyż niezliczone Krzyże tákże rodzi,
  Roſkoſz y rádość mnoſtwo Krzyżow żywi,
Krzyż ieden Krzyżem wiele Krzyżow płodzi,
  Ten Krzyż dźwigaią náwet y ſzczęśliwi,
Mało co dźwiga *Zyzyfowe* Ramię,
  Noſząc ná ſkáły ták ciężkie marmury,
Małe *Ixyon* ma ná członkach znamię,
  Choć koło kręći, w doł go y do gory,
Mało drapieżny Ptak *Tycyuſʒa* dziobie,
  Choć ſerce z niego oſtrym noſem kluje.
Y w ſwoiey przecież ieſt roża ozdobie,
  Choć ią kolące ciernie opaſuie,
Ták Krzyż ſwoy świátu ościem ieſt y kárą,
  Bárdziey udręczył niż owych tortury,
O! ślepa miłość prożną tuczyſz wiarą,
  Czegoż uciekaſz od Krzyżow ſtruktury?
Głupi ludzkiego unikałby cieniu,
  Zołw by ſię pozbył z ciężaru ſkorupy,

 Darmo

Darmo ſię kryieſz w podziemnym ſklepieniu,
 Krzyż świat ugania z niego zbiera łupy,
Weź świat ná plecy ponieś ſobie zgoła,
 Skrzydlaſtym wioſłem chciey dążyć do Nieba,
Jednak w powietrzney Krzyż cię drodze zwoła,
 Y wſzędzie ścigać będzie gdzie potrzeba,
Jáko *Fryxowi* Báran grzbiet nádſtawia,
 Ták nadſtawiwſzy świátu, popłyń w morze,
Wśrzod *Heleſpontu* Krzyż ſię tęgi ziawia,
 Tyrańſkie ſale mdleiąc z pracą porze.
Ná *Aſsyryiſkich* biesiadach w ſzkárłacie,
 Pełen iaſności blaſkiem ćmiſz brylanty,
Krzyż w tym bankiecie pewnie przywita cię,
 Pij: nie odżeną ſłodkie Alakanty,
Snu daieſz ciało we śnie Krzyż nie trwoży,
 W ten czas ſpoczywaſz, kiedy ſpiſz bez ſłuchu,
Niech w myślach człowiek w łożku ſię położy,
 Znáydą go Krzyże y w łabędzim puchu,
To *Theonina* zázdrość oſtrzy zęby,
 Dla nieprzeſtanney w piersiach ſwych gryzóty,
To *Likambea* gniew idzie do gęby,
 Wątrobę trawiąc, myśl bierze w obroty,
To iuż bez-ſenne gryzą cię ſtárania,
 Przedziurawione pſuią ci ſię trzewy,

To bol ſię iątrzy w ſercu przez ſkrobania,
Oſtrym grzebieniem gdy Krzyż wznieca gniewy,
To iuż chorobą tráwi iák płomieniem,
Byſtrym co *Troję* obrocił w perzynę,
To marſzczy kości ciężki mroz drętwieniem,
Do umartwienia Krzyż znáydzie przyczynę,
Niech wielomowny *Fabiuſ* świadkiem będzie,
Tylo trapiących Krzyżow nie wyliczy,
Okropne Echo rozbija ſię wſzędzie,
Pozbyć ſię trudno, ſrogi Krzyż dziedziczy,
Tu niepomyślny *Hymeneuſ* ſtáwa,
Tu Syn wyrodek, ieſt Krzyż Rodziciela,
Tu zła nádzieja, tu Krzyż ieſt zła ſłáwa,
Tu Krzyż miłości ſmutku też udziela,
Tu Rolnikowi uchybiła rola,
Z rozbitey *Nawy* żeglarz dyle zbiera,
Tu żołnierz poſtrzał ukazuie z pola,
Tu Hetmanowi bitwa ſzyki ściera,
Krolom Kroleſtwo Krzyżem doległiwym,
Łakomſtwo złota, Krzyżem ieſt też Panom,
Otworzyć ſkrzynie z trwogą bywa chćiwym,
Krol zły ná Tronie, nie dowierza ſtanom,
Czemże ná wierzchu ſtawiaią Korony,
Krzyż u Monarchow: iakoby ná celu?

Czemuż w Monecie z ktorey-kolwiek ſtrony,
Krzyż ſtemplowány? chcą to wiedzieć wielu,
Z náywiękſzych Kroleſtw, Krzyż iuż hołd odbierze,
Y całym náwet światem Krzyż ſię rządzi,
Chceſz świat zwyciężyć, y co świat wſię zbierze,
To zwycięż, y Krzyż, y chęć ktora błądzi.



FORTECA
Od BOGA wyſtawiona, pięcią Bram zamknięta, to ieſt: Duſza ludzka z pięcią zmyſłami.

PRzedwieczna Mądrość chciała uformować,
Mocną Fortecę, pięcią Bram zamkniętą,
Ták opatrzoną by nikt attakować,
Jey ſię nie ważył, áni drogą krętą,
Miny podſadzić, ktora grunt poruſza,
Jmię Fortecy było, *ludzka Duſza.*
Z kąd zaś od Stworcy wzieła ſwoy fundament,
Pytać ſię o to nikt z nas nie odważy,

Moy

Moy nie potrafi wyrazić atrament,
Prędzey ciekawość mozg w głowie wyſmaży,
Prędzey zráchuie w klepſydrze atomy,
Niźli kto poymie, co duch niewidomy.
Dość że to twierdzą, BOG w ták czyſtym polu,
Lokował, kędy ciernia głogu oſtu,
Nie było, náwet czarnego kąkolu,
Ziemia nieznała wychudłego poſtu,
Mieyſce delicyi, obſzerności krokiem,
Nikt nie wymierzył, áni przeyrzał okiem.
Same Fortecę śliczności ſtrukturą,
Ozdobił, wlał wnią doſkonałość cudną,
Obrazu ſwego podobieńſtw Figurą,
Ugodnił, ále do poięcia trudną,
Pokarm obmyślił, y mądrości ſoli,
Przydał, by miernie ſwey zażyła woli.
Bramom Fortecy każdey dał oſobno,
Názwiſko, pierwſzey ſłuch, drugiey widzęnie,
Trzeciey węch mocny, á czwartey podobno,
Smak, oſtátniey zaś oſtrożne dotknienie,
Z zákazem groźnym, żeby każda ſtrzegła,
Weyścia wolnego, Pas zdraycom zaległa.
Do tey Fortecy BOG przezorny ráczył,
Dla dobrych rządow regencyą nádać,

Zá Prezydenta wiarę iey náznaczył,
Rozum zá Rządcę by nią umiał władać,
Rachmiſtrzem ściſſym uczynił ſumienie,
Zeby ná tych dwoch dał pilne baczenie.
Jeśli by ktory lekce miał go ważyć,
A nie poſſuchał co mu podyktuie,
Wolno rygoru nad krnąbrnemi zażyć,
Urząd ſumięnia niech wſzyſtko notuie,
Potym w ráchunek Fundator Fortecy,
Weyrzawſzy rzecze; ći Nieba dalecy.
Gdy BOG ták mocną opiſał uſtawą,
Dzieło Rąk ſwoich, Zámku Urzędnicy,
Przyrzekli że ſię żadną lekką ſpráwą,
Podeyść nie dadzą, przykaz ná Tablicy,
Ná każdey Bramie zpilnością wyſtawią,
Co dzień czytaniem tych Praw, myśl zábawią.
Przyrzekli wierność, potym poſſuſzeńſtwo,
Monarſze ſwemu; y to też uznali,
Ze wſzelkie od nich; mieć ma doſtoieńſtwo,
Jemu ſamemu, będą hołdowali,
Ze wniwczym rozkaz iego nie wykroczą,
Z granic Fortecy nigdzie nie wyboczą.
W tym ták ſzczęśliwym miłym cichym ſtanie,
Piękna ſtruktura w fundamencie mocnym,
Zoſta-

Zostaiąc, BOG sam miał o niey stáranie,
Co raz poglądał okiem swym Wszechmocnym,
Kontentował, się y patrzać mu miło,
Ná doskonałe woli swoiey dziło,
Lucyper Xiążę piekielnych otchłani,
Złym wzrokiem pátrzał ná śliczną Fortecę,
Zázdrość z chciwością iák sęp serce ráni,
Przeczuł, że mu ták nie będzie dalece
Trudno o sposob oblec ią do koła,
Wszystkich Ministrow do rády przywoła,
Stanęli Radzcy, przed Monarchy twárzą,
A ten ná Tronie Hebanowym siedział,
Z oczu siarczyste ognie iák ich spárzą,
Odskoczą, á chcąc, áby im powiedział,
Poco wezwani, każdy z strachem czeka,
Ale od niego woli stać zdáleka,
Ryknie, iáko Lew, lub iák pies zawyie,
Mowiąc: wiecieli, pocom was tu zwabił,
Mego umysłu, przed wami nie kryię,
Klin mi náywyższy mocno w głowę zabił,
Rzecz arcypiękną, ále y rozumną,
W tych dniach uczynił swoią wolą dumną,
Ktorą nam ná złość, czy ná udręczęnie,
Wystawił, bo ta Zwierzchność będzie miała,

Nád nami, nad to, náywiękſze zelżenie,
Po głowach náſzych chcąc żeby deptała,
Potrzeba wcześnie tey wzgárdzie zábieżeć,
Gruſzek w popiele niechcieymy zálężeć,
Wyday moy mandat rozkaz generalny,
Zeby ſię duchy z pod moiey komendy,
W punkcie ſtáwiły do mnie ná Seym walny,
Y ktorykolwiek zábłąkany kędy,
Choćby kulawy, ślepy, głuchy, niemy,
Jść musi, bydź tam, do kąd go poślemy,
Pochwalił Senat rządy Lucypera,
Zaden z Miniſtrow nie rádzi odkłádać,
Ták wielkiey rzeczy ciebie Bohatera,
Piekło obrało ſłuchać, ty nim władać,
Maſz moc, maſz woyſka, czyń coć ſię podoba,
Niech Monarchiy nie ginie ozdoba,
Swiśnie Pan piekła przeraźliwym świſtem,
Pułk diabłow ſtanął co byli ná warcie,
Jednemu rzecze; leć prędzey z tym liſtem,
Y ſam przeczytay, com nápiſał w kárcie,
Splondruy świat cały,zwołay ſwych kompanow,
Poruſz godnieyſzych y podleyſzych Stanow.
Zprowadź z kąd możeſz ſędziwą Stárſzyznę,
Ktory zgrzybiały, weź go ná ramiona,
Nie-

Niechay przybędą rátować Oyczyznę,
Znaſz ich po ſtopniach, wiadomeć Imiona,
Słyſzałeś nie raz co ieſt godno wiary,
Czem diaboł mądry, dla tego, że ſtáry,
Wziął z rąk Monarchy mandat ow ſztafeta,
Ni konia popaſł, ni ſam odpoczywał,
Wſzyſtkim Szátanom powiada ſekreta,
Ze po to wyſłan, by ich pozwoływał,
A gdy ná kárcie pokazał pieczęći,
Biorą ſię wdrogę podziwieniem zdięći,
Lećì Szarańcza, dzień zaćmiła iaſny,
Ze wſzech ſtron świata czarne umbry pędzą,
Widząc charakter że, *Lucypra* właſny,
Ze ie ruſzono zmieysc, zgrzytaią, zrzędzą,
Nie przeliczone ćmy do piekła wpádły,
Przed tronem Krola ſwoiego osiadły.
Ktory ich ſpytał: czy wſzyſcy ieſteście,
Co pod rządzeniem moim zoſtaiecie?
Jedność trzymaycie, á mocno ſię weście,
Oco nam chodzi, to od Stárſzych wiecie,
Straſzliwym wrzaſkiem krzykną rośli, niſcy,
Ze iuż przed tobą ſtaneliśmy wſzyſcy.
Słuchaycież teraz, iák nam mozg zámącił,
Rządca Niebieſki, iák nás záczął trapić,

Nie dość, że ztamtąd ná záwſze wytrącił,
Jeſzcze nieprzeſtał ná zemſtę pokwapić,
Uformowawſzy zámek ták obronny,
Do poddania ſię nikomu nie ſkłonny,
Jáki wſtyd dla nas, gdy w oſtátniey wzgárdzie,
Ná cała wieczność ſzpetnemi będziemy,
To piękne dzieło, pocznie ſobie hardzie,
Zwiąże, pognębi, gdy go nie zechcemy,
Szanować potym, to oſiędzie łono,
Ná wieki, z kąd nas ná łeb wypędzono,
Wſzyſtkich was prożbą y groźbą záklinam,
Ktokolwiek ſpoſob iáki ználeść może,
Zázdroſnych, chytrych, łákomych, záczynam
Wzywać, wydrzyieie, chociaż to ieſt Boże,
Ja gdybym nie był łancuchem związany,
Poczuł by Zámek sił moich tárany.
Ozwą cię czarći, podoſtátkiem krzyku,
Ze mocnieyſzego nad ſiebie záczepić,
Nie maſz w tym zgody ná náſzym Seymiku,
Możnieysi umkną, może nas poślepić,
Ten, ktory iuż raz buntowniki chłoſtał,
Z tych każdy piekła niewolnikiem zoſtał,
Jnsi powiedzą, my życzemy ſzczerze,
Zániechać woynę z Panem wſzyſtko możnym,

Y ty siedź cicho Panie *Lucyperze*,
Wszák wiesz, co cierpisz, bądź odtąd ostrożnym,
Ktoż cię uwiązał, kto łancuchem przykuł,
Ten, komuś pychą, przeskrobał artykuł,
Oko opátrzne tey Fortecy strzeże,
Mocnemi baszty ná twárdey opoce
Ugruntowało, przydawszy trzy wieże,
Niepoymiem, iákie wszczepił w nich owoce,
Rozum zpamięcią, potym wolną wolą,
Nácożby miała poddać się w niewolą,
Głupich to zdanie wojować z mocarzem,
Kontrować temu, co ma władzą wszelką,
Wszak wszyscy drzemy przed iego Ołtarzem,
Bo on rzecz stworzył y małą y wielką,
Straszne to Imię BOG, każdy znas stęknie,
Gdy przed nim piekło ná kolano klęknie,
Strwożony wielce *Lucyper* nieborak,
Ze iego rozkaz niechcą pełnić duchy,
Aż się odezwie z kąta ieden Dworak,
Co rożnych gustow zákosztował iuchy,
Frant, plotkarz, kłamca, chytry, y łákomiec,
Z piącią cnot godzien postronka nákoniec,
Gdy rzecze śmiało, ah Krolu ciemności,
Ják że mi cię, żal że nie możesz użyć,

Zadnego z twych ſług ktoryby z miłości,
Ku tobie miał chęć, dobrze ći uſłużyć,
Ja wſzyſtko zrobię w weſołym humorze,
Bo tákich trzeba przy *Lucypra* dworze,
Sprobuię ſzczęścia do náypierwſzey Bramy,
Łagodne słowa w pieśniach będę śpiewał,
Náycięższey ſłuchu iák przełamę tamy,
Prezydent, áni będzie ſię ſpodziewał,
Z iaką łatwością pod cztery podſadzę,
Miny, ſam ſiebie y ciebie wprowadzę.
Chwáli Monarcha ſługę zpiekła rodem,
Ze według woli iego dał mu rádę,
Pogłaſzcze záto y wyprawi przodem,
Przyzna mu obrot, ſpoſobność ná zdradę,
Da wolność wſzelką popuściwſzy lecy,
Byle ſię dobył do piękney Fortecy,
Przyrzekł wakanſe przez náywyżſze ſtopnie:
Miniſtrem będzieſz mego gabinetu,
Kiedy ták umieſz poradzić roſtropnie,
Wſzelkiegoć od tąd powierzę ſekretu,
Jntrátyć znaczne obiecuię przy tem,
Co większa moim będzieſz faworytem.
Poleciał Szatan názwan biegłym Szachem,
Z przydatkiem pochwał, że dobry ná ſzepty,

Zważa Fortecę, czy pod ſkrytym dachem
Ma ſię utaić? czy wniść w gęſto chepty?
Wkradł ſię pod Bramę ſłyſzęnia nieznacznie,
Słowiczym głoſem pioſnkę śpiewać záćznie:
Sliczna ſtrukturo, fabryko koſztowna,
Ktoż cię z przymiotow twych wychwálić zdoła,
Właſność rozumu ieſt rzecz niewymowna,
Ktorym pięknego dochodziſz Anioła,
Roſtropność, biegłość, maſz przenikaiącą,
Wolą powolną wſzego dobra chcącą.
Wobſzernym polu, w wdzięcznym położęniu,
Mięſzkaniu twemu dam Imię roſkoſzy,
Gdzie chceſz bydź myślą, będzieſz woka mgnięniu,
Dobr tobie danych twoy rząd nie roſproſzy,
Maſz przy Fortecy mocney, obron wiele,
Wſzyſcyć życzliwi wniey Obywatele.
Przecięż ználazłem w ták miłym zámknięciu,
To náczym wy ſię niewinni nie znacie,
Tákie rygory, żadnemu Panięciu,
Nie ſłużą, Pána tey Fortecy macie
Nazbyt groźnego, on was wiarzmo ciaſne,
Wprzągł, nie da poznać waſze siły właſne.
Co po rozumie? nie znać ſię ná ſobie,
Co po wolności? bydź więźniem u kogo,
Pamięć

Pamięć w Rachmiſtrza uſtáwiczney probie,
Mo narcha coraz ſpoyrzy okiem ſrogo,
Ni weſołości, ni uciech da zażyć,
Jeſt to tyrańſtwo, piękność dusić, ſmażyć.
Krzywdać nieznośna, trzymać was w proſtocie,
W tym pięknym gmachu, á zabronić poznać,
Co przyzwoita mądrości iſtocie,
Co ieſt dobrego y co złego poznać,
Ná tym to rozkosz záwiſła terminie,
Że co tylko chce, to wſzyſtko uczynie.
Gładkim rozmowom nákłoniłá ucha,
Przechodnia Brama, warta uſtępuie,
Zwielką pilnością tych reflexyi ſłucha,
W wolnym przyſtępie nikt iey nie pilnuie,
A kiedy Szatan ſwoy dyſkurs powtorzy,
Sama ſię Forta ná oścież otworzy.
Tylko co diaboł nogę zá prog wſtawił,
Wnet iákiś rozruch, tumult, bunt powſtanie,
W cáłey Fortecy zámięſzanie ſpráwił,
W Obywatełach uſtaw połamanie,
Prezydent Rządca, Rachmiſtrz, wkącie dyſzą,
Forteca wzięta zdradą iawnie ſłyſzą.
Bo ow Duch záraz rozkázał woźnemu,
Obwołać, że on wziął intromiſsyą,

Do tych Dobr, potym dał znać Pánu swemu,
O wzięciu Zámku rázem z Regencyą,
A ty Monarcho wiazd swoy nie odwłocznie
Odpraw, nim sobie Garnizon wypocznie.
Kontent *Lucyper* z pomyślney nowiny,
Wielu záprasza z sobą do Fortecy,
Młodych, wesołych, ná nowosiedliny,
Potrzeba, wy się zostańcie kálicy,
Stárzy niech leżą y muszą mnie słuchać,
Bo nie pomogą nikogo rozruchać.
Wiechał Czárt pyszny, do tey co chciał, Bramy,
Ale ią widzi iuż nádruynowana,
Straży nie pytay, á dopieroż tamy,
Wchwálebney sztuce piękności odmiana,
Prezydent słaby, Rządca gbur wierutny,
Rachmistrz trzech zliczyć nie umie ták smutny,
W Obywatelach znać z twárzy chorobę,
Bladość z sinością, muszą mieć suchoty,
Niewiem dla czego pozbyli ozdoby,
Wnet ich rozrzeźwię y dodam ochoty,
A w tym rozkaże ku sobie im zbliżyć,
Jáko *Wazallom* przed Monarchą zniżyć,
Przymkną się wszyscy wstroskanych posturach,
Strach padł, co przedtym nigdy go nieznali,

Drzenie poczuwſzy w żyłach y junkturach,
Oczy żałośnie w ziemię poſpuſzczali,
Ták winowayca, gdy co złego zbroi,
Cienia właſnego iák dziecko ſię boi.
Poſtrzegł to Diaboł, że ſię Zámek trwoży,
Ze nie kontenći z nowego Dzierzawcy,
Ze iakieś ciężkie Jarzmo ná nich włoży,
Ze ich do táczek nápędzą oprawcy,
A żeby daley nie ſpuſzczali z kwinty,
Wyſtrzelił słowo iák z nábitey flinty.
Mowiąc: widzę w was znáczną nieſpokoyność,
Ale nie wiecie, czego ſię lękacie,
Dopiero moię obaczycie hoyność,
Y w krotkim czasie ſami to przyznacie,
Ze dni weſołych zá moiego rządu,
Pozwolę iákby wodom wylać ziądu.
Jam to z miłości ſzczegluney, z affektu:
Ku wam uczynił, kompaſsyą zdięty.
Waſz Prawodawca bez względu, reſpektu,
Pod dyſcypliną trzymał was choć Swięty,
Pod ciężar kárki ták piękne przymusił,
Wſzelkie przymioty proſtotą przydusił.
Dla tego wielkiey przyłożyłem pracy,
Oddać wam wolność, wiadomość dobrego,

Byście nie byli iáko głupi żacy,
Ja wam zabraniać nie będę niczego,
A gdy ná ſobie poznacie ſię ſami,
Zwać ſię możecie Ziemſkiemi Bogami.
Przypadł do guſtu ſłuchaiącym nowy
Pan, że łaſkáwie z niemi ſię obchodzi,
Spoyrzą po ſobie: ſłodkieć to rozmowy,
On y ſkrupuły od nas powywodzi,
On nas utuczy przy ſwobodnym czasie,
W ściſſym nie będzie zámykał tárasie.
A w tym Kapella zágrała ná Sali,
Maſzki párami wchodzą w rożnych ſtroiach,
Tu Regencya Fortecy záchwali
Weſołość, ktorą ſłyſzą ná Pokoiach,
Niedługo myśląc gotowa do drogi,
Taneczney, ładnie moderuie nogi.
Już menuety záczynaią pląſać,
Tańce Angielſkie, potym Sarabandy,
Kapryole też umieią wytrząſać,
Wnet ſię wpraſzaią do Szatańſkiey Bandy,
Metr ich piekielny wſzelkich ſztuk wyćwiczył,
Ják zágrał, ták im, y tańcować życzył.
Tańcem zágrzani ſkoſztuią orżady,
Smaczneć to rzeczy, wątrobę ochłodzą,

Po chwili znowu piią Limonady,
W mieyſca oſobne z ſwymi pary wchodzą,
Skromność zá drzwiami zoſtawią dla warty,
By ſię nie wściſnął z nimi wſtyd uparty.
Tu Galerya długa y przeſtrona,
W ktorey po ścianach Obrazy koſztowne,
Lucyper zasiadł do gry *Faraona*,
Ná Stołach ſtoią w butlach Wina głowne,
On ſam bank trzymał, złotem rzucał ſuto,
Przyſłał mu wexel w momencie Pan *Pluto*.
Patrzy Forteca, patrzy Regencya,
Jeſzcze nie śmieią przyiść, ſtoiąc zdáleka,
Aż ich poſtrzeże cáła kompania,
Mowiąc: przyſtąpcie, Monarcha was czeka,
Wie on owaſzey mizeryi, nędzy,
Da wam co ſami zechcecie pieniędzy.
Właśnie zgadł Szátan apetyczne chęći,
Ze złotá ſzwayca Fortece osłabia,
Szczodrym ſię czyni, poki nie przynęći,
Nákoniec z ſamey właſności oſzwabia,
Zdráycow Krol lubi, ále też kredytu,
Tacy nie maią, dla ich apetytu.
Dał im *Lucyper* pieniężny zádatek,
Wzieli z rádością, zoſtali bogaći,

Nie myśląc, że się do piekielnych jatek,
Przedali, że im wieczne szczęście traći,
Marna mamona, ktorą ie Czart kupił,
Z száty niewinney iák rozboynik złupił.
Ieszcze iest wiele sposobow zgorszenia,
W diabelskich sztukach Opery przyiemne,
Teatrum piękne, dla serc ułowięnia,
Spiewaczek głosy nie będą daremne,
Bo wcałey Sali, ba y w każdey loży,
Myśli swywolne, chęći złe zamnoży.
Chociaż tam wszystkie malowane twárzy,
Patrzącym zda się uroda Anioła,
Prędko *Kupido* pochodnią rozżarzy,
Y Mátki swoiey nápomoc przywoła,
Zeby przy świetle záchwaliła szyie,
Jednym, á drugim wzrost, ksztaltne Talie.
Zyczyłby sobie *Argusem* stoocznym,
Ten y ow zostać, dla Komedyantki,
Byle się nogom iey przypatrzył skocznym,
Często ie biorą zá swoie Amantki,
One też wzajem wyćwiczonym skokiem,
Wielu Monarchow dysponuią okiem.
Y ták *Lucyper* mocną Regencyą,
Już sobie podbił, w poddaństwo obrocił,

Smieszną z niey samey zrobił komedyą,
Kiedy z Urzędow wszystkich rázem zrzucił,
Rządcow im inszych dał, zbyt dobrowolnych,
By dopomogli zbytkow zobopolnych.
Jákoż poznali nowych Rządow skutki,
Przefrymarczywszy wiarę, zá niewiarę,
Od Twárzy Boskiey obmierzłe odrzutki,
W szpetną się wszyscy przybrali maszkarę,
Rozum w szaleństwo, sumięnie w rospustę,
Obywatelow w szkapy twardo-uste.
Brykaią śmiało, stoiąc ná obroku,
Nieszczesney paszy, ktora ie rozbodła,
Niepráwość piią iák muł wodę z stoku,
Ani czuć nie chcą Czártowskiego siodła,
Passyom wszelkim wypuścili wodze,
Smakuią wolność ná przestronney drodze.
Práwie zostali Łotrostwa jaskinią,
BOG z serca wypadł, z sumięnia, z rozumu,
Názwać się mogli wszech występkow skrzynią,
Można przyrownać do morskiego szumu,
Co Zeglarzowi zdrowy słuch zágłuszy,
Ze nie postrzeże, gdy hak okręt skruszy.
Patrzał Pan z Nieba zágniewanym okiem,
Ná dzieło swoie, co go uformował,

Chciał

Chciał ſkárać wiecznym potępienia mrokiem,
Że tę Fortecę wyſtawił, żałował,
Jednym piorunu kámyka pociſkiem,
Mogł ią Szatańſkim uczynić igrzyſkiem.
Bo ſpráwiedliwość cięźko urażona,
Już ſię miłości niedaie przeprosić,
Woła, niech będzie, ta złość potępiona,
A pokiż Boże chceſz tę krzywdę znosić?
Jákoś to wynioſł, ták ći ſtrącić ſnadno,
Niech wraz z *Lucyprem* trafią wpiekło ná dno.
Lecz miłosierdzie do nog Pańſkich padło,
Ręczy, przyrzeka, że ſwoy błąd obaczą
Ci buntownicy, lubo ich ośiadło
Czartoſtwo; przecię náwrocić ſię ráczą
Do Ciebie Stworcy, ty im Łáſki doday,
Ginącym ręki iako Ociec poday.
Práwda, żeś zepchnął zá ieden wynioſły
Grzech, złych Aniołow z Nieba w kray okropny,
Ale tam w ſamych Duchach bunty roſły,
A tu zaś ciało osieł nieroſtropny,
Skłonny do złego, z Duchem ſię zmowili,
Bárdziey ułomſtwem, niż złością zgrzeſzyli,
Przepuść im ten raz, nie kwap ſię z wyrokiem
Jch potępienia, wſzakżeś ſama dobroć,
Chciey

Chciey weyżrzeć ſwoim litościwym okiem,
Gniew w ſkutek łaſki, karę w odpuſt obroć,
Poty od twych nog nie podnioſę głowy,
Poki nie zmiękczyſz twoy Dekret ſurowy.
Cożći zá korzyść o Boże! o Panie!
Jeżeli niechceſz nad tym ſię użalić
Stworzeniem? ieźli ſpráwiedliwość ná nie
Náſtąpi: ktoż cię będzie w piekle chwálić?
Wiem że maſz chwáłę ná wieki ſam z ſiebie,
Przecieś chciał, żeby Duſza była w Niebie.
Skłoniło BOGA miłośierdzie prozbą,
Odłożył kárę, dał fryſzt ná pokutę,
Choć ſpráwiedliwość odezwie ſię z groźbą:
Macie czas leczyć głupſtwo grzechem ſtrute,
Nie nárzekaycież, tylko ná ſwą winę,
Gdy was BOG wtrąći w ogniſtą dolinę.
Poſłała záraz Prorokow z przeſtrogą,
Miłość Oycowſka, áby ich ſłuchała,
Zła Regencya, iáką ma iść drogą,
Ale ta ná nie kamieńmi miotała,
Ani przyſtępu, áni dała ucha,
Chcieć wiedzieć, co żal, co zá grzechy ſkrucha.
Bo w tákiey trzymał *Lucyper* ślepocie,
Fortecę, Bramy, y Obywatele,

Zeby

Zeby do BOGA, więcey o powrocie
Nie myśląc, owszem wyrzekli się śmiele,
Ze go nie znaią, ni praw słuchać niechcą,
Tymi sposoby czárći Dusze bechcą.
Y tę niewdzięczność Pan dobry przebacza,
A Sprawiedliwość ná potym odkłáda,
Więcey Prorokow krnąbrności náznacza,
By iey mowili, że BOG tobą włáda,
Ze kára Jego iuż ná końcu włosa
Wiszącą, woła: dawno godni stosa.
Y to przykazał Pan Prorokom pilnie,
Zeby w tey mierze postąpili mężnie,
Do Brámy słuchu kołatali silnie,
Potym iey uszy nátarli potężnie,
Grożąc ostátnią potępienia klęską:
Czárt z nich odbierze koronę zwycięską.
Poszli Prorocy, grożą, straszą, łaią,
Ják by groch rzucał ná murową ścianę,
Ták od ich uszu słowa odpádaią,
Zákamieniałość ma zmysły splątane,
Szczegulnie swoim námiętnościom sprzyia,
Z rzeczy rozumney zrobi się bestya.
Jákoż tàk było, że owa Forteca,
Maiąc pod władzą cáłą Regencyą,

Wſzyſtkich buntuie, rebellią wznieca
Obywatelow, przemaga racyą,
Rachmiſtrza ſobie darami uymuie,
Wiedząc, że on rad wyſtępki notuie.
Nic nie pomogły złym Prorockie uſta,
Brną w głębſze grzechy, dopełniaią miarę,
Gdyż wkorzeniona w náłogach roſpuſta,
Głucha y ślepa niechce poznać kárę,
Ani ſię lęka Łáſk Boſkich utráty,
Ani dba, że ią ściſną kondemnaty.
Nákoniec z gniewem Prorocy ogłoſzą
Swywolney Rzeſzy, że Krol Nieba, Ziemi,
Syna imześle, co go nie przeproſzą,
Będzie on wiedział, iák poſtąpić zniemi,
Szturmem Fortecę wziąwſzy wnet ią zburzy,
Wraz z Szatanami w ſtudnią piekła wnurzy.
Woyſk niezliczonych przyidą Regimenty,
W dym was rozwloką w letkie paięczyny,
Nic nie pomogą w czas gniewu lamenty,
Przyſchną do kości grzeſznych włáſne winy,
Potym choć byście w zdroy ſię rozpłyneli,
Łzy nie pomogą tym, co chcąc zgineli.
Jákoż nie bawiąc, nie przeyrzane Roty,
Marſz ſwoy záwodzą pod Fortecę dumną,
Potęga

Potęga zmierza do ták małey kwoty,
Tyſiączne Pułki, nie iedną kolumną,
Jdąc podſtąpią, Cyrkułem opaſzą,
Dopiero harde zámknięcie záſtraſzą.
Tym bárdziey, kiedy w dwoch Chorągwiach znáku,
Doyzrzeli w białym, w czerwonym kolorze,
Wrożka niechybna śmierći przy attaku,
Jeźli przy trwáłym ſtać będą uporze,
Biała znáczyła do łáſki przyięcie,
Jeźli poddania wezmą przedſięwzięcie.
Tu ſtrach, tu trwoga, tu dwa twárde ſęki,
Tu dwoch Olbrzymow widzieć páſsowanie,
Ják ſię z *Lucypra* mocney wyrwać ręki,
Syna Bożego w iakim przyiąć ſtanie,
Ráz nim wzgárdziwſzy y iawnie y ſkrycie,
Tu śmierć zła, tu zas w ſkruſze dobre życie.
Kręći ſię Szatan, iák piſkorz w więcierzu,
Poczuwſzy woyſko, że to ſą nie żarty,
Ze z nim Forteca ſłabieje w przymierzu,
Do każdey Brámy da ſowite wárty,
Obywatelom pod gárdłem zálecił,
Zeby ſię żaden przy Bramach nie świecił,
A náwet z murow, z wáłow nie zazierał,
Ná te poſtrachy, áni ſobie życzył,

Wiedzieć woyſk komput, áni ſię nápierał,
Ciekawą chęćią by ſzwadrony liczył,
Mnie ſię trzymaycie rzecze, mnie hołduycie,
To, co widzicie, okiem poſponuycie.
Zyicie weſeli, bądźcie dobrey myśli,
Czyńcie, co chcecie, co wam ſię podoba,
Niech ten Krolewicz plac ná Oboz kryśli,
Jeſt to poſtrachu ſerc lękliwych proba,
Może z was każdy ſpać ná moim łonie
Beſpiecznie, ia was od ſtrachow záſłonię,
Poieły zmyſły, uważáła Duſza,
Co im czárt baiał, lecz wnętrzną boiaźnią
Przeięći, co ich do żalu poruſza,
Ze będąc z BOGIEM złączęni przyiaźnią,
Y iáko dzieći zpod ſkrzydeł kokoſzy,
Wybiegłſzy Jaſtrząb drapieżny ie płoſzy.
Rádzą co czynić, do czego ſię rzucić,
Poznaią głupſtwa podłego ſtan gruby,
Myślą, iákby ſię do Stworcy powrocić,
Sekret powierzać niewiedzą komuby,
Ze chcą odſtąpić *Lucypra* bez zwłoki,
A zrzucić z ſiebie wyſtępkow tłomoki.
Ná tym ſtáneło, ażeby nie ktorzy,
Z Obywátelow weſzli w mieyſce ſkryte,
Aczey

Aczey nam ráda zdrowa port otworzy,
Jáko zbyć z karkow ciężary niezbyte,
Wiára z rozumem poſzepną ſumięniu,
Podź z námi, ſekret záchowuy w milczęniu.
Wchodzą w loch ciemny gdzie ię ſtrach ogarnie,
Swiatła nie maiąc, ſnadno wſzyſtkim zginąć,
Ktoż w otchłań idzie bez ognia látarnie,
Wdoł wpaść, gościnca utártego minąć,
Wiára dobyła krzesiwa z pudełka,
Udziela ślepym ſzczupłego światełka,
Rozum od wiary ſwoy ſtoczek zápalił,
Alić jaſkinia w świątło nie uboga,
Każdy ſię z ſwego objaśnienia chwálił,
Z náláżſzy drogę powrotu do BOGA,
Szczerość ich ſama, á nie polityka,
U máleńkiego záſadza ſtolika.
Ná ktorym ſwoie regeſtra rozkłada,
Smutne ſumięnie y przez punkta czyta,
Kto co źle zrobił, publicznie powiada,
Rebelizantow z kwaśną miną pyta,
Czy znacież wy ſię bydź godnymi śmierći,
Jam was oſądził rozebrać ná ćwierći.
Struchlała wiara, rozum ſtał ſię tępy,
Skoro roztrząſną złego życia śmieći,

Poczuli żywo, iák ich szárpią sępy,
Ziarka cnot nie masz, z nizkąd nie wyleći,
Wyználi zdráycy jawnie swoie winy,
Ze z ich uczynkow same grochowiny.
Każdy się ozwáł, kto był w tym komplecie,
Dusza przypádła zaiącem pod skibę,
Rádaby tysiąc plag wzieła po grzbiecie,
Albo żeby ią płátano zá rybę,
Niżeli świecić oczyma przed sądem,
Maiąc twárz sprośnym osypaną trądem.
Nie śmie odetchnąć, dopieroż przemowić,
Bo wie że ona Aktorką tey spráwy,
Boi się nowey mieszaniny wznowić,
Patron ią żaden nie wesprze łáskawy,
Jeszcze do końca daleka swych myśli,
Kiedy zwątleni wszyscy do niey przyśli
Obywátele: Rządca, Registrator,
Mowiąc: czegoż się Forteco ukrywasz,
Bądź Sędzią, á Ja iáko Jnstygator,
Wytchnęć błąd, iże dopiero záczynasz,
Rozmyślać, y brać ná się wstydu szátę,
Wprzągszy nas z sobą w wieczną Nieba stratę.
Wszák cię Wszechmocny BOG dziełem subtelnym,
Cudownie stworzył y wiele wiedzącym,
Nád

Nád to dziedzictwem nádał nieśmiertelnym,
Námi zaś niby poddańſtwem rządzącym,
Pod twoię Zwierzchność, rozum, pamięć, wola,
Oddane, ſłuchać musieli iák Krola,
Ktoż ći rozkázał Brámy pootwierać,
Ktore opátrzył BOG mocnymi zámki,
Ktoć kázał z czartem znajomość zábierać,
W ſkrytych mu fortach pokázywać klámki,
Tyś z ſzatanami miała ſchadzki ſpolne,
Daiąc im weyście w każdym czasie wolne.
Wiára wzdycháła, żeś ią do ſłabości
Przywiodła, rozum częſtokroć ſię wſtydził,
Zgorſzenieś dáła wſzyſtkim z twey letkości,
Stworca cię, y nas ták ſobie obrzydził,
Ják ow *Babilon*, zbor niecnot wſzelakich,
Słow złych, uczynkow, myśli ládaiakich.
Przypomni ſobie Duſzo! wiele rázy
Strofowało cię lękliwe ſumnienie,
Jlė ſkłonności do Boſkiey obrázy
Widziało, tyleć wſpomniało zbáwienie,
Co dzień mowiło; ey nie godzi ſię to,
Przyidzie śmierć, będzie koło ciebie kręto.
Coż zà odpowiedź była ná to dána?
Wiarę podeptać? rozum w kąt zárzucić?
Wy

Wy ſłudzy macie práwo, ſłuchać Pána,
Ják wam zaśpiewam tákeście zánucić,
Powinni, záczym ſumięnie ná ſzczebel
Záwiesić, dać mu w gębę mocny knebel.
Powſtał ſzemrzący głos w Obywatelách,
Manifeſt czynią przeciw ſmutney Duſzy,
Tu iey ná wſzyſtkich zeſzło Przyiacielach,
Co ią nád męki wymyślone ſuſzy,
Nádſtawia ucha, rychło Sędzia w dzwonek
Uderzy, brać ią każe ná poſtronek.
Alić zdáleka iuż zdeſperowaney,
Jákaś ſię miła pokaże Oſoba,
Bliżey przyſtąpi, oczy zápłakaney,
Obetrze, ktora ſłabſza ieſt nád *Joba*,
Opowie, żem tu z woli Protektora
Twego przyſłána, Imię mam *Pokora*.
Ten mi rozkázał, y ciebie y drugich
Przeſtrzedz, żebyście zániechali ſwarow,
A nie báwiący ná Seſsyach długich,
Poználi wſzyſcy błędow ſwoich narow,
Mam inſtrukcyą, o co mowić z wámi,
Y z czego macie oſądzić ſię ſami.
Nic tu po kłotniach, bo w was wſzyſtkich wáda,
Wſzakeście ná to zgodnie pozwolili,

Ják

Ják zgrzeſzyć, teraz ten ná tego ſkłáda,
Każdy przed kárą ná bok ſię uchyli,
Práwda, iż życzę nie chować w báwełny
Defektow, kto chce mieć odpuſt zupełny,
Obierzcie ſobie ktorego kolegę,
Ná zániesienie pokorney ſuppliki,
Niech będzie przybran w wor podłą siermięgę,
Niech u drzwi ſtoi czekaiąc repliki,
Niech powie, że mię pokora wyſłała,
Z liſtem do Pána, bym mu go oddała.
Dyktuie ſkłonność ſkrypt, ſumienie piſze,
Ręka mu cierpnie, wypáda z niey pioro,
Kiedy przybyli wſzyſcy Towárzyſze,
Mowiąc, tyś Rachmiſtrz, piſz że od nas ſkoro,
Y ſam od siebie, nie głaſzcz, nie ochraniay
Złych ſpráw, przed Twarzą BOGA niezaſłaniay.
Piſz w ten ſens: Boże! coś przeyrzał od wieku,
Wſzyſtko co ma bydź do świata ſkończęnia,
Widziałeś dobrze niewdzięczność w człowieku,
Ze ći dokuczy nád wſzelkie ſtworzęnia,
Ze ći złość iego, iák żądłem *Wipera*,
Oſtrym zelazem krew w ſercu wyſzpera.
Wiedziałeś Pánie, że dzieło twey prácy,
Będzie przeciwne, práwo dane złamie,

Ze do daniny żadney áni płacy,
Znać się nie zechce, wzgárdzi łáſki znamie,
Ktorąś wlał w niego z iedyney dobroći,
Zá miaſt podzięki iad ná cię obroći.
Przewidziałeś to niepoięty Boże,
Co się po śmierći z tym człowiekiem ſtanie,
Ze go świat ciało, czárt poymą w obroże,
Ze ná twym Sądzie obwiniony ſtanie,
Ze duſzni Łowcy przywiodąć ná ſmyczy,
Nieſzczęſny połow, háracz niewolniczy.
Coż Stworco czyniſz? żal ći twey łepianki,
Obmyślaſz ſpoſob podeprzeć walinę,
Nie daieſz rękom Pogańſkim porwanki,
Nie zcieraſz w popioł, podłą, kruchą glinę,
Zſyłaſz nam Syna twych oczu zrzenicę,
Na wykupienie z gáler niewolnicę.
Miłość iedyna Twego Jedynáka,
Ná świat zciągnęła, chcąc nam dać ſwobodę,
Wkimże pod ſłońcem bywa dobroć táka,
Kłaść Duſzę, życie, zá wyſtępną *Trzodę*?
Tyś Oycze Syna chętnie ná śmierć wydał,
On się policzkow zá nas brać nie wſtydał.
Weyrzyiże teraz miłosiernym okiem,
Przedwieczny Boże! złącz miłość z miłością
Syno-

Synowſką, gdy ſię rozplywamy ſtokiem
Z żalu zá grzechy przeięći gorzkością,
Duch, ktory od was obudwoch pochodzi,
Niech złe poddańſtwo z Dziedzicem pogodzi.
Kończąc ſupplikę w rozmyślaniu siedzą,
Kogo z nią wyſłać? kto ſię tey funkcyi
Podeymie? kto z nich ſpoſobny? nie wiedzą,
Do wyrażenia ſpráwy Regencyi,
Nie maſz rączego, nie maſz ochotnika,
Każdy podroży dálekiey unika.
Wiára ſię ſkárzy, że ná siłach ſpádła,
Rozum kokoſzą czárną łeb obłożył,
Wola powiada, żem frukt táki ziadła,
Co mię ſtruł, zápach nos w pokrzywę włożył,
Smak żołądź gryzie, dotknienie zá ciernie,
Chwyciwſzy choć go kole, trzyma wiernie.
Nákoniec loſy umyślili rzucić,
Kogo w tę drogę wyprawią, dwa cynki,
Tu iáki táki záczyna ſię ſmucić,
Pádła kość zgodna ná dobre uczynki,
Te uſłyſzawſzy z oczu wſzyſtkich ſpryſną,
W kont ciaſny weſzły, nietchną, áni piſną.
Szukaią, zbiegną, ktory kędy dyſzy,
Wołaiąc: wychodź choć ieden ná widok,

Spią czy pomarli? że żaden nie ſłyſzy,
Niechcą znać práwa, iáki wyſzedł wyrok,
Przecięż ich wiára z pilnością śledziła,
Záledwie ieden umárły wſkrzesiła.
Ozwał ſię do niey oſłabionym głoſem:
Kompanko moia, wymow mię hołotę
Z podroży, lubom przymuſzony loſem,
Ják by mię przyiął Krol? widząc niecnotę,
Coż by zá honor miał Parlament z Poſła,
Słać do Monarchy w legacyi oſła.
Powráca wiára, nie śmie relácyi,
Uczynić, że iey nie ſłuchał uczynek,
Wſtyd przyiść przed komplet cáłey Regencyi,
Wie, iáki od niey weźmie upominek,
Powſtáną wſzyſcy ná wiárę iák pſzczoły,
Że jey towárzyſz bez odzienia goły.
Rozmyśla Duſza, że nie maſz kim brząknąć,
Czas krok przybliża, BOG przedłuża kárę;
Bierze głos śmiały, nie chce ſię zaiąknąć,
Nád tym: Ey Boże w dobroći nád miarę
Nie zgruntowány, kogoż mam wyprawić
Do ciebie? żeby w drodze niechciał bawić.
Wyślę weſtchnięnie, bo to pocztarz letki,
Nie potrzebuie pokármu, nápoiu,
Skrzy-

Skrzydeł dobędzie z ſerdeczney káletki,
Wody zażyie z łez pokutnych zdroiu,
Wemgnieniu oka przed tobą ſię ſtáwi,
Zal moy y moich kolegow obiawi.
Stáneło nátym, każdy chwáli zdanie,
Rozumney Duſzy, więc godna bydź głową
Nás wſzyſtkich, kiedy wyprawia wzdychanie,
Ktore ſubtelną, łagodną rozmową,
W reſpekt ſię Pańſki w raz z pokorą wkradnie,
Supplikę odda, gdy z nią przed Tron pádnie.
Stáwa bez zwłoki poſłuſzne weſtchnięnie,
Gotowe w podroż, tylko ná ſkrypt czeka,
Ale w przod ſpyta, czy ieſt zezwolenie
W was zgodne, wyznać złość, upor człowieka?
Poty ſię z mieyſca z ſuppliką nie ruſzę,
Poki do żalu łotrow nie przymuſzę.
Ah! Przewodniku kochány, bądź pewny:
Co żywo krzyknie, ręcz zá nami śmiele,
Ze ſię zbierzemy rázem ná płacz rzewny,
Forteca, Rządca, y Obywátele,
Ty czyń coś záczął, ſpieſz z wziętemi kárty,
Przebij ſię gwałtem przez mury, przez wárty.
Poleciał Poſeł, potężnie, kołace,
We drzwi Krolewſkie, wárta go odpycha,

Jdź precz proſtáku, nie wieſz, co Páłace,
Ten głośniey ięczy, kołace y wzdycha,
Mowią powtornie: że Krol w gábinecie,
Jmportun do drzwi dobywa ſię przecie.
Słyſzy Krolewicz, że ſię żołnierz ſwárzy,
Z iakimś żebrákiem, że mu weyścia broni,
Ani obáczyć nie pozwála twárzy
Dobrego Pána, ktory iey nie ſchroni,
Przed náypodleyſzym, byle prosił ſzczerze
Bez kłamſtwa, ſkutek jałmużny odbierze.
Otworzy pokoy, zá progiem poſłańca
Spyta, z kąd ieſteś, czego potrzebuieſz ?
Ten weſtchnie mowiąc: że mnie tu wygnańca,
Duſza wyſłáła, ieźli ſię zmiłuieſz
Nád iey uboſtwem, y przyimieſz odemnie,
Supplikę, żebym nie odſzedł dáremnie.
Wſzak żeś ią ſtworzył, wieſz, że ieſt nie czyią,
Tylko do ciebie ſamego należy,
Jey ſię choroby przed Tobą nie ſkryią,
Więc iáko Jeleń do żywych wod bieży,
Balſamem z Ran Twych iey wrzody náſmaruy,
Gniew uśmierz, grzechy przewinioney dáruy.
Wſzák wieſz, żeś iey dał wieczną nieśmiertelność,
Niechże przed Tobą żyie, niech nie gaśnie,

Kiedy ći ſamę wyznaie rzetelność,
Gdy wednie płacze, gdy w nocy nie zaśnie,
Gdy wyſchła iák wior, gdy zwiędła iak siano,
Gdy zámiaſt roſy łzy piie co ráno.
Zná to do ſiebie, że iey láta z cieniem,
Znikneły, że dni ná wiatr poſzły z dymem,
Zná to, że ona ſama ieſt zgorſzeniem
Poddanym ſobie, że ona *Kaimem*
Stáła ſię dla nich ſwych rodzonych Braci,
Ona zá wſzyſtkich pokutą wypłaci.
Rzekł Pan: wnidź, do mnie, przeczytam, co piſze,
Niewdzięczna moia, zła Oblubienica,
Głos ſtękaiący gdy z iaſkini ſłyſzę,
Mam litość, że to ta Synogarlica,
Ktora kochanka utráciwſzy ſzuka,
Serce ſię z żalu w sierocie rozpuka.
Obáczę, ieźli do mnie ſię powráca,
Poznam ſtyl, koncept moiey ukochaney,
Alić czytanie, w pierwſzym wierſzu ſkráca,
Niechce iey mártwić w rzeczy pożądaney,
Jle poznáwſzy właſne charaktery,
Swey miłey, łzámi oblane litery.
Wyprawia Poſła po Audyencyi,
Leć ſzybko żebyś, pokázał, coś ſpráwił,
Opo-

Opowiedz Duszy y iey Regencyi,
Zem cię z responsem nie długo zábawił,
Pociesz strapionych, day rádość zá smutek,
Czego prágneli, odebráli skutek.
Wziąwszy odpowiedź Goniec podziękuie
Maiestatowi, raźno się záwinął,
Z dobrą nowiną wyżey wylátuie,
Ażeby sporzey y bieżał y płynął,
Sandałki zrzucił, pior orlich pożyczył,
Delfin go w gładkim pływaniu wyćwiczył.
Stánął przed Duszą, puszczony z pod prasy,
Czoło skropione potem, á twárz bláda,
Wspomniawszy strachu minionego czasy,
Co zyskał, ledwo w godzinę powiada,
Usta mu wyschły, ięzyk zdrętwiał, kiedy
Pomyśli, iákiey w drodze zażył biedy.
Spocznie, cokolwiek westchnięnie strudzone,
Oddycha prętko y piersiami robi,
Mdłe oczy pośle w tę y w owę stronę,
Nim usta ięzyk do słow przysposobi,
Nim prochem szátę nábitą wyczesze,
Nim się poschodzą Regencyi rzesze.
Czeka w prágnięniu Pacyentka chora,
Ná oschłość swoię, ná przykre skrupuły,
Rece-

Recepty zdrowia w Pośle od Doktora,
Pátrzy czy słoyka dobywa z szkátuły,
Niewie czy iey śmierć, czy życia nádzieie
Przyniosł? więc nią wiatr iáko trzciną chwieie.
Pozna wzdychanie, że się Dusza trwoży,
Rzecze: nie boy się, położ ufność w Stworcy,
Jnszy sąd ludzki, inszy wyrok Boży,
Niech tu Fortecy twey stáną dozorcy,
Powiem y tobie, y im co Pan zlecił,
Zebym was w błędach będących oświecił,
Ná tych miast Dusza nie bawiąc kwádransu,
Ná wszystkich krzyknie groźliwie, ogromnie:
Słuchay co żywo mego ordynansu,
Wolo, rozumie, pámięć, śpieszcie do mnie,
Y wy pięć zmysłow y ty boiaźliwy,
Rachmistrzu! Poseł czeka niecierpliwy,
Szum wdzięczny powstał bez hałasu, grzmotu,
Gdy niewidome przybyły osoby,
Dusza się cieszy z ich do niey powrotu,
Ná czoło stáwić nie wiedzą kogoby,
Ten temu szepce, ten tego wypycha,
Jdź ty, ow niechce pić wstydu kielicha.
Wziął rozum śmiałość, oczy w Duszę wlepił,
Mowiąc: o Páni! o moia Rządczyni,

Rádbym moy tálent z robáczkiem záſklepił,
Co jedwab ſnuie, co pożytek czyni,
Jam paięczyny wił w pozorną krátkę,
Szczegulnie muchy z prácą łowiąc w siatkę.
Wſtyd mnie, żem błądził, że marna mamona
Ták wielką własność mnie daną zepſuła,
W tenże upádek, co y *Salomona*
Przywiodła, wnętrzne doſtátki wyſnuła
Ná ſamą prożność, lubom ią poymował,
Przecięż mi kąſek z trucizną ſmákował.
Wola bezwładna do nog duſzy pádnie,
Rzewno: zápłacze ná ſwoię ſwobodę,
Powiada żem iuż w piekle była nádnie,
Dopiero iákąś uczułam ochłodę,
Wrácam do ciebie, ty mną rządź, ty kieruy,
Ty námiętności bezbożne moderuy.
Nic niepozwalay co widziſz z mą zgubą,
Nie puść mnie,gdzie chcę,zábroń mi gościnca
Ktory prowadzi wolą w ciemność grubą,
Zprowadź z tey ścieſzki, co nią ſzedł złoczyńca,
Jeźli wylecę, przytrzyi lotne piorko,
Chceſzli, złam ſkrzydło mądra Dyrektorko.
Ocknie ſię pámięć, powieki przeciera,
Záſpáła w kącie, nie wie iák czas zbieżał,
Dopie-

Dópiero nogi zá drugiemi zbiera,
Pytaiąc kto z nich do kogo náleżał,
Rozum y wola iuż ſtoią przed Duſzą,
O przywroceniu pámięći nie tuſzą.
Przybyła śpiocha, przecię ſię ozwáła,
Przewlokłą mową, wybacz moia Pani,
Zem wraz z myślami kędyś zabłąkała,
Ledwom uciekła z piekielney otchłani,
Gdzie mnie ſądzono ná tęgie práſzczęta,
Zá to, że pámięć piekła nie pamięta.
Stáwam przed tobą z rozumem y wolą,
Bogini náſza! brońże nas potężnie,
Niech zdráycy nasi oczu nam nie kolą,
Ześ mi ſię oprzeć nie umieli mężnie,
Rozum ći przyrzekł, wolać poprzyſięgła,
Pamięć wraz z niemi ná wierność ſię ſprzęgła.
Będę pámiętać, ná co nas BOG ſtworzył,
Już nie zápomnę o piekle, o Niebie,
Choćby czás náſze mięſzkánie umorzył,
Ja záwſze będę náleżeć do ciebie,
Będę pámiętać, że Pan naſz obrońca,
Będę pámiętać, że wieczność bez końca.
A náoſtatek przychodzą pięć zmyſłow,
Twárzy okryte maiąc w báwełnice,

Stáną zdáleka, grymasow, wymysłow,
W żadnym nie widać, bo ſą niewolnice
Bogátey Duſzy, ktorzy ią zdrádzili,
Nieprzyiaciołom Brámy otworzyli.
Skłaniaią głowy, o coś prosząc milczą,
Ziadł pies pieczęnią, zna że kárę winien,
Szpetnie owieczkom brać ná ſię sierść wilczą,
Każdy zwierzchności ſwey słuchać powinien,
Uznáły zmysły, że Duſzy podległe,
Wrácaią do niey buntowniki zbiegłe.
Słucha wzdychanie, iuż więcey nie słyſzy,
Mowiących, rzecze: kiedyście zkończyli
Rzecz ſwoię, teraz niechay ſię uciſzy,
Zebyście więcey bliźnich nie gorszyli,
Zámkniy ich w ſiebie Forteco, weź klucze,
Pilnuy ie lepiey, á iacię náuczę.
Ják bronić Zámku, iák Brámy opátrzyć,
Ják straz przy skrytych wycieczkach oſadzać,
Ják czuć, gdyby miał nieprzyiaciel nátrzyć,
Ják zdráycę poznać, gdy by cię chciał zdrádzać,
Ják szańce psować, iák miny rozwálać,
Ják mu przystępu nigdzie nie pozwálać.
Tyś Duſzo Panią, tyś w ſwey mocy dzielną,
Tyś cud wszechmocney woli wypełniony,
Tyś

Tyś bydź powinna y czułą y pilną,
Ná ſwych poddanych, bo maſz pozwolony
Rząd nád wſzyſtkiemi nápomnienie ciche,
Ty bądź pokorną, nie podnoś ſię wpychę.
Mądrość zow głupſtwem, kiedy ći źle rádzi,
Pámięć oślicą tylko o obroku
Myślącą, wolą źrzebcem zwać nie wadzi
Szálonym, á zaś zmyſłom uchu, oku,
Rękom, ſmakowi, zabroń tam gdzie zguba,
Niech powonienie nie ſwſzędzie nos wściuba.
Sumięnia ſłuchay, kiedy cię ſtrofuie,
Nie zátykay mu gęby, nieodgrażay
Krnąbrnością, owſzem czegoć zákazuie,
Nie czyń, á ſłuſzność ſamę pilnie zważay,
Bo ten ſzczegulnie twoy przyiaciel práwy,
Choć ći nie miły, y zda ſię bydź żwawy.
A kiedym wam tę exortę powiedział,
Teraz ſłuchaycie, com w Poſelſtwie zyſkał,
Lubom zá drzwiami kilka godzin siedział,
Lubo ſupplikę Pan ná Ziemię ciſkał,
Przecięż ták długo kołacąc wzdychałem,
Poki ſłow, w nidź ſam, tych nie uſłyſzałem.
Zádrzały nogi, gdym przed Majeſtatem
Stánął, ſam niewiem, z kąd záczą́ć, co czynić,

Dopierom poznał, z iák trudnym tráktatem,
Byłem wysłany, záczołem się winić
Z podiętey spráwy, strach mnie nie pomału,
Przeiął, żem śmiał wniść przed sąd Trybunału.
Duch wemnie ożył, ktory był osłabiáł,
Bom iuż y westchnąć nie mogł áni rázu,
Gdyby mię był BOG dobrocią niezwabiał,
Ustnego do was nie zlecił rozkazu,
Ażeby mnie się czym prędzey skárałkał,
Mile przytulił, iák Ociec pogłaskał.
Jdź powiedz Duszy: że iey szczera skrucha,
Łáskawość moię umiała zniewolić,
Zbyła pokutą ciężkiego łancucha,
Ná grzechow odpust musiałem pozwolić,
Ma szczęście, że się záwczasu postrzegła,
Tam powrociła, z kąd zuchwále zbiegła.
Práwda, że była ná piekło skázana,
Zá wielość zbytkow, zá wytworne zbrodnie,
Mnie odstąpiła, służbę u szátana
Przyiąwszy, więc ią sumięnia pochodnie,
Ná całą wieczność piec miały ź tey winy,
Ze do odstępstwa nie miała przyczyny.
Dobrodzieystw moich stáła się niewdzięczną,
Skarby w nią wlane miotała zá płoty,

Záwſze przeciwną, w niczym mi nieſzczerą,
Była, chwálić mnie nie miała ochoty,
Jam codzień z rąk mych dáry dla niey ſypał.
Zá to iey język Imię moie ſzczypał.
Ale to wſzyſtko odpuſzczam, daruię,
Kochać ią będę iáko Mátka dziecię,
Serce iey właſne náznak ofiaruię,
Ze w mym Króleſtwie nowe zácznie życie,
Byle miłością oddała zá miłość, (łość.
Zbrzydziwſzy ſobie przeſzłych grzechow zgni-
Otoż com ſpráwił, rzetelnie powiadam,
Ale was proſzę w nádzieię wzdychania,
Niegrzeſzciez bo ia iuż w Duſzy oſiadam
Ná odpoczynek, przyłozcie ſtárania
Mnie nie turbować, bo waſze afery,
Nie záwſze w puſzczą do Antykamery.
Krzykną w raz wſzyſcy: o *Ambasadorze*!
Tożeś ſzczęśliwy, ſpráwny y wymowny,
Godzieneś bywać ná Krolewſkim Dworze,
Niech świat pokaże, ieżelić ieſt rowny,
Krola przebłagać, łáſkę ziednać zdráycom,
Niebo uprosić jego winowaycom.
Záwoła Duſza, pádniymy ná Twárzy,
Dziękuymy Stworcy, Pánu, oraz BOGU,

Ze

Że dobrotliwie námi gospodárzy,
Od piekielnego odprowadza progu,
Dziękuymy, że nas ukochał złośnikow,
Zbáwić obiecał zginionych grzesznikow.
Záłuy z nas każdy, ia będę zosobna,
Záłować bom go nád wszystkich náywięcey
Gniewáła, ale że rzecz nie podobna
Nádgrodzić, choćbym lát dziesięć tysięcy
Pokutowáła, dosyć nie uczynię,
Godności Boskiey, y mey wielkiey winie.
Przyrzekam od tąd niewrácać do grzechu,
Prędzey do piekła wskoczyć się odważę,
Niż z szátanami przystánę do cechu,
Lub dobrowolnie Majestat obrażę,
Przyim ten cyrograf moy Boże odemnie,
Ja w Tobie mięszkać będę, aty wemnie.
Ażeś Fundator tey Fortecy Boże,
Bądź Kommendantem, miey Zwierzchność nádemną,
Já rządy moie pod Twe nogi złoże,
Ty mną dysponuy, ty czyń, iák chcesz zemną,
Niech się od ciebie, iák mam żyć, náuczę,
Teraz weź proszę z rąk mych od niey klucze.



SNO-

SNOPEK

Ná polu życia ludzkiego, związany, przez śmierć ſtarożytną Goſpodynią, ktora ſpotkawſzy ſię w puſzczy z Puſtelnicą, wzaiem z ſobą rozmawiaią, śmierć ciekawey Penitentce moc y właſność ſwoię opowiada.

W *Karpackiey* puſzczy *Sylwia* mięſzkáła,
Młodości życia opłákuiąc zbrodnie,
Gdy ſię po między ſkałmi przechádzała,
Myśli o śmierći, ktora niezáwodnie
Przyidzie do wſzyſtkich, kto ſię tylko rodził,
Czyli go Ceſarz, Krol, czy Xiążę ſpłodził,
Czyli Senator, Szlachcić, czyli Kupiec,
Czyto Rzemieślnik, czyli proſty chłopek,
Czyto Filozof, czy bezmozgi głupiec,
Zárowno ich śmierć w ieden zwiąże ſnopek
Ciebie toż ſamo *Sylwio* nie minie
Gdy czas rozkaże ſtánąć ná terminie.
Puściła w głębią myśl, iák w przepaść morza,
Práwie od zmyſłow grzeſznica odeſzła
Już ſię gotuie ná świt ranna zorza,
Ta w ciemne mieyſce gęſtey puſzczy weſzła.

Kiedy usłyszy między liściem szelest,
Rozumie zwierza, w kilku krokach że iest.
Postrzeże z boku przychodzącą lwicę,
Uciekać rádzi boiaźn náturalna,
Poty iák w łaźni biorą Pustelnicę,
Widzi, że scena czeka ią fatalna,
Serce drzy, pulsy pomieszane kłucą,
W ostátnią rozpacz mdłą *Sylwią* wrzucą.
Alić strach odszedł, śmiałość przystąpiła,
Kiedy z drapieżney bestyi, twárz człeka,
W poł obumarła Pani obaczyła,
Już się nie lęka nie drzy, nie ucieka,
Bo otrząsnąwszy sierść zwierza z pazury,
Ludzkość przybráła, Lwiey zbyła figury.
Práwda, że strászna, wyschła, názbyt blada,
Junktury żyłmi iák drutami śpiętę,
Znać nigdy nie śpi, nie piie, nie iada,
Wnętrzności widać przez żebra wygięte,
Gdzie oczy były, tam głębokie doły,
Tam gdzie mozg mieszkał, iákby nálał smoły.
Chusta przez biodra brudna przepasana,
Czy z prześcieradła czy z gniłey koszuli,
Ledwie co chude zákryła kolana,
Gdzie kiedy było coś, to kryie, tuli,

Uznać

Uznać nie mogła w ſtráchu Puſtelnicá,
Jeźli był ſamiec, álboli ſamica.
Nogi zbyt długie, cienkie, przytym boſe,
Ręce iák cepy przyprâwione wiſzą,
Jednak dość oſtrą piaſtowały kosę,
Wiatry ie wznoſzą, iák trzcinę kołyſzą,
A te bez końca iakieś prochy mielą
W dwoch ſzkiełkách niby duſzę z ciałem dzie- (lą.
Snopek pod pachą z rożnego zboż ziarna,
Trzyma, powroſłem opaſan do koła,
Bliſko niey ſtoią prácowite żarna,
Paprzyca kámień kręcąc, gwałtu woła,
Bez ſmarowidła darmo piſzczy, ſkrzypie,
Bo ta nie ſłucha, ziarno w dziurę ſypie.
Przeraził widok *Sylwią* niezwykły,
Spoyźrzy z zádrzewa, wſpiąwſzy ſię ná palce,
Czy też młynárka zmiele kłoſek nikły,
Aż z niego sieczka, cźcźe lecą káwalce,
Ledwie trzy ziarka ná mąkę wypádły,
Plewy, z ościami ná błocie osiadły.
Poznáła záraz, że cáłego życia,
Jey kreſcencya, ni młotna, ni kopna,
Náwet okłotow zgodnych do poſzycia
Gumna nie maiąc, przeyźry ſię roſtropna,
 W wnę-

W wnętrznym zwierciedle prożnego ſzpichlerza
Ze z niego długow miarą nie odmierza.
Widzi że nie żart, y że nię przelewki,
Sciſły ráchunek dać trzeba koſtnicy,
Jákie kto z młodu zasiewał przysiewki,
Czy chwaſt wyrzucał z pomiędzy pſzenicy,
Czy żyto czyścił młynkami, przetáki,
Pokażą z mąki czárnych chlebow znáki.
Záczym przyſtąpi *Sylwia* z otuchą,
Do ſtráſzney Páni, áni oka zmruży,
Záczyna mowić z ową Lárwą ſuchą,
Spyta: iáko iey zdrowie w puſzczy ſłuży?
Potym: z kąd idzie, kto ieſt? dokąd dąży?
Czemu po dzikiey zároślinie krąży?
Ta ſię uśmiechnie z táką przyiemnością,
Uſta od ucha do ucha rozſzerzy,
Ják kiedy wyżeł udławiony kością,
Zęby wylazłe z dziąſeł gdy wyſzczerzy,
Odrzekłaby ſię grzeſznica rozmowy,
Brzydkie ſtráſzydło záczepiwſzy ſłowy,
Ktore iey rzecze: iák ſię maſz kochána
Sylwio? dáwno ſzukam cię po świecie
W książęcych dworach, á tyś zábłąkána
W ſkáłach bezdrożnych, czas o tobie plecie,
Ze

Ze mnie śię boiſz iák pierzchliwa ſarna,
Smiechu ieſt godna twoia trwoga marna.
Siądź ieno zemną, pogadaymy wzaiem,
Uznaſz, że krzywdę czynią mi Malarze,
Monſtrum mnie zowią nád ludzkim rodzaiem,
W dziwney mnie ſtroią ſzpetnośći máſzkarze,
Ja nic nikomu nie zrobię bez czaſu,
Tylko ſwoiego pilnuię kompaſu. (ſtwa,
Chceſz wiedzieć ktom ieſt? powiem ci bez kłam-
Smierć Imię moie: rádziłam śię w *Raju*,
Gdy *Adam* z *Ewą* wpádli wpráwołamſtwa,
Odtąd przybyłam z náywyżſzego kraju,
BOG Stworca wſzego ſtworzenia mnie kázał,
Scinać ſwym práwem, kto śię grzechem żmazał.
Náypierwſza była práktyka mey władze,
Gdym śię popiſać chciała ſwym rzemiosłem,
Kaima z *Ablem* rodnych Braći zwádzę,
Jeden drugiego páłką czyli wiosłem
W głowę zaiechał przez zázdrość, kiedy mu,
Záłował w gorę idącego dymu.
Teraz kiedy śię rod ludzki záplenił,
Przy długiey kosie noſzę oſtre brzytwy,
Krzaczek młodziuchny, byle zázielenił,
Zrzynam látorośl; álbo iák rybitwy,
Krą-

Krążąc nád wodą kieruią lot ſzybki,
Nie ſpodziewane biorą wgárdziel rybki.
Wiem żeś ciekáwa wiedzieć, co mam w ſnopku,
Wnet ći pokażę z mych zbiorow towáry,
Obáczyſz fanty iákowe w dorobku,
Od tych nábyłam, co poſzli ná mary,
Zdziwiſz ſię cudney *Sylwio* powieści,
Ják wielu w ſzczupłey więzi ſnopek mieści.
W tym ſię uwinie, y rażno zákrzątnie,
Smierć koło ſwoiey ná czátach zdobyczy,
Mieyſce do kramu oddmuchnie, uprzątnie,
Milionowe ſkarby miota, liczy,
Co od potopu świata do tąd bráła,
Oczom *Sylwij* wſzyſtko pokázała.
Náprzod troiſtey Korony dobędzie,
Ktora trzech Kroleſtw rządy známionuie,
Ta ná Papieſkiey gdy głowie osiędzie,
Chrześciańſkiemu światu rozkázuie,
Przy złotych kluczach z Paſtorałem dana,
Piotrowi, gdy wziął tytuł *Szambelana*.
Potym dobywa złoto, czyli mosiądz,
Co niegdyś Rzymſcy Ceſarze nosili
Ná ſkroniach, tego nikt rozumem dosiądz,
Nie może, czym ſię ták bárdzo ſzczycili,

Czyli zwycięſtwem do tych wiekow ſławnym,
Czy pośniedziałym metallem zbyt dawnym.
Jnnych bez liczby, w miſterney robocie,
Koron Krolewſkich, ſceptr wykłáda mnoſtwo,
Drogie kámienie oſadzone w złocie,
Ná nich pogańſkie ryſowane Boſtwo,
Mitry Xiążęce centkowane w bryze,
Mol futro ſtoczył, złote niechał Krzyże.
Wytrząſa z ſnopka mycki, kápeluſze,
Kárdynalſkiego doſtoieńſtwa kolor,
Piękne Szkárłaty, świętne Palliuſze,
Jnfuły z złotem potráciły polor,
Biſkupich Krzyżow, pierścieni bez liku,
Y tyś z Rokietą w ſnopku Kánoniku.
Pokaże łancuch złączony ogniwy,
Czoło orderow pryncypalnych Oſob,
Ná tym w poł wisi *Baranek* iák żywy,
Uczczenia godnych Káwalerow ſpoſob,
Złotym go runem ſtárożytność ona,
Od *Kolchow* zowie czy od *Gedeona*.
Wyimie Hetmańſkich Buław ze trzy kopy,
Bończukow tyleż, Buzdyganow, tárczy,
Z Przyłbic, z Misiurek ſkłada grube ſnopy,
Oko *Sylwij* doyzrzeć nie wyſtárczy,

Wiele

Wiele Kiryſsow, Kárwaſzow, Pancerzow,
Szábel, dzid, ſtrzelby, pobráłá z Rycerzow.
Y co wymyślił rozum rzemieślniczy,
Zbroy twárdych, mocnych, ku ludzkiey obronie,
Smierć to zá śmiecie, zá wiory policzy, (nie,
W niey wſzyſtko zniknie, w niey wperzynę ſpło-
Z Senatu Krzesłá, purpurowe togi,
Spełzły w kolorze, proch przytrząſł wyłogi.
Otoż, *Smieć* rzecze: maſz duſzny pożytek,
Puſtelniczego *Sylwio* mięſzkánia,
Widziałaś ná co świeckiey ſławy zbytek,
Wychodzi, gdy ią czas umbrą záſłania,
Ná końcu świeći iák w káganku knotek,
Ták Pan umiera iák żebrak, iák kmiotek.
Jużeś widziałá rzeczy prożney chwáły,
O co ſię ludzie ſtáraią iedynie,
Oczy ich, grube mgły pozáſłaniały,
Uſzy zámknięte iáko dwie iaſkinie,
Niechcąc o *śmierći* żadney ſłyſzeć wzmianki,
Ze iey BOG práwo dał, burzyć lepianki.
Teraz ći właſność ſił moich odſłonię,
Moiey wolności, mego beſpieczeńſtwa,
Já ſię przed nikim nie kryię, nie chronię,
Ná ſzparze trzymam świeckie doſtoieńſtwa,

Jeden Pan tylko mną rządzi, y jemu,
Posłuszną, iestem á więcey żadnemu.
Potencyi woyska náymniey się nie boię,
Monarchow wpędzam z Páłacow do skrzynki,
O korrupcye tym więcey nie stoię,
Zá plewy ważę drogie upominki,
Nikt mnie w łákomstwa grzechu nie postrzeże,
Ktoby rzekł, że śmierć Pánom mięszki rzeże?
Smiałam, bo gdzie chcę tam sobie otworzę,
Fortece murem, skáłą obwiedzione,
W nich Komendantow náypierwey pomorzę,
Potym straż czułą y cáłą obronę,
Mogę snem uśpić, gdy się mor rozszerzy,
Zámki mieszkániem będą niedoperzy.
Nie pysznam, chociaż sama się pochwálę,
Ze náyuboższey cháty nie ominę,
Znaią mnie babskie, dziadowskie szpitale,
W ieden wor kłádę aksamit, płachcinę,
Ná szczupły powoz, ná wywrotne táczki,
Biorę náypierwsze Damy, biorę práczki.
Mocnam, bo komuż ták státecznie sprzyia,
Jáko mnie szczęście od świata początku?
Bez rewolucyi moia Monarchia,
Wszystko iák z kłębka idzie w swym porządku

Zádney w mych rządach nie bywa odmiany,
Choć mam w komendzie wſzelkich ludzi ſtány.
Słuchać mnie muſzą, kogo tylko wołam
Do marſzu záraz iść każdy gotowy,
Záwiłe ſpráwy uſpokoić zdołam,
Nie pytam oto, kto chory, kto zdrowy,
Częſto weſołych, częſtuiących zmykam,
Z melancholikiem graſsanta zámykam,
Pełnam litości nád ludzką chorobą,
Drwię z Aptekarzow, Felczerow, Doktora,
Y z Alchimiſty: ktorzy ſwoią probą,
Jáko dla bydląt zażyią topora,
Já tych ięczących kálectw znieść nie mogę,
Skrácam ich bole biorąc z ſobą w drogę.
Ciż ſami głupcy umárłego brzucha,
Exekutormi robią ſię dla wziątku,
Porą wnętrzności, upátruią ducha,
Ktorędy wyſzedł, mniey maiąc rozſądku,
Ná Boſkie práwo przy śmiertelnych znákach,
Szlákuią duſzę z życiem w ſkrzepłych flakach.
Potym bálſamy, alòésy, mirry,
W prożne kádłuby, prożnieyſze perfumy,
Ponaſypuią, z kąd będzie ſmrod ſzczyry,
Zá ktory biorą Aptekárze ſumy,

Z ludzkiego ciała zrobiwſzy abuchty,
Z reſztą wyprawią do Kościelney kruchty.
O iákie głupſtwo! kiedy báłwochwalcow,
Swiat Chrześciańſki przeiął obyczaie,
Ci nárąbáwſzy rożnych miąs káwalcow,
Bies im prognoſtyk z pluc, z wątroby, daie,
My gorsi od nich, bo nie z bydląt bierzem,
Wrożkę, lecz z ludzi, znać w BOGA nie wierzem:
Ze ten włáſnego ná śmierć wydał Syna,
Zá grzech Rodzicow náſzych popełniony,
Ta nas w grob wtłacza zuchwáłości wina,
Czegoż w wnętrznościach gmerze człek ſzálony,
Znać od *Longina* wziął tyrańſtwa modę,
Umárłym z boku wypuſzczać krew, wodę.
Jeſzcze ći więcey *Sylwio* obiawię:
Rzecze *Smierć*, tylko ſłuchay mnie cierpliwie,
Smákować będzieſz iák w dobrey potrawie,
Gdyć bez przydatku opowiem práwdziwie,
Jle ia, ktora wolne paſy wſzędy,
Maiąc do przeyścia, wiem kto mięſzka kędy.
Bywam ná morzu, Oceanu głębią,
Nie raz aż do dna gruntowałam śmiele,
Gdy ná okrętach fale ludzi gnębią,
Ja im w przepaści wprzod mieyſce ścielę,

Jednych pozwálam chwytać wielorybom,
Drugich posyłam przepaścistym szybom.
Bywam ná łowach, bo gdy *Karol* szosty,
Cesarz polował z swoim faworytem,
Jam się ukryła między gęste chrosty,
Pan chćiwy łowić z muszkietem nábitem,
Stoiąc, iam ná cel stáwiła Xiążęcia,
Strzelił weń zámiast dzikiego zwierzęcia.
Bywam w Klasztorach u wszech Zakonnikow,
Znaią mnie rożnych reguł Zákonnice,
Nie minę w ciemnych skáłach Pustelnikow,
Wiem gdzie się kryią święte Pustelnice,
Bywam pod ziemią,gdzie kto kruszce kopie,
Náyskrytsze mieysca wyśledzę wytropię.
Jednym terminem: zwać peregrynantką,
Każdy mnie może, w światowym cyrkule,
Ja się bydź sądzę potężną Regnantką,
Nikt mnie ukrzywdzić nie może w tytule,
Zebym nie była Panią pełnomocną,
Wschodnią, Záchodnią, Południa, Połnocną.
Czemuż się człowiek tey władzy opiera?
Ktorą mi oddał mocnieyszy odemnie,
Umierać niechce, z rąk Boskich wydziera,
Miłością życia przywiązan dáremnie,

Ják

Jákby dziedzictwem świat ſobie zákupił,
Gdy nie iednego z fortuny obłupił.
Ucieka proſták, kryie ſię y chroni,
Náywyżſzym rządom kaſsuie uſtáwę,
Nie wierzy, że go śmierć wſzędzie dogoni,
Ná máry włoży cáłą iego ſłáwę,
Przez tęgi wicher złámanego balku,
Ná wązkim Pána mieści kátafalku,
Pewny *Poganin* przytym wielki *Bogacz*,
Miał przez bałwana prognoſtyk: że mury,
Zábic go miały, kázał upiec kołacz,
By mu wyſtárczył w żywności czas ktury, (chu,
Wſzedł w czyſte pola niechcąc mięſzkać w gma-
Boiąc ſię náwet drewnianego dachu,
Gdy kilką dniami prognoſtyk uchybił,
Ucieſzon ſtárzec, w tym orzeł wpázury,
Porwáwſzy żołwia, z niem ſię w gorę wybił,
Wzrok mu zmyliły mgły z grubemi chmury,
Widząc z wyſoka głowę ołysiałą,
Sądził ią głazem, czyli twárdą ſkáłą,
Zgłodniały orzeł ná kámień wymierzył,
Chcąc żołwia rozbić, appetyt zbyć fraſzką,
Bogácza w głowę ták mocno uderzył,
Ze ſię ſkorupa powitáła z czaſzką,

Zołw zoſtał zdrowy, ſtárzec umorzony,
Maiąc mozg zbity z mieyſca náruſzony,
Drugi *Poganin* z wrozki zábobonney,
Miał pewność śmierći od lwa ná puſtyni,
Mieſzkał ná wieży wyſokiey, obronney,
Kroku iednego zá mur nie uczyni,
W codziennym ſtráchu młode ciało ſuſzy,
Rozumie, że lew, kiedy ſię myſz ruſzy.
W tym dzień ſzátańſkiey wieſzczby kiedy minął,
Weſoły młodzian, kontent że już wygrał,
Gdy w náznaczoney godzinie nie zginął,
W pieknę ſię ſzáty zbyt bogato przybrał,
Zápraſza gości, przyiacioł, pokrewnych,
By mu tryumfow dopomogli pewnych.
W dobrym humorze ie, tańcuie, piie,
Wſzyſtkim záleca ochotę, y rzecze,
Niechże ſię teraz lew przedemną kryie,
Gdzie go nápotkam, z rąk mi nie uciecze,
Dam mu oſzczepem w bok, lub kulą twárdą,
Náuczę z Pány grać beſtyą hárdą.
Nieſzczęściem poſtrzegł obraz malowany,
Ná ktorym był lew z otwártą páſzczęką,
Panicz z furyą, przybiegłſzy do ściany,
Uderzy pięścią impetyczną ręką,

Tra-

Tráfił ná oſtry ćwiek ukryty w płutnie,
Ten mu zá kilka godzin życie utnie,
Ceſarz Turecki, Corkę ulubioną,
Nád inne dzieci ktorych miáł doſtátkiem,
Z náymilſzą ſobie zaślubioną żoną,
Spłodziwſzy, kiedy śmierć nágłym przypadkiem,
Mátkę zábráła, zoſtáwiwſzy dzićie,
Ná wdzięczność Oycu záchowała życie.
Záłoſny Ceſarz do grobowey deſzczki,
Kochaiąc Zonę y tę Corkę nie mniey,
Sprowádza zewſząd doświadczone wieſzczki,
Zeby wrożyli iáko náyforemniey,
Fortunne láta, zdrowie bez choroby,
Z twárzy y z oczu dochodzili proby.
Wzięli kuglárze dziecko ná poduſzkę,
Jáko niewinne ſtworzenie na rożnie,
Ná wſzyſtkie ſtrony obrocą, ten nużkę,
Ow rączkę bierze, ow pátrzy oſtrożnie,
Przez okuláry ná żyłki ſubtelne,
Jeżli ſą ſłabe, álbo nieśmiertelne.
Z tych ieden mędrzec głupiego ćwiczenia,
Oczy przewroći, uſta śliną śpieni,
Szátan mu długie nákazał milczenia,
Rzuca ſię, gdy więc bez zmyſłow ſzáleni,

Macho-

Machomet kłamca w ten czas z nim rozmawiał,
Sukces dziecięcy przez *Mołnę* obiawiał.
Powſtánie zwodnik iákoby z letárgu,
Przeciera ze ſnu powieki nábrzmiałe,
Niedziw, bo w piekle pił lidkup ná tárgu,
Práwi nowiny dymem okopciałe,
Jęka ſię, krztusi, ſłow dobyć nie może,
Aż mu podziemny magiſter pomoże
Do odpowiedzi Ceſarſkiey dziecinie:
Ze iey ſtrzedz trzeba iák zrzenicy z okiem,
Smierć z ukąſzenia węża iey nie minie,
W ogrodach niechay nie poſtąpi krokiem,
To wyzionąwſzy Prorok z puſtey gęby,
Znowu zámilczał, znowu záciął żęby.
Ceſarz to ſłyſząc, rozkázał co prędzy,
Ná czárnym morzu wyſtawić altankę,
Odłożył náto nie máło pieniędzy,
Zeby od węża broniła *Sołtankę*,
Ciosány kámień kwádratową fozą,
Spoiwſzy, y tam máłe dziecko wiozą.
Mieſzka Panienka zámknięta iák w ſkrzyni,
Nikt tam nie poſtał, bo zákaz pod gárdłem,
Tylko z nią iedna ſtára Ochmiſtrzyni,
Druga do usług zwána z wroſtu kárłem,

Ceſarz potráwy kłádąc do koſzyka,
Właſną ie ręką ná kłodkę zámyka.
Ktore codziennie ſwey poſyłał Corce,
Co náylepſzego ſądził do iey ſmaku,
Jednego ná to obráwſzy dozorce,
By ná ſpuſzczonym koſzyk wieſzał haku,
A ſtára Pani ciągnęła ku gorze,
Rożne przyſmáki ná iedwabnym ſznorze.
Ták ſię trafiło, że z *Egiptu* pono,
Czy z tąd, gdzie była ziemia obiecana,
Przyſłano Pánu nie widziane grono
Winnego fruktu, iákby układana
Rzecz była ręką ludzką, nie nátury,
Posłał go Ceſarz záraz dla ſwey Cury,
Łákoma Pánna ná piękne iagody,
Obráca grono, páluſzkami ſkubie,
Ani pomyśli że częſte przygody
W guſtownych rzeczach bywaią ku zgubie,
Ukryty wężyk żądło pełne iadu,
W pálcu záſadził choć nie znáła ſadu,
Prędko trucizna uczyniła ſkutek,
Gdy Ceſarzowna ledwie trzy godziny,
Zyła, z kąd Ociec wpádł w nieznośny ſmutek,
Po cáłym Pańſtwie látały nowiny,

Ják ſą prawdziwe guſła w *Alkoranie*,
Komu powroży wieſzczek, ták ſię ſtanie.
Zważże *Sylwio*, śmierć rzecze: to głupſtwo,
Co ludzi w ſzpetne wprowadza mamony,
W iákim kredycie u nich czártokupſtwo,
Cudzych wzywaiąc Bogow do obrony,
Czárownik ſzepce, po powietrzu kryśli,
Co zá to weźmie, nie wypuści z myśli.
W zwyczay to weſzło u dawnych Poganow,
Czy ſię kto rodził, czy młodo umierał,
Pytano záraz kámiennych báłwanow,
Zły duch ich wiarę podłą mocno wſpierał,
Mowiąc przez owo bezduſzne bożyſzcze,
To co wam powiem, ſamą rzeczą ziſzczę.
Wſtyd mnie, *Sylwio*, krążąc w okolicy,
Tobie powiedzieć, co ſłyſzę, co widzę,
Że ſię znáyduią tacy kátolicy,
Tych ſobie rowno z żydami obrzydzę,
Gdy znaiąc BOGA, maiąc przykázanie,
Práwdy ſzukaią w nieżywym báłwanie.
Ochrzciwſzy, wroga w Imię polityczne,
Co w dłoniach liniy długoletnich ſzuka,
Że ten zábawy ma kabáliſtyczne,
Nie ſą to guſła, ále mądrych ſztuka,

Y láda pielgrzym byle w ſzárym ſuknie,
Już ći prorokiem, grzech ma, kto nań fuknie.
Pytania w rożnych máteryach záczną,
Jedni czy długo żyć będą ná świecie,
Drudzy czy będą mieć fortunę znáczną,
Ten zá pieniądze, iák ná mękach plecie,
Damy o Mężow, o dzieci pytaią,
Wdowy, ieźli ſię drugich doczekaią.
Ja náto pátrząc od śmiechu ſię pukam,
Z komedyi, ktore graią na teatrach
Swiatowych, bo ie w kilka dni oſzukam,
Nádzieię ſtłukę záłożoną w wiatrach,
Ten co mu wieſzczbiarz ſto lát w kryſkach ná- (dał,
Dziś umrze, áni ſobą będzie władał.
Y tego, co ſię dziś brał do Korony,
Y tę, co Mitrę ſadzała ná głowie,
Jutro w grob wtrącę, ſtárym młode żony
Zábiorę, dzieći iák myſzy wyłowię,
Ná koniec tego, co ſetnych lát żagle
Roſpuścił, w kwádrans zámorduię nágle,
Coż náto mowiſz *Sylwio*? co ſłyſzyſz,
Z uſt moich, pewnie przechodzą cię mory,
Ják zwierz poſzczwány ták ſapiſz, ták dyſzyſz,
Przecię iść musiſz do Xiężey obory,
Ff 2 Choć-

Choćbyś przeżyła w látach *Matuzala*,
Punkt ieden duſzę od ciała oddála.
Czemu ſię trwożyſz? y czemu unikaſz
Od tego? co cię żyiącą nie minie,
Co rok, co mieſiąc, bliżey kreſs przymykaſz,
Jndex ſkázuie ná każdey godzinie,
Ześ codzień ſtárſza, nádſłabiałe siły
Krotkość ći życia, znáki ogłosiły.
Do mnie ſię uday, odemnie recepty
Nábądź *Sylwio* ná wewnętrzne ſtráchy,
Mnie wierz, że moie niezáwodne ſzepty,
Uzbroy ánimuſz na przyſzłe zámachy,
Zdáy wolą twoię pod náywyżſze rządy,
Przebrnieſz głębiny, wiry, wárty, prądy.
Zyi, ták iákobyś umieráła codzień,
Nie ufay zdrowiu, owſzem w ciele choruy,
Niech cię nie łudzi lekárſtwami zwodzien,
Dla czerſtwey Duſzy drogę w Niebo toruy,
By nie siedziała oſadzona w wieży,
Ty żyiąc odday, co komu náleży.
Częſto przetrząſay záſtarzałe śmiecie,
Záłuy zá zbiory wyki, y kąkolu,
Plewę wiatr porwie, ſtokłoſa wyleći,
Ale ten ciężar zoſtanie ſię w polu,

Przy-

Przyłoż ſtárania, żebyś czyſtą była,
Bym ſię zá ciebie w ſnopku nie wſtydziła.
Prágniy co moment widzieć ſwego Stworcę,
Ten cię ná cáłą wieczność uſzczęśliwi,
Proś, by ſtroż Anioł mieſzkał w twey komorce,
Tam záprowadził gdzie w BOGU ſą żywi,
Dni, nocy, niechay będą pożyczane,
Jákbyś mnie czuła przy ſobie o ścianę,
Co maſz do kogo urázy, niechęći,
Mow pacierz, wnet tam wynáydzieſz przyczynę,
Dla czego trzeba rugować z pámięći
Gniew, chceſzli żebyć odpuſzczono winę,
Nie z polityki ále z ſerca dáruy
Człeku, á BOGU ſwe krzywdy ofiáruy.
Nie wiąż ſię ſercem do dzieći, do wnucząt,
Bo krotkie z niemi ſą twoie pieſzczoty,
Wſpomniy, że Mátka odlatuie krucząt,
Choć to z przymuſu czyni nie z ochoty,
Boſkiemu oku odda dzieći z gniazdem,
Sama odległym zábawna odiazdem.
Chceſzli mnie ſłuchać *Sylwio*? coć rádzę,
Słuchayże, y czuy, by złodziey poćichu,
Nie podkopał ſię, kiedy w letkiey wádze
Przeſtrogi będą, nie dobrał wytrychu,

A nie otworzył, gdy zasnieſz náylepi,
Rozum ći zmąći, wzrok wpunkcie zaślepi.
Kiedy zaś codzień reflexyą krotką,
O mnie mieć będzieſz: że trzeba umierać,
Nie gorzką ći ſię ſtánę, ále ſłodką,
Jać ſama zechcę drzwi w Niebo otwierać,
Chyba że pilność ná ſnopek obrocą,
Zá płonny kłoſek *Sylwią* wymłocą.

TRZY MONARCHINIE

To ieſt

Zácność Urodzenia, Mądrość, y piękna Uroda,

Zdięte politowaniem nad pewną Damą, ktorey każdego udzieliwſzy talentu, z tym wſzyſtkim nieſzczęśliwą ją widząc, pytaią ſię Fortuny, z iakiey przyczyny ták zawzięta ieſt dla niey.

MONARCHINI ZACNOSCI URODZENIA.

TY! coś świat, Niebo ſtworzył, Ziemię, Morze,
Wſzechmocnym Słowem, dziwnym obmyśleniem
Xiężyc, Płanety, Gwiazdy, ránne zorze,
Dzień światłem dzieląc, á noc czárnym cięniem,
Y ná co ludzkie ſpoyźry oko zgoła,
Ześ tego Stworcą, wyznáwa y woła,

Pozwol mi ſpytać zuchwałey *Fortuny*,
W ſzák ta do twoiey należy kommendy,
Czyś iey w moc oddał gromy y pioruny ?
Czy wolno iey ſię roſpościerać wſzędy ?
Czy ma tę władzą z twoich ordynanſow,
Bydź Monarchinią y Pánią wákanſow ?
Wynioſłe cedry wichrom każe kruſzyć,
Ciernia y głogi áni ſię záchwieią,
Stoletne dęby z mocnych gruntow ruſzyć,
A trzciny ſtoią podparte nádzieią,
Ze choć ie burza aż do ziemi przygnie,
Prędko powſtánie, y głowę podźwignie.
Ten co nie dáwno pługiem, ſochą, rádłem,
Zákopanego ſzukał ſzczęścia w roli,
Zádną náuką, náwet abecadłem
Głowy nie złomał, oráczem bydź woli,
Słuſznie prácował y ſkiby przewrácał,
Bo w nich Szláchectwo y Herb ſwoy wywrácał.
Ten co zaś Mitry, Buławy, Infuły,
Miał zá dziedziczne ſplendory w ſwym Domu,
Też bryły ziemie z piaſkiem go záſuły,
Ze teraz ledwie śni ſię o tym komu,
Tyle pámięći wziął z ſwoiey Oyczyzny,
Grobow zároſłych mchem świadczą ſtárzyzny.

Stáwam ia przed Tron twoy Krolu y Pánie !
Z wiadomym tobie á zacnym ſtworzeniem,
Proſząc: chciey nád nim mieć politowanie,
Láſkawych oczu twych pocieſz weyzrzeniem,
Y nie dopuſzczay, by ta godna Dáma,
Nád wſzyſtkie byłá nieſzczęśliwa ſama.
Roſkázałeś, z nią dzielić ſię kleynotem
Tym, coś w ſkárb moich Antenatow złożył,
Nie ieden krwáwym chcąc go doſtać potem,
Honor z Fortuną, zdrowie z życiem łożył,
Nie dziw, że drogi bez ſzácunku w cenie,
Bo Imię jego znáczne urodzenie.
Więc gdyś tę Pánią ták pięknym tálentem,
Chciał udárować z między innych wielu,
Czemuż nią rzuca, iák błędnym okrętem,
Złe ſzczęście wſzyſtkim impetom ná celu?
Niewiem czy z twoiey dzieie ſię to woli,
Ze pod ſmycz przyſzła nieſzczęśliwey doli.
Ktora ią práwie z pieluch y kolibki,
Nie iáko Mátka, ále zła Màcocha,
Wzięła w opiekę, kraiąc chleba ſkibki,
Nád każdą ledwie nie płacze, nie ſzlocha,
Znać że przychylna z miny y poſtury,
Jákby ią z ſamey chciała odrzeć ſkury.

Wdálſzym iey wieku kwitnącey młodośći,
Coż zá roſkoſzy y uciech zażyie,
Pokárm codzienny z przykrych żądeł ośći,
Zdroiem łeż gorzkich te kąſki popije,
A w tych przyſmakach ten tylko guſt czuie,
Ze ſię nie nágle, lecz powoli truie.
Oſądźżę Pánie! ieżeli w mey ſpráwie
Fałſz y nieſłuſzne znáydzieſz dokumenta,
Maſz moc zupełną ukáráć mię żwawie,
Czy ſkázać ná śmierć, czyli okuć w pęta,
Já nigdy niechcę kolorem y bárwą,
Mieſzać ſię z iedną nieſtáteczną lárwą.

MONARCHINI MĄDROSCI.

Y Ja w tęż ſamę wybieram ſię drogę,
A zá Pátrona ſpráwiedliwość biorę
Do ſądow twoich, áni wątpić mogę,
Ze w ſłuſzney ſpráwie dasz Boże podporę,
Ktorać przełoży y żale y ſkárgi,
W iakie Fortuna wchodzi ze mną tárgi.
Jeſtem ta, coś mnie nád wſzyſtkie Boginie,
Ná pierwſzym ſtopniu przed światem poſtáwił,
Skárb moy tákowy, co żadney ruinie
Nie podległ, by go płomień *Etny* ſtráwił,

Morſkich wod nic mu niezáſzkodzą wáły,
Ani mol ſtoczy, ták mocny y trwáły!
Bezemnie żadna Ceſarſka Korona,
Ani Krolewſka, ná niczyiey głowie
Oſieść niemoże, woienna *Bellona*,
Zámyſłu ſwego nikomu nie powie,
Poki odemnie nie weźmie mandatu,
Czy do oſtrego brać ſię ma bułatu.
U mnie w ſchowaniu Senátorſkie Togi,
Krzeſła, Purpury, Szyſzáki, Ordery,
Kto tych ieſt godzien, poſtáwię ná nogi,
Oſadzę w rzędzie między Káwalery,
Y wſzyſtko, czym ſię Stan Rycerſki ſzczyći,
Z moich to ſkárbow ten im kleynot świeći.
Jákąż wymowkę znáydzie przywołána
Do ſądu twego Fortuna zázdroſna?
Jeźli odemnie będąc przekonána
Chłoſty nie weźmie? odeydę załoſna,
Aleć nie trácę nádzieie w wygráney,
Ze ią ukárzeſz z krzywdy mey uznáney.
Wieſz Pánie! cośmi zalecił ſurowie,
Abym mądrości ſwey połowę dáła,
Więcey nád inne iedney Białogłowie,
Z kąd złość nienáwiść ták ná mnie poſtáła,

Od

Od złey Fortuny, że w kąciku cicho,
Siedząc czekałam, aż minie to licho.
Ta wytrzymawszy pioruny y burze,
Moią náuką záczęła się rządzić,
Ná wszelkie fata w státeczney posturze,
Trwaiąc do końca niemoże pobłądzić,
Ktoż iey to wydrze? kto te pákta zerwie?
Co się dostáło tey mądrey *Minerwie*.

MONARCHINI PIĘKNOSCI.

GDy iuż dwie swoie Towárzyszki widzę,
Powrácaiące z sądow w dobrey minie,
Postoycie proszę: wszákże w iedney lidze
Z sobą chodziemy, ta wieść o nas słynie,
Ze gdzie się wszystkie trzy zeydziemy rázem,
Swiat wojuiemy sztuką, nie żelazem.
Powiedźcie, coście spráwiły u Pána,
Czy wásze skárgi wysłuchał łáskawie?
Abym też y Ja była wysłuchána,
Bo sama słuszność stánie przy mnie w spráwie,
Ná co, tem od nich odpowiedzi wzięła,
Zebym z ufnością przed Sędzią stánęła.
Wielki Monárcho! co świat pod nogámi,
Ják proch náymnieyszy w punkcie zetrzeć możesz,

Coś ziemię tráwą, á drzewa liściami
Ozdobił, ty mi ſam w krzywdzie pomożesz,
Tyś mię pięknością názwał y nią ſtworzył,
Ják kwiát ślicznemi farbami uwzorzył,
Przychodzę wſtydem oktyta przed ciebie,
Będąc z urody w cále obnażoną,
Niewiem czy puściſz odártą do ſiebie,
Przecięż ſię ſtáwiam ſłuſznie obwinioną,
Zem nie umiała ſzácować talentu
Piękności, lecz go ſtráciłam do ſzczętu.
Mądrość y zacność roſtropne w ſzáfunku,
Niechcąc ſię wyzuć z ſkárbow dánych ſobie,
Połowę każda dzieli w podarunku,
Támtey przychylne, á poſłuſzne tobie,
Jedna w paragon z Krolmi policzyła,
Druga rozſądek rozumu wſzczepiła.
Ja ſama tylko iák ſzczodra w me dáry,
Za to, co ludzki guſt wábiło, daię,
Do tey co żywo idzie ná ofiáry,
A mnie ochyda w zámianę zoſtaie,
Godna ta Páni tytułu *Dyanny*,
Nie ieden zoſtał z *Akteonem* ránny.
Wzroſt, kſztałt, nátura ták pomiarkowáła,
Ze nic nád cyrkiel w ſztuce ſwey ſkulptury,
Ani

Ani uięła, áni też przydáła,
Boiąc ſię zepſuć ták piękney ſtruktury,
Ten chyba defekt będzie iey przydany,
Ze zázdrość żadney nieznáydzie nágany.
Wſpániałość w minie, weyźrzenie łáſkawe,
Ktore każdego ſerce do niey wiąże,
Łágodność w mowie, bo ſłowa nie żwáwe,
Jakże ią niemiał upodobać Xiąże ?
Ręka do Sceptrum, Głowa do Korony,
Godna ná Tronie zaſiadać *Junony*.
Sniegi przy twárzy, brudne ſię wydaią,
Lilie kryią co prędzey ſwe liście,
Szybko z białością z pola uciekaią,
By ich tey Páni niewſtydziło przyiście,
Zorza glanc trácąc w rumianym kolorze,
Widząc pięknieyſzą ſama wpáda w morze.
Czegoż tey Damie więcey niedoſtaie ?
Gdy mądrość, zácność, y z piękną urodą,
Każda iey trybut z ſkárbow ſwoich daie,
Paktol iey złotem płynie, á nie wodą,
Coż, choć w te wſzyſtkie doſtátki opływa,
Gdy w młodym wieku ná pociechach zbywa ?
Czym ſię to dzieie ? ćiekawość mię bierze,
Więc pytam czaſow, Płanet, *Aſtrologow*,

Niechay dáremnie nie blądzę w mey wierze,
Skłádaiąc winę ná gniewliwych Bogow,
Bo ieźli z czáſow złych uznam przyczynę,
Przeproſzę Bogi, ná tych złożę winę.

CIERPLIWOSC MEDYATORKĄ.

CO to zá rozruch między wámi ſłyſzę?
Wielkich tálentow, wielkie Monarchinie,
Co w rzędzie z Bogi y między *Jowisże*,
Siadacie, w gorney Olimpu krainie,
Pytam, co zá żal, y do kogo macie,
Ze ſię wſzyſtkie trzy ná iedno zgádzacie?
Já w tey krzewinie ſłuchaiąc zdáleka,
Oco wam chodzi, zrozumiałam ſpráwę,
Wiem, iáki dekret niecierpliwych czeka,
Jeźli niezgádnę, ſiebie dam w záſtawę,
Ze nikt nie wygra, kto cierpieć nie zechce,
Darmo go prożna ambicya bechce.
Skárgi, urázy, zemſty gotuiecie,
Grożąc Fortunie impetyczną mową,
Złą, nieſtáteczną, przewrotną zowiecie,
BOG ſię z was śmieie, że błądzicie głową,
Jego w tym wola, ná co pytać czaſu,
Poki zażywać, każe tego kwaſu.

Ktoż ieſt żyiący pod Słońcem ná świecie,
Bez umártwienia kłopotu y troſki ?
Krolow Korona złota w głowę gniecie,
Mitra cierniowa bywa z woli Boſki,
Ktokolwiek tylko rodził ſię człowiekiem,
Rowno z nim rośnie utrápienie z wiekiem.
Mnie poſłuchaycie, co rádzę y życzę,
Czego wy, y nikt nie będzie żałował,
Od urodzenia w tey ſię ſzkole ćwiczę,
Kto ćierpieć niechce, nie będzie pánował,
Niechay zła dola dokuczy náycięży,
Mocna ćierpliwość záwſze ią zwycięży.

OPISANIE odmiany czaſu, ktory teraz więcey wznieca ognia miłości w Damach, niż w Káwalerach, bo w tych tylko złota miłość panować záczeła z łakomſtwem, więc Damy odbieraią rządy czaſowi, y nim dyſponować myślą.

O Czásie zmienny! nie śrebrny, nie złoty,
Zelazneś záczął kręcić kołowroty,
Czy cię wiek zeſzły w zárdzewiałey porze,
W mármur obrocił, w lodowate morze.
Znać, żeś nie umiał rządzić ſwoią ſzárzą,
Kiedy cię Damy przed Bogami ſkárżą

Ze w twych obrotach, przy doyrzáłym włosie,
Miłość ci zbrzydła, bo nádzieia w trzosie.
Coś niegdyś pysznym, gornolotnym skrzydłem,
Nád mdłym y słábym wydziwiał pieścidłem,
Czás ći też nowy zá to kárku przygnie,
Skrzydła obárczy, y piora odstrzygnie.
W twoiey to było włádzy práwo chować,
Biegu nátury nie łamać, nie psować.
Niech by Meszczyzną *Kupido*, nie Pánną,
Rządził, á Pánny były pod Dyanną.
Muzy stworzone Olimpu rozruchem,
Nád to od Bogin nápuszone duchem.
Muszą́c przypisać, y zeznać kredytem,
Ześ nie dołęgą y Hermafrodytem.
Przedtym *Apollo* kiedy *Dafnę* gonił,
Zápocił czoła, głowę nie ráz skłonił,
Prosił, łágodził, wzdychał, płákał, chwálił,
Kámień by się go zlitował, użalił.
Już przemini oną w láur choć widzi, pewnie,
Kocha ią ieszcze w obumárłym drewnie,
Sciska, cáłuie, w pień wlepiaiąc usta,
Passya słodzi to, w czym były gusta.
Teraz czas záczął opáczną robotę,
Nimfa Pásterza gonić ma ochotę,

Tá płácze, wzdycha, ten śmieiąc się chlubi,
Ze go tá goni, co on iey nie lubi.
Y ták przemiana w tey pánuie chwili,
W tym ogień gaśnie, w tey zaś mocno sili,
Dafnis cáłuie, ściska, płácze rzewno,
Apollo iák pień, czy spruchniałe drewno.
Hipomen kochał piękność *Atalanty*,
Ją samę wygrać chciał, nie złote fanty,
Siły ostátnie w záwod z Pánną kładzie,
Byle iey miłość pozyskał w zákładzie.
Teraz *Hipomen* w *Midasa* zmieniony,
Milsze mu złoto, niźli piękność żony,
Ná fanty pátrzy, to cel w iego oku,
Miłość z pięknością nie wárte y kroku.
Zaś *Atalanta* zrozumiawszy w czasie
Chciwość, więc złota cetnar bierze ná się,
Obciąży głowę znácznemi kleynoty,
Cnotę z pięknością porzuca zá wroty.
Wnet złota miłość łákomy czás wzruszy,
Nietknąwszy serca same myśli suszy,
Jákieyby zażyć ná wziątek intrygi?
Z złotem nie z Pánną idzie ná wyścigi.
Przedtym gdy *Jowiß Danaę* polubił,
Nie żal mu skárbu, co go we dzdżu zgubił,

Chcąc złotą ſzwáycą dach przebić miedziany,
Sam ſiebie, złotu daię ná zámiany.
Teraz *Danae* złote krople ſączy,
Serce do ſkárbu przydaie y łączy,
Iowiſs nádęty w tárg z nią idzie śmiało,
Day złota więcey, ſerce waży mało.
Ztąd ſzereg Bogin ſtáwa w pięknym rzędzie,
Rádzą, iákby czas repárowáć w błędzie,
Zeby od wiekow nádanym tálentem,
Kurs ſwoy prowádził, á rozſtał z wykrętem.
Niech miłość ogień przyzwoity wroći,
Tym co go mieli, łákomſtwo ukroći,
W tych zaś niech zgasi, co ich ſławy zbáwia,
Cnotą, nie złotem Pánna ſię nádſtawia.
Jeźli zaś Czasie przy uporze ſtánieſz?
Rządom białey płći obrotnym doſtánieſz,
Wiedz otym, że cię upokorzy, nuża,
Przemieni z Pána w uſługach zá ſtruża.
Będą umiały mocy ſwoiey zażyć,
Wytárgowane złoto zábrać, zważyć,
Coś ná nie hardzie wymuſzał poſagi,
Oddadząc prożne zá prácą bieſagi.
Zaś zá łákomſtwo, oziębłości, pychy,
Dádząc ſtoletnią Babę zámiaſt *Psychy*,

Puchacz z Fenixa, żaba z Salamandry,
Głownia z pochodni Troiańskiey Kassandry.

PUNKTA

Dla poprawienia zepsutych obyczaiow Polskich, przez pewnego Senatora Polskiego do opisania mnie podane.

KOMPLEMENT POLSKI.

ADorácya BOGU tylko przynáleży, w Piśmie S. dowod. W Polszcze zazwyczay: Jestem z Adoracyą, czy chcemy zostać Bałwochwalcami?

Złodzieystwo bez wstydu.

Odmowić człeka, ukraść chłopca bez skrupułu, dopieroż psa zdeliberacyą w nocy wykraść iest to galanterya, y grzech bez wstydu, á przecię wyraźnie przeciwko Bożemu Przykázaniu, y okázya do Práwa, bicia się, naiazdow.

Dyskrecya Polska.

Podobny temu niedyskretny grzech, polować po cudzych polach, choć Dziedzic sam myśliwy, nie lubi, żeby mu przed nosem zwierza płoszono, prosi y łaie, przecię mu ná złość pola płukać trzeba w sąsiedztwie.

Ratunek Dam w strachu.

Wiele iest Dam, ktore ustraszone znienacka, maią szpetne przysłowia, y w śmiech obrácaią chociaż to y przeciw wstydowi Stánu Jch, y przeciw dobrey manierze, człek rozumny nic nie powinien wymowić, tylko co chce.

RESKRYPT

Na wyżey wyrażone Punkta.

W Polſzczem zrodzona, w Polſzcze wychowana,
W wolnym Národzie mnie też wolność dána
Mieć głos że y Ja ná to nie pozwálam,
Co mi ſię nie zda, áni tych wychwálam
Podchlebnym piorem, co złe obyczaie
Pod płaſzczem máſzki, wnieśli w náſze kraie,
Mowa, ſtyl liſtu, komplement ták dziki,
Można go zrownáć dzis z Babilończyki,
Zal bierze, kiedy poſtronne národy
Z śmiechem krytykę czynią znowey mody
Co raz to lekſzey, y ma to bydź grzeczny
Autor? co wnioſł w kráy zwyczay nie dorzeczny.
Nie ieſtem bocian, lecz gdybym nim była,
Polſkę z zálęgłych gádow wyczyściła,
Boiąc ſię, żeby *Bazyliſzek* w jaiu,
Z czâſem Polſkiego nie wytruł rodzaju.
Popráwiać defekt Ziomkow ná mnie wiele,
Ráczey pilnowáć igiełki, kądziele,
Prosić ſię godzi, miłość mus wysili,
By Cudzoziemcy z nas jawnie nie drwili.

Nie-

Niechwalebny obyczay w Oracyach, w piſaniu Liſtow, w komplemencie o Adoracyi, ktory termin ſamemu tylko należy BOGU.

WIelem ſłyſzáła mow pánegirycznych,
Powinſzowánia ná mieyſcach publicznych,
Práwie co ſłowo, co peryod miia,
Głęboko zá nim brnie Adoracya.
Dopieroż w Liſtach Adoracyami,
Choynie ſzáfuią, iák zboże korcami,
Jle gdzie komu o intereſs chodzi,
Łaſzt adorácyi z miarki ſię urodzi.
Czytaymy Piſmo święte, tam uznámy,
Ze tylko BOGA adorować mamy,
Człowieka uczcić według iego ſzárzy,
Ten błąd nas kiedyś záwſtydzi, oſkárzy.
Bo coż zá rożność BOG ma od ſtworzenia?
Nowe obudwom czyniąc poniżenia,
Coż zoſtawiemy Stworcy z powinności,
Gdy posiągamy do iego własności?
Bać ſię potrzeba, byśmy nie zárwali
Slepoty pogan, co adorowali
Poſąg *Wenery*, *Marsa Apollina*,
Stłukſzy Báłwany, aż w nich ſzczera gliná.

Zły obyczay: złodzieyſtwo popełnić, niemieć go zá wſtyd, owſzem zá obrot y ſtuki, á poſtaremu złodzieia ma tytuł, kto co ukradnie.

NIc mi do tego, áni mi náleży,
Roztrząſać czyie zdobycze z krádzieży,
Przecięż iák Polka, ná ſercu boleię,
Ze w mey Oyczyznie zácni, á złodzieie.
Odmowić człeka potrzebnego komu,
Byle wygodą z niego miał w ſwym domu,
Lokáia, kuchtę, kuchárza, ſtangryta,
Bogday przepádła tákowa wizyta.
Sąſiad ſąsiada náwiedza, á ſzpiega
Ma z ſobą, ktory cáły dom obiega,
Już wie, gdzie kogo ſpotka, będąc frantem,
Z nut poymie, iák ſię rozmowić z dyſzkantem.
Goſpodárz chłopca z dziecinſtwa wyćwiczył,
Gość mieć tákiego dáwno ſobie życzył,
Szpieg to potrafi, dukat w rękę wſadzi,
Pod chłopca w nocy konia podprowadzi.
Sztuka pſa ukraść, wyżła czy ogára,
Charta, Bytana, wſzákże to pſia pára,
Ale nim krádnieſz, pomyśl co koſztuie
Pies Pána tego, co go wychowuie.

Po-

Pomyśl że on ma guſt w pſiarni dowodney,
Myśliſtwo dobre nie zna kuchnie głodney,
Pomyśl iáką złość czyniſz myśliwemu,
Coć ieſt nie miło, nie czyńże bliźniemu.
Wſzelka rzecz ktora bierze ſię ukrádkiem,
Złodzieyſtwem trąći czy ſztucznym, czy gładkiem,
Grzech z rozmyślaniem káranie pociąga,
Wſtyd bydź w regeſtrze, kto po cudze ſiąga.
Wiednym gátunku chodzą dwa humory,
Jeden co ludzkie náwiedza komory,
Drugim taż ſama łákomſtwa chęć włáda,
Ták ſię do ſzpichrza, iák do pſiarni wkráda.
Ci to bydź muſzą do krádzieży ſnadni,
Ktorzy práw Bożych znać niechcą, nie kradni.
Uniwerſalnie tego zákazáno,
By żadney rzeczy cudzey nie żądano.
Z tąd práwo, kłutnia, naiazd, poiedynek,
Zważ wiele ſzkodzi ieden zły uczynek?
BOGA rozgniewać, przyiaciela ſtrácić,
Rzecz źle nábyta, nie może zbogacić.



Zły obyczay y pełen niedyſkrecyi w Polßcze po cudzych ile Dziedzicznych polowáć polach, zwłaßcza w Granicach tego, ktory ſam myśliwy.

Y To ſię názwać grzecznością nie może,
Kogo myśliwſkie prowádzą podroże
Ná cudze pola, w bor, knieie, przeſmyki,
Manowcem iezdząc, ziechał z polityki.
Pan włości ſwoich zkoſztem chowa złaie,
Będąc myśliwym, y proſi y łaie,
Zeby przynáymniey nie pod iego noſem,
Pſa goniącego zwierza ſłyſzał głoſem.
Zważ ſamę ſłuſzność miły *Akteonie*,
Jákbyś go przyiął, ktoby w twoiey ſtronie
Plondrował láſy, trąbił bliſko uſzu,
Podnioſłbyś rogow wpyſznym geniuſzu.
Ták Dziedzicowi ſerce ſię roſpuka,
Kiedy przychodzień w gruntach iego ſzuka,
Jákby co zgubił poſpoſuiąc Pánem,
Tłucze zwierzynę obiętą párkanem.
Jábym rádziła, kogo chęć gorąca,
Myśliwym czyni ſzczwać ſarnę, zaiąca,
Ná ſwych zágonach niech ſię każdy cieſzy,
Swoią właſnością, á ták nikt nie zgrzeſzy.

Zły obyczay w Polszcze, kiedy nayzacnieysza Dama przeląkszy się czego, szpetne ma przysłowie, ktore iey stan, modestyą, y manierę szpeci.

JUż od lát wielu moda do nas wpádła,
 Ze Dámy nowe maią abecadła,
Ktorych ieźli się od dziecinstwa uczą,
 Wstyd przyzwoity z swoią szkodą bruczą.
Y jam się kiedyś uczyła a. b. c.
 Lecz nie pámiętam, żebym ták dálece
Z reguł zwyczaiu odstępować miała,
 Wprzod k. niźli a. w początkach czytała.
W tym wieku insza alfabetu szkoła,
 Damę mysz ztrwoży, ona k záwoła,
Coż zá rátunek ma bydź w tey literze,
 Chyba policzek dać dobrey mánierze.
W śmiech k obrocą, iákoż godno śmiechu.
 Przysłowie płoche, lubo iest bez grzechu,
Ale wstydowi tey płći krzywdę robi,
 Ktora w ten nałog ięzyk przysposobi,
Potym exkuza, że mi to znienácka
 Słowo wypádło; iákby szeląg z wácka,
Człowiek rozumny iest rządcą ięzyka,
 Bez woli iego nic zust nie wynika.

Proszę was Dámy porzućcieſz przyſłowie,
Co ieſt ochydą każdey Białogłowie,
Mnie aż pod ſerce podpieraią kolki,
Gdy ſzpetne rzeczy w uſtach noſzą Polki.

APPLAUZ

Náyiaśnieyßemu Krolowi IMći AUGUSTOWI *Trzeciemu z okázyi kwitnących náuk w Polßcze, zá Panowania Jego, zwłaßcza erygowaney publiczney w* Wárſzawie *Biblioteki ſumptem J. O. Xćia JMći* Stanisława Kostki Załuskiego *Biſkupa Krakowſkiego, y Jaś: W. JMći X.* Jozefa Załuskiego *Referendarza W. Koronnego.*

Cieſzcie ſię wieki! żeście doczekáły
Nie znać Gradywa nád ſobą Tyrana,
Częſtoście w twárdych okowach ięczáły,
Ciężkim robotom podległe *Wulkana,*
Rdza wam rámiona przeiadła do ſzpikow,
Pług w jarzmie wodził wolnych niewolnikow.
Teraz znać *Iowiß* złotym deſzczem lunął,
Ná opłokánie rdzy z żelaznych czaſow,
Paktol ſwe piaſki drogie gdy podſunął,
Skrzypiących przykro pozłocił záwiaſow,
Ze miła cichość z pokoiem, w otwárte
Wchodzi gránice, nie pyta o wartę.

Komuż to przyznać, co wiek złoty wrocił?
BOGU! bo ten ſam Pánem ieſt pokoiu,
Woynę y niechęć domową ukrocił,
Ze Polſka w krwáwym nie nurza ſię zdroju,
Sarmacka Niwa by nie była puſta,
Dał jey Dozorcę Trzeciego AUGUSTA.
Jákoż czytaiąc Rzymian piſma dáwne,
Znáydzieſz pochwáły AUGUSTA Ceſarza,
Ják Pánowanie jego dotąd ſławne,
Hoyność łáſkawość ſtokrotnie powtárza,
A że z cnot wielkich był dla Rzymián wzorem,
Witali go też ſwym Imperatorem.
Ten Pan, od czterech części świata mocnych,
Broniąc ſwych gránic, cztery ſtáwia wieże,
Eufrat ná Wſchodzie, *Ren*, *Dunay* z Połnocnych,
Ocean Wielki od Záchodu ſtrzeże,
Atlas grzbiet oſtry południu nádſtawi,
Nil w zrzodłach ſwoich nieprzyiacioł ſpławi.
Słynie w Mądrości Rzym zá tegoż Pána,
Ten *Cicerona*, wiek widział *Katulla*,
Wirgiliuſza, *Warego*, *Lukana*,
Owidyuſza z *Horacym*, *Tybulla*,
Y Hiſtorykow *Liwiego* z *Tacytem*,
Płynął wiek złoty dla Rzymu z záſzczytem.

W czym ſobie dotąd ſłodzą wieki ſtárſze,
Miłość poddanych, pokoy, wolność złotą,
Co wdzięczne ſerca Rzymſkiemu Monarſze,
W Drukárſkich práſach pámięć wieczną gniotą,
To ia dziś wſzyſtko w Pánuiącym Krolu
Znáyduię ſzczęście, ná *Sarmackim* Polu.
Przy Twoich Rządach Náyiaśnieyſzy Pánie,
Mars y *Bellona* ſą wygnani z Granic,
Dobroć z hoynością zá złoty czas ſtánie,
Toć nam niechętnych ważyć trzeba zá nic,
Każdyć poſłuſzną Głowę do nog ſkłoni,
Gdy nas iák Oćiec piaſtuieſz ná dłoni.
Y toć AUGUSCIE przyznać mogę Trzeći,
Zá Ciebie Mądrość w Polſkie wchodzi progi,
Nie ieden Orzeł ku ſłońcu wyleći,
Z tych iaśnieć będą Senatorſkie Togi,
Pòéta koncept, Hiſtoryk rzetelne
Opiſzą Cnot Twych dzieje nieśmiertelne.
Daiąc Oyczyznie miłości dowody,
Zá Ciebie Pánie Wielcy Miniſtrowie,
Bibliotekę dla wſzyſtkich wygody,
Stáwiaią, ktoż tu ZAŁUSKICH opowie
Chęć? ktorą maią do náuk wrodzoną,
Y Polſkę cáłą prágną mieć uczoną.

Więc

Więc gdy ták wieki przy Tobie szczęśliwe,
Ze pokoy kwitnie, Mądrość wprowádzona,
Niechże Ci Serca zawdzięczą życzliwe,
Zycząc, by trwała w Domu Twym Korona,
Krwie AUGUSTOWSKIEY Przeświętna Linia,
Niech Polskie Pola z Koroną nie mija.

POSŁUSZENSTWO

Pokorney Owcy Pasterzowi swemu, Jaśnie Oświeconemu Xiążęciu JMći ANDRZEJOWI ZAŁUSKIEMU *Biskupowi Krakowskiemu.*

GOdna zárznięcia nieposłuszna owca,
Ktora swoiego nie słucha Pásterza,
Wárta twárdego skosztowáć Lipowca,
Godna bydź w brzuchu u leśnego zwierza,
Ja od nieswornych chcę unikać owiec,
Boiąc się z niemi náwiedzić Lipowiec.
Słucham co każesz, ále trzeba cudu
Ezechiela, co ustá spráwiły,
Gdy do krnąbrnego miał Kázanie ludu,
Kości umárłych ná ten głos ożyły,

Tyś *Ezechiel*, ty junktury zgniłe
Spaiaſz, że oczom Boſkim będą miłe.
Ja kość *Adama*, z biodra czyli z żebra,
Słuchać Páſterza, gdy mnie woła, muſzę,
Chociaſz ze ſtrachu drząca porwie febra,
Lubo okrzepłey krwie ná twoy głos wzruſzę,
Przykład nam daią umárli w grobowcach,
Zwierzchność w Páſterzach, poſłuſzeńſtwo w owcach.
Kázałeś piſać Miłościwy Pánie,
Proſtey Oślicy, ucz ią pierwey gádać,
Nim poymie w Polſzcze, co ieſt zepſowanie
Dobrych zwyczajow, Tobie to zasiadać
Tron *Salomonow* przy rozſądney głowie,
Kárz godnych winy, nie przepuſzczay Wdowie.
Tyś wziął w puściznie ſtáre sieći *Piotra*,
Nimi zápuſzczaſz w odmęt krętey wody,
Złowiſz na świátło Apoſtatę Łotra,
Gdy by cię dzikie poznáły národy,
Rzekłyby śmiele *Andrzey* duſzny łowiec,
Zámiaſt ryb, pełny niewod złápał owiec.
Tyś *Ian*, co CHRYSTUS urząd w nim założył,
Nim ſię národził, Marſzałek w tytule,
On

On nowy Zákon wporządek zámnożył,
Ty go utwierdzaſz z Láſką przy Infule,
Ian niedbał, gdy mu grożono toporem,
Ty świat zepſuty náprawiaſz rygorem.
Winſzuię ſobie, rádość mnie ogárnie,
Wiedząc, że moim Páſterzem ZAŁUSKI,
Ze ja náleżę do iego owczárnie,
Jſtny *Staniſław*, iſtny *Woyciech Pruſki*,
Miłość práw Boſkich dziśby go unioſła,
Zginąć przy práwdzie, od miecza, od wioſła.

Do tegoż J. O. Xiążęcia JMći ná Bibliotekę publiczną Warſzawſką.

TObie pierwſzemu Jaśnie Oświecony
XIĄZE, Biſkupie Krákowſkiey Infuły,
Przyzna wiek złoty, w Polſkę wprowadzony,
Jżeć ſamemu, te ſłużą tytuły
Oćiec w dobroći, Opiekun w porádzie,
Páſterz, co życie zá Owieczki kłádzie.
Tobie w Sarmackich polach kłoſy liczne,
Z twey Opátrzności, w ziarno plenne głowy
Zchylaią, czyniąc dzięki uſtáwiczne,
Pámięći wieczney gotuią oſnowy,

Wdzię-

Wdzięczność potomna, mocueć przędzie wątki,
Ze Polſka mądrość, ma z ciebie początki.
Ześ *Fenix* nowy w miłości Oyczyzny,
Czuią to godne Przodkow twych popioły,
Odrádzaſz w gniazdzie, pięćſetne siwizny,
Zdrowie, fortuny rozdzielaſz ná poły,
Dla Polſkich Orląt, biorąc ie pod ſkrzydła,
Wynosiſz w gorę, ſłońcu zá pieścidła.
Cnoty *Syxtusa* czwártego w tey dobie,
Wziąłeś w puściźnie, mieć otym ſtáranie,
Wczym tamten honor dotąd zrobił ſobie,
Z Biblioteki ſłáwney w Watykanie,
Tam gdzie *Piotr* głowa Rzymu, głowę złożył,
Syxtus w opoce, grunt mądrym założył.
Tegoż Imienia, Swięty, Spráwiedliwy
Papież, upádłą kolumnę *Trajana*
Dobywa, koſztem, w prácy nie leniwy,
Zeby w pámięciach ludzkich zágrzebana
Powſtáwſzy znowu, pokázała probą,
Jáką Rzymowi, ſtaie ſię ozdobą.
A chcąc w Czwártego Piąty wchodzić ślady,
Záczęte dzieło widząc bydź chwálebne,
Przydaie złotu złota, liczne ſkłady,
Xiąg mnoſtwo zbiera, dla náuk potrzebne,

Miłośń

Miłość to w Oycu przezornym wymogła
Ze Rzymſkie dzieći mądrością wſpomogła.
Guſt *Ptolomea*, Krola nád *Egiptem*
W tobie świat Polſki nie bez ſkutku czuie
Obowiązáne ſerce ſtwierdzi ſkryptem
Gdy tyſiąckrotny ſzereg Xiąg znáyduie,
Alexandryiſkich ścian Biblioteki
Zá Polſką Muzą ſwoie nioſą teki.
Co w dwuch *Syxtuſach*, co w *Ptolomeuſzu*
Cnot prac koſztownych, upátrzyło oko,
To w tobie iednym, y w Tym Geniuſzu
Niebo ználazło, wyniożſzy wyſoko
Ná widok świátu, ná chwáłę Europy,
BOG ſam ZAŁUSKICH w gorę ſtáwia ſtopy.
Czym zdáwna cudze chełpiły ſię kraie,
Ze u nich tylko Rozumy dziedziczą,
Nie ieden Oćiec, znáczne ſummy daie
W nádzieię pociech, że Syna wyćwiczą,
Lecz częſty záwod, w Cudzoziemſkim Pośle
Wyiechał cugiem, powroćił ná ośle.
Teraz nie trzeba trudzić ſię nikomu,
Złoto Oyczyſte w obce ſłać gránice,
Greckie *Ateny* w Polſkim mamy Domu
Też nam tu świecą Gwiazdy y Xiężyce,

Też ociężałe snem Polakow głowy
Wzbudzą do náuk, co *Ateńskie* sowy.
Nie trzeba będzie świecy, ni pochodnie
Szukać człowieka, w *Sarmackim* sałaszu,
Znáydzie czás wielu, co porádzą godnie,
Y tych, co wolność ocálą w páłaszu,
Postronne oko, gdzie tylko cel zmierzy
Uyźrzy w *Sarmatach*, Legistow Zołnierzy
Prochy *Alfonsow* Aragońskich wskrzesza
Polska Pallada, *Tulliussow* budzi
Przyrzeka sławna stárych Rzymian rzesza
Ze nám nieskąpo o tych będzie ludzi.
Epaminondow, *Scypionow* Roty,
Katonow mądrych, stáną liczne kwoty.
Więc kto dzieł twoich, kto zásług wiadomy
Prawdziwy *Orle* Polskiego *Febusa*,
Ktoćby chciał szczerych pochwał pisać Tomy?
Nie zniosłby *Atlas* ná swym kárku stusa,
Co dla národu z swey czynisz miłości
Rwiesz z *Pelikanem*, krew, serce, wnętrzności.
Nie sobie zbierasz pożytki intrátne,
Bo iáko pszczoły z prácą ziołka znoszą,
Byle wdzięcznością, zá to były płátne
Gdy siebie niszczą, á innych panoszą,

Ty *Ambrożego* roy ná ułtach nosisz,
Pospolitemu Dobru, skárb z Xiąg znosisz.
Nie sobie Owce profit czynią z wełny
Nie sobie náwet, własne noszą skury,
Niewinność daie podátek zupełny
Z postrzyżyn swoich, przybiera w purpury,
Po co do *Kolchow*, każesz nam fortuno?
Płynąć, gdy w Polszcze mamy złote runo.
Chociażbym chciała krew z serca wysączyć
Ná wdzięczną łásk twych poświęcić ofiárę,
Lecz trudno krople, z wielkim morzem łączyć
Pod stopy nie śmiem, sypać prochy stáre
Wnuka młodego mam, ten będzie znákiem
Ofiáry, gdyć go, oddam z *Izaakiem*.

Do tegoż J. O. Xiążęcia JMći ná słowo Pax Vobis.

KAż mię Pasterzu dobry ná proch spalić,
A uznasz: że cię y zimne popioły,
Wysławiać będą, cnoty twoie chwálić,
Wyznaią, żeś wszedł między Apostoły,
Z Imienia, z dzieł swych niechybna nádzieja
Tám trafisz, gdzie BOG osadził *Andrzeia*.
Ják tu zámilczeć? kiedy oczywiście
Wśrzod tęgiey zimy, w Polszcze czynisz dziwy,

Gáłąź oliwna wypuściła liście
Zwiędłey wolności, dáła wigor żywy,
Wie Niebo, żeś ieſt, z náycnotliwſzych kroju
Dałoć moc w ręce zrobienia pokoju.
Ciebie w ſwym czasie *Noem* názwę śmiele
Gdyś w *Arce* cudny uczynił porządek,
Kędy niesfornych zwięrząt było wiele
Dzikość ich umiał ugłáſkać rozſądek,
Przeciwnych ſobie maiąc w iedney ſzopie
Zadnemu zginąć nie dałeś w potopie.
Zyczę lát tyle, ile BOG *Noemu*
Zycia pozwolił w czerſtwości bez ſkázy
W dniach zeſzłych, pomniy o tym poſtaremu
Godzić, maiących do ſiebie urázy,
Ják nas záchowaſz w cáłości z *Korabiem*
BOG cię odzieię Purpury iedwabiem.

Do tegoż J. O. Xiążęcia JMći

SPRZECZKA

Z rożnymi Zakonnikami o Upirach, ktorym Autorka *tych Wierſzow wiary niedaie.*

ZAbroniłeś mi Miłościwy XIĄZE,
Zeby cię moia nie chwáliła muza,

Chy-

Chyba że zákaz twoy uſta záwiąże,
Ja chętnie grzbieta nádſtawię pod guza,
Milczeć nie mogę, ięzyk woła gwáłtu
Gdy ieſt zá murem oſadzon dla kſztałtu.
Chwálić cię każe, dyktuie mi ſłowa
Rękę przymuſza, głośna prác twych ſama,
Ze teraz diabłow nie zna *Częſtochowa*
Krolowa Nieba nádgrodzi ći ſama,
Ześ z *Jaſney gory* zkopciałe czernidła
Ztárł, wychędożył, luſtr wrocił bez mydła.
Poznáłeś Duchem Prorockim nátchniony
Fałſzywych oſob bezbożne wykręty,
Wyniosł ſię z niemi z gránic duch zmyślony
Co więc práwiły: moy pyſzny, nádęty,
Moy piiak głowny, moy mi kraść pozwála,
Bába hultayka, á ná diabła zwála.
Oſwobodziłeś y Szlácheckie Domy,
Cháty wieśniakow proſtych, bojaźliwych,
Bo kiedy do nas przyſzedł czárt łákomy
Wymuſił, co chciał, ieſzcze ſłow złośliwych
Nágadał, teraz każdy go wypędza
Bez exorcyſty, kropidła, y Xiędza.
Tobie BOG tyle udzielił z ſwey łáſki
Co *Ignacemu*, że wyganiał czárty,

Mocą oddaney w ręce jego láſki
 Uſtąpić muſiał, ktory był uparty,
  Biret ći ziedna, ia nádſtáwiam uſzu
  Rychło cię w Rzymſkim uyrzę kápeluſzu.
A kiedyś prácy usilney nie ſzczędził (dzą,
 Wygnać z mieysc świętych diabły, co nam ſzko-
Uczyń to, żebyś upierow wypędził
 Co ludzi dławią, á po nocy chodzą,
  Wyżeń ich z Polſki, niech ſztuki dokażą.
  Zydow, Kálwinow, Lutrow tchem záražą.
Ledwo nie co dzień przechodzące Mnichy
 O niczym więcey nád to, niegádaią,
Ják ſię umárli z grobow przez wytrychy
 Szátańſkie, mocą ná świat dobywaią,
  Ják z niemi woynę toczą, iák ich biją
  Ják ſię przed niemi w groby wchodząc kryią.
Spytam ktorego, co maią zá probę?
 Ze zły duch ciała Kátolickie ſzpeći,
Kłádą mi w regeſtr wielkich cnot oſoby
 Włożą w kátalog y dwoletnie dzieći,
  Láda dziad ſędzią, y exekutorem,
  Scina umárłych rydlem lub toporem.
Mowią: krew płynie po ucięciu głowy,
 Ten ią pod pachą nosi, ten ná dłoni,

Ow

Ow zaś koſzulę uiadł do połowy,
Ten ſię zaſzargał, ktory ludzi goni,
Drugich pſy ſzarpią, kąſaią po nogach
Co záſtępuią podrożnym ná drogach.
Ja odpowiadam: ieżli z tąd názwiſko
Daiecie ludziom, upierow po śmierći,
Gdy ię ścinaią, krew wytryśnie rzyſko
Serce drga, kiedy rozbieraią ćwierći?
Czemu krzywdzicie zmárłych ſwoim zdániem
Ze ſą ſzátańſkim ciała ich mieſzkaniem.
Januaryuſz, Pátron *Neapolu*
Po wielu mękach, ná oſtátek ścięty,
Krew nam zoſtawił ná publicznym polu
Oświadczył, że ieſt Męczeńnik wraz Swięty,
Ampułka ze krwią wre, cudowną ligą
Przy głowię ſtoiąc, á on niebył ſtrzygą.
Dyonizyuſz Areopagita
Ateńſki, w ſłáwnym *Paryżu* ſtrácony,
Po śmierći z głową ſwoią ſię powita
Nioſąc ią w ręku przez rowy, zágony,
Odwa tysiąca krokow, y *Katu* i
Niewieśçie oddał, á nie ziadł koſzuli.
Xawier wielki Apoſtoł *Indyi*,
Oddáwſzy śmierći daninę powinną

Ktore-

Ktorego ciało ſpoczywa w *Goiy*
W trumnę przełożyć kázało ſię inną
Bo ſzczupłość deſzczek obiąć nie wydoła
Cnot tych, co ie BOG do uſług záwoła.
Gdy umárłemu po dziewięć mieſięcy
Krwáwa fontanna z Rámienia wypryśnie,
Ażeby BOGU duſz pozyſkał więcy,
Ten lud do wiáry Poganow przyciśnie,
Widząc, że źrzodło nieprzebráne bieży
Łáſk Boſkich, chociaſz Swięty w grobie leży.
Tenże Apoſtoł, drugi ráz krew toczy
Będąc wyznáwcą, á nie Męczeńnikiem,
Rządca Kroleſtwa, gdy mu záyrzał w woczy
Ze ciáło zdrowe, przyſzedł z Cerulikiem,
Nie uczyniwſzy przed Swiętym modlitwy
Brać ſię zuchwále rozkázał do brzytwy.
Co gdy uczynił, brzuch od dwoch lát ſkrzepły
Kraiąc, odſkoczył, inſtrument porzucił,
Pod ręką czuiąc, że był żywy, ciepły
Krew ſię luneła, do domu powrucił,
Pan y Cerulik, będąc zátrwożeni
Ták wielkim cudem obay náwroceni.
Czemuż mieſzkániem ſzátańſkim zowiemy
Tych? co po śmierći krew im z ſzyi ciecze,
Czy

Czy ták ieſt pewnie nic otym nie wiemy
Bo do nas żaden ſłowa nie przerzecze,
Zaś żywi mowią: że to nic do duſzy
Nie ma, choć zły duch ciało iego ruſzy.
Já, poki mnie BOG látami obdárza,
Y potym, kiedy każe mi umierać,
Takiego nigdy niechcę Goſpodárza
Zeby ſię w ciele mym miał roſpościerać,
Ná chrzciem ſię czárra ná záwſze wyrzekła
Choć by mnie ścięto, wiem krew by nie ciekła.
Czytam exorcyzm, ktory ieſt w Agendzie
Przy chrzcie dziecięcia że wynidź od niego:
Duchu nieczyſty, niech tu mieyſce będzie
Czyli mięſzkánie dla Ducha świętego,
Doktor národow wſzák ieſt tego zdánia
Ze z Duchem świętym czárt nie ma mieſzkania.
Odpowiedzą mi że ta klątew ſama
Do tego tylko ſzátana należy,
Ktory zwiodł w Raju *Ewę* y *Adama*
Co ich z niewinney obłupił odzieży,
Tego to przy chrzćie wypędzaią łotra
Przez odpowiedzi y kumy y kmotra.
Ja zaś ták mowię że ten był potężny:
Ktory świat cáły pierworodnym grzechem

Záraził, przecię ták ieſt niedołężny chem,
Wyrzucon przez chrzeſt, z lamentem nie śmie-
Uſtąpić musiał ſwego przedſięwzięcia
Práwo utráca już do niemowlęcia.
Przez coż ten ſzatan ma bydź większey siły
Co go w dziecinę wſadza czárownica?
Czemu go z drugim wraz nie wygoniły
Chrztu słowa, niewiem co zataiemnica?
Chyba, że bába z nátury upárta,
Ma mocnieyſzego nád Ráyſkiego czárta?
Toćby potrzeba mieć nowe Agendy
Zeby dwoch diabłow wypędzáła rázem,
W przod bábinego, co wprowádza w błędy
Ze ſzátan Boſkim rządzi się obrázem,
Potym niech *Adam* z *Ewą* inſtyguią
Ná ſwego niech ich obudwoch ruguią.
Częſto bywaią u Pańſkiego ſtołu
Oſob Zákonnych o ſtrzygach rozmowy,
Gdzie dyſsydenći mieſzczą się poſpołu,
Oczy wytrzyſzczą iáko nocne ſowy,
Y mowią: iák was nędzni Kátolicy!
Diabli po śmierći, włoczą po ulicy.
Já przy tym będąc ſercem ubolewam
Czy to ieſt báyka, czy ieſt práwda ſzczera,
Ledwie

Ledwie też zgruntu ſerce niedobywam
Ze nás czártowſka moc ták poniewiera,
SAKRAMENTAMI będąc uzbroieni
Za co bydź mamy od diabła włoczeni?
Ná koniec mowię: kiedy to bies czuie
Ze go poznaią, gdy ſię rzeſko ſzáſta,
Głowę trupowi ściąć, formę mu pſuie
A potym kiedy koſzule záchláſta,
Toć kiedy może ciało trupa nosić
Czemuż nie zdoła koſzuli podnosić?
Ale ieżeli Páſterzu przezorny!
Każeſz mi wierzyć pod iákim ſkrupułem,
Niechcę w owczárni bydź, iák wilk nieſworny
Choć ci to nie ieſt wiáry artykułem,
Każ mnie objaśnić, czy ták wiele może
Bába czárami łzeć ſtworzenie Boże?

Sprawiedliwość nieſkorumpowana J. O. Xiążęcia JMći
PAWŁA SANGUSZKA MARSZAŁKA *W. X. Litt.*

WIelki MARSZAŁKU! mądre twoie rządy (mu,
Czy to w Krolewſkim,czy w twym właſnym DO-
Swiat Polſki chwáli ſpráwiedliwe ſądy
Gdy nieprzepuſzczaſz wyſtępkow nikomu,

Czy Chrześcianom, czy Jzráelitom
Czyli wyniosłym w pychę faworytom.
To, co náleży do publicznych rzeczy,
Każdy z pilnością, ktoć życzliwy, słucha,
Ják Polskie dobro masz ná swoiey pieczy
Z kąd pewna roście wolności otucha,
Ze ią utrzymasz byleć życia prządki
Ná setne láta przeciągnęły wątki.
Dwie heroiczne Cnoty o głos proszą
Ktoreś zá przykład potomnym zostáwił
Czasom, byś wiedział, iák cię z tąd wynoszą
Tyś pierwszy ten Akt w Pánstwie swoim spráwił,
Miłość bliźniego, miłość Boskiey sławy
Snadneć do Nieba gotuią przeprawy.
Niech mi pokażą teraźnieysze wieki
Gdzie o interes chodzi Synagogi,
By murow złote nieprzebiły ćwieki
Tyś sam nász Pánie ták żwawy, ták srogi,
Ze ná párę kroć nie pátrzysz tysięcy
Danobyć z chęcią gdybyś chciał brać więcy.
Ktosz by dochodził śmierći mizeráka
Ktoby Dekretem sądził kryminalnym,
Wola to Boska, nástąpiła táka
Byś się opiekał przypádkiem fatálnym,

Y żeby twoia ſpráwiedliwa Szábla
Krwie zábitego dochodziła *Abla*.
Tobie to przyznać, záboyſtwa Zelancie,
Ze cię BOG obrał zginionych Patronem,
Obáczyſz w dálſzey ſzczęścia twego plancie
Ják cię wyniesie z dziátek twoich gronem,
Tenći niech w dalſzych błogosławi czynach
Z kocháną Zoną, w Corkach, z Synow w Synach.

Z A L

Nieodżałowaney ſtraty ś. p. J. O. Xiążęcia JMći Pawła Sanguszka Marszałka *W. X. Litt. od wſzyſtkich Sług Jego wyrażony.*

CZy ná toż cię *Pogonio*! Xiążęce obroki
Wypáſły, żebyś hárdzie przeciw Pánu brykał,
Gdyś w mieyſcu ſtoiąc poczuł przeciwne wyroki
Przeſtrzedz go było, żeby od ciebie unikał,
Y był dálekim celu twoiego kopyta
Nie przemyciwſzy ná cle, niedał śmierći myta.
O! nieſzczeſny *Pogonio*, wczymżeć Pan był dłużnym
Ześ pognał zá niem nágle, iákoby zá żbiegiem,
Przydybałeś zdrádziecko, ná trákcie podrożnym
Nie dáwſzy mu wypocząć ſpokoynym noclegiem,

Sanguszkow Kleynot w Herbie záſzczycał ſię tobą
Tyś pierwſzą głowę w Domu oczernił żałobą.
Pegaz bajeczny dobył źrzodło Hipokrenę
Z ktorego wytryſneły chłodne ſłodkie rzeki,
Pogoń ſprowádził z śmiercią gorącą gangrenę
Tey ugasić nie mogły *emulsye*, leki,
Gorzkim y Pána y nas ná poił likworem
Ledwie nie cáłą Polſkę grubym odział worem.
Znać ſię *Pogoń* z *Pegazem* o lepſzą pokłocił
W kim więkſza moc pánuie? kto więcey dokaże?
Pogoń wygrał gdy nogą ták potężnie rzucił
Nie ieden zdroy lecz tysiąc płynących pokaże,
A z tych morze wezbráne rwie lądy ze ſzkodą
Smutny widok, gdy mocne dęby płyną z wodą.
Dwa źrodła wynikneły, z dwoch zrzenic Barbary
Rozwlokly ſię z nich więkſze y drobnieyſze ſtrugi,
Rozprzęgły Párki Pánią od kocháney páry
Fátalny kurs tych krynic żałoſny y długi,
Przyłączyć Xiężnę każe do dobrych żon ſum(my
Bo *Egeryi* żalem płacze ſwego *Numy*.
Ta *Nimfa* heroiczna po mężu ſtráconym
Łzy zá nápoy, zá pokárm codzienny obráła,

Czas tráwiąc ná lamencie nigdy nie ſkończonym
Aż ſię nákoniec ſama w zdroy wodny rozlała,
Prawdziwſze tego wieku widziemy przykłady
Gdy owdowiáła Páni zmieniona w Plejady.
Názwać Ja XIĘZNĘ mogę źrzodłem łez miłości
W koło niey siedm ſtrumykow drobnym dzwię-
kiem brzęczy,
Ta ſłuchaiąc ich muzyk, koſztuie gorzkości
Nád każdym ſię rozpływa, nád każdym zaięczy,
Jlekroć ktory biegąc bliſko, źrzodło trąći
Od gruntu go poruſzy, zákłoci zámąći.
Jeſzcze przyrownam XIĘŻNY w tym czasie Oſobę
Do marmuru, co czuiąc wilgoć, ſam ſię poći,
Ten niegdyś w ſiebie zmienił załoſną *Niobę*
Gdy ią mściwy *Apollo* z dziatek ogołoći,
XIĘŻNA czuiąc śmierć Męża łzy záwczaſu ſączy
Gdy Syn ná rok przed Oycem młode życie koń-
Słońce nim ma západać, zorza płaſzcz, w korale (czy.
Y w Purpurę przybráwſzy, drogę mu uściła,
Naſz Pan wyſłał przed ſobą ſwoy Portret w MICHALE
By go wárta Niebieſka poznáwſzy wpuściła,
Jákoż Syn czekał Oyca ná zbáwienney drodze
Wſzedł z nim zá święte progi w Purpurowey
Todze.

Ná

Ná reſzcie názwę Xiężną ową *Halcyoną*,
Ktorey Męża rozbity okręt w morzu topi,
Sławna dotąd, że była kochaiącą żoną
Łzámi po wodach ſwego przyiaciela tropi,
A kiedy drogiey zguby nigdzie nie wymaca
Sama ſię z żalu w ptáka wodnego obráca.
A zaſz y náſza Páni *Halcyony* ſzlákiem
Po ſłonym morzu, ſwego nie ſzuka kochanka?
Oyczyſty *Łabędź*, wiemy, że ieſt wodnym ptákiem
Toć trudno *Pogoń* winić, kiedy śmierć tyranka,
Autorka gorzkich zdrojow ſmutek nam ſpro-
wadza
A *Łabędzia* ná wodach źrzodelnych oſadza.
Od tąd nie nárzekaymy wſzyſcy ná *Pogonią*
Ze nám ták wiele krynic nieſmacznych otworzył,
Bo nie on nogą wykuł, żalow náſzych tonią
Nie on nam Pána w drodze dobrego zámorzył,
Smierć wyſadziwſzy Jezdzca cáłą mocą z siodła
Flukt ſmutkami płynący ſwą koſą wywiodła.
Płynie zdroy z gorzkich źrzodeł, pod Zákonne mury
Wyrwał grunt żyzney ziemie, co ubogie żywił,
Zbożem náładowane w dom wchodziły fury,
Nie ieden ſię choynośći w rozchodzie zádziwił,

Bo

Bo, chociaż wgłodnych látach,cieszyła nádzieja
Zebrákow, że Opátrzność wezmą z Dobrodzieja.
Coż mowić o sierotach, pozostáłych Wdowach?
Tu kurs biegącey strugi dukt swoy w nurcie traći,
Mnie pioro z rąk wypáda, oniemiáłam w słowach,
Ktoż mnie teraz w záczętey prácy w styl zbogaći?
Chyba płynący *Łabędź* między trzćiny wisze
Upuści piorko, ktorym ia moy żal opiszę.
Y wyznam w nim, że iáko Siostry *Faetonta*
Nád grobem zábitego Bráta płácząc rzewno,
Zal niezbyty ich postać ludzką zniszczy, splonta
Ze aż się w Topolowe przemieniły drewno,
Łzy z listkow spádaiące, z żałosney przyczyny
Z kámieniały, z ktorych dziś widziemy Bur-
sztyny.
My wszyscy Słudzy Pána, nie Bráta płaczemy
Z Pánem stráciwszy Oyca, ktory nas rospieścił,
W coż się teraz przez żale słuszne przemieniemy?
Otoż, iák on każdego w Domu swoim mieścił,
Zrobmy mu Grob z Serc nászych,z wdzięczno-
ści wykuty
A ták w żywych pámięciach nie będzie zásuty.

WINSZOWANIE IMIENIA KONSTANCYI

JASNIE O. XIĘŻNIE JMći z Duninow SANGUSZKOWEY MARSZAŁKOWEY W. X. Litt.

STáteczność wchodzi w KONSTANCYI Imię
Státek u BOGA, u ludzi w estymie,
Státek prym bierze przed wielą cnotami
Státek się zgodzi z morza furyami.
Státkiem zowiemy, okręt, bat, łodź, náwę
Miła żegluga, gdy wody łáskawe.
To sztuka płynąć kiedy nozdrza śpieni
Delfin, á zorza ná wiatr się czerwieni.
Státek gruntowny, choć o skopuł trąći
Wytrzyma, stęknie, piasek tylko zmąći.
Byle się rudel przez impet nie spádał
Mądrość przyznaią temu, kto nim władał.
Státek mniey czuie, gdy burza mászt łamie
Státek ná ostrey záwięziony támie.
Styrnik obrotny prácowitą sztuką
Potrafi że go báłwany nie stłuką.
Státek nie sobą nie trwoży że żagle
Nádęte ná ták nápędzaią nágle.
Styrnik obrotny sznurem nátężonym
Zfołguie, ucichł szum w płotnie spuszczonym

Stá-

Státkiem ſię CHRYSTUS opiekał, gdy płynął
Piotr nim, y kiedy rozumiał, że zginął.
Pan wiarę Piotra gruntowną pochwálił
Ryb mnoſtwem nádał; á ſtátek ocalił.
Státek w kredycie u cáłego świáta
Wnim ſkład, co ziemia wydaie bogáta.
Ceſarz Krol Xiążę powierzaią zdrowia
Státkowi, *Moyżeſz* miał ſtátek z sitowia.
Wſtátek fortunę ſwoię Kupiec ſkłada
Ufa, że Niebo ſamo ſtátkiem wláda.
Co ma w Towárze nábytego ſprzętu,
Z dobrą nádzieią znosi do okrętu.
Státek po wielu wytrzymanych grzmotach
Tym ſkutecznieyſzy kiedy był w obrotach.
Státkiem go názwą ná urząd zrobionym
Od wielu Kupcow chcących bydź kupionym.
O iáka rádość gdy ſtátek záwinął
Do portu, wſzelkie złe przeprawy minął.
Co żywo biegnie, w ſtátek ſię wpátruie
Státek ſtánąwſzy w gruncie, tryumfuie.
Nie ieden rzecze: Ey pięknyż to ſtátek
Ale y mocny, ciężarow doſtátek
Maiący w ſobie, wytrzymał ładunek
Ma też ſwą cenę, oraz cnot ſzácunek.

Płyńże ſzczęśliwie ſtáteczności *Nawo*
Do lądu fortun, będzieſz miała práwo,
Przebyway prądy, z nádzieią otuchy
Státek umocniſz ná wſze záwieruchy.
A kiedy *Pogoń* zpotka ſię z twą łodką
Moment záprawi kwáſy rzeczą ſłodką
Ja zámiaſt łodzi wyrobię kolebkę
Byleś złowiła ná dwoch nożkach rybkę.

J. O. Xiężna Jeymość BARBARA *z Duninow* SANGUSZKOWA MARSZAŁKOWA *W. X. Litt. W ſtroiu Polowym.*

WIerzę, że to ieſt nieomylna wrożka
Co ſtárożytne probuie przyſłowie,
Ze kto ſię ráno zwykł porywać z łożka,
Nie uprzedzi go leniwiec w obłowie
Czy to Goſpodárz, czy ten, co polował
Ránnego wſtánia żaden nie żałował.
Y ia ſię zgádzam, że poránne zorze
Náyprzyiemnieyſze przynoſzą widoki
Nigdym nie była w pomyślnieyſzey porze,
Gdzie mi ſam inſtynkt dyſponował kroki,
Tam mię poſtawi, tam metę záłoży
Nadzieja ſercu coś dobrego wroży.

Znák

Znák to był szczęścia, co mi go zdárzyło
Przychylne Niebo, w ták pięknym widzeniu,
Boginią iákąś ná ziemię spuściło,
Wzrok się zátopił w tym miłym stworzeniu,
Czy to *Dyana*, czyli ktora *Muza*
Dość że ná głowie Polowa kapuza.
Rzekłábym! *Juno*, lecz nie widzę Pawia
Nie *Dyana* też z *Cynthią* ná czele
Mocno się nád tym myśl moia zábawia,
Przychodzi rożnych reflexyi wiele,
Náypewniey *Miłość*, przed ktorą trzech Synkow
Biegaią ná kształt małych *Kupidynkow*.
Loki zwiane igraią po szyi
Nimfy w rożowe wiążą ie kolory
By nie związały swą igrászką czyi
Wolności, gdyż są iák wiosenney *Flory*,
Tákież, iáko w tey zielone sukienki
Ten stan, ta postać, y te w twarzy wdzięki.
Niech będzie, co chce, *Dyana*, czy *Pallas*
W moich się oczach náypięknieysza zdaie
Gdyby się dzisiay głowny Málarz ználas,
Niech by iey portret miały cudze kraje,
Gdybym *Hektorem*, lub *Paryssem* była
Dla niey bym *Troię*, drugi raz *spaliła*.

CNOTY BOGU y SWIATU WIADOME
J. O. Xiężny JMći MARSZAŁKOWY *Wielkiey W. X. Litt. w oświadczoney Miłości już zmarłemu JASNIE OSWIECONEMU* MĘŻOWI *swemu.*

NIc świat nowego nie wyſtáwia oku,
Bo co ſię działo w zápomniałym czasie
To znowu widziem, ſłyſzem, w każdym roku,
Co wyſzło z druku, álić znowu w prasie,
Y to, co z wiekiem, uſzło iák łodź z wodą
My to chwytamy, zowiąc nową modą.
Wieleż lát temu, wiele wiekow mija
Wiadomość z ſtárych Xiąg w pámięć przywodzi
Kiedy przeſtáła żyć Artemizyia,
Gdy wątpiem, że ſię druga nie urodzi,
Tych cnot przymiotow, tey doſkonałości
Przykład żon wiernych ku mężu miłości.
Między cudami świáta policzony
Nágrobek, czyli *Mauzoleum* ſłáwne
Artemizyi koſztem wyſtáwiony,
Mężowi, w ktorym dowody ſą jawne,
Ják nie ſzczędziła millionow w ſpezie
Chcąc wydać affekt w wſpániałey imprezie.
Ná dokończeniu wierzchołka w ſtrukturze
Woz ſię poczworny z czterma kołmi mieścił

Záłobę w czárnym oświadczył mármurze,
Halikárnaſką Krolową obwieścił,
Ze iey żal częściom świáta porozwoził
Jowiſz mu kázał, berłem z gory groził.
Do tąd pámiętna Monarchini pompa
Choć czás przepyſzną machinę obálił
Ják w łzy y złoto, iák nie była ſkąpa,
By iey choyności wiek nowy nie chwálił,
Ruiny grobu ieſzcze znáki daią
Tym co, ná rzeczach koſztownych ſię znaią.
Przywrocił nám wiek ſtáry Nowalią.
Wyſtáwił abryś w Marszałkowy Xiężnie,
Wierną, cnotliwą, w niey Artemizyą
Pokázał, ktorą miłość ták potężnie
Z mężem ſpoiła, iák łancuch ogniwy
Czy on już w grobie czyli znią był żywy.
Nie śmiem Xiążęcych w Trunnie ſpytać prochow
Zeby świadectwa jawnego nie dáły,
Ják miłe życie bez grymaſow, ſochow
Z kocháną Xiężną, dni, láta miiały
Kto znáł tę párę, bez podchlebſtwa przyzna,
Przyiaciel ſługa y cáła Oyczyzna.
Nie mężem, ále ráczey Oycem zowie
Letnego Pána przez poſzánowanie,

Reſpekt z miłością iáki był, kto powie?
Jákie do woli Jego ſtoſowánie,
Báczność o zdrowiu, przeſtroga życzliwa
Xiążę záſtęknie, Xiężna iuż omdliwa.
Ná coż wyliczać niezliczone cnoty?
W przykłádnym życiu; wrozłączoney lidze,
Wiadome wſzyſtkim tey Páni przymioty,
Máło ich rownych w náſzym czasie widzę,
Jedney ſię w wierſzu trzymam máteryi
Przekładam Xiężną nád Artemizyi
Miłość małżonka, bo tamta kocháła
Oſobę w ciele, nie pomniąc o duſzy,
Ná proźną Chwáłę ſkárby wyſypáła
Mąż poganinem będąc, gdzieś w kátuſzy
Ciaſney zámknięty, áni wiedział o tem
Ze mu grob żona odważyła złotem.
Xiężna oboygu Práwu zádość czyni
Ciału uczćiwość dáie w znáczney ſpezie,
Ledwie z nią zrowna ktora Monarchini,
Gdy ſwoy depozyt w loch podziemny wiezie,
Wdługiey to Polſka pámięći záchowa
Ják godne kości grzebie Marszałkowa.
Woz Artemizyi żal rozwiozł po świecie
Xiężna pieniędzmi worki pakowáne,
Rozſy-

Rozſyła, y to máło u niey przecię
Chociaż po Polſzcze tyſiące rozdáne,
Niechce, ażeby MĄŻ w czyſcu był dłużny
Skrycie potrzebnym rozdaie iałmużny.
Niemaſz Kościoła, Kláſztora, ſzpitála,
Co by go XIĘŻNY ręka nie wſpomogła.
Godziny cierpieć duſzy nie pozwála,
Politowanie ná BOGU wymogła.
Właſnemi prożby, lubo z ſił opádła
Gdy trzy dni poſzcząc nie piła, nie iadła.
Wſzyſtkich nas uczy w XIĘŻNIE Cnota Pańſka.
Ják zmárłych MĘŻOW, Przyiacioł, żałowáć.
Náczym záwiſła miłość Chrześciáńſka
Poſtem, jałmużną, duſzę ich rátowáć.
Wdowy! ná ktore toż ſieroctwo ſpádło,
Macie w TEY Páni przykładne zwierciadło.
Spráwuieſz XIĘŻNO pogrzeb po pogrzebie
Jużeś oddała práwnie ziemię ziemi.
Echo ſię z grobu odzywa do Ciebie,
Dzięki oddaiąc zá miłość, wierz że mi.
Ze iáko *Fenix* z ſwoiego pogrzebu
Zycie záczyna, ták TWOY XIĄŻĘ Niebu
Zyć záczął, o iák ſzczęśliwy! że minął
Złych przepráw drogi do ktorych my dążem.

On iuż burźliwy Ocean przepłynął,
 Amy dopiero koło lądow krążem,
 Winszować trzeba, oraz mu zázdrość̇ić
 Częśći, ktorą ma, z BOGIEM w Niebie gośćić.
Paweł Doktorow náczynie wybráne
 Prosi cię Xiężno, nie odmieniay stánu
Wdowiego, położ Potomstwo kocháne
 Pod nogi Stworcy rzeczy świata Pánu.
 Uzbroy swe serce w wolnośći oręża
 Niedzierz drugiego po Xiążęciu męża.
BOG sám o tobie obiecuie rádzić,
 Możesz bespiecznie spać ná jego łonie.
BOG cię drogami temi chce prowadzić
 Gdzie nikt nie błądzi, gdzie nikt nie utonie.
 BOG sam o twoich myśli interessach
 Plantę ułożył o dziatek sukcessach.
Bądź nástępczyną uczynkow chwálebnych
 Godnego męża, luboś ich iest pełna,
Bądź mátką sierot, wspomagay potrzebnych
 Niech wola z wolą złączy się zupełna,
 Jákośćie z sobą żyiąc żyli w zgodzie
 Myśl z myślą, wrowney chodziły swobodzie.
Bądź protektorką FRANCISZKA Zákonu,
 Ktory nád inne twoy Xiążę ulubił,

Ten

Ten go Serafin do Boſkiego Tronu
Przybliżył, ten mu trákt do Nieba ubił,
Proſty gościniec utorował wprzody,
Nim gościa wezwał Goſpodarz ná gody.
Ná reſzcie Xiężno, pozwol nam zá ſobą
Swym ſługom prosić o dálſzą opiekę,
Zwłaſzcza zá tymi, coś ich jawną probą
Serca doznáła, ja zá nie przyrzekę,
Ze utraćiwſzy Pána, Ciebie Pánią
Znać będą, czego wieki im nie zgánią.

Ná plenność kreſcencyi Wołhyńſkiey, w dwoygu Jaśnie Oświeconych Xiążętach SANGUSZKACH *razem národzonych przed żniwami.*

ZNák to plenności, kiedy przede żniwy
Dwoiſte kłoſy pokázuią niwy,
Xiążęcą niwę *Ceres* zasiewáła,
W trzydzieſtu funtach dwa kłoſki wydáła.
Cud ći to iſtny, y rzecz nieſłychána,
Wſzákże podobno ziemia obiecána
Nie była nigdy w tákie zboża płodna
Większey Wołhyńſka nád nią chwáły godna.
Zbiera *Ruth* kłoſy ná *Booſsa* roli
Co pochodziło, z Wſzechmocnego woli.

Rád *Boos* miłey, y cnotliwey żonie
  Gdy Syna, zá kłos, przynioſła mu w plonie.
Dwánaście ſnopkow widział Jozef we śnie
  Ze mu pokłony oddáwały wcześnie.
My dziś ná iawie, widziem Snopkow párę
  Co ádoruią, przed zniwem BARBARE.
Błogoſław Pánie tákowe zasiewy,
  Z ktorych ſię rodzą Pſzenice, nie plewy.
Niech BOG opátrzny z ſwey niebieſkiey roſy
  Wigorem rzeźwi, dwa roſnące kłoſy.

OPISANIE Retyrady J. O. Xiężney JMći Urszuli *z Branickich* Lubomirskiey Starościny *Bolimowſkiey.*

RAz gdy w świtanie ſen mię odbiegł nagle
  Ato w czás było majowego ciepła
Kiedy ſwe *Tytan* purpurowe żagle,
  Roſpoſtárł, kiedy àérya nie ſkrzepła,
    Y nim pozbiera rozſypáne roſy
    Przez roſpuſzczone w ſwych promieniach włoſy.
Wchodzę do gaju bliſkiey promenády
  Co go *Diana* poświęciła ſobie,
Gdzie ſię z nią *Nimfy* zábawiąią rády,
  Tam ich ſpoczynek w południowey dobie,

Drzewa chłod czynią, ſzum wydaią liścia
Smieiąc ſię cieſzą z ſwey Bogini przyścia.
Scieſzki záwiłym ſpoſobem robione,
Lábirynt miły, choć w nim kto zábłądzi
Uliczki ciemnym liguſtrem ſadzone,
Báwić w nim długo, czás rozumem rządzi,
Tezeuſz, ktory chciałby ztąd wyść ſnadnie
Niech ſię o kłębek kłánia *Aryadnie*.
Tu zwierz beſpieczny wychodzi do páſzy
Łáſkawe leżą przy drogach daniele,
Cichość tu mieſzka, nikt ie nie poſtráſzy,
Weſoło nioſą ſwe rogi ná czele,
Gdyż wilk drapieżny omiia zdáleka
Wiedząc, że go tu śmierć niemyłna czeka.
Ptáſzęta gęby ſwobodnie otworzą
Spiewaią rożnie, iako ktore umie,
Skácząc po drzewkach, witaią ſię z zorzą,
Kiedy by mowić mogły przy rozumie,
Słońcu by ſwoie poświęciły pienie
Ze dla nich leśne oświeciło cienie.
Już ſię z południa bierze ku wieczoru
Mnie ten czas iedną przeminął godziną
Zál mi wychodzić z roſkoſznego boru,
Nádzieią tylko cieſzę ſię iedyną,

Ze tego ſzczęście zraz ieſzcze pozwoli
Zábłądzić, y guſt náſycić do woli.
Jdę, á niewiem gdzie, gościniec proſty
Co by mię zgaju w pola wyprowádził
Aż ſię w net długie pokázuią moſty,
Jnſtynkt mi dáley poſtępowáć rádził
W tym uyrzę domek, włáſne pieścidełko
Godne ſchowania w ſzáfkę, czy w pudełko.
Nie dość mi ná tym kontentowáć oczy
Myślą ciekáwość po powietrzu chwytáć
Szukam człowieka, poki ſię nie z mroczy
Zeby z nim mowić, y żeby go ſpytáć,
Czyi Dom? czyi láſek? czyi zwierz? rzeka bliſka
Czyi ogrod? czyia w nim wiſi kołyſka?
Nikt nie odpowie: dáremnie ſię zwodzę
Niezbytą moiey ciekáwości zrzędą
Smutna z pięknego już Raju wychodzę,
Pàtrząc, czy iákie Duchy nie przybędą?
W tym mię ſpotyka wodny Geniuſzek
Kłádąc zá ſekret ná uſta páluſzek.
Skocze ku niemu; o Dziecino cudna!
Mowiąc: czy cię tu *Neptun* ná ląd ſtáwił
Ażebyś, co mi do poięcia trudna,
Chęć uſpokoił, á ſzczerze obiawił,

Kto

Kto Pánem, czyli Pánią tego cacka?
Co w nim ták śliczna, ták miła przechacka.
Rzecze z uśmiechem wdzięcznym dziecko drobne:
Oto masz Pánią tę rzekę, co płynie
Przybliż się tylko ná mieysce sposobne,
Usłyszysz z szumu, iák dáleko słynie
Srzeniawa, á sam zátulaiąc oczy
Wtęż samę wodę, iák *Syrena* wskoczy.
Tuż zá nim biegnę, y stánę, nád brzegiem
Obáczę kręty potok w dziwnym kursie
Wyniosłe drzewa sadzone szeregiem,
Tu mi już wątku niestaię w dyskursie,
Gdyż zmysły ták mi zamotały drogę
Ze z wody ná ląd ledwo tráfić mogę.
Myśląc: o czysty elemencie wodny ;
Niech w twych zwierciadłach każdy się przegląda
Pozna sam siebie, ieżeli iest godny,
Brać przykład z ciebie, mieć to, czego żąda,
Obáczy w tobie obraz niepochlebny
Kto piękny? szpetny, kto w cnocie chwálebny,
Aleć nie tylko ludzie ten gust maią,
Wpięknych kryształach zátapiać powieki
Lecz skáły, drzewa, kárkow nachylaią,
By doyrzeć mogły doskonáłość rzeki,
W kto-

W ktorey śię widząc uſtroione w haſty
Aż odtąd biorą przezwiſko landzaſty.
Droga *Srzeniawo*! Perłeś urodziła
Uryańſkiego ná wybor gátunku
Ta ceną ſwoią Pańſtwa ozdobiła
Kioby ią zażył w kordyalnym trunku,
Można by mowić, że w tym zdrowia kuſzu
Kroleſtwoś wypił o *Antoniuſſu*.
Już wiem, iák Pánią tego mieyſca zowią
Wiem o iey cnotach, rozumie, dobroći
Tu iałmużnicy złote rybki łowią,
Nik z prożną ręką od niey nie powroći,
Słuſznie ktoś názwał ten DOM *Retyrada*
Bo w nim każdemu grzeczna Páni ráda.

Ná pożegnanie J. O. Xiężniczki JMći MARYANNY LUBOMIRSKIEY Starościanki *Bolimowſkey, wyieżdżaiącey z Granic Polſkich.*

Y Nátoż cię to, *Francya* obráła
Ambaſadorem, godny KÁwalerze?
Zeby nam Polſka puſtkámi zoſtáła,
Kiedy ozdobę iey, twoy guſt wybierze,
Swoy kráy bogaciſz, náſz czyniſz ubogim
Gdy drugą zdobycz, niesieſz w ſkárbie drogim.
Wzią-

Wziąłeś Krolewnę, wyſłał do *Wersalu*
  Bierzeſz Xiężniczkę zá Polſkie gránice
Ktożby do ciebie, nieurościł żalu?
  Po ktorey będą, tyſiączne tęſknice
    W przychylnych Sercach, kto tę Dámę kocha
    Serce rozkwili, á oczy záſzlocha.
Wywoziſz Corkę, iuż zoſtáwſzy Zięciem
  Mátki twey żony, wyprowádzaſz y te
Za prog Oyczyſty, ta iák zá orlęciem
  Jedynym tęſkniąc, ma troſki niezbyte,
    Miłość iey w ſkrzydła záſadziła piora (ra.
    Tam być chce, gdzie Zięć, gdzie kocháua Co-
Bierzeſz Xiężniczkę, y z nią wſzyſtkie cnoty,
  Co nimi wielu godnych, BOG podzielił
W niey dobroć ſwoie złożyła pieſzczoty,
  My ſmutku pełni, tyś ſię uweſelił, (bie,
    Wziąwſzy zbior tych cnot, w iey iedney oſo-
    O iák zázdroſzczą, tego ſzczęścia tobie.
Bierzeſz Xiężniczkę, bierz że y nás zá nią,
  Niech ſerca náſze tam, gdzie ona będą,
Ktożby niepoſzedł zá ták miłą Pánią?
  Co miłość ludzką chwyta iáko wędą,
    Ktoż nam zábroni, że ſercem y krokiem
    Gonić ią chcemy, paść ſię iey widokiem.

Ale że Boſkie w tym záchodzą rządy,
Oddać Xiężniczkę, *Ambaſadarowi*,
Choćby łzy náſze, przelewáły lądy,
Ktoż to zkaſsuie, co Niebo ſtánowi,
A kiedy iuż być niemoże ináczy,
Zyczmy iey, niech nią ſzczęście nie dziwaczy.
Płyńże Xiężniczko, z Mátką fortun nawą,
Stańcie obiedwie, u cichego brzegu,
Niech wam zpływaią doſtátki *Srzeniawą*,
Niech życie wáſze, w ſłodkim płynie biegu,
Niech ſam BOG dla was, tę podroż zporządzi
Ják záczął, tak niech wámi wſzędzie rządzi.
Prosiem Xiężniczko, zá twoim odiazdem,
Nie wynoś ſerca z tąd, gdzieś ſię rodziła,
Nie brzydź ſię nigdy twey Oyczyzny gniazdem,
Ktora ná łonie ſwym cię wypieściła,
Obroć y ná tych wzrok, ktorzy cię lubią
Niech z *tą oſobą* twey łaſki nie gubią.
A kiedy będzieſz pámiętała o tym,
Pewna cię czeka fortuny ſzczodrota,
BOG twoy Opiekun, y teraz y potym,
Ten ći otworzy do honorow wrota,
Y toć przyrzeka, czego czás nie zmyie
Zeć kwitnąć będą *Francuſkie* Lilie.

Ná płaczliwe pożegnanie w Kwietniu *J. W.* z Lubomirſkich Jordanowey *Wojewodzicowey Bracławſkiey z Mężem ſwoim.*

NIe ieſt czás w kwietniu, łączyć ſię Pleiadom,
Z ktorych rzęsiſte wypádáią wody,
Dziwić ſię musi, kto ich kurſu wiadom,
Czemu czás dzdżyſty ubiegaią wprzody,
To nie dziw, kiedy *Srzeniawa* łzy ſączy
Gdy ſię z ſwym miłym *Jordanem* rozłączy.
Pewnie że nie dziw, bo to ſympatyczna,
Zgádzać ſię rzekom, iedney w drugą wpádać
Tać to zábawa dla nich uſtáwiczna,
Ze dzwiękiem wdzięcznym, mogą z ſobą gádać
Niepłacz *Srzeniawo*, niech cię czas nie ſmući
Twoy *Iordan* wprędce, do ciebie powroći.

Wierſz J. O. Xiążęcia Ulryka Radziwiłła *Koniuſzego W. X. Litt. ná pochwałę W. JMći Pani* Elżbiety Druzbackiey, *Skarbnikowey Zydaczewſkiey w* Rzemieniu *nad Wiſłoko rezyduiącey.*

NIe z proſtey ſkory pas ciągnę *Rzemienia*,
Z ktorey tu ſnuie muza ſwe oſnowy
Tać z Helikońſkiey cor idzie plemienia,
W Druzbackich kroplach kręte kroi rowy,

Gdzie po kámykach ſzumne graią zdroie
Z kąd Pòétyckie ſmák dáią nápoie.
Ktoraż z Wiſłocznych wod *Rzemień* opłocze
Z kąd łátwiey zwiiać Pòétyckie węzły
Niech ſię w ſzemrzących *Druzbakach* náuczę,
Ják myśl formować iák ſens czynić zwięzły,
Niech z Wiſłocznymi *Drużbak* kroplmi złączę
Niech uchodzące wody czerpnę rącze.
Wſzák gdy w *Iordanie* ſtrumień *Jana* głaſzcze
Z Duchem mądrości z głębi ſię wynurza
W raz *Ian* Rzemienne ná ſię wdziewa płaſzcze
By nie zálała ſkázitelna burza,
Czyſty iák krzyſztał, czyſte paſze biodra
Lepiey wyrazi muzy ręka ſzczodra.
Właſność Wiſłoki opátrzać w potrzeby
Spuſzczaiąc z nurtem zobfitością trátfy
Kráy kraie żywi, nápełniaiąc w chleby
Choć kręte buchty, przecież transport łátwy,
Muza łáſkawa ſwe kieruie wiatry
By nierozbiły ſkopuły czy tátry.
Druzbackie ſtoki iuż ożywiciela
Tytuł ná ſobie ſpráwiedliwie noſzą
A ktoż w kálectwie znaydzie Zbáwiciela
Wſzak dziwne ſkutki wod *Druzbackich* głoſzą,
Muzy

Muzy to dzieło, iey cudowne leki
Ze y mych rythmow popráwi káleki.

Reſkrypt J. O. Xiążęciu JMći Koniuſzemu W. X. Litt. od nierownaiącey ſię z doſkonałością iego, Sługi.

Nieſłuſzna ſowie z Orłem w záwod chodzić w locie,
Nieſłuſzna z nim ſię wzbiiać, pod Słońca promienie,
Orła piora wynoſzą, w przyzwoitey cnocie,
Sowę puſta ſtodoła wśrod dnia kryie w cienie,
Dopiero iey noc czárna, da wzrok widzieć świata
Jednák ſowa w proſtocie ſwoiey, niſko láta.
Pták wynieſiony
Bierze ią w ſzpony.

Zámilkła muzy moiey iuż odtąd chimera,
Wybił ſtyl z głowy moiey Litewſki Koniuszy,
Gdy mię z iego Parnaſu dochodzi Litera,
Upádła chęć do piora, ręka ſię nieruſzy
Do żadney prácy, bo mi, trákt záległ Radziwiłł,
Sens zmotał, z Aryadny kłębka nici wywił.
Mnie w labirencie
Stawił w momencie.

Ze niewiem, w ktorą ſtronę iść mam z błędney matnie,
Nie wiem, w lewą czy wpráwą, krok kierować z myślą

Przyidzie ná to, że Xiążę ſpoſoby oſtátnie
Poda, dowcipy iego gościniec zákryślą,
Sens wroći, chęć záoſtrzy, z ſtylu ſkrzeſze ſęki,
Pioro zátemporuie, papier da do ręki.
Ná tym wyraże,
Co wiek niezmaże.

Bo przyznam, że koń z iego wypuſzczony ſtáynie,
Zdroju Helikońſkiego dobył z ſwoią ſłáwą,
Rumak pod dobrym jezdzcem, cnotliwy zwyczaynie,
Wſzkole ćwiczon, niepłonną wykármiony tráwą,
Oryentalne w biegu, wyprzedza rumaki,
Nátrze śmiele, ná śmiałe wzbytkach háydamaki.
Zdepce podkową,
Hidrę Siczową.

Mnie pozwol proſzę z gránic, nád wymiar wykroczyć,
Ządaiąc, żebyś byſtrość ugłaſkáł *Pegaza*,
Bym pioro Orle mogła w iego ſtoku zmoczyć,
Ty zágładź, gdzie w mym piśmie będzie znáczna ſkáza,
Popráw niedoſkonáłę w wierſzu poétyczkę,
Ktora za tobą nosić powinna tabliczke.
Gdy prawdę rzekę,
Zmądrością tekę.

Rzemień da ſię pociągnąć zwłaſzcza Koniuszemu,
Do iakiey go nákręcić zámyśli uſługi,

Wkroju nie będzie twárdym, ále poſtáremu,
Pas proſty, choćgo płuczą Nádwiſłoczne ſtrugi,
Náto ſię tylko przyda, ociągniony niſko,
Zeby go Pan do ſtrzemion zażył ná puśliſko.
Z kąd w większey cenie,
Będą rzemienie.

Krople z krynic *Druzbackich*, káleki ubogie,
Y ſame niedołęgi, ledwie leczyć zdolą,
Páńſkim głowom, w ktorych ſą náuk ſkárby drogie,
Nieporádzą, ráczey im uniżyć ſię wolą,
Muza w mądrość uboga, ále w piśmie ſzczera,
Co piſze, to zá Orłem piora w polach zbiera.
Y tym ſię chlubi,
Co Orzeł zgubi.

Honor mi czyniſz Panie JAŚNIE OŚWIECONY,
Prácą mię głowy twoiey, z pod umbry odſłania,
Stan moy wdowi, iuż dáwno żałobą przyćmiony,
Ná widok wyſtáwuią, łáſki pełne zdánia,
Ja ſobie tyle przyznam, czy krotką czy długą
Linią życia ciągnąć, záwſzem twoią ſługą.
Ty bądź pamiętny,
Ná umyſł chętny.

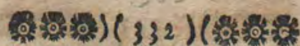


Po-

POCHWAŁA *lasow, y miłego w nich ná osobności życia w Stanie Pasterskim, od pewney Pasterki.*

ZWażywszy życia ludzkiego obroty
Uchodzę w lásy y wesołe knieie
Maiąc w nich więcey gustu y ochoty,
Niech kto chce z moiey dzikości się śmieie,
Niedbam nic náto, wolę z swey prostoty
Las, á niżeli świat pełen niecnoty.
Nie umiem baiek práwie szeptać w ucho
Łaćiny nie znam, ni terminow práwnych
Wody sprowadzić, tam gdzie było sucho,
O *Cyceronach* nie słyszáłam słáwnych,
Więc kto tych czásow w tey nie ćwiczon Szkole
Niech pasie bydło, álbo kopie role.
Lásy kocháne, zielone chłodniki
Drzewa przyiemny szum dáiące z siebie
Tráwy, págorki, biegące strumyki,
Przy was niech mieszkam choć o suchym chlebie,
Zdrowszy mi nápoy z wászych źrzodeł żywych
Niż drogie trunki, gdy z rąk nie życzliwych.
Ják ránna zorza swoy rumieniec śliczny
Pokaże, rosa perłowe kropelki

305



Pozbiera, iuż ći Paſterz okoliczny
Nie zaśpi, á pták wyśpiewuie wſzelki,
Ci trzody owiec żeną między wrzoſy,
Te, mokre ſkrzydła otrzepuią z roſy.
Wnet rożnych głoſow ſtroią inſtrumenta
Po drzewach ſkácząc wyſoko, to niſko,
Krzykną rośleyſze y drobne ptáſzęta,
Bezpieczne, chociaż ſłuchamy ich bliſko,
Zá nic koncerty y włoſkich nut ſztuki
Jch milſze głoſy bez miſtrza náuki.
Odpocznie ptáſtwo, aż záczną Páſterze
Smutne wywodzić dumy ná fuiarze
Jnni zaś ſkoczne mazury ná lerze,
Tańcuiąc z námi każdy w ſwoiey parze,
My wdzięczne pieśni śpiewamy koleią
Láſy ſłuchaią, á gaie ſię śmieią.
Nie wiem co teſknić, paſąc owiec trzodę
Z pilnością ſtrzedz ich potrzeba od wilka
Przebrnąwſzy potok, oczyma powiodę,
Aż páſtereczek bieży kumnie kilka,
Z temi ſię witam, chwytaiąc zá ſzyie
Wnet iedna drugą ſzczeſze, z plecie, zmyie.
Usiędziem ſobie pod Jáworem ciemnym
Nád czyſtym źrzodłem pryſkaiącey wody

Ze ſkał fontanny nátura, foremnym
Konſztem, zrobiła Paſterzom ochłody,
Nic nam ſłoneczny upał nie dokuczy
Jáwor zaſzumi, á ſtrumyk zámruczy.
Zácżniemy mowić o náſzych zábawach,
Ná czym dzień cáły przeminie godziną:
O pięknym kwieciu wiákich roſną tráwach,
Ta powie, ieſt tu mieyſce nád doliną
Ná ktorym kwiaty w rozliczne kolory
Kwitną posiane od Bogini *Flory*.
Więc wſzyſtkie w záwod bieżąc, iedna drugą
Pophnie w bok, by ſię wyprzedzić nie dáła
Ta w miękką tráwę upádnie, iák długą,
Ta iuż tym czáſem kwiatkow názbieráła,
Z tych wieńce wiiąc głowy ſobie ſtroiem
O Brylantowe korony nie ſtoiem.
Szczera weſołość, śmiech, żarty niewinne
Nikogo zgorſzyć owſzem cieſzyć mogą
Proſtoty náſzey niech ſię uczą inne,
Przyſtoynych zábaw z námi idą drogą,
To co ma ktora, wybiera zkoſzyka
Jemy ſer z chlebem, y maſło z jaſzczyka.
Potym bankiecie chcący trunku zażyć
Spieſzno biegniemy, do náſzey piwnicy

Ktorą

Ktorą nád wine więcey trzeba ważyć,
Czyſtey iák krzyſtał pod ſkáłą krynicy,
Z tey co dzień dzbanem piiąc nie ubywa
W pełni zoſtaie nikt iey nie doliwa.
Gdy iuż z południa ſłońce nie zbyt grzeie
Wychodzim z gęſtych láſow ná krzewiny
Tam gdzie chłod miły od págorkow wieie,
Jgrámy w bábkę po między iedliny,
Pátrząc przez niſkie krzáczki y jałowce
Czy dobrze náſze nápaſły ſię owce.
Samym wieczorem zbliżaiąc ku domu
Zgániamy trzody ſpołem do gromady
Poznaią owce, co náleży komu,
Bierzemy ſwoie bez ſwaru, bez zwády,
Zádna nie zbłądzi do cudzey owczárnie,
Każda do ſwego ſałaſzu ſię gárnie.
My zaś Páſterki do cháty chrościaney
Nád Páłac cichſzey ſpieſzym ná ſpoczynek
Mleka ſiadłego ná miſce gliniáney
Podiadſzy, nie śląc po mięſo na rynek
Nie pſuią tákie potráwy żołądka
Dłużey my, niż Pan, żyiem nieborżątka.

OPISANIE *oczu ciekawych* AKTEONA.

CZęſto ćiekáwe oko ſzkodę czyni w duſzy
Częſto w niewolne járzmo wolnego záprzęga,
Oko náſz nieprzyiaciel, mozg, y ciało ſuſzy,
Zdrow dopiero, wnet z niego żebrák niedołęgá,
Choruie, nápiera ſię, á nie wie że w trunku
Zámiaſt lekárſtwa bierze, złą śmierć w baſsarun- (ku.
Teć to ſą perſpektywy miſterney roboty
Y choć zdáleka pátrząc, nie náſycą wzroku
Pędzi ciekáwość ſzybko, dodaie ochoty
Pozwála beſpieczeńſtwa, przyśpieſzaiąc kroku,
Zaciekły oślep bieżąc, częſto w przepaść mierzy
Oczy tráći, gdy głowę o ſkáłę uderzy.
Przypłacił ciekáwości *Akteon* myśliwy
Lubo nie ſzukał w kniej damy lub jelenia
Hártowną ſtrzałę z łuku wypuściwſzy chćiwy,
Bieży wlot do hárapu, ubił bez wątpienia
A prágnąc oczy nápaść, w pobitey zwierzynie
Topi wzrok rowno z ſtrzáłą, w kąpiącey dzie-
wczynie.
Nie ſądzi ią bydź z rzędu, Bogiń wielowładnych
Choć z twárzy coś Boſkiego, w groźney minie
czyta
Páſte-

Páſterek doſyć widząc, przy piękności ſádnych,
Zádney ſię guſt y z ſercem ták mocno nie chwyta,
Jm dłużey myie nogi, ciało wodą pleſzcze
Nie dość opodal widzieć, zbliſka lepiey ieſzcze.
Już wſzelkich ſztuk przybiera, dogodzić ſwey woli
Ráz ſię ſkráda po między gęſtych drzew zárośle,
Wnet iák wąż, pełznie w tráwie, nie czuiąc, że boli
Gdy ciernie oſtry bodziec w ciało miękkie pośle.
Niedba ná ciernie, głogi, oſty y záwady
Ten kto ciekáwych oczu, rád ſłucha porády.
Stánął *Akteon* w mecie pożądaney bliſko
Ták że iuż było trudno przydać więcey kroku,
Wnet Bożek łuczny z niego uczyni igrzyſko,
Wnet pozna, co zá ſkutek w zákazanym ſtoku,
W ktorym *Dyana* czyſta, Boſkie myiąc członki
Ná pokrycie nágości nie miała záſłonki.
W tym ſpoyrzy w bok, poſtrzeże ukrytego ſzpiega
Wſtydem, á potym gniewem zdięta, wodą pryśnie
Zálawſzy oczy, ſama ſzukaiąc *Nimf*, biega
Okiem nań, ſłowem groznym, iák piorunem ćiśnie,
Mowiąc mu: byś nie wydał, przed światem ſekretu
Coś widział, bądź jeleniem, z moiego dekretu.
Ledwie co wymowiła Bogini zaiadła
Aż poſtać Káwalera wyborney urody

Mieni śię, bo twárz z głową nátychmiaſt odpádła
Dopiero uznał, iákiey wzrok nábawił ſzkody,
Gdy w zámianę zá ludzką y kſztałtną poſturę
Brać muśi jeleniową głowę, nogi, ſkurę.
Nie dośyć, że z człowieka przemieniony w zwierza
Lecz właſnych pſow ſprobował tyrańſtwa nád ſobą
Wołać chce, ći go ſzárpią, lancą ku nim zmierza,
Myśląc wzdycha, coż to ieſt *Akteonie* z tobą?
Zá iednę oczu twoich chęć, przypłacaſz śmier-
ćią.
Okrywaſz śię ielenią y twoich pſow śiercią.
Otoż ták igrać z Bogi! á śmiałością grzeſzyć?
Chronić śię ráczey życzę, ich pomſty y gniewu
Maią moc złych ukárać, maią dobrych cieſzyć,
Człowieka niemym zrobią, mowić każą drzewu,
Częſto zła myśl, złe oko, gdzie żądza przeklęta
Mieni ludzie w beſtye, y głupie bydlęta.

RESKRYPT pewnemu Pòécie boiącemu śię grzmotow, y zabicia od piorunow, że grzeßnik.

MOcny BOG, to ieſt pewna, w piorunie y grzmocie
Uznáy grzeſzniku winę, wſzákże idzie o cie
Coż zá ſpoſob w boiaźni nágłego kárania (nia.
Zál, wſtyd ſzczery wyſtępkow, do nich niewráca-
A gdy

A gdy ſię w táką zbroię winowáyco ſtroiſz
  Czegoż grzmotow, błyſkánia, piorunow ſię boiſz.
Chyba że po ſkończoney burzy, wichrze, ſtráchu
  Maſz wolą grzech przytulić, do twoiego gmachu
Wiem że BOG ſpráwiedliwy w doſkonáłych rządách
  Rowne w nim miłosierdzie; lub w ukrytych ſą-
dach.
Czemuż ia? czemuż y ty? czemu w piekle ná dnie
  Swiat nie osiadł? dla grzechu, kto tę ſkrytość zga-
dnie.
Truchlał *Moyżeſʒ* ná brzmiące Uſt Boſkich ogłoſy
  Krzák widząc, rozzuwa ſię w rog powſtaią włoſy.
Rzecze z ſtráchu: już więcey nie mow do mnie Pánie
  Bo umrę, y włoſow mi ná głowie nie ſtánie.
Aż ach? iák pożyteczny ten głos, ta rozmowa
  Gdy *Moyżeſʒ* przykázanie ná táblicy chowa.
Y przynosi ludowi pełnemu roſpuſty
  Letkie járzmo do prácy, á wieczne odpuſty.
Więc BOG iák Oćiec dzieći nie poſłuſzne gromi
  Częſto zły náłog, nie wſtyd, grzmotami uſkromi.
Y chociaż zágniewány, chociaż ſię zámierzy
  Mija przecie grzeſznika, w ſuchy dąb uderzy.



Ná

Ná Bobra złapanego w ſieći od pewnego Łowczego, ktorym Sąſiadow utráktował.

RAz, gdy łowczemu przypádła myśl dobra
Rozſtáwić sieći, ná leśnego zwierza
Przypádkiem iákimś, widzi w siatce bobra,
Co go nátura bardziey do więcierza,
Nápędzić miała, iák ſtworzenie wodne
Bobr w kniei, ſą to rzeczy dziwu godne.
Łowczy iák ludzki, dzieli ſię z ſąsiectwem
Częściami z bobra, by go z nim zażyli
Przyznaią wſzyſcy, że ſzczęścia łowiectwem
Bárdziey, niż bobrem, guſt ſwoy náſycili,
Biorąc z łowczego łáſki, ſpecyały,
Z ktorych odorem, nápełnion dom cáły.
Poſłał dla młodey Páni, ogon ſpory
Dla ſtárey iákieś w pápierze rupieći
Te przeraźliwe zrobiły fetory,
Skutek bobrowy w nos w gárło záleći,
Dotknieniem owych, śmierdzących káwalcow
Trudno tábaki zażyć trzy dni z pálcow.
Spyta ſię Páni poſłańca ciekáwie:
Coś mi to przywiozł? on o ſtroiach plecie,
Ta mowi, dáwno ſtroiem ſię nie bawię,
Bom ſtára, á ten ſtroie chwáli przecie,

Ná

Ná koniec rzecze, ia oto nie ſtoię
Komuś dał ogon, oddayże y ſtroie.

Ná kompanią Franc-Maſsonow dla Káwalerow, y ná kompanią de Mops *dla Dam.*

ZA mego wieku dwie kompanii weſzło,
Zoſtátnią modą do Polſkiey z *Paryża*
Już tyle czáſow temu lichu przeſzło,
Czy świat do końca bliſkiego ſię zniża,
Franc-maſson znáczy wolnego mularza
Ják mur mocnego w ſekcie ſekretárza.
Niewiem z kąd Jeymość iákaś záſzła modna
Przywiozſzy z ſobą *mopsa* ná obrużce
Znać ſpołeczności z ludźmi będąc głodna,
Kładzie przy ſobie wierność ná poduſzce,
Záchęca w order kompánij *mopsa*
Niemaiąc człeka przypyta ſię do pſa.
Ktoby mię ſpytał: cobym zdwoyga tego
Obrać myśliła, pſa czy *Franc-maſsona*?
Wolę człowieka záwſze chociaſz złego,
Wſzák ludziom z ludźmi żyć rzecz przyrodzona,
Każdy to przyzna, niemaſz myśleć náczym
Ze głupia liga z rodzaiem ſobáczym.

Chociaż *Franc-masson* wyklęty z Ambony
Przecie zá upor iego nikt nie ręczy,
Ze od Kościoła będąc odrzucony
Już go czárt żywcem z potępionym dręczy,
Nie ták skwápliwy BOG ná káry násze
Zbawi Mulárza, iák fartuch odpasze.
Szaweł Kościoła prześladowca głowny
Chce go rozrzucić, y do szczętu zburzyć
Wojuie z BOGIEM iákby mu był rowny,
Myśli owieczki z owczárnie wykurzyć,
Coż mu BOG zá to? z dobroći dowodow
Czyni go ieszcze Doktorem národow.
Y ták niech będzie zmiennik Apostáta
Przecie on człowiek z nieśmiertelną duszą
Niecháy się z Lutrem, z Kálwinem pobráta,
Często go mocne skrupuły ususzą,
Myśli nieborák kontrákt czynić z jutrem
Ják by się rozstać z Kálwinem y Lutrem.
Franc-masson przyiaźn w sekcie záchowuie
Y miłość świadczy nád swym Towárzyszem
Wspomoc bliźniego ták się obliguie,
Jeden drugiego nie cierpieć hołyszem,
Nie lepszaż przyiaźn z tákim kámeratem?
Niż dla wierności dać się zwać psu brátem.

Bo w tym ſtworzeniu ni duſza ni ſekta,
  Mieyſca nie znáydzie, podły guſt niewieści
U ktorey tákie pſy maią reſpekta,
  Ze go cáłuie ná kolánach pieści
    Przy tych kárefsach ſmrodliwie oddycha
    Czy to mops młody, czy ſtára mopsicha.
Jeźli zá wierność pſa kłádzieſz przy ſobie
  Ná akſamitnym wezgłowiu u łużka
Ja cię przeſtrzegam z affektu ku tobie
  Ze śmielę przyidzie twoy domowy ſłużka,
    Przekupi wierność, mops ná męſo łaſy,
    Przyniożſzy z ſobą káwałek kiełbaſy.

Ná pyßnego Narcyſsa uciekaiącego od miłości Nimfy Echo *nazwaney.*

DArmo záczynaſz woynę, z miłością *Narcyſsie,*
  Dármo ſię z nią potykaſz, w ſtálowym kiryſsie,
Dármo ufaſz w orężu, w troy graniaſtą ſzpádę
  Gdyć nágie dziecko wziąć ią, potrafi przez zdradę
    Wnet iedna ſtrzałka
    Zwoiuie śmiałka.

Uciekáy w ſkáły, puſzcze, w knieie, laſy ciemne,
  Uznaſz, że w twym myśliſtwie uciechy dáremne

Poydzie miłość zá tobą, y tam ći dokuczy
  Zgánić pychę, iák iey masz hołdowáć, náuczy,
    Porzuć zwierzynę,
    Kochay dziewczynę.

Pokaż mi *Bohatyra* ktorego w tym męstwie (stwie
  By nád nim miłość tryumf nie wzieła w zwycię-
Każda broń z twárdey stáli wykowána pryśnie
  Przez pancerze, szyszáki, snádno się przeciśnie.
    Mársa roboty
    Zmieni w záloty.

Przez mury, bramy, szańce, przez okopy mosty
  Miłość ma wolny przystęp, y gościniec prosty,
Jeszcze táka forteca, w náturze nie była
  Ktorey by miłość swoią sztuką nie dobyła,
    Architekt zá nic
    Uchodzi z gránic.

W głuchych jáskiniach znáydzie, miłość *Eremitę*
  Zápuści w zimny krzemień, wiskrze ognie skryte,
Y ten co go dopiero, trącano krzesiwem
  Staie się rozgorzáłym w płomięniu łuczywem
    Aż kości święte
    W popioł rozdęte.

Kryie ſię miłość ráda, w ſpuſzczone káptury (ſtury
Gdzie chcąc bydź, nie poznána, w ſkromności po-
Przybiera ſwoię poſtać, wnet iák ſię rozrucha
Podnieść rádzi káptura, y pocieſzyć Ducha,
Pozwoli oku
Zárwać widoku.

Dármo *Weſtalſkie* Pánny, wota czynią mocne
Odpráwiać pilne ſtraże, y dzienne y nocne,
Bo gdy ſen náturalny, ktorey zpląta oczy
Z bliſkiego ognia częſto, ráda iſkra ſkoczy,
Aż łamie wiarę
Gáni ofiarę.

Miłość śliczne Purpury, co ie wſtyd farbuie
Y czym się czyſtość zdobi, ták zmaże, zgluzuie,
Ze potym żaden málarz glanſu ni poloru
Nie potrafi przywrocić włáſności koloru,
Opełzły farby
Bo w wſtydzie kárby.

Bywa miłość w ogrodku obwiedzionym płotem
Złotey ligi máłżeńſkiey choć iey to nic po tem,

Bośkie pśować wyroki, lecz ta Gośpodyni
W gruntownym ogrodzeniu, śkryte dziury czyni,
Z kąd wielkie śzkody
W jarzynie młody.

Rozgrzeie miłość y tych, co ie wiek zgrzybiały
Z ciepła naturalnego odmienił w śnieg biały,
Trudney dokaże śztuki, ieżli w zgniłym pruchnie
Ognia mniey, dymu więcey znáydzie gdy weń
dmuchnie,
Bies śię ucieśzy
Gdy śtáry zgrześzy.

O toż maśz iawny dowod *Narcyśsie* zuchwáły
Ze miłości w daninie, hołduie świat cáły,
Czuią ludzie, czuie zwierz, czuie to, co zyie
Moc Páni, z ktorey władzy nikt śię nie wybiie,
Porzuć upory
Zażyi pokory.

Jdź tam życzę, gdzie *Echo* śwym cię prosi głośem
Częśto inśtynkt prowádzi, zá fortuny lośem,
Tych co zá wolą Nieba, y zá ludzką rádą
Chodzą, y śwego śzczęścia w nich nádzieię kłádą,
Kto śię ták rządzi
Nigdy nie zbłądzi.

Lecz kto zuchwále ſtąpa, gorą nosi oczy (czy,
Wpádnie w doł, lub ſię w wodzie głębokiey omo-
Ják *Narcyſs* wzgárdził *Nimfę* á do źrzodła kwapił
Z łez właſnych trunku zażył, y śmierći ſię nápił,
Zkończył ze wſtydem
Woynę z *Kupidem.*

Ná pyſznego ktory, o ſobie wiele trzyma, y nad wſzyſtkich ſię wynosi w doſkonałośći.

RAz gdy ſię w pychę Merkuryuſz wzbiie
Chcąc ludzkie zdánia o ſobie wybadać
Wnet tákowego ſpoſobu zażyie,
A żeby z siebie, właſną poſtać ſkłádać,
A inną przybrać, żebráka czy kupca
Y udać ná czás, z wymownego, głupca.
Wchodzi w mieſzkánie, pewnego ſkulptora
A ten usilnie pilnuiąc rzemioſła
Nie myśli, żeby zmyślona pokora
W dom iego, Bogow ſprowádziła poſła,
Wycina noſy, oczy, uſta, dłotem
Bożkom, Boginiom, y ſtáwia w kąt potem.
Widzi *Merkury*, miſterne poſągi,
Marsa z *Belloną* w cudney armaturze

Jákie gotuią do woyny záciągi
W iakiey Bohatyr minie y posturze,
Z iaką *Bellona* przysługą dla Męża
Trzyma potrzebne do boiu oręża.
Widzi *Wenerę*, znáypięknieyszą twárzą,
Przy niey *Kupida*, máłego pieszczocha
Tu się gołębie cáłuią, tu párzą,
Tu się co żywo, káressuie, kocha,
Y co być może, człowiekowi miło
Wszystko w tey sztuce wyrażone było.
Widzi *Jowiſſa*, iák ná Orła wsiada,
Widzi *Iunonę*, iák z Páwiem stoocznym
Jgra, ten iák się do *Semeli* skráda,
Ta swe zábawy ma, przy dniu widocznym,
Argus płaczący: straż porzuca wreście
To stadło oczu, potrzebuie dwieście.
Widzi státuę, myśliwey Dyanny
Ják ksztáłtną ręką psy ná smyczy trzyma
Łuk, kołczan, lance, niosą zá nią Pánny,
Wiatr iey sukienke nieznácznie poddyma,
Tu iuż zwierzyna postrzelána leży
Zywa ná roskaz Bogini, wsieć bieży.
Widzi *Apolla*, iák pożarem płonie
Dla pięknej *Dafny*, co nim iawnie gárdzi
Nar-

Narcyſs ſam siebie zákochawſzy tonie,
Echo go ściga, ten ucieka bárdzi,
Dwoch amoratow, miłość mściwa tropi
Jednégo ſpáli, drugiego utopi.
Widzi *Prokrydę*, z kochánym *Ceſalem*
Jáki pożytek podeyrzenie niesie
Między małżeńſtwem, co ſię kończy żalem,
Gdy żona męża, ſzpieguie po lesie,
Ktoż winien, że mąż w kniei zámiaſt zwierza
Zábiia żonę, co mu niedowierza.
Pátrzy ná kſztałtną piękney *Ledy* poſtać
Jákim iey członki wyrobione tokiem,
Chciałby nie ieden, dziś *Paryſsem* zoſtać,
Byle ták żywey, kędy doyrzał okiem,
Ale że niemaſz, w nádziei otuchy
Przybrać ſię życzę w łabędziowe puchy.
Kiedy do woli, wzrok nápaſł *Merkury* (ſny
W ták pięknych ſztukach, widzi też ſwoy wła-
Poſąg, więc ſpyta, w iákiey cenie ktury
Spyta zá co ten w kąt zápchano ciaſny,
W iakim ſzácunku, *Iowiſz*, *Wenus*, *Iuno*,
Iazon co z *Kolchow* uwiozł złote Runo.
Odpowie *Skulptor*, że rożność w náturze
Nie wſzyſtko dáła iednemu co w ſkárbie

Ma ſwoim, ták też, rożność ieſt w mármurze,
W białości, wżyłkach, w glansie, w żywey farbie.
Kto ſię zna nátym, ſam rozum dyktuie
Co marmur, práca, kſztałt w ſztuce koſztuie.
Ażeś ciekáwy, opowiem ci o tych
Co wiednym rządzie, ná tey ſtoią ſtronie,
Zádney od kilku ſet czerwonych złotych,
Przedać nie myślę, kto zaiedzie po nie,
Ci zaś co pod tą ścianą ſą zebráni
W mnieyſzey ſą wádze, więc ich oddám tani.
Jeſzcze nie doſyć dla *Merkuryuſza*
Chce wiedzieć drogość ſwoiego báłwana
Zbliſka przyſtąpi, ręką nogą ruſza,
Rzecze: czemu ta ſztuká zániedbana?
Y coby zá nią chciał rzemieślnik złota?
Sądząc że w cenie wielka záydzie kwota.
Opáczną ſłyſzy odpowiedź wte tropy
Ze gdyby kupiec dziś przybył ztráfunku
Zá tego błazna niechciałbym y kopy,
Lecz bym go przydał z chęcią wpodárunku,
Bylem ſię pozbył ſpráw cudzych cenſora
Kaſsy złodzieiow, á Bożkow faktora.
Nie wſmak to było *Merkuremu* ſłuchać
Bo mu ináczey obiecała pycha

Ze pod nos śmiele miał każdemu dmuchać,
Teraz go ná łeb, ambicya ſpycha,
Mowiąc mu w oczy, że oſtátni zbrodzien
W tym chárakterze, ſzubienicy godzien.
Dopiero w myśli, ſam siebie poznaie
Co to zá defekt, w nim dotąd pánował
Przeklina ſtan ſwoy, ambicyi łaie,
Ze tylko siebie, nád wſzyſtkich ſzacował,
Odtąd przyrzeka, że ſwoy umyſł hardy
Potępi, co go, wprowádził do wzgárdy.

SKARGI kilku Dam w ſpolney kompanii będących, dla iakich racyi z Mężami ſwoiemi żyć niechcą.

W Pewnym ogrodzie po między ſzpálery
Wczas ránny chodząc ſzeptáłam pacierze
Słucham ciekáwie, że iákieś afery
Sekretne maią, Damy przy kwáterze,
Siedząc ná darniu w figurę kánapy,
Co ráz z tábakier zażywaią rápy.
Nádſtawiam ucha przez grábiny gęſte,
Liście mnie ſwoim záſłoniło cieniem,
Widzę łzy z oczu, á wzdychania częſte,
Uważam, y mam litość nád ſtworzeniem,

Płći moiey, ledwie wraz z nimi nie kwile,
Niewiedząc że to płaczą krokodyle.
Pierwſza záczyna żal do męża práwić,
Ze iák ſmok siedzi ná łancuchu w domu,
Nic niedba, bym ſię czym miała zábawić,
Sługi nie pytay, zágrać nie maſz komu,
Ani tákiego, żeby mnie zrozumiał
W mądrych dyſkurſach rezonować umiał.
Jákże tu mięſzkać z tákim Domatorem,
Co tylko wołom kármnym krzyżow maca,
Zboże ná tárgi wyprawuie worem,
Proſtych to oſob z táką zrzędą práca,
Kafy w mym domu nie znáydzie trzech ziarnek,
Piwa mi z ſerem zágrzać każe gárnek.
Druga głos bierze: ah! miła ſąsiadko
Więcey ia cierpię z moim ſkąpcem męki,
Káſzki ná wieczor nágotuie rzadko,
Kluczy z zápaſa nie da mi do ręki,
Muſzek, wſtąg, ſzpilek z márſem kiedy kupi,
Ják z nim żyć, kiedy y ſkąpy y głupi.
Od trzeciey ſkárga záchodzi oſoby
Mowiąc fraſzka, to, godna śmiechu ſpráwa,
Mnieby zápłákać gdy nieznam co *roby*,
Seymow niewidzę, niewiem gdzie *Warſzawa*,
Choć

Choć by mi bokow nášturšano w ciżbie
Bylem zráz była w Senátorfkiey Jzbie.
Niewięm co ieft bal, aſsamble, reduty,
Moy mnie Jegomość oſadził przy kurach,
Paź do ogona ma łàtane buty,
O Blondynowych niechce gárniturach
Wiedzieć, żebym ie mieć mogła ná modę,
Otoż z tych rácyi z gápiem ſię rozwiodę.
Czwárta z weſtchnięniem rzecze: ia ſię cieſzę
Zem nie ia tylko ſama nieſzczęśliwa
Moy borys niechciał ſpráwić mi bekieſzę,
Tákiey iák teraz modny wiek zażywa,
Axamit ponſo podſzyty mármurkiem
Po ſzwach z maſyſu bramowano ſznurkiem.
Sukna mi kupił miaſto akſamitu,
Szlámy wytárte z lamuſu ſprowadził,
Náto u żyda záciągnął kredytu,
Mnie przy gałganach z kuśnierzem záſadził,
Zważcież ieżeli nie mam ſię czym ſmucić,
Z ták ſłuſznych przyczyn proſtáka porzucić.
Oſtátnia mowi, jam ſię w wáchlarzyku
Pięknym kocháła, gdzie miniatura
Poſtać *Kupida* niby w ołtarzyku
Wſtáwiła, co mu dać mogła nátura,

Wszystko wyraźne, w ták subtelney sztuce
Było, á resztę dla żalu ukrocę.
Moy *Satyr* wziąwszy wáchlarz w grube ręce,
Ják iął wáchlować niby kowal miechem,
Nieuważaiąc ná członki chłopięce,
Rozumiał, że to z pachołkiem Woyciechem,
Zá pasy chodzi, złámał kość słoniową
Rura zá rurę osądził wołową.
Ja pełna będąc cholery y żalu,
Odiezdżam z domu porzuciwszy dzieći,
Na pożegnaniu powiem mu: brutalu,
Już z tobą żyię rok dziesiąty trzeći,
Dłużey nie myślę, intencyi nie kryię,
Wiedz w iákiey cenie są gálanterye.
Dłużey nie mogąc słuchać rzeczy podłych,
Zátulam uszy, á záciskam zęby,
Uchodzę od tych piąciu Dam rozwiodłych,
Aby mi słowo nie wypádło z gęby,
Powiedzieć práwdę, że nie masz rácyi
Ni do rozwodu, ni separacyi.
Milczałam dotąd chcąc sekret záchować
Dla wstydu, żem też y ja białogłowa
Odtąd záczynam mężatki ráchować,
Zamiast pięć Panien głupich, co ie zowią
W ewan-

W Ewangelij, że w lampach nie miały
Oleju; od drzwi precz odeyść musiały.
Prędzeybym Pannom niewiadomym rzeczy
Błąd dárowáła, niżeli zámężnym,
Ktore gdy Stuła ślubem ubeſpieczy,
Y ſtan ich węzłem zádziergnie potężnym,
Pomocą BOGA wraz świętych wezwaniem
Wolą utwierdzi; iść zá ſwoim zdaniem.
Jeſt to żart z BOGIEM, z Swiętymi igraſzka,
Ołtárz podobno u nich *Gdańſkim Biurem*
Przyſięgać jawnie; bágatela, fraſzka,
Ufaiąc że ſię pięknych pereł ſznurem
Wzáſtaw złożonym, wyplątaią z węzła
Ciałoć ſwobodne, lecz Duſza uwięzła.
Wiem że nie iedney w ſumięniu záwierći
Robak, choć go chce umorzyć ſpoſoby,
Nieopuſzczę cię aż do ſamey śmierći,
Opuſzcza ſnádno dla podłey oſoby,
Przymierze z Stworcą dla ſtworzenia łamie,
Jdź precz *Antoni*, żyi zemną *Adamie*.
Jeźli dla rácyi wyżey wyrażonych
Kocháne Pánie ſzukacie rozwodu,
Nie mieycie zá złe, że was rozpuſzczonych
W ſwywoli ſądzę, Polſkiemu Národu,

Krzywdę czynicie, z siebie śmiechy, żarty,
Honor wasz płacze, że goły, wytárty.
Czy słuszna? żeby Rzym, Nuncyaturę,
Konsystorz, kłocić niegodziwą sprawą;
BOG dobry, iże piorunową chmurę
Nie ześle, wpiekło niewyprawi náwą,
Przyidzie kres, kiedy z życiem was rozwiedzie,
Będzie wiedziała każda do kąd iedzie.
Zaluią wielu, żałuię też y ja
Pásterzow nászych zácnych y pobożnych
Ze się o uszy niewinne obiia
Echo zgorszenia w máteryach rożnych,
Rádziemy zażyć sztuki *Ulissesa*
Być głuchym, miiać Syren interessa.

AWERSYA pewney Damy całe życie bawiącey u wielkich Dworow, przy ktorych gdy nie tylko samę prożność, nieszczerość, zazdrość y wiele defektow uznała, waletę życiu takiemu wypowiada, á ná spokoynieysze się wybiera.

WSzystko co stworzył BOG ręką y Słowem,
Ustąpić czásy muszą stáre nowem,
Y nic trwáłego nie zostáwił świata
Z wiekiem człowieka nieczyniąc tráktatu.

Dla tego: żeby z odmian oczywiſtych
Nie zátapiał ſię w fortunach oyczyſtych,
Oyczyznę ráczey bez końca trwaiącą,
Szácował drożey nád przemiiaiącą.
Rozum nas uczy y oczy otwiera,
Ze kto ſię rodzi, ten pewnie umiera.
Dzierzáwcą ieſteś tylko, nie dziedzicem,
Odday coś nádto wydarł komu z licem.
Sam Pan BOG wieczny bez czaſu, bez końca,
Státeczny w łáſkach, w nieſzczęściu obrońca.
W tym iednym położ gruntowną nádzieię,
Gdyż to, co świat dał, wiatr z plewą rozwieie.
Przebież obſzerny okrąg ziemie cáłey
Uyrzysz ruiny w machinie nietrwáłey.
Pyſzny Babilon, wynioſłe koloſsy,
Ze były, ſłyſzyſz, oczy widzą ſtoſsy.
Miaſta, Fortece, Zámki niedobyte,
W twárdych opokach, w żywych ſkáłach ryte,
Spytay kto zburzył, kto rozſypał w prochy ?
Czas, co z wſzech rzeczy zwykł czynić motłochy.
Y ták cokolwiek rodzi ſię pod ſłońcem,
Ledwie żyć pocznie, aż początek końcem.
Y co dopiero z ziemie wierzch pokaże,
Wtęż ſamę drogę czas ſię wybrać każe.

Przypátrz ſię wiośnie iák pięknie náſtaie
  Wpęczu liſt kryiąc wnet odziewa gaie.
Pokrywa nágość drzew przez zimę zdartą
  W nową ie bárwę ſtroi nie wytártą.
Coż gdy niedługie w tych ſtroiach pociechy?
  Naſtąpi jeśień, wioſna dudy w miechy.
Czuiąc że ią wnet do siebie záwoła
  Obedrze z ſukni, aż ta znowu goła.
Zielone tráwy co w iednym kolorze,
  Z Szmaragdem chodzą ledwo nie wpolorze,
Też ſame ſkutki z ſwey właſnosci maią
  Ze wzrok pátrzących ná ſię nápráwiaią.
Długoż wam ſłuży ta żywość weſoła?
  Ta piękność kwiatow te páchniące zioła?
Ktore w ſwych miętkich jedwabiach kryiecie
  Zieloność dobrą nádzieją zowiecie.
Ale iák długo te cieſzą nádzieje
  Poki ſzkodliwy wiatr was nie záwieie.
Bo ſkoro ſłońce oſuſzy was z roſy
  Wnęt zwiędłe, blade, poydziecie pod koſy
Ná coż mam báwić pioro, rękę, myśli
  Jm głębiey wchodzę, tym mi wybrnąć ściśli.
Każdego uczy codzienna práktyka
  Co dziś jaśniało, jutro z cięniem znika.

W táko-

W tákowym láta cáłe báwiąc błędzie,
Poczn̨ę raz myślić, co też daley będzie,
Gdy po ſkończonych tańcach, muzyk, lutnie
Czas nożycami ſtronę moię utnie.
Spyta mię potym, kędy czas ſtráwiłam,
Ná iaką wieczność ſobie zárobiłam.
Wſtyd mowić głośno, ćicho brzęczę z muchą
Ze cáłe życie żyłam Dworſką juchą.
W ktorey dopiero dobráwſzy ſię ſmáku,
Właśnie ták, iákby w wyſzeptanym ráku.
Więc odtąd záczn̨ę popráwiać errorow,
Trácąc appetyt do Dworſkich ſaporow.
Teatrum ći to ná rozliczne ſceny
Tu śmiech, tu żarty, już ći ſmutne treny,
Ten ſię uſkárza, że zoſtał w afroncie
Ta urażona ſłowem płácze w kąćie.
Zácznie ſię taniec ná przeſtronney Sali
Swiec w luſtrach pełno, każdy choyność chwáli.
Ci mowią w net nam, rozrywka uroście,
Niech tylko wſzyſcy poſchodzą ſię goście.
Więc dwoch, álbo trzech ſprzyſięgłych kompanow
Zdáleka ſtoiąc od siedzących Pánow.
Tąką zábawę biorą złey nátury
Zeby nikt nie był z ich wolny cenzury.

Jeden drugiego w bok trącaiąc rzecze:
Pátrz iák ſię zá tą ogon długi wlecze.
Ná tey opięto, kuſo, gráty ſtáre
Znać w wodźie ſtáła, gdy iey bráno miarę.
Ta iák żołw głową, álbo bażant chwieie
Ta zaś pod żaglem, leći gdy wiatr wieie.
Szum ſzeleſt zá nią, ni bies kogo nieſie
Czyli więc zwierza ugániaią wlesie.
Ta iák sikorka lub czeczotka drobna
Ta z nog wyſokich do czápli podobna.
Zá tą garb ſtoi okryty płaſzczykiem
Ták kſztałtna, iakby wielbłąd pod dywdykiem.
Ten w ogrod cudzy musiał, álbo w żyto
Częſto záglądać, że mu biodro zbito.
Powłuczy nogę, znáczna zá nim ściſzka
A w opaſaniu iák wątrobna kiſzka.
Ow z táką miną w korwetach ſię ſadzi
Ledwo o ściane tyłem nie záwadzi.
Rozumi że to, przed kárytą pląſá
Gdy w káwąlkacie iadąc kręći wąſá.
Otoż tych ſkutkow ſpecyały Dworſkie
Lepiey gryść ſuchar, y pić wody morſkie.
Niż przy biſzkoktach, y trunkach guſtownych
Ná targowiſko przyść ludzi obmownych.

Piękna zábawa ná ſtráwionym czasie,
Gdybyś poſtáwił pilność przy kompasie,
Żádna godzina w prácy nie wákuie,
Ten ſzyie buty, ow ſuknie nicuie.
Niektory ráno wſtał iák ná pańſzczyznę,
Prácuie głową, co zá robociznę
Dzisiay potrzebną zácząć ná pożytek
Myśli, mozg ſuſzy, w zádumianiu wſzytek.
Bierze paciorki, ſto ściesźek udepce,
W rękach pácierze, w ucho diabeł ſzepce:
Tych ieno bracie chwytay ſię przekupi,
Bierz iáko mądry, kiedyć daie głupi.
Kontent z konceptu ſwoiego Miniſtra
Chwáląc porádę, że w biegłości byſtra.
Spieſzy z nápchanym zá pokoie worem,
Trząſa z judaſzem bliźniego honorem.
Powráca weſoł, zyſkał ná frymarku,
Nie śpi, nie żyłby lepiey ná jarmarku.
Zá wyproźnione ſakwy ludzkiey ſłáwy,
Wynosi tłomok podobień do *Nawy*.
Więc to przypiſzę Boſkiey Opátrzności,
Modlitwa rzecze, w wielkiey gorącości
Ktorą codziennie klepiąc to przyznáię
Że kto wſtał ráno, temu Pan BOG daie.

Myliſz ſię, żebyć BOG zá to miał płacić
 Zdzierſtwa twoiego wyſtępek bogácić.
Jużeś ſam ſobie uczynił nádgrodę
 Hołyſzaś pokrył przez bliźniego ſzkodę.
Są tácy co ſię przyiaciołmi liczą
 Przychodząc z rádą, że im dobrze życzą.
Przyiaciel w rádzie, ſzczera w uſtach mowa
 Coż gdy wąż chytry w zanádrzu ſię chowa.
Záczyna dyſkurs, już o ſekret prosi,
 Pogląda w kąty, y głowę podnosi.
Jeźli kto z boku nie nádſtawia ucha:
 To co dway mowią, niech trzeći nie ſłucha
Ledwie doczekać może odpowiedzi
 Swego kompána, iák ná węglach ſiedzi.
Chcąc ſłowko złápać, iák ptáſzka w ſwe siatki,
 Złápawſzy ſkubie, dusi, ſadza w klátki.
Otoż ták czynią z przyiaciołmi właśnie
 Sam záczął dyſkurs práwiąc rożne baśnie.
Oto co prosił, by było w ſekrecie,
 Do wſzyſtkich chodzi, tyle troie plecie.
Gdyby mi czáſu wyſtárczyło tyle,
 Opiſać ſtrátę w prożnym życiu chwile.
Załuię tylko, że wiek uſzedł márnie
 Wſtyd mię w korzyści częſtokroć ogárnie.

Niech

Niech kto chce w Dworſkim życiu ſmáki czuie
Niech w odebránych reſpektach goruie.
Niech ſię záſzczyca wſzelkiemi fáwory,
Niechay mu wſzyſcy oddaią honory.
Mnie zázdrość siedząc w kąćiku nie bierze,
Zycie oſobne, że ſzczęśliwe wierzę.
Zyćie kocháne bez gminu, bez zgraie,
Nikt mnie nie zdrádzi, nikt mnie nie połaie.
Cichość ſpokoyna, Xiążka, y robota,
Z tymi rozrywka, gdy przyidzie ochota.
Tych się nie ſtrzegę, choć z nimi rozmawiam,
One nikogo, y ia nie obmawiam.
Więc poki Boſka wola żyć mi każe,
Poki śmierć mego imienia nie zmaże.
Poki grob z ciałem mym ſię nie powita,
Oſobność kochać będę, z Dworem kwita.

Sioſtra Brátu poſyłaiąca Xiążkę liſtow Dam Greckich.

DAmy ći Greckie poſyłam tym cżaſem,
Kochany Brácie dla twoiey zábawy,
Kiedy od Polek, uchodziſz náwiaſem,
Bądź ná Grekinie przynáymniey łáſkawy,
Aczey ći dádzą, ſpoſob oczywiſty
Kochać ſię zbliſka, kochać ſię przez liſty.

Jeżlić

Jeźlić z tych ktora, do guſtu przypadnie,
Wolno ią będzie akceptować, pieścić,
Pánu ſwey woli, wſzyſtko czynić ſnádnie,
Byle ſię mogła w twym rodzie pomieścić,
Ja ſobie życzę, y niezbłądzę głową
Mieć Amazonkę, od *pola* Brátową.

Opiſanie wzaiemney miłości teyże Sioſtry z Bratem.

NIebyło by to wpodziwieniu żadnym
W ten czas, kiedy wiek ſzczęśliwością ſłynął
Gdy był użytſzym, w wybáczeniu ſnadnym,
Y kiedy złotem, miodem, mlekiem, płynął.
Ażeby iáka w rodzie alternata
Zábronić miała Sioſtrze, kochać Bráta.
Ale w tey porze, zwać możemy cudem
Gdzie ſzczera miłość, w gniazdzie rodowitym
Termin ználazła, między dwoyga ludem,
Kochaiącym ſię práwem przyzwoitym
Ják pára ptáſząt, ſympatycznym związkiem
Tákim Brát Sioſtrę, lubi obowiązkiem.
Rzekłabym że ſię, z *Jowiſza* y *Ledy*,
Ják *Pollux Kaſtor-Helena*, rodzili

Ze ſama zgoda, panowáła w tedy,
Włabęcim jaiu, ſpolnie z ſobą żyli,
Znáydzieſz te miłość dziś między bliźnięty
Ták z *Maryanną*, kocha ſię *Wincenty*.

Ná dwoch ludzi kochaiących ſię ſkrycie bez proporcyi Fortuny y Honoru.

SMieſzną robotę, á máły pożytek
Záczął *Kupido*, w dwoygu ludziach z prácą,
Ten wyſechł iák wior, w zámyśleniu wſzytek,
Ta wzdycha, ięczy, zá niepewną płácą,
Bo kto przetákiem chce náczerpać wody,
Fátygi wiele, á mało ochłody.
Skrada ſię kotek do mleka, że ſłodkie
Ledwo co liznął nieborak śmietany,
Zápomniał że w tym guſta będą krotkie,
Odrzekłby ſię iey gdy zá nie ſkárany,
Każdy ták rzecze, kto otym uſłyſzy,
Niech kot nieſzuka mleka ále myſzy.
Nie myśl o krowce, ktorey *Argus* ſtrzeże
Trudno ſtu oczom, ſnu przybrać twardego,
Nie myśl *Danae*, wyprowadzić z wieże,
Nie twoy to koncept, trzeba mocnieyſzego,

Ty nie potrafiſz, złote ſypać deſzcze,
Ni ſnem oſzukać, á oſtrożnych ieſzcze.

Ná kochaiącą ſię przez dwanaście lat parę y Maryaſz ich.

NIe ſam to *Iakob* wyſłużył wlat wiele
Paſący owiec trzody u *Labana*,
Kocháną ſwoią, y miłą *Rachele*,
Byle w Małżeńſtwo, była mu oddána,
Nieprzykro było chłod y ciepło znosić
Zeby beſpiecznie, o *Rachelę* prosić.
Jeſt teraz rowny *Michał Iakobowi*
Wſtátecznym ſercu, do czyſtey *Zuzanny*
Służy lát kilka, wiernie *Labanowi*,
Dawną miłością, utyſkuie ránny,
Przyznać możemy, ile świadkow nas tu,
Służy kochaiąc, bliſko lát czternáſtu.
Niechći *Zuzanno*, y tobie *Michale*
BOG obfitością łáſk ſwych błogosłáwi,
Státeczne ſerca wpotomney pochwále,
Ják dwa Brylanty, bez ſkázy wyſtáwi,
Niech was do pary, miłość zwiarą ſprzegą,
Wieczne przymierze, záwiąże przyſięgą.

Bądź

Bądź zaś oſtrożny, wſzedſzy do złożenia,
Przypátrz ſię dobrze temu, coś wyſłużył,
Chcąc guſt naſycić, długiego prágnienia,
Zeby kto zdrady, dla ciebie nieużył,
Swym wierzay oczom, nie powieści czyi,
Byś zámiaſt *Rachel*, niewziął ślep[illegible] *Lii.*
Ják od *Labana*, wynidzieſz z *Rachelą*,
Niech cię fortuna, ſzczęścia drogą wied[illegible]ie,
Słodkie pożycie, niech wam Nieba ścielą,
Byście goryczy nieználi, iák w miedzie,
A twey wyſługi, ta będzie pámiątka,
Kiedyć ſię będą rodzić, pſtre jágniątka.

Ná Obraz płaczącego Kupidyna *y ſmutney* Wenery.

COż ſię to z tobą, *Kupidynie* dzieie,
Gdy płáczeſz náto, że cię ogień grzeie.
Wſzák miłość ktorey Synem cię názwáli
Nie wodą chłodzi, ále ogniem páli.
Niemaſz co chwálić, tey w tobie odmiany,
Krytyczney zá nią, godzieneś náganv.
Chcąc łzámi zálać, tákowe płomienie,
Co im przeciwne zimnych wod chłodzenie.
Nie wiem kogo z was, winić w tey intrydze[illegible]

Gdy twárz *Wenery*, w ſmutney minie widzę.
Kupido płácze, ta oczy odwráca,
Prożna z amorow wáſzych táka práca.

Przypiſanie pewnemu Kawalerowi, ktory zá iednym ſtrzeleniem, młyn ná wodzie, domy ná lądzie ſpalił.

Z Dwcch Zodyacznych znákow zformowany
Kawaler z ſerca, ... Bohatyr zminy,
Nie zmierza w Tárczą, nieſtrzela do ściany,
Gdzie ſtrzeli płoną ogniem domy, młyny,
Wodnik ná wodzie, y ſtrzela y páli,
Strzelec ná lądzie, ktoſz go niepochwáli ?

KONIEC.



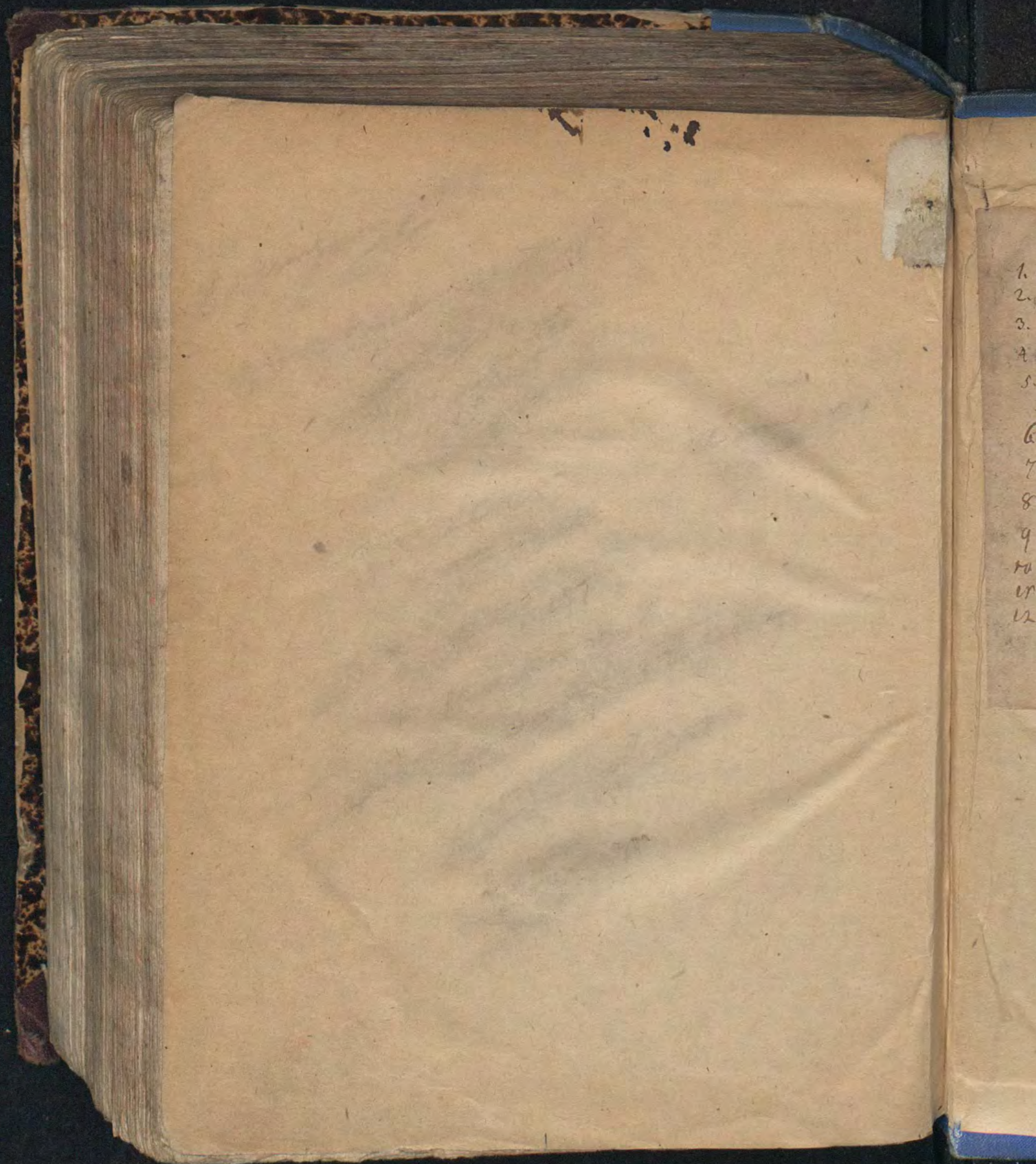
ninie widzę.

áca.

á iednym strze-
zie spalił.

rmowany
,
ściany,
, młyny,
páli,
pochwáli ?





Index

